

„Piñeiro diabelnie inteligentnie
konstruuje intrygi”.

El Mundo

Betibu

CLAUDIA
PIÑEIRO



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

CLAUDIA
PIÑEIRO

Betibu

Z języka hiszpańskiego przełożył
Tomasz Pindel



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału:
BETIBÚ

Copyright © Claudia Piñeiro – 2005
by arrangement with Literarische Agentur Mertin Inh.
Nicole Witt e. K., Frankfurt am Main, Germany

Copyright © 2016 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2016 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Ta książka została wydana dzięki dotacji Hiszpańskiego Ministerstwa Edukacji, Kultury i Sportu



Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz
Redakcja: Bożena Sęk
Korekta: Iwona Wyrwisz, Aneta Iwan

ISBN: 978-83-7999-384-0

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadruga.pl
www.soniadruga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2016

Skład wersji elektronicznej:

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Moim przyjaciółkom, wszystkim, bo tak.

*Silvinie Frydman i Laurze Novoa,
one i ja wiemy dlaczego.*

Spis treści

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

Podziękowania

„(...) w swoich relacjach kryminalnych pisanych dla gazety opowiada czytelnikom o tym, co się zdarzyło i jak, ale na miejscu zbrodni czy wypadku zawsze zjawia się po fakcie, musi więc odtworzyć wszystko w wyobraźni na podstawie zeznań i przesłanek. Jak dotąd nigdy żadne zdarzenie nie przebiegło na jego oczach, żaden krzyk ofiary nie trafił bezpośrednio do uszu kronikarza”.

Antonio di Benedetto, „Brak powołania”
z tomu *Cuentos claros*

„Mikroskopijne resztki znajdujące się na odzieży i ciałach są niemymi, pewnymi i wiernymi świadkami naszych poczynań i spotkań”.
Edmond Locard, *Traktat kryminologiczny*

„Historia toczy się dalej, może się toczyć, istnieje kilka możliwych wariantów, jest otwarta, tylko przerywa się na moment. Śledztwo nie ma kresu, nigdy się nie kończy. Trzeba by wymyślić nowy gatunek literacki: fikcja paranoiczna. Wszyscy są podejrzani, wszyscy czują się śledzeni”.
Ricardo Piglia, *Blanco nocturno*

W poniedziałki zawsze najtrudniej dostać się na teren zamkniętego podmiejskiego osiedla La Maravillosa. Kolejka gospodyń domowych, ogrodników, murarzy, hydraulików, stolarzy, elektryków, instalatorów gazu i robotników innych specjalizacji wydaje się bez końca. Gladys Varela dobrze o tym wie. Dlatego przeklina w miejscu, gdzie stoi, przed wejściem z napisem „Służba domowa i zaopatrzenie”, za przynajmniej piętnastoma albo dwudziestoma innymi osobami, które tak samo jak ona próbują dostać się do środka. Złości się, bo zapomniała naładować kartę elektroniczną, która upoważniała ją do wejścia bez kontroli. Tyle że ta karta co dwa miesiące traci ważność, a godziny, gdy można ją naładować, pokrywają się z godzinami pracy u pana Chazarrety. A pan Chazarreta nie ma łatwego charakteru. W każdym razie wyraz twarzy ma bardzo surowy i Gladys tej jego miny bardzo się boi. Chociaż nie wie, czy ten wyraz, z jakim na nią patrzy, bierze się stąd, że jest człowiekiem opryskliwym, oschłym czy małymównym. W każdym razie z tego powodu nie ośmieliła się dotąd prosić go o zgodę na wcześniejsze wyjście albo o wolne, żeby podejść do budki strażniczej i odnowić kartę. Wszystko przez tę jego twarz, kiedy na nią patrzy. Czy też raczej nie patrzy, bo prawdę mówiąc, pan Chazarreta rzadko to robi. Rzadko ją zauważa. Ją jako osobę. Patrzy tak ogólnie, patrzy dookoła, patrzy na ogród albo na białą ścianę. Zawsze z groźną miną, poważny, jakby obrażony. No, zważywszy na wszystko, co przeżył, trudno się dziwić. Na szczęście ona ma przynajmniej podpisaną zgodę na wejście, to owszem; czyli będzie musiała odstać swoje w kolejce, co już zresztą robi, tyle że strażnicy nie będą musieli dzwonić do pana Chazarrety, żeby udzielił zgody na wpuszczenie jej na teren osiedla. Pan Chazarreta nie lubi, kiedy się go budzi, a często zdarza mu się pospać do późna. Często bardzo późno kładzie się spać. I pije. Dużo. Gladys tak sądzi, a raczej podejrzewa. Bo często zdarza jej się znaleźć szklankę i butelkę po whisky w tym miejscu, gdzie pan Chazarreta zasnął poprzedniej nocy. Czasem w sypialni. Kiedy indziej w salonie albo w korytarzu, albo w pokoju rekreacyjnym, który mają na dole. Nie tyle mają, ile ma, bo pan Chazarreta od śmierci żony mieszka sam. Gladys nie pyta, nie wie i nie chce wiedzieć. Wystarczy jej to, co widziała w wiadomościach w telewizji. A to, co niektórzy mówią, nie obchodzi jej. Ona pracuje w tym domu od dwóch lat, a pani umarła dwa i pół roku albo trzy lata temu. Trzy. Tak się jej wydaje, tyle jej powiedzieli, nie przypomina sobie dokładnej daty. Ona wywiązuje się z obowiązków wobec pana Chazarrety. A on jej dobrze płaci, punktualnie, i nie robi żadnych problemów, jak stłucze się szklanka lub jakieś ubranie zaplami wybielaczem, ewentualnie jeśli lekko spieczą się tarta. Jeden raz zrobił aferę, i to dużą, kiedy coś zginęło, jakieś zdjęcie, ale potem zdał sobie sprawę, że to nie ona, i nawet jej to przyznał. Przeprosić, nie przeprosił, przyznał jednak chociaż, że to nie ona. Wtedy Gladys Varela, choć o to nie prosił, wybaczyła mu. A poza tym stara się nie pamiętać. Bo jaki sens ma wybaczenie, jeśli sobie człowiek tego z głowy nie wybije? Tak ona uważa. Ma nieprzyjemny wyraz twarzy ten Chazarreta, bez dwóch zdań, ale który pan tak nie ma? Niemaloby wydarzyło się wokół niego nieszczęście, więc ma prawo.

Kolejka przesuwa się do przodu. Jakaś kobieta protestuje, bo pani cofnęła jej pozwolenie na wejście. Ale dlaczego? wykrzykuje. Za kogo ona się do cholery uważa? wciąż krzyczy. Cała afera przez jakiś kretyński ser? Gladys jednak nie chce słuchać odpowiedzi strażnika po drugiej stronie okienka na wykrzykiwane pytania tej kobiety, która cała rozwścieczona przechodzi obok Gladys. Gladys zdaje sobie sprawę, że ją zna, z autobusu albo z widzenia, pewnie idą tą samą drogą przez kilka przecznic, nie ma pewności, ale zna ją, kojarzy. Zostało przed nią jeszcze trzech mężczyzn, wyglądają na kumpli, znają się albo pracują razem. Jednemu procedura zabiera trochę więcej czasu, bo nie był wcześniej zarejestrowany, więc

każą okazać dokument i robią mu zdjęcie, przyczepiają numerki do roweru, żeby potem wyjechał tym samym. I dzwonią do właściciela, by autoryzował przepustkę. Jeszcze nim go wpuścili, zapisali markę roweru, kolor, rozmiar kół, a Gladys się zastanawia, po co w takim razie jeszcze ten numerki. Może dlatego, że mógłby znaleźć w środku identyczny rower, tylko nowszy, w lepszym stanie, i zabrać go? Zbyt wielki zbieg okoliczności, myśli. Więcej by trzeba szczęścia, niż żeby trafić numer na loterii albo wygrać w bingo. Mężczyźni jednak nie protestują, nawet nie zadają pytań. Tak to wygląda, takie są reguły gry. Przystają na to. Może to i lepiej, myśli Gladys, dzięki temu jak człowiek wychodzi, może udowodnić, że niczego, co do niego nie należy, sobie nie wziął, że jest porządny. Lepiej niech to zapisują, żeby potem nikt nie mógł rzucać oskarżeń ot, tak. O tym właśnie myśli Gladys, o tym, żeby nie oskarżano bez powodu, kiedy podchodzi do niej ta kobieta, która parę minut wcześniej krzyczała w kolejce. Jakbyś się dowiedziała o jakiejś robocie, dasz znać? pyta. A ona odpowiada, że tak, że da znać. Tamta wyciąga swoją komórkę i mówi: Zapisz sobie. Gladys wyciąga telefon z kieszonki mundurka i wpisuje cyfry, które tamta podaje. Kobieta prosi, żeby wybrała jej numer i zaraz się rozłączyła, wtedy jej się też zapisze. I pyta o imię. Gladys, odpowiada. Anabella, mówi tamta, zapisz: Anabella. I Gladys zapisuje imię i numer. Kobieta już nie krzyczy, złość ustąpiła czemuś innemu. Mieszanie żalu i rezygnacji. Wymienia się numerami z innymi kobietami z kolejki; potem odchodzi bez słowa.

Wreszcie jej kolej, więc Gladys Varela pokazuje swój papier. Strażnik wprowadza jej dane do komputera i od razu pokazuje się jej twarz na ekranie. Zaskakuje ją ten widok, jest tam młodsza, szczuplejsza i włosy ma jaśniejsze; przypomina sobie, że dzień przed zgłoszeniem rozjaśniła sobie włosy. Choć to wcale tak dawno nie było. Strażnik patrzy na ekran, a potem na nią, dwa razy to powtarza, w końcu pozwala jej przejść. Kilka metrów dalej drugi strażnik czeka, aż pokaże zawartość torebki. Nie musi nic mówić, Gladys i ludzie z kolejki znają wszystkie etapy procedury. Próbuje otworzyć torebkę, zamek się zacina, ciągnie mocniej, aż w końcu ząbki puszczają. Strażnik grzebie w torebce Gladys, żeby sprawdzić, co tam trzyma. Prosi go, by zapisał w formularzu, że wnosi telefon komórkowy, ładowarkę i parę kłapek, które ma w torbie. Pokazuje je. Strażnik notuje. Reszta nie ma znaczenia: papierowe chustki do nosa; posklejane cukierki; portfel, w którym ma dokumenty, pięciopesowy banknot i parę monet na bilet autobusowy z powrotem; klucze do domu; dwie podpaski. Tego zapisywać nie musi, ale komórkę, ładowarkę i kłapki już tak. Ona nie chce mieć żadnych problemów przy wyjściu, mówi mu. Strażnik wręcza jej kompletny formularz. Gladys chowa go do portfela razem ze swoimi dokumentami, mocuje się z zamkiem i rusza dalej.

Przed nią idą trzej mężczyźni, którzy stali w kolejce. Popychają się, żartują, śmieją. Ten nowy niesie rower w rękę, żeby iść z tamtymi i gadać. Gladys przyśpiesza, poniedziałkowa kolejka sprawiła, że jest później niż zwykle. Mija ich. Jeden z mężczyzn mówi do niej: Cześć, jak leci. Gladys go nie zna, on o tym wie, lecz odpowiada na pozdrowienie. Brzydki nie jest, myśli, a skoro tu jest, to znaczy, że pracę ma. Nie chodzi jej o siebie, bo jest mężatką, tak tylko przemyka jej przez głowę. Do zobaczenia, mówi ten człowiek, teraz już został w tyle. Do widzenia, odpowiada Gladys i jeszcze przyśpiesza kroku, i oddala się coraz bardziej.

Już przy polu golfowym skręca w prawo, a parę metrów dalej drugi raz tak samo. Dom Chazarrety jest piąty po lewej za wierzwą. Drogę zna na pamięć. I wie też, które drzwi pan zostawia dla niej otwarte, żeby mogła wejść bez dzwonięcia: prowadzące do kuchni z wewnętrznego korytarza. Przed wejściem zbiera gazety leżące pod drzwiami, dziennik *La Nación* i gazetę finansową. To oznacza, że Chazarreta rzeczywiście śpi. W przeciwnym razie sam by je sobie wziął, żeby poczytać przy śniadaniu. Gladys patrzy na pierwszą stronę *La Nación*, pomija największy nagłówek dotyczący ostatniego oświadczenia majątkowego prezydenta i przygląda się dużej kolorowej fotografii, pod którą czyta: dwa autobusy zderzyły się na skrzyżowaniu w dzielnicy Boedo, trzy osoby nie żyją, cztery ciężko ranne. Robi znak krzyża, sama

nie wie dlaczego, pewnie za tych zmarłych. Albo za ciężko rannych, żeby i oni nie umarli. Potem kładzie obie gazety na kuchennym stole. Przechodzi do prasowalni, wiesza swoje ubranie w szafce i wkłada strój roboczy. Musi powiedzieć panu Chazarrecie, żeby jej kupił nowy; trochę przytyła i w piersiach ma za ciasno, a za wąskie rękawy utrudniają krążenie krwi, kiedy wyciąga ręce przy wieszaniu prania. Jeśli sobie życzy, żeby zawsze chodziła w tym mundurku, tak jak powiedział w dniu, kiedy ją zatrudnił, musi się tym zająć. Gładys zagląda do kosza i widzi, że nie ma za dużo do prasowania. Chazarreta jest porządny, zwykle przynosi tu wszystkie ubrania rozwieszane na weekend, ale ona i tak idzie na tylne podwórko, żeby sprawdzić na wszelki wypadek, czy nie trzeba stamtąd czegoś przynieść. Potem zmyje brudne naczynia, które dostrzegła kątem oka w zlewie. A później zajmie się łazienkami, najmniej to lubi, więc dobrze mieć to szybko za sobą.

Tak jak podejrzewała, Chazarreta zdjął wszystkie ubrania ze sznurów. W zlewozmywaku niewiele jest brudnych talerzy: albo coś zmył przez sobotę i niedzielę, albo jadł poza domem. Gładys kładzie talerze, szklankę i sztućce na suszarce, żeby obeschły i nie spadły na podłogę z czarnego marmuru. Idzie do pralni, wraca z mopem i pojemnikiem, w którym trzyma środki czystości, szmaty i gumowe rękawiczki. Przechodzi korytarzem obok salonu i nagle zauważa, że Chazarreta siedzi na fotelu z zielonego pluszu, tym masywnym, z wysokim oparciem, domyśla się, że to jego ulubiony. Fotel ustawiony jest w stronę okna wychodzącego na ogród. Dziś rano zasłony są jednak wciąż spuszczone, czyli Chazarreta nie usiadł, by popatrzeć na drzewa, tylko tkwi tu od wczorajszego wieczora. Choć przez oparcie i półmrok panujący w pomieszczeniu Gładys go nie widzi, wie, że tam siedzi, bo z lewego boku zwisa jego ręka, a pod nią, na podłodze z lakierowanego drewna, leży przewrócona szklanka i rozlana kałuża po ostatniej whisky.

Dzień dobry, mówi Gładys, mijając go z tyłu, gdy idzie w stronę schodów na piętro. Nie za głośno, tak, żeby usłyszał, jeśli nie śpi, lecz nie zbudził się, jeśli jednak śpi. Chazarreta nie odpowiada. Odsypia kaca, myśli Gładys i idzie dalej. Ale jeszcze przed schodami się zatrzymuje. Lepiej sprzątnąć tę plamę po whisky, bo jeśli podłoga będzie mokra przez dłuższy czas, zrobi się taka biała plama, którą strasznie ciężko usunąć, trzeba wtedy położyć nową warstwę wosku. A Gładys nie ma ochoty zaczynać tygodnia od woskowania podłogi. Wraca, wyciąga szmatę, schyla się, podnosi szklankę, wyciera whisky obok fotela i sięga dalej do przodu na oślep. Szmata trafia na jakąś inną plamę, ciemną kałużę, Gładys nie wie, co to jest; gwałtownie puszcza szmatę, żeby ta wilgoć nie doszła do jej dłoni; ale zarazem dotyka tego czegoś samym koniuszkiem palca: jest lepkie. Krew? zastanawia się, nie dowierzając. Wtedy podnosi wzrok na pana Chazarretę. Siedzi tam przed nią z poderżniętym gardłem. Jest rozcięte na całej szerokości i otwiera się jak usta, niemal idealnie. Gładys nie wie, co to jest to coś, co widzi w środku, bo na widok czerwonego mięsa, krwi i plątaniny tkanek i ścięgien w odruchu obrzydzenia zamyka oczy, a jednocześnie zasłania twarz dłońmi, jakby zamknięcie oczu nie wystarczało, by przestać to widzieć, i otwiera przy tym usta, z których wydobywa się tylko zdławiony jęk.

Jednak obrzydzenie trwa krótko, górę bierze strach. Strach, który jej nie paraliżuje, tylko pcha ją do działania. Dlatego Gładys odsuwa dłonie i otwiera oczy, zmusza się do tego, podnosi znów głowę, patrzy na rozplątane gardło, na zachlapane krwią ubrania Chazarrety, na nóż w prawej ręce spoczywającej na brzuchu i pustą butelkę po whisky pod poręczą fotela. I nie zastanawia się dłużej, wstaje, wybiega na ulicę i krzyczy. Krzyczy bez przerwy, gotowa wrzeszczeć tak długo, aż ktoś ją usłyszy.

Dokładnie w tej chwili, gdy Gladys Varela krzyczy na ślepej uliczce podmiejskiego zamkniętego osiedla La Maravillosa, Nurit Iscar próbuje posprzątać w swoim domu. A raczej w swoim trzypokojowym mieszkaniu w Barrio Norte, tej biedniejszej czy może bardziej podupadłej części dzielnicy, róg French i Larrea. Nie wie jeszcze, że Pedro Chazarreta nie żyje. Wiadomość rozejdzie się błyskawicznie, lecz nie aż tak. Gdyby o tym wiedziała, włączyłaby telewizor i radio i wyczekiwała najświeższych informacji. Albo weszłaby do Internetu na strony gazet, żeby śledzić na bieżąco rozwój wypadków. Ale Nurit Iscar nie wie o sprawie. Jeszcze nie wie. Dowie się za parę godzin.

W domu panuje kompletny bałagan. Resztki wina w licznych kieliszkach, wczorajsze gazety porozrzucane tu i ówdzie, jakieś okruchy na podłodze, niedopałki. Nurit Iscar nie pali, nigdy nie paliła, nienawidzi dymu papierosowego i ma nadzieję, że to, że pozwala innym palić u siebie, jest dowodem miłości, a nie uległości. Acz czasami ma co do tego wątpliwości, przy czym nigdy nie dochodzi do rozstrzygającej odpowiedzi: miłość to czy uległość? I nie chodzi tylko o papierosy. Wczoraj były u niej przyjaciółki, Paula Sibona i Carmen Terrada – obie palą – na comiesięcznym spotkaniu, które odbywa się w każdą третią niedzielę miesiąca, od paru lat stało się to ich najświętszym obyczajem. Nie znaczy to, że nie spotykają się przy innych okazjach, na kawę czy żeby iść do kina, na obiad albo z okazji innych ceremonii, które mają głęboki, acz może ukryty sens: trzeba pozwalać na to, że czas upływa, bo i tak to robi, ale w dobrym towarzystwie. Jednak trzecia niedziela miesiąca to co innego. Czasami dołącza do nich Viviana Mansini, lecz nie zawsze, z czego się cieszą, bo choć Viviana Mansini uważa się za ich serdeczną przyjaciółkę, pozostałe trzy tak tego nie odbierają. Kiedy Viviana jest z nimi, rozmowa dotyczy przede wszystkim jej właśnie; i zawsze wymuskuje jej się jakieś zdanie, które pod pozorem naiwności stanowi tak naprawdę kopa prosto w jajniki jednej z pozostałych. Tak jak wtedy, kiedy Carmen się skarżyła, że ma mały guzek w piersi, czym bardzo się denerwowała, ale w końcu lekarz powiedział, że to tylko małe zmiany skórne, na co Viviana Mansini anielskim tonem stwierdziła: Rozumiem cię, ja się identycznie czułam parę miesięcy temu, kiedy mi robili biopsję, nie wiem, czy pamiętasz, nie, nie pamiętasz pewnie, bo ty akurat nie zadzwoniłaś, żeby się dowiedzieć, jakie wyszły mi wyniki. I podczas ciszy, która nastąpiła po tym zdaniu, Carmen popatrzyła na nią z miną „znów mi to robisz, suko jedna”, lecz nie powiedziała nawet słowa. Za to Paula Sibona pośpieszyła w jej obronie i z trudem naśladowując anielski głosik Viviany, powiedziała: No ale przecież wiadomo, że dobrze wyszło, przecież widać, że cycki masz w idealnym stanie. I podkreśliła te słowa, udając, że zaciska dłonie jak szpony na własnych piersiach, poruszając nimi w górę i w dół, w sporej odległości, by podkreślić obfitość biustu Viviany Mansini. Jednakże prócz tego, że pod nieobecność „Vivi” wolne są od jej ironicznych komentarzy, najlepsze w tym jest to, że wtedy mogą ją krytykować. Bo jak mówi Paula Sibona, obgadywanie Mansini na tym etapie życia daje prawie tyle adrenaliny co seks. I wczorajszej niedzieli, dzień przed tym poniedziałkiem, kiedy Pedro Chazarreta został znaleziony z poderżniętym gardłem, spotkanie objęło tylko najbliższy krąg, bez Viviany Mansini, w mieszkaniu Nurit Iscar. Co miesiąc zmieniają kolejno miejsce spotkania, a ceremonia zawsze przebiega tak samo. Spotykają się przed południem, gospodyni kupuje wszystkie gazety, naprawdę wszystkie, i kiedy gotuje jakąś swoją specjalność – co dla Nurit Iscar nigdy nie oznacza wiele więcej niż befsztyki z sałatką albo makaron z sosem – pozostałe przeglądają gazety i studiują wiadomości, wyszukując te, którymi podzielią się z resztą, odczytując je na głos. Głośne czytanie ma miejsce przy kawie po obiedzie. Nie interesują ich jednak byle jakie historie. Każda, tak samo jak w przypadku potraw, ma swo-

ją specjalność. Nurit Iscar wiadomości kryminalne – nie bez kozery jeszcze parę lat temu uważano ją za „pierwszą damę argentyńskiej literatury kryminalnej”. Choć to dla niej zamknięta przeszłość i woli o niej nie pamiętać, kiedy przyjaciółki domagają się „krwi i trupów” – dopóki nie chodzi o pisanie powieści – ona nie ma nic przeciwko. Jeśli będzie jeszcze w tym seks, tym lepiej, prosi zwykle Paula Sibona. Specjalnością Carmen są wiadomości krajowe, a największą frajdę sprawia jej wynajdywanie w oświadczeniach polityków niespójności, błędów składni, a także – dlaczego nie? – brutalności. Najwięcej zabawy ma z prezydentem Buenos Aires. Nie może rządzić miastem ktoś, kto nie umie mówić, powtarza w kółko. I jej komentarz, daleki od jakiegoś tam elitarnego zadzierania nosa, wynika z ewidentnej pogardy zamożnej klasy społecznej – której członkiem jest prezydent – wobec języka (słowo, znaczenie, składnia, poprawne formy czasownika, używanie przyimków, zapożyczenia), a tego ona, od ponad trzydziestu lat nauczycielka języka i literatury w szkole średniej, nie jest w stanie zaakceptować. Wybór tekstów czytanych przez Paulę Sibonę – w odróżnieniu od jej przyjaciółek i czego w ogóle nie są świadome – nie tyle ma związek z jej osobistymi zainteresowaniami, ile jest gestem przyjaźni wobec Nurit Iscar: czyta recenzje teatralne, kinowe i innych wydarzeń kulturalnych. To prawda, że Paula jest aktorką – tylko czy jest się dalej aktorką, jeśli od ponad dwóch lat nikt nie zaoferował ci roli? – aktorką znaną, która z upływem lat przeszła od ról pierwszoplanowych w telenowelach do grania czyichś matek, a potem popadła w niesłuszne zapomnienie. Jeśli jest coś, co Pauli Sibony nic a nic nie interesuje, to właśnie czytanie gazet. Siadają mi na żołądku, mówi. Mimo to z zapałem bierze udział w spotkaniach podtrzymywana sekretną nadzieją, że czytanie wybranych przez nią wiadomości pomoże jej przyjaciółce Nurit pozbierać się po tych krzywdach, których zdaniem Pauli zaznała. Po tym bólu. I choć nie wie, czy to się kiedyś uda, nie poddaje się. Bo Nurit Iscar, pierwsza dama argentyńskiej literatury kryminalnej, jeszcze pięć lat temu mężatka, matka dwóch synów kończących szkołę średnią i wступujących na uniwersytet, zakochała się w innym mężczyźnie i wtedy nie dość, że się rozwiodła, to jeszcze napisała po raz pierwszy powieść miłosną. I to na dobitkę bez szczęśliwego zakończenia. Szczęśliwego zakończenia nie miała zarówno opowiedziana w powieści historia, jak i recepcja książki przez krytykę oraz reakcja czytelników dotąd czekających niecierpliwie na każdą nową powieść Nurit Iscar. Dobrze nie skończyła się również jej miłosna historia, o której też woli nie pamiętać. Niektórzy z jej licznych czytelników kupili nową książkę, ale nie wszyscy, i byli rozczarowani tą powieścią zupełnie inną od poprzednich, nie znaleźli w niej bowiem tego, czego szukali – czyli trupa. I wtedy wyspecjalizowana krytyka, która dotąd nie zajmowała się nią wcale, tylko ją ignorowała, rozszarpała Nurit na strzępy. „Próbuje być literacka i to wychodzi jej najgorzej”. „Iscar powinna raczej trzymać się fabuły, bo o tym, jak się zdaje, ma pojęcie, i odpuścić sobie metafory, poetyckie pretensje i językowe eksperymenty, zostawiając je tym, co się na tym znajdują dzięki wykształceniu, intuicji albo talentowi, czego ona nie posiada, a w każdym razie nie zdradza”. „Powieść, która powinna przejść niezauważona, do szybkiego zapomnienia”. „Trudno pojąć, dlaczego Iscar, która odkryła magiczny przepis na bestseller, bierze się za coś, czego nie umie: próbuje pisać na serio”. I wiele podobnych przykładów. Nurit ma całe pudełko wypełnione wycinkami prasowymi poświęconymi swojej ostatniej powieści *Tylko jeśli mnie kochasz*. Białe pudełko, takie duże – nie z tych, w których trzyma się albo kiedyś trzymało listy miłosne – przepasane niebieską wstążką zawiązaną na supeł, którego nigdy dotąd nie rozwiązywała. I nie ma najmniejszego zamiaru rozwiązać. Trzyma to pudełko niemal jak dowód zbrodni. Choć nie wie, jakiego właściwie dopuściła się przestępstwa: czy tego, że napisała to, co napisała, czy że przeczytała te recenzje, czy że tak bardzo wzięła je sobie do serca. Recenzje w połączeniu z porażką miłosną, która skłoniła ją do napisania powieści, oraz zabójstwo Glorii Echagüe, żony Chazarrety – o którym nie chciała pisać dla dziennika *El Tribuno*, bo była pochłonięta pracą nad *Tylko jeśli mnie kochasz* – przemieniły ją w żeńską kryminalną i pochodzącą z kraju rozwijającego się wersję Salingera, bo zamknęła się na zawsze daleko od świata, którego dotąd była częścią. Tyle że w odróżnieniu od Salingera

nie cieszyła się taką sławą ani nie miała wystarczających oszczędności, ani możliwości zarabiania na prawach autorskich, żeby jej na tę samotność wystarczyło środków, tak więc musiała poszukać pracy pozwalającej zarobić na światło i gaz, zakupy w supermarkecie i takie tam rzeczy, na co potrzebna jest pensja albo pieniądze na koncie. Lub w portfelu. A ponieważ jedyne, co umie, to pisać – choć ma wrażenie, że po tych recenzjach jej umiejętność pisania także została podważona – tym się zajmuje. Tyle że na rzecz innych, jako pisarka widmo. Albo *ghost writer*. Nurit woli hiszpańską wersję terminu, czemu przyklaskuje jej przyjaciółka Carmen Terrada, która wciąż jeszcze broni używania własnego języka i nie ulega anglosaskiej inwazji, choć wie, że walka jest przegrana, acz zarazem romantyczna. Toteż Paula Sibona, nie tracąca nadziei, że jej przyjaciółka znów wróci do pisania tego, co lubi – czyli własnych powieści – stara się ciągle wykazywać jej małość niektórych recenzji pisanych raczej po to, żeby ich autor mógł się popisać i zabłysnąć. Zyskać sławę w rodzaju tej, którą zdobyli Lee Harvey Oswald albo Mark David Chapman. Carmen Terrada sięga po inne, bardziej wyrafinowane porównanie: może i Jean Genet pisanie zarzucił na pięć lat po prologu/książce, w której jego przyjaciel Sartre „rozebrał go na czynniki pierwsze”, jak sam się wyraził, owszem, ale ani oni nie są Jeanem-Paulem, ani ty, kochana, Genetem.

Teraz, kiedy już opróżniła popielniczki i przewietrzyła mieszkanie z tego papierosowego smrodu, Nurit Iscar bierze się za zmiatanie. Potem zmywa resztę talerzy, które zostały z wieczora, pakuje obrus do pralki, lecz pranie nastawi później, jak się zbierze więcej ubrań, i wsadza porozrzucane niedzielne gazety do czarnego worka, który za chwilę wyniesie na korytarz do śmietnika. Wykonuje identyczne czynności jak te, które chwilę wcześniej robiła Gladys Varela w domu swojego pracodawcy Pedra Chazarrety. Ale kiedy Nurit Iscar wiąże czarny plastikowy worek z gazetami, Gladys Varela nie robi już nic. Chociaż nie, płacze, siedząc w elektrycznym samochodziku, którym podjechał do niej jeden ze strażników z La Maravillosy, pięć minut po tym, jak sąsiad zadzwonił z informacją, że jakaś kobieta – pewnie służba domowa, powiedział – wrzeszczy jak opętana na środku ulicy. Zaproponowali, żeby wsiadła do vana, który podjechał chwilę później, z człowiekiem z firmy ochroniarskiej i jeszcze trzema innymi strażnikami, to ją zabiorą do przychodni. Ona nie zamierza się jednak ruszać, dopóki nie przyjedzie policja, ta prawdziwa, z Buenos Aires. Nie ruszy się nawet o milimetr, mówi. I tym razem strażnicy też wydają się ostrożniejsi. Jak ktoś się sparzy, to potem uważa, odpowiada człowiek z ochrony komuś z sąsiadów, kto pyta, dlaczego nikt nie wchodzi do środka, gdzie jest ten trup. Kto ma dobrą pamięć, nie popełni błędu, który popełnili strażnicy w tym samym domu w dniu śmierci Glorii Echagüe trzy lata temu. Nie zbliżą się do miejsca zbrodni ani nie pozwolą się zbliżyć nikomu, nie ruszą nawet włoska leżącego w promieniu kilku metrów od zamordowanego, a tym bardziej nie pozwolą nikomu sprzątnąć krwi ani ułożyć ciała na łóżku, ani nie będą słuchać prośb, ktokolwiek by je składał, żeby nie wzywać policji, bo przecież to był „tylko wypadek”. Jeśli będzie trzeba, nie pozwolą nikomu nawet oddychać, dopóki nie zjawi się patrol. Taki błąd popełnili poprzednio. I choć nikt tego nie mówi, choć strażnicy, sąsiedzi, jakiś ogrodnik, gosposia z domu naprzeciwko i Gladys Varela co najwyżej wymieniają się w milczeniu spojrzeniami, czekając na przyjazd policji z Buenos Aires i prokuratora, wszystkich ogarnia dziwne uczucie, że ktoś ofiarowuje im szansę, by tym razem wszystko zrobili jak należy.

Kilka godzin później, kiedy już minęło południe i Nurit wystawia worek z niedzielnymi gazetami za drzwi, żeby portier zaniósł go do śmietnika, Iscar nadal nie ma świadomości, że Pedro Chazarreta nie żyje. Że podejrzięto mu gardło. Niedługo się jednak dowie. Za kilka godzin. Kiedy robi sobie przerwę, żeby coś zjeść. Bo wiadomość zaczyna już krążyć. I chwilę po tym, jak Nurit uzna sprzątanie mieszkania za skończone i postanawia podlać doniczki dekorujące jej balkon – nigdy nie miała ręki do roślin, ale wie, że to jedyne prócz niej żywe istoty w tym mieszkaniu, i nie zamierza pozwolić im uschnąć – na biurku Jaimego Breny dzwoni telefon, wewnętrzny redakcyjny numer 3232. Jaimego Breny czy też po prostu Breny, tak go nazywają ci, co go znają, z dziennikarskiej branży kryminalnej, choć on już się kroniką kryminalną w dzienniku *El Tribuno* nie zajmuje. Przenieśli go do działu „Społeczeństwo”. Nie przenieśli, tylko zdegradowali, chętnie poprawia innych Brena. Na co się skarżysz? zapytał go przy jakiejś okazji jego szef i w ogóle szef wszystkich, Lorenzo Rinaldi. Gdybyś pracował w jakiejś innej gazecie, też byłbyś w dziale społecznym, a może jeszcze nie zauważyłeś, że żadna z pierwszoligowych gazet nie ma działu kryminalnego? Takie wiadomości daje się albo do działu „Społeczeństwo”, albo do ogólnych wiadomości. Dlatego z powodu zmiany działu, kiedy chwilę temu zadzwonił jego telefon, Brena nie pisał relacji kryminalnej, tylko przeglądał ankietę, z której można się dowiedzieć, że 65 procent kobiet rasy białej śpi na plecach, a 60 procent mężczyzn tej samej rasy śpi na brzuchu. Co przede wszystkim budzi w nim w pierwszym odruchu wątpliwości natury matematycznej: dlaczego nie napisali, że na plecach śpi 65 procent kobiet i tylko 40 procent mężczyzn? Albo że na brzuchu śpi 60 procent mężczyzn, ale taką pozycję przyjmuje we śnie tylko 35 procent kobiet? Takie pytania zadaje sobie zawsze, kiedy czyta prognozę pogody: 30 procent szansy na opady. Skoro to jest tylko 30 procent, to czy nie byłoby logicznie powiedzieć, że mamy 70 procent szans na to, że deszczu nie będzie? Co w każdym z tych przypadków jest podkreślane? Różnica, przypadek, większość, mniejszość, to, czego chcemy, czy to, czego nie chcemy? Najgorsze ze wszystkiego jest jednak to, uważa Jaime Brena, że przynajmniej w odniesieniu do ankiety na temat pozycji snu kobiet i mężczyzn rasy białej nikt w ogóle nie zadawał sobie wcześniej takich pytań. Jest przekonany, że ten, kto sporządził tę notatkę informacyjną, podał te wiadomości tak, jak do niego przyszły. W agencjach i redakcjach nie ma już praktycznie czasu na rozmyślenia nad składnią czy słownictwem, co najwyżej unika się błędów ortograficznych. O ile w ogóle się unika. Depesza agencyjna z wynikami ankiety zawiera dodatek w postaci komentarzy naukowców z Uniwersytetu w Massachusetts, którzy podają możliwe przyczyny natury socjologicznej, kulturowej i nawet psychologicznej tego faktu. I to ma być wiadomość? Kogo może interesować procent ludzi śpiących w różnych pozycjach? zastanawia się Jaime Brena. Innych ras w ankiecie nie uwzględniono, bo jej autorzy nie byli w stanie tego zrobić, nie chcieli, nie interesowało ich to? O, to by była wiadomość: dlaczego bada się pewne rasy, czy raczej jedną rasę, białą, a reszty nie? A może nie włączono ich, bo żaden człowiek innej rasy niż biała nie poddał się temu idiotycznemu badaniu? myśli, sięgając po słuchawkę telefonu dzwoniącego już chwilę, i mówi: Halo? Ale po drugiej stronie nikogo już nie ma, tylko rozbrzmiewa sygnał, że zajęte. Brena korzysta z chwili przerwy, żeby się przeciągnąć, prostuje ramiona nad głową, splata palce, wykręca dłonie do góry, jakby próbował dotknąć sufitu, aż mu kości trzeszczą, i rozciąga kręgosłup nie za dobrze znoszący tyle godzin na krześle w sześćdziesiątym którymś roku życia. Ciekawe, dlaczego 65 procent kobiet śpi na plecach, a 60 procent mężczyzn na brzuchu? pyta Karinę Vives, dziennikarkę z działu kulturalnego, która właśnie usiadła za biurkiem na lewo od Breny, pod jednym z nielicznych okien w pomieszczeniu, pod tym, co wy-

chodzi na bulwar. I Karina, która zna go, odkąd osiem lat temu została przyjęta do pracy, i wie, co oznacza dla Jaimego Breny zaprzestanie pracy w dziale kryminalnym i zajmowanie się wiadomościami tego rodzaju, patrzy na niego z beztroską miną i strzela: Może gniecenie sobie piersi boli bardziej niż gniecenie siurka? I rzuca mu spojrzenie, czekając na odpowiedź. Fiuta, kobieto, fiuta, poprawia ją Brena i zaczyna z niesmakiem stukać na klawiaturze tytuł i lead artykułu: Kobiety na plecach, mężczyźni na brzuchu. Jaime Brena wie, że taki tytuł zmyli czytelników, ale przynajmniej go to bawi, bawią go fantazje, które może wzbudzić taki tytuł. Kiedy go przenieśli do tego działu? Trzy tygodnie temu? dwa? zastanawia się, drapiąc się po głowie czarnym ołówkiem, choć nic go nie swędzi. Już nie pamięta. Zbyt dawno. A wszystko dlatego, że w jakimś programie w kablówce, ze scenografią ograniczającą się do dwóch foteli i lampy, powiedział: Pracuję w *El Tribuno*, ale czytam konkurencję, bo bardziej jej wierzę. Wciąż mu to wypominają. Nie było to w porządku, Jaime Brena musi to przyznać. Był jednak po kolacji z kumplem i po winie, po sporej ilości wina. A poza tym mówił prawdę. To bez dwóch zdań. Wielu jego znajomych przestawiło się na inne gazety. Paru kolegów z pracy też. Natomiast nikt nie był tak głupi, żeby się do tego przyznać, to prawda. A już na pewno nie przed kamerą, wszystko jedno jakiej stacji. Te wszystkie artykuły o majątku prezydenta, o wypadkach prezydenta, o zębach prezydenta, o lewych interesach prezydenta i o butach prezydenta śmiertelnie go znużyły. Zęby i buty prezydenta nic a nic go nie obchodzą; reszta to za pierwszym razem jest temat, za drugim powtórka, a za trzecim – jeśli zajmuje pół pierwszej kolumny, a akurat tego dnia ginie w wypadku lotniczym prezydent państwa z Unii Europejskiej wraz z całą świtą i tego nie ma na pierwszej stronie, a jeśli jest, to gdzieś wciśnięte na boku – to jest jeszcze coś innego, czego nie ośmiela się nazywać. Ale na pewno nie jest to wiadomość. W każdym razie on tak sądzi. W to wierzy. Podobało mu się, kiedy na pierwszych stronach *El Tribuno* widniały nagłówki dotyczące spraw międzynarodowych. Albo sportowych. Albo kryminalnych, jasna sprawa, bo wtedy przy takim tekście pracował on, Jaime Brena. Brena jednak wie, że tamte czasy dawno minęły i co gorsza przeczuwa, że małe są szanse na ich powrót. W każdym razie nie teraz. Jeśli tak się stanie, to on się obawia, że nie będzie miał już okazji tego zobaczyć.

Wysuwa szufladę i wyciąga podanie o zwolnienie z pracy na własne życzenie. Może to jest ta chwila. Może właśnie to musi zrobić raz a porządnie: wziąć co swoje i zwinąć się. Gdybym miał łeb na karku, zrobiłbym tak, myśli, tyle że zawsze brakowało mi ikry. Albo jaj po prostu. Brena przepracował w *El Tribuno* osiemnaście lat. Tutaj nauczył się fachu. Choć bez trudu wyobraża sobie siebie czytającego rano inną gazetę, bo też tak robi, nie wyobraża sobie pracy w innej redakcji. Acz patrzenie codziennie na gębę Lorenza Rinaldiego rzeczywiście mu doskwiera. I to do żywego. Nie wie, jak długo to potrwa, zanim mu powie, żeby spierdalał na drzewo. Ale że to robi – nie ma wątpliwości. Kwestia czasu. I przestrzeni. Bo nie wszędzie można posłać człowieka do cholery. W pełnej windzie na przykład się nie da. Brena, chciałbym, żebyś się zajął Narodowym Festynem Owcy Patagońskiej w Puerto Madryn. Pojedziesz na dwa, trzy dni. Wyrwiesz się z miasta, byłeś kiedyś na oglądaniu wielorybów? No, spodoba ci się. I Jaime Brena, który – o czym Rinaldi doskonale wie – nienawidzi wyjeżdżać z miasta, a wieloryby guzik go obchodzą, zaś owce jeszcze mniej, miałyby wielką chęć odpowiedzieć: A może pocałuj mnie w dupę, Rinaldi? Tyle że nie było na to stosownego miejsca. Bo po takiej replice trzeba być gotowym do bitki. Poza tym to byłby koniec, to by znaczyło to samo co sprzątnięcie swoich rzeczy z szuflad i wyjście. A jeśli on ma się stąd zwinąć, to nie wyłącznie z marną zawartością swoich szuflad. Gustavo Quiroz z działu międzynarodowego skosił niezłą odprawę, Ana Horozki z „Podróży” tak samo. Nawet Chela Guerti, która od trzech lat wegetowała na wygnaniu na ostatniej stronie, podobno dostała małą fortunę. Usuwa się dziennikarzy z pensjami, na które pracowali przez lata i dostawali podwyżki, i zastępuje się ich dziennikarzami świeżo po studiach, biorącymi połowę. Dlatego płaci się odprawy, żeby ci starzy sobie poszli. Nieważne, że nowi nie potrafią odmieniać poprawnie czasowników, nie wiedzą, czym się różni adaptować od

adoptować, albo miesza im się Tracy Austin z Jane Austen. Ktoś tam po drodze poprawi. A jak nie, trudno. Ważne, żeby starzy i drodzy sobie poszli, bez pośpiechu, ale i bez ociągania. Choć Brena gotów jest się założyć, że Rinaldi jemu nie da takiej kasy, nawet ułamka tego co tamtym. Dostanie odprawę, lecz minimalną albo i jeszcze mniejszą, jaką tylko dopuszcza prawo. Jaime Brena podnosi słuchawkę i dzwoni do kadr, do kiedy można podpisać ten papier o zwolnieniu na własne żądanie, co? Możesz się poddać procedurze do końca roku, Brena, odpowiada kadrowa. O nie, ja tam się nie proceduruję ani nie daję procedurować, religia mi nie pozwala, ale może się zwolnię na własne życzenie, to możliwe, mówi, a ona śmieje się w słuchawce z jego żarciku: Nigdy się nie zmienisz, Brena. Oby, odpowiada jej. I mówi to serio. Oby nigdy się nie zmienił, choć od jakiegoś czasu czuje, że się starzeje. A w każdym razie że nie może udawać głupiego jak jeszcze parę lat temu i zachowywać się, jakby miał dziesięć lat mniej, niż ma. Lepiej już udawać, że w ogóle nie ma wieku. Że nigdy nie miał. Dziwne, niemniej zaczął czuć się stary. Stary do wszystkiego: do pracy, podróży, nawet do kobiet. I to nie jest tylko uczucie: przez ostatni rok jego ciało się postarzało. Widzi to po brzuchu, który wyłazi mu dokładnie pod klatką piersiową, a potem podbrzusze się zapada – dlaczego, przecież nigdy nie był gruby? I po włosach, bo może nie wypadają już jeszcze na potęgę, choć wyczuwa się, że rzędą tam, gdzie jeszcze niedawno był solidnie owłosiony. I po pośladkach, na które stara się rzadko patrzeć w lustrze, lecz wie, że mu obwisły jak dwie gruszki. Albo jak dwie łzy. No ale czego chcesz, masz ponad sześćdziesiąt lat, powtarza sobie na pociechę, natychmiast jednak zdaje sobie sprawę, że pociecha ta ma odwrotny skutek: on nie chce być po sześćdziesiątce. Chowa formularz do szuflady i nad przepierzeniem oddzielającym jego biurko od następnego patrzy na chłopaka, którego dali jako jego następcę do działu od zawsze należącego do niego: zbrodnie i akty przemocy. Chłopak w porządku, tyle że szczyl. Mleko pod nosem. Pokolenie Google'a: żadnych doświadczeń w terenie, tylko klawiatura i ekran, tylko Internet. Nawet długopisu nie używa. Chłopak się stara, to mu trzeba przyznać, przychodzi pierwszy, wychodzi ostatni, a Rinaldo dociska mu śrubę, by wykazać, że dział kryminalny świetnie sobie radzi bez niego, Jaimego Breny. Tak się czasami dzieje: człowiek trafia w miejsce, gdzie jego zadanie wykracza znacznie poza przypisane mu obowiązki, nawet sam nie wie, jaki ma prawdziwy cel. Człowiek bywa czasami marionetką w rękach innych, tak sądzi Brena, to właśnie dzieje się z chłopakiem z kryminalnego: Lorenzo Rinaldi wykorzystuje go, żeby mu dokopać. Ale chłopak mimo wsparcia przełożonego, mimo że nawet nie podejrzewa, jakie za jego angażem i przydziałem stoją intrygi, sprawia wrażenie bardzo wystraszonego, niemal oszołomionego, puszcza grube sprawy i chociaż nie popełnia prostackich błędów innych początkujących, do jego tekstów wkrada się jakaś taka niepewność, wahanie, to nie uchodzi uwagi Breny. To się wcześniej nigdy nie zdarzało, a teraz u konkurencji pojawiają się informacje o ważnych zbrodniach i napadach wcześniej niż w *El Tribuno*. Wolałem tego nie dawać, źródło wydawało się niepewne, podobno broni się chłopak. Albo nie wydawało mi się to istotne, albo miałem mało miejsca i dużo materiału, więc musiałem wybierać. On jednak mu nie wierzy, Jaime Brena podejrzewa, że chłopak nie ma dobrych dojsć. A każdy dobry dziennikarz kryminalny na tym bazuje, na kontaktach, na ludziach, co dają mu cynk, który potem zmieni się w temat. A jeśli ma się jakiś cynk na wyłączność, tym lepiej. Bo jeśli musisz czekać na oficjalny komunikat w sprawie, to po tobie. Nie ważne, czy masz wtyki w policji, prokuraturze, wśród bandziorów, sędziów czy w więzieniach, liczy się tylko to, żeby mieć rękę na pulsie. Czasami ogarnia go myśl, że powinien pomóc. Temu chłopakowi. Ale zaraz sam się pyta: Niby dlaczego, skoro wsadzili go na moje miejsce? Niech go szkoli Rinaldi, który choć tego nie przyznaje i nie widnieje jako szef działu kryminalnego, pełni funkcję głowy tej zdekapitowanej sekcji. Aczkolwiek Rinaldi nie tyle go szkoli – Brena ma tego świadomość – ile sposobi się, żeby w dogodnym momencie dać mu kopa w tyłek. Kiedy mu będzie bardziej na rękę. Takiego kopa, co zaboli. Najgorsze jest to, że choć Brena nie lubi się do tego przyznawać, chłopak wzbudza w nim bardzo mieszane uczucia. Nie robi aż tak niekorzystnego wrażenia. Przypomina mu czasy, kiedy sam stawiał pierwsze

kroki w redakcji ponad czterdzieści lat temu. Czterdzieści cztery lata, cała wieczność. I co się dziwić, że tyle ich kosztuje, że odmawiają mu godnej odprawy. Ale różnica jest taka, że on miał wtedy swoich mistrzów, w redakcji i na ulicy, a ponieważ zrobił tylko maturę, uchronił się przed naiwną pewnością siebie, jaką grzeszą niektórzy ze świeżo upieczonych absolwentów dziennikarstwa. Chłopak za głęboko siedzi w Google'u i w uniwersytecie, brak mu ulicy, myśli Brena. Pracował w dziale kryminalnym innego dziennika, z Zippem, bliskim przyjacielem-nieprzyjacielem Jaimego Breny. Pracować dla Zippa to tyle, co być jego sekretarką, Brena dobrze o tym wie, i niewiele więcej, bo facet nie ufa nawet własnej matce. W chwili kiedy pomyślał „nie ufa własnej matce”, chłopak podnosi głowę i spotyka spojrzenie Breny, pozdrawia go na odległość skinieniem głowy, a Brena z kolei odpowiada na to, imitując gest ściągania kapelusza, choć niczego na głowie nie ma. Zza swojego biurka Jaime Brena pyta: Masz coś na jutro? Nic poważnego, odpowiada chłopak. Nic poważnego, powtarza Brena, sprawdź, co mają inni redaktorzy; wiesz, co jest ważne, żeby określić, czy wydarzenie kryminalne nadaje się czy nie na news? Chłopaka to zaskakuje i choć jest to pytanie w rodzaju „jakiej maści jest siwy koń generała San Martína”, zatyka go i nie wie, co odpowiedzieć. Wolałby nie brać w tym udziału, bo to tak, jakby tamten zaczął go z zaskoczenia egzaminować i jakby zachodziło ryzyko, że go obleje, ale chłopak z kryminalnego już ma się odezwać, tyle że Brena go uprzedza: Tylko mi tu nie wyjeżdżaj z „miejsce popełnienia zbrodni”, „osoby uwikłane” albo „powaga zbrodni”, bo to już nie studia. Jaime Brena czeka. Chłopak główkuje. Czy też próbuje. Brena tego nie mówi, lecz wie, że jeśli mimo ostrzeżenia chłopak jednak się zablokuje i żeby się wykazać, wyjedzie mu ze słynnymi pięcioma „w”: *who, what, when, where and how* – acz to ostatnie, ściśle mówiąc, ma „w” na końcu, a nie na początku – będzie musiał się pohamować, by go nie spoliczkować ze względu na błąd i dlatego, że powie to po angielsku. Dlaczego jedni dodają szóste „w”, *why*, a inni nie? Może dlatego, że na to pytanie najtrudniej odpowiedzieć, jest najbardziej subiektywne, oznacza pakowanie się do głowy sprawcy zbrodni: dlaczego? No śmiało, nalega Brena. Nie, nie wiem, nic mi nie przychodzi do głowy, chłopak się poddaje. Brena się uśmiecha, a potem oznajmia: Inne wiadomości krążące po redakcji danego dnia. Zawsze o tym pamiętaj, w spokojne dni nagle może ci wyskoczyć jakiś szaleńiec i zażądać czegośkolwiek, żeby dać na pierwszą stronę, a wtedy ty musisz mu to dostarczyć. Wydaje mi się, że pierwsza strona na jutro już jest, mówi chłopak, oświadczenia majątkowe i nagłe wzbogacenie się jakiegoś ważnego urzędnika z kręgów Ministerstwa Gospodarki. Brena wchodzi mu w słowo: O, wspaniały news, mówi, nie kryjąc ironii, ale nie mieliśmy już tego w zeszłym tygodniu? Tak, tylko że teraz potwierdziły się niektóre dane. No świetnie, a potem są do nas pretensje, że czytelnicy się odwracają, zrzuca się winę na Internet i dzienniki online. Przecież w tym kraju, z udziałem banków czy nie, wszyscy robili przekręty, więc cóż to za wiadomość, że jakiś wysoki urzędnik się nachapał? A tym bardziej cóż to za wiadomość do powtarzania dwa razy? Jaime Brena kręci głową i milknie, ten temat go męczy i nudzi, nie wie, dlaczego ciągle kończy się na tym, że wygłasza tyrady przeciwko temu, w co zmieniło się dziś dziennikarstwo. Czy ja też nie jestem temu winny, czynnie bądź przez zaniedbanie? zastanawia się, lecz nie znajduje rozstrzygającej odpowiedzi. Chce zmienić temat, nie ma jednak pomysłu. Wciąż tam stoi, patrząc na chłopaka z kryminalnego jeszcze przez chwilę, jakby chciał mu coś powiedzieć, podsunąć jakieś wskazówki. Ale jego zryw życzliwości wygasa i Jaime Brena wraca do swojego sondażu o tym, jak sympiają kobiety i mężczyźni rasy białej.

Telefon znów się odzywa i teraz Brena podnosi słuchawkę na czas. Jaime Brena, słucham, mówi. Komisarz Venturini, słyszy odpowiedź po drugiej stronie. Komisarz, powtarza Brena. Jak leci, mój drogi? U mnie dobrze, ale biednie, a co u pana, komisarzu? Tak samo. Brenie sprawia przyjemność ten głos. Wywołuje w nim coś zbliżonego do odruchu Pawłowa, jego ciało sztywnieje, jest w gotowości i zadowolone, to niemal szczęście; jakaś substancja – adrenalina? – zostaje w nim uwolniona. Mam coś dla ciebie, Brena, mówi komisarz. Coś, co jest warte dobrej kolacji z najlepszym winem? Z szampanem, tyle cię to

wyniesie. Zamieniam się w słuch, mówi Brena. Choć robi to dla przyjemności, bo wie, że w dziale „Społeczeństwo” nie znajdzie się miejsce dla żadnej informacji, którą może mu przekazać komisarz Venturini czy ktokolwiek z jego kontaktów. Jeszcze im nic nie powiedział, nie odważa się jeszcze ich dezaktywować, to są dojścia wypracowywane latami. Jego teksty w nowym dziale idą bez podpisu, więc prócz członków redakcji nie wie nikt, na razie dla reszty świata wciąż jest najważniejszym dziennikarzem kryminalnym dziennika. Zamieniam się w słuch, komisarzu, mówi i bierze różową przylepną karteczkę, żeby zanotować informacje od Venturiniego. Znalaziono zwłoki kogoś, kogo dobrze znasz, z tym że nie przejmuj się, bo przepadać za nim nie przepadałeś, Brena. Kto to? Chazarreta. Chazarreta? Z podejrzanym gardłem. Co za zbieg okoliczności. No powiedzmy. Pewne źródło? Stoję nad trupem, patrzę w to cięcie i czekam na ekipę techników. Gdzie? W jego domu w La Maravillosie. A co pan robi tak daleko od swojej jurysdykcji? A, jeden z tych przypadków, co się w życiu zdarzają, kiedyś ci opowiem, znasz ten dom, prawda? Robiłeś z nim tu kiedyś wywiad. Tak, znam. Znalazła go gosposia, kobieta nawijała przez bite dwadzieścia minut, ale dużo sensownych rzeczy nie powiedziała, jest w szoku. Jakieś hipotezy? Sporo, żadna jednak warta uwagi, mocno mi to śmierdzi, liczyłem na jakiś twój komentarz, Brena. No, wziął mnie pan z zaskoczenia, komisarzu, niech mi pan da to przetrwać, oddzwonię za momencik. Jasne, mój drogi, ja tu będę na miejscu jeszcze chwilę, zadzwoń, jakby coś, nie mówię, żebyś wpadł, bo będziemy tu mieli zaraz prokuratora, a po tym, co się działo ostatnio, nawet myszy nie przepuszczą... Rozumiem. I pamiętaj, że dałem ci to na wyłączność. Jestem wdzięczny. No, zadzwoń. Zadzwoń, komisarzu, jeszcze coś? Tak, Dom Pérignon, Brena, a na kolację porządne *asado*, żeberka, mostek, żołądek z rusztu i Dom Pérignon. Jesteśmy umówieni.

Jaime Brena odkłada słuchawkę i wgapia się w karteczkę. Zastanawia się, co ma zrobić. Wie, że to, co ma w rękach, to doskonały materiał. Za kilka godzin wiadomość rozejdzie się po wszystkich redakcjach, ale w tym przypadku jak zawsze kto pierwszy, ten wygrywa. Choć niektórzy powtarzają – jak Rinaldi na jednym z ostatnich kolegów, na których był Brena – że od eksplozji dziennikarstwa online pojęcie wiadomości z ostatniej chwili zredukowało się do czasu, jaki zajmuje wciśnięcie „kopiuj” i „wklej”, a potem przesłanie mejlem dalej. Dla ludzi starej szkoły, a on, Brena, się do nich zalicza, świeży temat wciąż się liczy. Śmierć żony Chazarrety trzy lata temu poruszyła cały kraj. I choć nie znaleziono dostatecznych dowodów winy wdowca, 99,99 procent ludzi wierzy, że zabójcą był Pedro Chazarreta. I do tych 99,99 procent należy Jaime Brena, który nie tylko kierował dziennikarskim śledztwem w tej sprawie dla *El Tribuno*, ale też dla innych mediów stał się ekspertem od odkrycia zwłok po zamknięcie postępowania. Kiedy rano wiadomość pojawi się w gazetach, ludzie będą mówić: Sprawiedliwości stało się zadość, Brena to wie, chociaż nigdy nie można być pewnym, co jest sprawiedliwe, w ogóle nie można być pewnym niczego. Prawdziwą sprawiedliwością dla zamordowanego człowieka byłaby nie śmierć sprawcy, tylko własne zmartwychwstanie. Brena ma jednak wątpliwości, czy ktokolwiek dostąpił takiej sprawiedliwości, nawet Jezus Chrystus. Z różową karteczką w dłoni podchodzi do biurka chłopaka. Ej, masz chwilę? pyta. Wtedy zauważa, że chłopak zamyka na ekranie okienko, w którym coś pisał, żeby nie było widać, nad czym pracuje, i choć mówi: Tak, słucham, Brena myśli: Brzydko, mały, brzydko, zgniata karteczkę, rzuca ją do kosza stojącego koło nóg początkującego dziennikarza kryminalnego i mówi: A nie, nic, nieważne. I odwraca się w stronę biurka Kariny, pokazuje jej paczkę marlboro, którą wyciąga z kieszeni koszuli, i pyta: Idziesz? Kobieta wstaje i wychodzą razem.

Idą na ulicę, gdzie pali jeszcze co najmniej troje pracowników. Zakaz palenia w pomieszczeniach zamkniętych w Buenos Aires przyczynił się do stworzenia nowego obyczaju, który Jaimemu Brenie nawet się podoba. Siadają na krawężniku. Jak leci? pyta Karina i po chwili wahania częstuje się papierosem z jego paczki. W porządku, odpowiada Brena, zapalając swojego. I co zrobisz z tym zwolnieniem? Wciąż nie wiem, chwilami jestem zdecydowany, ale potem nie mogę sobie wyobrazić, że przestanę tu codzien-

nie przychodzić. Brena zaciąga się głęboko, dym wypuszcza powoli. Poza tym jestem pewien, że Rinaldi nie da mi takiej kasy jak tamtym. Przecież ci się należy, tobie bardziej niż komukolwiek. A co to ma do rzeczy? To, że się należy, niczego nie gwarantuje. Masz rację, odpowiada Karina i wsadza sobie papierosa w usta, żeby Brena dał jej ognia. A sprawy sercowe? A to owszem, tu już przeszedłem na dobrowolną emeryturę, mówi i dziewczyna chichocze. On pstryka zapalniczką, póki się nie zapali, wtedy ona przysuwa się z papierosem. W to ci nikt nie uwierzy, Brena. Serio mówię, ja chcę mieć tylko spokój. Z Iriną koniec? Koniec, Boże uchroni. Oboje palą przez chwilę bez słowa, patrząc na bulwar. Wiesz co? odzywa się Brena. Wczoraj wieczorem zszedłem do sklepu coś kupić i natknąłem się na faceta spacerującego z psem, wielkim, pięknym, chyba to był labrador. Co to za facet? Mniejsza o niego, chodzi mi o psa, bo pomyślałem, że mnie też dobrze by zrobił pies. Może sobie takiego sprawię. Nie, no, Brena, żartujesz sobie, przecież ty w ogóle nie masz cierpliwości do zwierząt. A skąd to niby wiesz? Znam cię, po dwóch miesiącach będziesz go chciał oddać. Wiesz, pies nie jest na całe życie jak małżeństwo; jak się nie układa, trudno. Mnie by było łatwiej się rozwieść, niż pozbyć się psa, stwierdza Karina, komu możesz oddać takie zwierzę? Ty nie masz pojęcia, co to jest rozwód, mówi Brena. I nie chcę tego wiedzieć. Brena zaciąga się ostatni raz i gasi papierosa w strumyczku ciekącym wzdłuż krawężnika, tuż pod ich stopami. Karina dziś prawie nie pali, trzyma ciągle papierosa i bawi się popiołem. Patrząc na nią, Brena się odzywa: Znaleźli zwłoki Chazarrety, ktoś poderznął mu gardło. Pedra Chazarrety? Tak. Nie wierzę. Właśnie dostałem cynk. To mamy pierwszą stronę na jutro, mówi Karina. W *El Tribuno*? Jeśli ten młody w porę się nie zorientuje, powątpiewa Brena, nie byłbym wcale tego taki pewien. Teraz dziewczyna topi w połowie wypalonego papierosa w płynącej obok wodzie. Prawie nie wypaliłaś, mówi. Tak, zaciągnęłam się dwa czy trzy razy, trochę mnie gardło boli, wracamy? Wiesz, dlaczego moim zdaniem kobiety śpią na plecach? pyta ją Brena. No dlaczego? Patrzy na nią, bierze oddech, potem się uśmiecha i wreszcie mówi: A nie, nieważne. Wstaje i podaje jej rękę, żeby pomóc wstać. Wracasz do środka? Tak, a ty nie? Idę się przejść kawalek i zaraz wracam, możesz mi wyświadczyć przysługę? pyta Brena. Pewnie. Jak będziesz koło biurka młodego, powiedz mu, że w jego koszu leży różowa zmięta karteczka, niech ją przeczyta, to ode mnie. Dobra, nie ma sprawy. Karina łapie go za rękę i zastyga tak na chwilę, jakby miała coś jeszcze dodać. Ale ostatecznie powtarza tylko: Nie ma sprawy. I idzie.

Brena może pójść w każdą stronę, bo – dobrze o tym wie – nie ma żadnego konkretnego celu. Decyduje się zatem na kierunek wschodni, żeby słońce grzało mu w plecy, nie w twarz. Nie jest zbyt gorąco, lecz od jasnych płytek chodnikowych słońce odbija się tak, że od czterdziestu czterech lat musi mrużyć oczy. A dziś nie ma na to ochoty. Kręci głową to w jedną, to w drugą stronę, żeby rozruszać kręgi szyjne, nabiera powietrza w płuca, podciąga sobie spodnie. Potem spogląda za siebie, przez ramię, i upewnia się, że jest sam, że nikt za nim nie idzie. Wtedy wyciąga przed siebie prawą rękę, trzyma ją wyprostowaną z zaciśniętą pięścią i idzie w tej pozycji, jakby trzymał smycz. Sprawić sobie psa?

Nurit Iscar spędza to popołudnie, pracując nad książką pisaną na zlecenie: *Rozplącz supły*. Nie znosi jej. Zlecenie dostała od byłej żony biznesmena z branży transportowej, która w trakcie rozwodu i już po nim zdobyła „doświadczenia” w jej przekonaniu „wyjątkowe” i chce się nimi podzielić z innymi. Nie wyobrażasz sobie, jaka ci wyjdzie powieść, kiedy ci opowiem o moim życiu, powiedziała tego dnia, kiedy spotkały się z Nurit, nie domyślając się, ile razy jej pisarka-widmo – i wielu innych pisarzy – słyszała to samo albo podobne zdanie z innych ust. „Jak ci opowiem o moim życiu, spiszesz to i masz nagrodę Clarín w kieszeni”, „Jak opowiadam znajomym, wszyscy się dziwią, czemu nie napiszę o tym książkę”, „Coś ci opowiem, ty notuj i będzie z tego następna książka, zresztą nawet więcej: trzy tomy minimum!”. Dlaczego tylu ludzi jest przekonanych, że mają wyjątkowe życie, i dlaczego tylko ja uważam, że moje jest takie samo jak wszystkich innych? zastanawiała się w takich przypadkach i w ogóle bardzo często Nurit Iscar. Przynajmniej tyle, że etap rozmów z „autorką” ma już zamknięty i teraz zostało jej tylko odsłuchiwać to i pisać. Pisać. Na szczęście pisać. To owszem. Bawienie się słowem, układanie zdań, odmienianie czasowników. Pisanie. A była żona transportowca dobrze płaci. Nawet bardzo dobrze. Więc Nurit stara się za dużo nie rozmyślać nad „przekazem”, którym podzielić się chce ta kobieta, nad „supłami” i co właściwie oznaczają wybierane przez nią słowa, tylko nad tym, jak brzmią, jak śpiewają, jak wybrzmiewa jedno przed drugim, aż w końcu układają się w melodię, na jaką *Rozplącz supły* nie zasługuje. Pisze właśnie dla słów. Nie ze względu na to, co chce „przekazać” była żona biznesmena. Im wcześniej odda skończony tekst, tym szybciej zainkasuje honorarium. Problem polega na tym, że po *Rozplącz supły* nie ma nagranych niczego nowego. Ale nie ma co się martwić na zapas.

Pod wieczór Nurit czuje znużenie albo znudzenie, zresztą nieważne co, w każdym razie szuka jakiegoś pretekstu, żeby przerwać pracę. Podwieczorek, myśli sobie. Patrzy na zegarek i stwierdza, że pora jest w sam raz, dziesięć po piątej. W tej samej chwili w redakcji *El Tribuno* chłopak z kryminalnego, który kilka minut temu zdołał rozprostować różowy papierek rzucony mu przez Jaimego Brenę do kosza, wklepuje do Google’a różne kombinacje słów wziętych z owej karteczki. Jednak nic sensownego nie wyskakuje, wszystko to są rzeczy stare, związane ze śmiercią żony Chazarrety, a nie z nim. Zerka do Twittera, lecz na żadnym ze śledzonych przez niego kont nie ma o tym wzmianki. Przez chwilę się zastanawia, czy samemu nie wrzucić tweeta: „Czy ktoś wie coś o śmierci Pedra Chazarrety?”, rezygnuje jednak z tego pomysłu, zdaje sobie sprawę, że w ten sposób tylko uprzedzi konkurencję, a wydaje się, że na razie o sprawie wie tylko on. I Jaime Brena. Chłopak prosi Karinę o jego numer na komórkę, numer Jaimego Breny, a ją irytuje ta jego prośba, taka stanowcza i pewna, jakby miała obowiązek mu go podać. Tak czy inaczej podaje. Prawie nigdy jej nie włącza, uprzedza, ale możesz spróbować. No tak, wyłączona, złości się chłopak. Nagrywa się na pocztę głosową i znów wraca do Google’a. I do Twittera. W czasie, którego Nurit Iscar potrzebowała na przygotowanie tostów i położenie ich na stole razem z niskokalorycznym dżemem i kremowym serkiem, chłopak zorientował się już, że Jaime Brena nie ma zamiaru do niego odzwaniać ani pewnie wracać do redakcji przez resztę dnia. A bez jego pomocy nie dowie się niczego więcej niż to, co wyczytał na zmiętej karteczce. Zdał też sobie sprawę – i to jest jeszcze gorsze – że stracił sporo bezcennego czasu na próbach skontaktowania się z Breną. Dlatego podczas gdy Nurit dolewa trochę mleka do herbaty – kawę odstawiła nie z powodu problemów ze snem ani nie przez kwasowość, tylko kiedy jej powiedziano, choć wcale nie ma pewności, czy to prawda, że powoduje cellulitis – chłopak z kryminalnego idzie korytarzem do gabinetu Rinaldiego: lepiej go wprowadzić w sprawę, może bę-

dzie wiedział, jak znaleźć jakieś dojskie. Przed wejściem do biura jeszcze raz sprawdza na Twitterze w swoim smartfonie i teraz już coś jest, tweet młodej dziennikarki pracującej dla jednej rozgłośni i w telewizji, tweet, który w dodatku został wielokrotnie powtórzony przez innych. Raptem jedno zdanie: Zamordowano Chazarretę, męża Glorii Echagüe. I to wszystko. Chłopak puka do drzwi Rinaldiego, czeka, aż mu powiedzą „Proszę wejść”, a potem wkracza pośpiesznie, ciesząc się, że jego szef nie jest zbyt na bieżąco z nowymi technologiami.

Choć żadne z nich o tym nie wie – ani Nurit Iscar, ani chłopak z kryminalnego – do domu Chazarrety przyjechał właśnie prokurator i pierwsze, co robi, to narzeka, że jest straszny tłok wokół miejsca zbrodni. W pobliżu Chazarrety z podejrzanym gardłem kręcą się: kilku policjantów z lokalnego posterunku, wliczając w to samego komendanta; komisarz Venturini, który – jak tłumaczy prokuratorowi, podczas gdy poklepują się przyjacielsko po ramionach – miał zebranie służbowe, kiedy zadzwonili w tej sprawie do jednego z kolegów, a on nie chciał przegapić takiej okazji; dwóch komendantów z sąsiadujących posterunków rejonowych, którzy dowiedzieli się o sprawie, ale nie powiedzieli skąd; personel karetki pogotowia, która została wezwana przez ochronę La Maravillosy zgodnie z regulaminem nakazującym dzwonić po pogotowie przy każdym potwierdzonym poważnym wypadku – ta sama firma przyjechała po śmierci Glorii Echagüe; policjanci z wydziału zabójstw, którzy już pracują nad protokołem; policjanci z wydziału kryminalnego, którzy dotarli raptem kilka minut przed prokuratorem; fotograf; technik odpowiedzialny za pomiary; lekarze; biochemik; specjaliści od daktyloskopii; technik od balistyki stanowiący część grupy, choć w przypadku podejrzenia gardła nie zachodzi potrzeba takich badań, ale a nuż znajdzie się jakaś wystrzelona kula; sąsiad z *country* w charakterze świadka podpisującego dokumenty. Chociaż Kodeks karny prowincji Buenos Aires nie wymaga obecności świadka, lepiej dmuchać na zimne, jak powiedział jeden z komendantów, a reszta go poparła, ta sprawa będzie jeszcze głośniejsza niż śmierć żony i nie możemy kolejny raz się skompromitować. Ej, chłopaki, może zadzwonimy jeszcze po kogoś? żartuje prokurator, przeciskając się do zwłok między zebranymi. Obchodzi fotel, patrzy na zwłoki Chazarrety z różnych perspektyw, podchodzi do komisarza odpowiedzialnego – najpierw musi się dowiedzieć, który to – i dopytuje o parę drobiazgów, przyglądając się jednocześnie sąsiadowi, który podenerwowany stara się nie patrzeć w stronę trupa i upuszcza na ziemię papierek po właśnie zjedzonym cukierku. Prokurator pokazuje palcem papierek jednemu z techników od daktyloskopii i mówi: Proszę podnieść ten dowód rzeczowy, może nas zaprowadzi do sprawcy. Sąsiad natychmiast pochyła się po papierek i w trakcie tego ruchu o mało nie dławi się cukierkiem.

Nurit Iscar smaruje grzanekę serkiem i niskokalorycznym dżemem, odkłada ją na talerz, bierze pilota od telewizora i szuka kanału informacyjnego. Przeskakuje z jednego na drugi, szukając czegoś ciekawego. Numery wylosowane w Krajowej Loterii: nie obchodzi jej to; napad na sklep sportowy: niezbyt; regaty Buenos Aires–Montevideo: nic a nic. Ale na Crónica TV widzi wzdłuż całego ekranu czerwony pasek, od którego krew jej się ścina w żyłach: Z ostatniej chwili, Pedro Chazarreta zamordowany. Nurit musi to przeczytać dwa razy. Pedro Chazarreta zamordowany. Zamordowany. A spiker mówi: Mąż nieżyjącej Glorii Echagüe skończył tak jak ona, z podejrzanym gardłem. Nurit dzwoni do Pauli Sibony, żeby podzielić się z kimś tą wiadomością, ale jej nie zastaje i nie nagrywa się. Nie udaje jej się także namierzyć Carmen Terrady. Czeką na więcej informacji, zmienia kanał, wraca do pierwszego, wędruje tam i z powrotem, nic nowego. Kilka minut później w swoim gabinecie, plecami do chłopaka z kryminalnego, który znów grzebie w smartfonie, Rinaldi robi to samo co Nurit, tyle że efekty są inne: tych parę minut wystarczyło, żeby wiadomość znalazła się już wszędzie. Nikomu jednak nie udało się dostać do zamkniętego osiedla Chazarrety. Jedyna ekipa, która znalazła się na miejscu, transmituje spod ogrodzenia La Maravillosy, przekazując nieliczne informacje zebrane na zewnątrz. Takie są wewnętrzne przepisy, odpowiada niestrudzeniu reporterowi domagającemu się otwarcia bramy człowiek odpowiedzialny za ochronę osie-

dla. Rinaldi nastawia telewizor na kanał informacyjny należący do tej samej grupy medialnej co *El Tri-buno*, mówiąc jednocześnie do chłopaka: Poprosiłem, żeby połączyli mnie jak najszybciej z dyrektorem od newsów ze stacji. Na ekranie reporter zadaje pytanie: Czy możemy potwierdzić, że przyczyną śmierci Pedra Chazarrety było podejrzenie gardła? Tak, odpowiada ekspert od wiadomości kryminalnych, a na ekranie widać napis na ogrodzeniu La Maravillosy brzmiący „Wstęp tylko dla mieszkańców”, nie ma oficjalnego potwierdzenia, ale z wiarygodnych źródeł wiemy, że Pedro Chazarreta, wdowiec i do niedawna podejrzany w sprawie śmierci swojej żony Glorii Echagüe, został znaleziony dziś rano martwy, z podciętym gardłem, w fotelu w swoim domu, w którym trzy lata temu mieszkał z żoną, kilka metrów od miejsca, gdzie znaleziono ją. Wówczas kanał informacyjny oglądany przez Rinaldiego, ten sam, na który przełączyła się właśnie Nurit Iscar, w związku z brakiem obrazów ilustrujących śmierć Chazarrety puszcza materiały o sprawie Glorii Echagüe. Niczego jeszcze nie mają, mówi do siebie Lorenzo Rinaldi, podczas gdy chłopak z kryminalnego próbuje zdobyć kontakty, których domaga się szef. Dla tych widzów, co nie pamiętają tamtej zbrodni, która skupiła uwagę wszystkich w 2007 roku, mówi spiker i z półśmiechem czeka na pojawienie się nagrań archiwalnych.

Glorię Echagüe znaleziono martwą trzy lata temu, miała podejrzięte gardło, tak samo jak jej mąż. Została znaleziona przez kuzynkę również mieszkającą w *country* La Maravillosa, Carlę Donatto, która miała wpaść do niej na kawę. Za dwadzieścia szósta, powiedziała jej Gloria, która w każdą niedzielę na trzecią szła na siłownię i po półgodzinnym zestawie ćwiczeń udawała się do sauny na kolejne pół godziny. Jej kuzynka, która wyszła za mąż za Lucia Berraiza, byłego współnika i przyjaciela Pedra Chazarrety, znalazła ją leżącą na brzuchu w otoczeniu najróżniejszych odłamków szkła, z połową ciała w domu, a drugą na zewnątrz, w poprzek przeszklonych drzwi oddzielających zewnętrzny korytarz od salonu Chazarretów. Miała na sobie strój do ćwiczeń, ten, w którym wyszła z siłowni, adidas i czarną czapkę Nike z daszkiem wciąż na głowie.

Dlaczego tej niedzieli Gloria Echagüe próbowała wejść do salonu przez przeszklone drzwi, a nie tak jak zawsze przez boczne prowadzące do kuchni? Dlaczego nie znaleziono przy niej kałuży krwi typowej dla osób z podciętym gardłem? Co w salonie robił okrągły kamień identyczny jak kamień w ozdobnej donicy przed domem? Dlaczego Gloria Echagüe, która zdaniem koleżanek wręcz obsesyjnie dbała o drewniany parkiet w salonie, uznała, że przeszklone drzwi będą otwarte, skoro cały dzień siąpił deszczyk i wilgotność sięgała dziewięćdziesięciu procent? Którą częścią ciała Gloria rozbiła szybę? Kolanem? Czołem? Dlaczego w takim razie na jej ciele nie było żadnych innych skaleczeń? Skąd się wzięły małe ranki na dłoniach? Który z leżących obok odłamków szkła spowodował takie równe cięcie na gardle, tak dokładne i jakby wymierzone na wysokości jej ramion? Dlaczego korytarz był mokry, ale nie znaleziono w nim śladów błota ani odcisków stóp, skoro ziemia wszędzie rozmokła?

Tamtej niedzieli nikt nie postawił tych pytań. A w każdym razie na to wyglądało. Carla Donatto natychmiast zadzwoniła na komórkę Chazarrety, który właśnie kupował wino w wewnętrznym sklepiku *country*. „Wracaj, Pedro, wracaj do domu, bo Gloria...” wykrzyczała do słuchawki zgodnie z zeznaniem, które z czasem dołączono do akt sprawy. Chazarreta potrzebował siedmiu minut na powrót. Telefon odebrał w sklepiku już przy kasie, właśnie miał płacić kartą – na paragonie z kasy widniała godzina 18.15 – wsiadł do auta i pojechał prosto do domu. Zeszło mu dokładnie siedem minut, jak zapisano w protokole. Dwie minuty przy kasie, minuta marszu do auta zaparkowanego po przeciwnej stronie placu postojowego, minuta na rozłożenie butelek wina, minuta na przejazd obok budynku zabaw w porze, kiedy dzieci wychodzą z zajęć, i dwie minuty na przejechanie pięciu przecznic dzielących sklepik od domu z maksymalną dozwoloną prędkością 20 kilometrów na godzinę. Siedem minut.

Pogrzebem zajął się mąż Carli Donatto, załatwił nawet fałszywe świadectwo zgonu, w którym stwierdzono, że Gloria Echagüe zmarła śmiercią naturalną. Wszystko załatwiono błyskawicznie i żona Pedra

Chazarrety została pochowana w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Jednak tydzień później jej matka, która mieszkała za granicą i z którą Echagüe od ślubu utrzymywała dość luźne stosunki, nabrała wątpliwości. Przyjechała do kraju, poszła na grób córki, zadawała pytania. Odpowiedzi jej nie przekonały. Nabrała jeszcze więcej wątpliwości. I wtedy wreszcie wątpić zaczęli wszyscy. Prokurator zażądał ekshumacji zwłok i po badaniach i innych czynnościach śledczych prawda wyszła na jaw: Glorii Echagüe poderżnięto gardło poza domem, a potem zaciągnięto jej ciało w miejsce, gdzie zostało odnalezione, wcześniej zaś ktoś stłukł kamieniem szybę w drzwiach. Zabójca i jego ewentualni współnicy starannie uprzątnęli krew, która musiała zachlapać korytarz, zatarli swoje ślady, uporządkowali miejsce zbrodni i od razu się zmyli tak, że nikt ich nie zobaczył. Broni, którą dokonano morderstwa, nigdy nie znaleziono.

Zdjęcia Glorii Echagüe, zdjęcia Pedra Chazarrety, ich wspólne zdjęcia. Fotografie z czasów ich młodości i aktualne. Zdjęcia Glorii Echagüe z jakimiś przyjaciółkami. Zdjęcia Chazarrety z kumplami. Fotografia ślubna. Zdjęcia z podróży. Zdjęcia Chazarrety z pogrzebu żony. Zdjęcia Chazarrety z dnia, gdy rozpoczął się wytoczony mu proces. Zdjęcia Chazarrety wiezionego do aresztu śledczego. Zdjęcia Chazarrety uniewinnionego. Krótki komentarz z tego dnia pióra Jaimego Breny, jedyne go dziennikarza, któremu udało się przeprowadzić z Chazarretą wywiad. Ale nikt jeszcze rzecz jasna nie ma zdjęcia martwego Chazarrety. Cięcie.

Wtedy Lorenzo Rinaldi mówi do chłopaka z kryminalnego: Pierwsi nie będziemy, więc musimy być najlepsi. I wyjmując mu telefon z ręki.

Nurit Iscar podchodzi do komputera i wystukuje jeden po drugim adresy dzienników online i agencji prasowych, jakie przychodzą jej do głowy: *La Nación, Clarín, El Tribuno, Página/12, Télam, Tiempo Argentino, Perfil, Crónica, La Gaceta, La Voz del Interior, La Primera de la Mañana*. I w trakcie stukania w klawisze myśli sobie: Ileż to ludzi, słysząc tę wiadomość, powie: sprawiedliwości stało się zadość. Tak jak parę godzin temu mówił Jaime Brena, kiedy zapisywał na różowej karteczce informacje podane przez komisarza Venturinię, które potem wyrzucił do śmietnika przy biurku chłopaka z kryminalnego, acz w końcu paperek wylądował na biurku Rinaldiego. Bo o ile wymiar sprawiedliwości, uosabiany przez sędziów i trybunały, zwolnił Chazarretę z braku dowodów, o tyle zdecydowana większość mieszkańców kraju, mylnie bądź nie, uważa do dziś, że to Chazarreta poderżnął gardło żonie. Albo komuś to zlecił. A jednak ona, Nurit Iscar, ma wciąż wątpliwości właśnie przez ten brak dowodów. Chociaż rozumie argumenty drugiej strony: dlaczego udawać, że wypadkiem było coś, co nawet dla półgłówka wygląda inaczej? Dlaczego nie zgłosił tego od razu na policję? Dlaczego załatwił lewe świadectwo zgonu? Czy człowiek wykształcony w najlepszych szkołach i uczelniach może być aż takim ignorantem? Niemniej wciąż nie ma rozstrzygającego dowodu, zabójczej broni z odciskami sprawcy, świadka, DNA pobranego z włosa, potu, śladu innej krwi, czegokolwiek, co by przesądziło o jego winie; dlatego ona, nawet gdyby miała się mylić, woli wątpić. Musi wątpić. Nieważne, co czuje, co jej podpowiada intuicja. Dowodów brak. Nieważne, jakie wrażenie robi na niej Chazarreta. Każdy jest niewinny, dopóki nie dowiedzie się czegoś przeciwnego. A ona nie wie, czy Pedro Chazarreta jest niewinny, natomiast wie, że nie zdołano dowieść jego winy. Inaczej jest w wypadku Jaimego Breny i 99,99 procent populacji: oni nie mają wątpliwości, że ten człowiek zamordował swoją żonę. Albo że zlecił to morderstwo. Albo wie, kto to zrobił i dlaczego, ale nie puszcza pary z ust. Na jedno wychodzi: jest winny. Tyle że wymiar sprawiedliwości nie jest demokratyczny, nie rozstrzyga się głosowaniem, kto jest winny, a kto nie, nie robi się tego tak, jak wybiera się prezydenta czy gubernatora. Bo gdyby tak było, gdyby wyroki opierały się na zliczaniu głosów opinii publicznej, z pewnością doszłoby do wielu błędów. Acz kiedy tak nie jest, też się te błędy popełnia. Podczas gdy Nurit przegląda najświeższe wiadomości, żeby zobaczyć, czy znajdzie jakieś informacje o śmierci Chazarrety, przychodzi jej do głowy te wszystkie frazesy, jakie padły w tej sprawie. „Sprawiedliwości stało się zadość”, „co się odwlecze, to nie uciecze”, „kara boska”, „kto mieczem wo-

juże, ten od miecza ginie”. Padły w tej samej chwili, kiedy ona się o tym dowiedziała albo przy wieczornych wiadomościach, albo z porannej gazety nazajutrz, padły w mieszkaniu naprzeciwko jej drzwi, w tym poniżej, w domu przy następnej ulicy, w knajpie za rogiem. Klika dwa razy na stronę dziennika *La Primera*, widzi krótki komentarz Zippa. Ledwie jednak zaczyna czytać, przerywa jej dzwonek telefonu i choć nie odbiera – nigdy nie odbiera, zanim nie włączy się sekretarka i dzwoniący się nie zidentyfikuje, tak że będzie wiedziała, czy odebrać, czy nie – nie czyta też dalej, czekając, aż dzwonek przestanie ją rozpraszać, bo jest przekonana, że jak już ten ktoś się przedstawi, ona i tak nie odbierze. Ale głos, ten głos i sposób, w jaki się do niej zwraca, zmraza ją mniej więcej tak jak wiadomość sprzed chwili o śmierci Pedra Chazarrety. Albo jeszcze bardziej. Cześć, Betibu, słyszy głos, a potem: Oddzwoń do mnie, zabili Chazarretę i chciałbym, żebyś tym razem jednak zajęła się sprawą. I ktoś odkłada słuchawkę. On odkłada słuchawkę. Sygnał zajęty. Sekretarka się zatrzymuje. Dzwoniący zapomniał się przedstawić, a raczej nie zapomniał, tylko doskonale wie, że Nurit Iscar łatwo go rozpozna. I to prawda, Nurit dobrze wie. Nie musiał tego mówić. Istnieje tylko jeden człowiek na świecie, który mógłby jeszcze zwracać się do Nurit tym pseudonimem, Betibu, człowiek, którego sam głos wprawia w drżenie takie struny w Nurit Iscar, o których ona sama już zapomniała: Lorenzo Rinaldi. I to przez niego – i w mniejszym stopniu przez samego Chazarretę czy też przez zbrodnię, którą zdaniem większości społeczeństwa Chazarreta popełnił – Nurit Iscar, Betibu, po udanej karierze literackiej – mierzonej parametrami, które w literaturze dla jednych mogą stanowić dowód sukcesu, a dla innych porażki – nigdy więcej nie napisała już żadnej własnej książki i postanowiła zarabiać na utrzymanie, pracując jako ghostwriterka dla ludzi mających do opowiedzenia historie równie dla Nurit nieistotne jak *Rozplącz supły*. Cześć, Betibu, Nurit przewija taśmę i odsłuchuje ją co najmniej pięć razy. Cześć, Betibu, jakby chciała się upewnić, kim jest ten, który dzwoni, choć przecież nie wątpiła ani przez moment.

Nie oddzwania, wie, że Lorenzo Rinaldi zadzwoni znów, za chwilę, za parę godzin. Wie, że Rinaldi tak łatwo nie ustępuje, jeśli nie dostanie tego, czego chce. I wie też, że ona – Nurit Iscar albo Betibu – nie będzie miała innego wyjścia, jak go posłuchać.

Nurit i Lorenzo Rinaldi poznali się w 2005 roku w telewizyjnym programie, do którego oboje ich zaproszono. Ona wydała właśnie *Śmierć na raty*, swoją trzecią powieść, i kolejny raz wdarła się na szczyt list bestsellerów, ledwie tylko książka trafiła do księgarń. On odebrał właśnie w Hiszpanii nagrodę za swój dorobek dziennikarski i w najbliższych dniach miała się ukazać jego książka non fiction pod tytułem *Kto rządzi? Prawdziwa władza i środki masowego przekazu w Argentynie XXI wieku*. Ich pierwsze spotkanie nie miało miejsca w studiu, tylko w pomieszczeniu, gdzie robiono im makijaż. Kiedy Nurit tam weszła, on już siedział w wysokim fotelu – w stylu tych, jakich używają mężczyźni fryzjerzy – z plastikową pelerynką na ramionach, żeby kosmetyki nie wysmarowały mu garnituru. Ją usadzono na fotelu obok. Ledwie Nurit siadła, uprzedziła makijażystę, że lubi wyglądać naturalnie, z prostotą. Proszę mi zamaskować zmarszczki, to chętnie, ale żeby się to nie rzucało w oczy. Rinaldi uśmiechnął się obok. Jakie zmarszczki? zapytał, a ona czując, że się rumieni, jeszcze kilka sekund przed tym, nim jej twarz nabrała czerwonej barwy, wytłumaczyła się, pokazując na swoje policzki: Mam lekką wysypkę. Aha, odpowiedział i znów się uśmiechnął. Potem zamilkli, podczas gdy makijażyści zajmowali się swoją pracą, lecz dwa czy trzy razy ich spojrzenia spotkały się w lustrze. Przed wyjściem Rinaldi podszedł, tym razem otwarcie się jej przypatrując, ale nie zwrócił się do niej, tylko do makijażysty: Piękne loki, nie? Przepiękne, odpowiedział zapytany, potrząsając włosami Nurit, żeby loki ładniej się rozłożyły. Poczowała się niezręcznie. Zastanawiała się, czy ten dyskomfort wynika ze świadomości, że jest obserwowana, czy może powodem jest komplement albo wywiad, makijaż bądź wysypka. Przy każdym nowym programie, jak podczas każdego lotu samolotem, czuła, że jest coraz bliżej katastrofy. I zawsze przed wywiadem i podczas niego – dokładnie tak samo, jak kiedy zapinała pasy przed startem – zadawała sobie pytanie: Co ja tu robię? Znów jednak znalazła się w takiej sytuacji. Żeby się czymś zająć, zaczęła liczyć różnych rozmiarów szczotki, które makijażysta rozłożył na blacie: czternaście; potem policzyła, ile kolorów ma paleta z cieniami do powiek: sześćdziesiąt cztery. Proszę oprzeć głowę o podgłówek i spuścić oczy, odezwał się do niej makijażysta, bo nie potrafiła powstrzymać się od mrugania, kiedy kładł jej tusz na rzęsy. Widziała pani, jak tamten pan grzecznie siedział i już jest załatwiony? dodał, a tymczasem Lorenzo Rinaldi ściągał z siebie pelerynkę. Widzimy się w studiu, powiedział Rinaldi do Nurit i wyszedł. Z jakiegoś powodu brak świadków ulżył jej i makijażysta mógł przyzwoicie dokończyć robotę. Kto to jest? zapytała, podczas gdy mężczyzna wieńczył dzieło, pudrując jej lekko policzki. Lorenzo Rinaldi, naczelny *El Tribuno*, nie zna go pani? Tak, pewnie, z nazwiska, no i czytałam o nim, ale z twarzy nie znałam, odpowiedziała Nurit. Jeden z najbystrzejszych ludzi w tym kraju, ciągnął makijażysta, i jeden z najupierdliwszych. I Nurit wiele razy później zastanawiała się, dlaczego tak zwróciła uwagę na tę uwagę o inteligencji Lorenza Rinaldiego, a w ogóle nie przejęła się drugą połową zdania makijażysty, co by ją uchroniło przed paroma nieprzespanymi nocami i atakami płaczu.

Program przebiegł tak, jak przebiegają zwykle programy kulturalne: dobre intencje widoczne w niskobudżetowej dekoracji, dwa fotele i biurko, każdy blok poświęcony innemu gościowi. W pierwszym wejściu pojawił się dramaturg, który właśnie wrócił z teatralnego festiwalu w Berlinie, gdzie wystawił *Evę Perón* Copiego i zebrał świetne recenzje. Nurit pojawiła się na planie w chwili, gdy rozmowa dobiegała końca, i kiedy otwierała drzwi, powitały ją spojrzenia techników i asystentów mówiące: Jeśli spowodujesz jakiś hałas, zabijemy cię. Rinaldi, skupiony na swoim ściszym telefonie, nawet nie podniósł wzroku, a ona usiadła na krześle ustawionym bezpośrednio za jego krzesłem, tak jakby jechali w autobusie.

Pachnie perfumami albo płynem po goleniu, z wyższej półki, drogim, z pewnością francuskim, pomyślała Nurit. Po pierwszym wejściu miała być jego kolej. Jego osoba wypełniała całą tę przestrzeń, jego pewność wydawała się tak naturalna, że można się było pomylić, kto tu jest gospodarzem programu, a kto gościem. Nurit przyglądała mu się ze swojego krzesła z mroku studia, otoczona kablami i jakimiś dekoracjami – były tam deski, parawany, zestaw nakryć stołowych, plastikowe jajko sadzone i befszytk – zapewne pozostałościami po jakimś innym zakończonym już programie. Rinaldi opowiadał o nagrodzie, o dziennikarstwie, o swojej nowej książce i o polityce, acz wtedy nie był w takiej opozycji do prezydenta jak parę lat później, toteż wywiad przebiegał w miłej atmosferze i bez zacietrzewienia tak widocznego dziś, kiedy Rinaldi wypowiada się na temat „pana prezydenta”, wymawiając te słowa głosem szorstkim od irytacji, tak dobrze teraz jej znanym. Nurit poczuła pociąg do jego dłoni, szerokich, twardych, którymi wymachiwał w powietrzu, kiedy ogarniał go zapach. I te włosy przetykane siwizną nad uszami. I ten mocny, pewny, lecz wyważony głos. Pomyślała o swoim mężu, nie pamięta już, co pomyślała, ale nagle zobaczyła swojego męża na tle głosu Rinaldiego, jego dłoni i wspomnienia zapachu perfum. Jeden asystent poprosił, by pozwoliła mu wsunąć pod ubranie kabelek mikrofonu, i to ją rozproszyło. Kiedy znów spojrzała na plan, rozmowa dobiegła już końca i Lorenzo Rinaldi zęgnął się z prowadzącą, trzymając jej dłoń w swoich i patrząc jej prosto w oczy. Gdyby ta kobieta nie była o prawie dziesięć lat starsza od niego, Nurit uznałaby, że Rinaldi próbuje ją uwieść. Kiedy z czasem dobrze go poznała, dowiedziała się, że on często patrzy tak na ludzi, że Lorenzo Rinaldi próbuje uwieść każdego, kto się nawinie, czy to mężczyznę, czy kobietę, młodych i starych, wysokich i niskich, grubych i chudych. Kiedy Rinaldo ją mijał, Nurit się zachwiała, zaplątała się w kabel biegnący po podłodze i musiała się oprzeć o jego ramię, żeby nie upaść. Ostrożnie, Betty Boop, powiedział Lorenzo Rinaldi. Proszę? zdziwiła się. Nikt ci nigdy nie mówił, że przypominasz Betty Boop? zapytał. I Nurit Iscar zamiast odpowiedzieć, zaczęła się zastanawiać, czy to, co usłyszała, jest komplementem czy nie. Nie wiem, czy nosisz podwiązki, chodzi mi raczej o czarne loki i figurę, o loki przede wszystkim, wyjaśnił, patrząc jej w oczy, a ona niemal odruchowo dotknęła swoich włosów, jakby sprawdzała, czy tam rzeczywiście są. Następnym razem powiedz, żeby ci pomalowali mocniej usta na czerwono, to będziesz autentyczną Betty Boop, dodał, rysując w powietrzu zarys jej ust, a potem wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki wizytówkę i podał jej. Gdybyś czegoś potrzebowała, powiedział. Nurit poprosiła o chwilkę, żeby wyjąć swoją wizytówkę z torebki, ale nie była to operacja tak prosta jak u Rinaldiego z kieszenią. Jeśli jest jakiś fragment życia Nurit, w którym panuje chaos, to na pewno jej torebka: miała w niej wtedy paragony z marketu, trzy otwarte paczki chusteczek, a do tego kilka chustek luzem, tampony – wprawdzie odkąd skończyła czterdzieści osiem lat, jej miesiączki zrobiły się nieregularne, lecz nie ustawały – dwie szminki, trzy długopisy, z których działał tylko jeden, klucze do mieszkania, szczoteczka do zębów, pęseta do depilacji, cążki, rachunek za prąd do zapłacenia do końca tygodnia, książka, kalendarzyk, komórka, para jedwabnych rajstop, gdyby poszło oczko. Przeleciało jej przez głowę, że Rinaldi mógł zobaczyć te tampony albo rajstopy, więc znów się zarumieniła, tym razem wiedziała jednak, że nie musi się przejmować: w tym studiu i pod tak grubym makijażem nikt by tego nie dostrzegł. Przez głośniki reżyser odezwał się poirytowanym głosem: Ej, dlaczego nie wprowadzacie Nurit Iscar, co jest? Nurit podniosła wzrok, słysząc swoje nazwisko, i zdała sobie sprawę, że podczas gdy tak grzebie w torebce, stoi przed nią nie tylko Lorenzo Rinaldi w oczekiwaniu na wizytówkę, ale też dwaj asystenci, producent i nawet prowadząca, która zajrzała sprawdzić, co się dzieje. Nie przejmuj się, odezwał się Lorenzo, w redakcji mamy twoje namiary. Pożegnał się i poszedł, a ją asystent podprowadził do fotela, usiadła. Prowadząca przywitała ją takim samym uśmiechem, jakim pożegnała Rinaldiego. Świetnie wyglądasz, powiedziała, chyba zeszczuplałaś, prawda? A nie wiem, odpowiedziała Nurit, być może. Nie, no serio, pięknie wyglądasz, powiedziała kobieta i poprawiła książki leżące na stoliku, żeby złapała je kamera. Wyglądało na to, że zaraz wszystko się zacznie, ale prowadząca machnęła na kamerzy-

stę i przyjrzała się Nurit, jakby coś było nie tak. Wiesz co, usta, za bardzo ci je wymalowali i błyszczą, a to nie będzie dobrze wyglądało na ekranie, powiedziała. Dajcie mi tu, proszę, chusteczkę, krzyknęła, jakby zwracała się do kogoś, kto jest gdzieś na suficie, a potem zapytała Nurit: Mogę ci trochę zetrzeć? Oczywiście, jasne, jak uważasz, odpowiedziała i zacisnęła wargi na chusteczce podetkniętej przez prowadzącą. O, teraz dobrze, stwierdziła kobieta. Potem prowadząca poprawiła sobie żakiet, obciągając go za boki, rozczesała szybko włosy palcami, spojrzała na siebie na monitorze, żeby się upewnić, czy wszystko gra, i wreszcie dodała: Proszę na chwilę o lusterko i mój róż. Asystent błyskawicznie podał jej obie rzeczy, a wtedy poprawiła sobie usta i teraz była tak wymalowana jak Nurit, zanim przetała sobie usta chusteczką. Gotowa? zapytała prowadząca, skończywszy poprawki. I nie czekając na odpowiedź, zaczęła: W ostatniej części naszego programu gościmy pisarkę Nurit Iscar, która wydała swoją najnowszą powieść *Śmierć na raty*. Właśnie ją pochłonełam i państwo też z pewnością pochłoną. Nurit zastanowiła się nad czasownikiem „pochłonać”, co to właściwie znaczy, że ktoś pochłonął książkę? Że ją przeżuwa, łyka, trawi, a potem wydała? Przypomniało jej się opowiadanie Fontanarroso *Wieczorek literacki*, którego bohaterowie, dwaj literaturoznawcy, pieką na ruszcie różne klasyczne dzieła i zjadają je z ziemniakami. Wyobraziła sobie prowadzącą o błyszczących ustach ze *Śmiercią na raty* w zębach, rozrywającą okładkę i pierwszych parę stron jednym kłapięciem, przez co kompletnie przegapiła swój krótki biogram rzucony na ekran. Prowadząca zadała pierwsze pytanie i Nurit nie mogła już jej sobie wizualizować z książką w ustach. Czy irytuje cię etykiетка bestsellera? zapytała. Nurit nie musiała zastanawiać się nad pytaniem, kolejny raz i niemal automatycznie wyrzuciła z siebie serię frazesów, którymi zwykle odpowiada na to pytanie – też zresztą frazes – zadawane jej już zbyt wiele razy: że w sumie ona nie jest autorką bestsellerów, po prostu parę jej książek dobrze się sprzedawało; że nie, to nie jest irytujące, że przecież Saragamo, Cortázar, Piglia, Murakami i Bolaño też napisali książki, które okazały się bestsellerami, a należą do bardzo różnych rodzajów literatury i trafiają do różnych czytelników; że to zawsze satysfakcja, jeśli czytelnik chce cię czytać; że pisząc, nikt nie myśli takimi kategoriami, a w każdym razie nie ona, że to są kategorie rynkowe niemające nic wspólnego z literaturą, i tak dalej. Ale pod koniec wypowiedzi poczuła, że na swój sposób znów się musi tłumaczyć, dlatego że jej książki szybko się czyta i dlatego że sięgają po nie ludzie, którzy nie czytają nic innego. I wobec nalegań prowadzącej musiała zastanowić się chwilę, czy książka, którą się czyta szybko, jest lepsza od tej, co wymaga powolnej lektury, czy nie. Na co ostatecznie odpowiedziała: Szczerze mówiąc, nie wiem. Skłamała tylko, odpowiadając na pytanie, czy denerwuje ją to, co pisze o niej krytyka literacka. Nie, nie denerwuje. Już pod koniec rozmowy, kiedy uniosła prawą rękę, żeby podkreślić to, co mówi, bo brakło jej słowa, zdała sobie sprawę, że wciąż trzyma w ręku wizytówkę Lorenza Rinaldiego. I znów przypomniał jej się mąż.

Tego wieczora w domu, przy kolacji z dziećmi i mężem, czuła się dziwnie, jakoś niepełnie, jakby odkryła, że za niezręcznymi sytuacjami z popołudnia kryje się w niej coś niewłaściwego, niestosownego do okoliczności. Człowiek nie jest opancerzony przeciw okolicznościom, powiedział jej jakiś czas później Lorenzo Rinaldi tuż przed pocałunkiem. I rzeczywiście tak było. Bo po tym pocałunku Nurit Iscar powiedziała mężowi, że chce się z nim rozstać. Trochę go to kosztowało, nie był na to przygotowany. No ale też na tym etapie małżeństwa trudno mówić o głębokiej miłości. I wydaje jej się, że dziś pewnie jest za to wdzięczny. Wkroczenie Rinaldiego do życia Nurit pokazało tylko wyraźnie, że jej małżeństwo skończyło się dużo wcześniej, niż sądziła. Juan, starszy syn, wynajmował już mieszkanie z kolegą od początku studiów, a Rodrigo, młodszy, który w tym roku zaczynał studia licencjackie, pośpiesznie do nich dołączył, tak że nie musiał decydować, z którym z rodziców zostać. Obaj synowie zachowali dobre relacje z Nurit, przy czym widywali się z nią znacznie rzadziej, niżby sobie życzyła, zresztą zazwyczaj w wyniku jej telefonicznych nalegań i zaproszeń na obiad w weekendy, choć z powodu coraz bardziej niezależnego życia synów stawało się to coraz rzadsze, czasami nawet w ostatnim momencie odwoływali przyjazd z najróż-

niejszych powodów.

Związek z Lorenzem Rinaldim trwał dwa lata. Pierwszy rok opierał się na pragnieniu Nurit – i jego obietnicy – że jak tylko będzie mógł, rozstanie się z żoną. Drugi rok to czas, którego potrzebowała, żeby od niego odejść, choć dobrze wiedziała od początku, że Lorenzo nigdy się nie rozwiedzie. A finał przypadł na moment śmierci Glorii Echagüe. I wydanie *Tylko jeśli mnie kochasz*. Kiedy wypłynęła sprawa Echagüe, Rinaldi poprosił ją, żeby napisała dla gazety serię artykułów. Jakich artykułów? Przecież ja nie jestem dziennikarką. Non fiction, odpowiedział, jak Truman Capote. Truman Capote zrobił wywiady ze skazanymi na śmierć, a tu nie mamy ani wyroku, ani nawet niczego na pewno nie wiadomo, wszystko jest mocno niejasne, stwierdziła Nurit. No właśnie, Betibu, tym się musi zająć pisarz, tak jest zawsze, w początkowej fazie śledztwa nie ma konkretnych danych albo po prostu nie wypływają i trzeba wymyślać, użyć wyobraźni, fabularyzować. Wydaje mi się to niezbyt poważne, odpowiedziała. Niepoważne by to było, gdyby konfabulował dziennikarz, a ty jesteś kimś innym. No ale wydaje mi się niezbyt serio, żeby w gazecie drukować jakieś moje wymysły na temat prawdziwej sprawy, ludzie będą skołowani. Ludzie zawsze są skołowani. Nie chcę być za to odpowiedzialna. Betibu, nie walcz o moralność tam, gdzie jej nie ma. To nie moralność, tylko etyka. A nie na jedno wychodzi? Nie, ja jestem agnostyczką. Nie komplikuj sprawy, jedyne, czego chcę, to żebyś usiadła sobie w klubie w La Maravillosie i posłuchała, co mówią sąsiedzi, żebyś robiła zakupy w ich sklepiku, uprawiała jogging tam, gdzie oni go uprawiają, pograła w tenisa. Nie umiem grać w tenisa! To weź lekcje. Starczy, Lorenzo, nie, ja mam na głowie premierę nowej powieści, to jest mój aktualny projekt, obiecałam, że będę brać udział w spotkaniach, targach, wywiadach, nie mam czasu, poproś o to jakiegoś innego pisarza, na pewno znajdziesz chętnych. Ale ja chcę, żeby zajęła się tym „pierwsza dama argentyńskiej literatury kryminalnej”. Nie. Chcę, żeby zrobiła to moja Betibu, powiedział, podszedł do niej i pocałował ją. I wtedy poczuła, że to pocałunek Judasza. Kilka dni później Nurit Iscar ostatecznie zerwała z Lorenzem Rinaldim. Tego samego dnia w *El Tribuno* ukazał się duży materiał Jaimego Breny o śmierci Glorii Echagüe w *country* La Maravillosa, materiałowi towarzyszył komentarz młodego pisarza spekulującego, jaka historia może kryć się za tą niewyjaśnioną śmiercią. Nigdy niewyjaśnioną.

Miesiąc później w dodatku kulturalnym do *El Tribuno* ukazała się pierwsza recenzja nowej powieści Nurit Iscar *Tylko jeśli mnie kochasz*. Pierwsza i najgorsza ze wszystkich, przetarła drogę następnym. Mimo że nie byli już razem, Lorenzo Rinaldi zadzwonił, żeby ją ostrzec: Wygląda na to, że recenzentowi książka się nie spodobała, Betibu, ale jeśli ja się w to wmieszam, będzie jeszcze gorzej. Nie mieszaj się, odpowiedziała i niespokojnie czekała na następną niedzielę, kiedy wychodził dodatek do *El Tribunal*. Recenzja miała tytuł „*Tylko jeśli mnie kochasz: najnowsza nieudana powieść Nurit Iscar*”. Firmowała ją Karina Vives, nigdy wcześniej Nurit nie spotkała się z tym nazwiskiem. Acz pewnie już nigdy go nie zapomni. Nie zapomni dziennikarki, która dziś prowadzi dział kultury w *El Tribuno* i siedzi na prawo od Jaimego Breny. Która wychodzi zapalić z nim na ulicę.

Przez te dwa lata, gdy trwał związek z Lorenzem Rinaldim, Nurit Iscar, Betibu, prowadziła intensywne badania, rozważania i śledztwo na temat Betty Boop i tego, co właściwie znaczy jej postać. I choć nie podzielała wszystkich wątpliwości koleżanek, niektóre z ich spotkań kończyły się zażartymi dyskusjami na temat tej postaci. Nurit chciała rozstrzygnąć – pomijając to, czy pseudonim nadany przez jej żonatego partnera (nigdy nie lubiła określenia „kochanek”) jest pieszczotliwy czy nie – czy podoba jej się ten sposób zwracania się do niej. Oczywiście знаła tę rysunkową postać, statyczną na reprodukcjach albo ożywioną na kreskówkach, i mogła przyznać, że wygląd tej kobiety o okrągłej twarzy, kręconych włosach i wielkich oczach jakoś tam do niej pasuje. Ale prócz tego była ciekawa, co symbolizuje albo symbolizowała w różnych momentach Betty Boop. I czy to do niej pasuje, bo przecież każdy symbol coś oznacza i to znaczenie nie jest błahe. Nie komplikuj tak, powtarzał jej Rinaldi, przypominasz tę postać i kropka. Nurit Iscar była jednak i jest skomplikowana, nie ma problemu, żeby się do tego przyznać. Gdybym taka nie była, tobym się z tobą nie spotykała, odpowiadała Lorenzowi Rinaldiemu. Skomplikowana i cierpka, mówił. To też, przytakiwała. Pseudonim „Betibu” miał wśród jej przyjaciół sympatyków i przeciwników. Synom się podobał, choć oczywiście nie wiedzieli, skąd się wziął. Jej przyjaciółki opowiadały się za albo przeciw nie tylko ze względu na swoją opinię, ale też w zależności od sympatii bądź antypatii do Lorenza Rinaldiego i wobec jego braku zdecydowania w kwestii związku miłosnego, który wprowadził taki zamęt w życie nie tylko uczuciowe ich przyjaciółki. Nurit niczego nie mogła zaplanować na pewno, bo nie było wiadomo, czy Rinaldi zdoła się uwolnić od żony i coś z Nurit zaplanować: dotyczyło to takich spraw, jak urlop czy weekendowy wypad, a nawet wyjście do kina. Carmen twierdziła, że facet jest bydlakiem, a ochrzczenie Nurit nowym mianem to nie tylko odpowiednik oznakowania bydła, lecz także pozbycia się nawet śladu imienia kochanki w razie odkrycia czegoś przez żonę. Moją żoną jesteś ty, odpowiadał Rinaldi na pretensje Nurit, a ona chętnie wierzyła. Paula Sibona zgadzała się z Carmen, acz wyrażała się na swój sposób: pieprzony dupেক i sukinsyn jeden. Nie obchodziło jej znakowanie bydła i niezostawianie śladów, tylko to, że jej przyjaciółka przechodzi przez takie nieprzyjemności, czekając na decyzję Rinaldiego, gdy przecież na tym etapie było jasne, że jej nie podejmie. Natomiast rozumiała pseudonim Betibu, bo to prawda, że jesteś do niej podobna, mnie się podoba ten model kobiety eleganczkiej i sexy, no a bez wątplenia lepiej, że nazywa cię tak, a nie na przykład Daisy, Minnie, Barbie czy Cruella de Mon. A jeśli takiemu pieprzonemu dupkowi i sukinsynowi jednemu od czasu do czasu przyjdzie do głowy niezła myśl, dlaczego z niej nie skorzystać? podsumowała sama Paula. Z kolei Viviana Mansini nie miała zdania na temat pseudonimu, tylko ciągle powtarzała: Biedna Nurit, biedna też żona Rinaldiego, ona przecież także, prawda? Nie zapominajmy o niej. Na co Carmen Terrada odparowywała: Zapomnieć o niej powinien Rinaldi.

Zainteresowanie Betty Boop osiągnęło taki poziom, że podczas jednego ze spotkań w trzecią niedzielę miesiąca poświęconego lekturze gazet przyjaciółki zrezygnowały z przeczesywania wiadomości i zabrały się za poszukiwanie wszelkich informacji na temat tej postaci z kreskówki. Najskuteczniejsza, jak zawsze, okazała się Carmen, która nie tylko miała teksty uporządkowane i z podkreśleniami, ale jeszcze za każdym razem podawała źródło: najczęściej Wikipedię. Czy jednak nie powtarza się uczniom, żeby poszukali gdzie indziej, a nie wszystko brali z Wikipedii? Już nie, odpowiedziała Carmen, Wikipedia ma złą prasę, bo to najbardziej demokratyczne źródło, jakie istnieje: robione przez wszystkich, dla wszystkich, bez żadnej kontroli. To jest prawdziwy problem, to wszystkich irytuje: kto jest panem wiedzy, infor-

macji, powiedziała. I bez ceregieli zabrała się za lekturę tekstów o Betty Boop: narodziła się – czy też może powinno się użyć jakiegoś innego słowa w kontekście postaci narysowanej – w 1930 roku. Po raz pierwszy wystąpiła w sierpniu w filmie rysunkowym *Dizzy Dishes*, w serialu *Talkartoon* wyprodukowanym przez Maksa Fleischera. Stworzył ją Grim Natwick, znany ówczesny animator, używając jako modelu piosenkarki Helen Kane, tej od przeboju *I wanna be loved by you*, która zmarła w wieku sześćdziesięciu dwóch lat na raka piersi, choć walczyła z nim przez ponad dziesięć lat, a do ostatniej chwili towarzyszył jej dwudziestosiedmioletni mąż. Niezła ta Helen, stwierdziła Paula Sibona. Kane pracowała wówczas dla Paramount Pictures dystrybuującego serial, ciągnęła Carmen. Rysunek Natwicka najpierw pokazywał francuskiego pieska, ale z wolna nabierał ludzkich kształtów. W 1932 roku Betty Boop – wciąż jeszcze bezimienna – była już ewidentnie kobietą, jej długie uszy zmieniły się w charakterystyczne okrągłe kolczyki, a czarny nos w malutki zadarty nosek. W tym samym roku producenci zdali sobie sprawę, że ona cieszy się znacznie większą popularnością niż jej chłopak Bimbo i z postaci pobocznej w serii *Talkartoon* awansowała na bohaterkę pierwszoplanową, otrzymując imię i nazwisko, które po latach odziedziczy w fonetycznie uproszczonej wersji nasza przyjaciółka: Betty Boop, Betibu.

Rysunek Natwicka wyobrażał pierwszą chłopczycę, jaka pojawiła się w kreskówce. W latach dwudziestych chłopczycami nazywano młode kobiety, które wydobyły z zapomnienia i zaadaptowały do noszenia po nowemu tradycyjne gorsety, skróciły spódnice i strzygły się w niekonwencjonalny sposób. Kobiety, które lubiły słuchać jazzu i tańczyły go w prywatnych klubach, to była muzyka jeszcze słabo słuchana, a jeszcze rzadziej tańczona. Chłopczyca stanowiła wyzwanie dla stereotypowego postrzegania kobiety w tych czasach i przekraczała typowe normy damskiego zachowania: paliła, prowadziła samochód i jeździła motocyklem, i to z dużą prędkością, piła mocne alkohole i stosowała oszczędny makijaż. Albo – z drugiej strony – malowała się tak mocno jak wcześniej tylko aktorki i prostytutki. Zawsze nas muszą pakować do jednego worka, zaprotestowała Paula Sibona. Na twarzy biały puder, rzęsy i brwi intensywnie czarne, żeby podkreślić czerwien ust wymalowanych „całusoodporną” szminką. I dużo bransoletek i naszyjników z paciorkami. Buty na obcasie na wyjścia, a do pracy wygodne. Co do pochodzenia nazwy: słowo chłopczyca, *flapper*, pojawiło się w Stanach za sprawą filmu *The Flapper* z 1920 roku z Olive Thomas w roli głównej, pokazującego styl bycia tego rodzaju kobiet. Thomas uznano za autentyczną chłopczycę i zapamiętano ją nie tylko jako aktorkę kina niemego, lecz także ze względu na tragiczną śmierć: miała dwadzieścia sześć lat i w paryskim hotelu, wróciwszy z rundki po knajpach na Montparnassie ze swoim mężem Jackiem Pickfordem, Olive Thomas wypiła butelkę chlorku rtęci – substancji używanej przez jej męża jako lek na syfilis do zewnętrznego stosowania – który doprowadził do jej śmierci kilka dni później w Szpitalu Amerykańskim w Neuilly na obrzeżach Paryża. Przy śmierci towarzyszył jej Pickford i jej szwagier. Wobec braku dowodów wymiar sprawiedliwości przyjął wersję z wypadkiem, choć pojawiały się podejrzenia, czy nie chodziło tu o samobójstwo albo zabójstwo.

Dopiero sporo czasu po tej niedzieli z Wikipedią, kreskówkami i chłopczycami oraz inspirującymi je kobietami Nurit Iscar zdała sobie sprawę, jak wiele jest podobieństw między śmiercią Olive Thomas i Glorii Echagüe. I zgonami tylu innych kobiet. Czy częściej mężowie zabijają swoje żony, czy żony mężów? Czy kiedy kobieta umiera w niejasnych okolicznościach, zawsze podejrzewa się męża? Czy zawsze te podejrzenia mają jakąś podstawę? Czy nigdy nie ma dowodów? Czy kiedy kobieta zabija męża, dzieje się tak samo, czy szanse na więzienie są większe? Która z tych śmierci – czy raczej zabójstw – cieszy się większym społecznym poparciem? Czy jakaś kobieta zabiła męża w jakimś *country* lub na innym zamkniętym osiedlu? Dlaczego nie zapominamy po tylu latach, kim była Norma Mirta Penjerek, Oriel Briant, doktor Giubileo, María Soledad Morales czy María Marta García Belsunce? A ile spraw nierozwiązanych albo rozwiązanych tylko częściowo, dotyczących zamordowanych mężczyzn, mieści się w naszej pamięci zbiorowej?

Pojawienie się nowego stylu wśród kobiet, kontynuowała Carmen po deserze, zbiegło się historycznie z pierwszą wojną światową i jej konsekwencjami: brakiem mężczyzn – I mnie to mówią? skomentowała Paula Sibona – koniecznością wejścia kobiet na rynek pracy, modą dyktowaną przez aktorki filmowe, tancerki i piosenkarki z tamtych czasów. Dlaczego pisarze, tacy jak Scott Fitzgerald albo Anita Loos, popularyzowali postać chłopczycy, pokazując ją jako atrakcyjną, uwodzicielską i niezależną, natomiast Dorothy Parker poświęciła jej tekst zatytułowany *Chłopczyca: pieśń nienawiści*? I kiedy Carmen czytała ten kawałek, Nurit zastanawiała się, czy ona może być Betibu, skoro tak lubi Dorothy Parker. Tylko czy naprawdę tak lubiła Dorothy Parker? Parker zmarła w wieku siedemdziesięciu dwóch lat, miała kilka lat więcej niż Helen Kane i trzydzieści dziewięć więcej od Olive Thomas, biorąc pod uwagę daty ich śmierci, ale w odróżnieniu od piosenkarki, która stała się inspiracją dla Betty Boop, i aktorki ikony chłopczycy Parker zmarła w hotelu w Nowym Jorku, w towarzystwie psa i szklaneczki whisky. I znów te pytania Nurit: która z nich miała lepsze towarzystwo w ostatnich chwilach życia? Kto stanowi wierniejsze i bardziej oddane towarzystwo: niemal czterdzieści lat młodszy małżonek, podejrzany o zabójstwo męża z syfilisem czy pies wraz ze szklanką whisky? Jak ona, Nurit Iscar, umrze, kiedy wybije jej godzina? W jakim wieku? Gdzie? Kto będzie jej towarzyszyć? Czy będzie miała wybór w którejkolwiek z tych kwestii? Dlaczego zadaje sobie tyle pytań o swoją śmierć, skoro ma dopiero pięćdziesiąt parę lat? Dlatego właśnie, że mam ponad pięćdziesiąt lat, odpowiedziała Nurit na jedyne pytanie, na które знаła odpowiedź. Ponad połowa życia, wiek, w którym jesteś już po drugiej stronie wzgórza, gdzie zbocze zaczyna opadać do następnej doliny.

Typowym elementem życia chłopczyc był petting, czyli seksualne zabawy bez samego stosunku albo poprzedzające stosunek. Aha, czyli takie lodziary, stwierdził Rodrigo, który tej niedzieli przypadkiem też znalazł się w domu matki razem z jej koleżankami. A co to niby znaczy? zdziwiła się Nurit. No lodziary, mammo, takie, co ci robią loda. Nie rozumiem. No obciągają. Weź przestań, tu są moje przyjaciółki. Przecież to ty mnie pytałaś, mammo. Słuchaj, młody, włączyła się Paula Sibona, w tym domu możesz sobie być, jaki chcesz: lewicowy albo prawicowy, heteroseksualny albo homoseksualny, wykształcony albo analfabeta, możesz należeć do każdej subkultury, do jakiej sobie tylko zażyczysz, ale na jedno ani twoja matka, ani my nie pozwolimy: żebyś wyrósł na szowinistę. A co ja takiego powiedziałem? Nic, nic, tak na wszelki wypadek mówię, miałam wrażenie, że jak mówiłeś o seksie oralnym, było w tym trochę pogardy wobec sytuacji kobiety w tym układzie. Nieprawda, ja tam lubię, jak mi obciągają. Dość! wtrąciła się Nurit. To wy wyciągnęłyście temat pettingu, nie ja, zaprotestował Rodrigo. Bo badamy sprawę chłopczyc. Kogo? Chłopczyc, taki styl kobiet z lat dwudziestych... Dobra, dobra, zostawmy to, przerwał jej syn i wrócił do oglądania telewizji.

Chłopczyce zyskały popularność, lecz – jak tylu innych ludzi – padły ofiarą problemów gospodarczych: krachu, czyli Wielkiego Kryzysu z roku 1930. Dekada ta przyniosła powrót ideologii konserwatywnej i religii, które krzywo patrzyły na kobiety prowadzące swobodne życie nie tylko pod względem seksualnym. Nawet w postaci Betty Boop załagodzone w tym czasie pewne cechy: najpierw przedłużono biedaczce sukienkę, potem ograniczono jej dekolt, a wreszcie pozbawiono ją podwiązek. Jednak prawdziwa Betty Boop przetrwała cenzurę i szereg elementów związanych z chłopczycami awansował do roli emancypacyjnych symboli dla następnych pokoleń. W każdym razie w kulturze Zachodu, która przecież nie obejmuje całego świata.

Betty Boop była, jest i z pewnością nadal będzie kobietą zmysłową i seksowną. To ma największe znaczenie. Nosi krótkie sukienki i podwiązki, dzięki śmiałym dekoltom pokazuje piersi – całkiem spore, choć nie tak gigantyczne jak Viviany Mansini od czasu menopauzy, zaznaczyła Carmen – inne postaci, z którymi występuje w filmach, próbują ją podglądać w kąpielni, lubi kręcić hula-hoop, wywijając biodrami, i w trakcie powtarza zdanie *Boop Boop a Doop* – zresztą Helen Kane wytoczyła firmie produ-

cenckiej proces o używanie tej frazy, ale go przegrała. Betty Boop to jedna z pierwszych postaci, które wystąpiły w innym filmie jako gwiazda specjalna: pojawiła się w serialu o marynarzu Popeye'u. W latach sześćdziesiątych zyskała kolor na ekranie, a w osiemdziesiątych rozpoczął się wielki boom komercyjny z użyciem jej postaci; dziś można kupić z jej podobizną wszystko, od majtek po kartę kredytową Visa Bank of America. W 1988 roku miała kolejny występ w filmie *Kto wrobił królika Rogera?* nagrodzonym potem Oscarem. W 1994 roku jeden z jej filmów z 1933 roku, *Snow White*, został wybrany przez Bibliotekę Kongresu Stanów Zjednoczonych jako pozycja do tamtejszej wideoteki i trafił do Narodowego Archiwum Filmowego. Czy to dobrze? zapytała Paula Sibona. Ja tam nie wiem, czybym chciała, żeby przechowywano moją podobiznę w jakimś archiwum na wieczność, to robi wrażenie, że obraz może przetrwać tak znacząco dłużej od ciała. Tyle że ciało postaci rysunkowej nie starzeje się tak jak my, odpowiedziała Carmen. Musiałaś to podkreślać? westchnęła Paula.

Czy dzisiejsze dziewczynki ze szkoły średniej, noszące jej podobiznę na teczkach, piórnikach, plecaczkach czy koszulkach, wiedzą, co tak naprawdę symbolizuje Betty Boop? Wiedzą, że musiano ją cenzurować w latach trzydziestych? Dlaczego ta rysunkowa kobieta z taką siłą powróciła w XXI wieku? Czy Betty Boop stała się jeszcze jednym produktem marketingowym, który bezrefleksyjnie wchłaniamy? Nurit Iscar tak nie uważa. Nurit Iscar, Betibu, nie przyjmuje do wiadomości, że dziś Betty Boop może być wszechobecna tylko ze względów finansowych. Ona wciąż wierzy w siłę emanującą z tej postaci, nawet jeśli ci, którzy się nią interesują osiemdziesiąt lat później, nie są tego świadomi.

O wpół do siódmej Lorenzo Rinaldi ponownie dzwoni do Nurit Iscar, a ona tym razem, słysząc jego głos, odbiera telefon. Jest zdenerwowana, ale się przygotowała. Po pierwszym telefonie, chwilę po piątej tego samego popołudnia, zdążyła porozmawiać dwa razy z Paulą Siboną, raz z Carmen Terradą i dostała od obu po kilka mejli. Nie traktujcie mnie tak, jakbym zaraz miała popełnić jakiś idiotyzm swojego życia, nie mamy już po dwadzieścia lat, odpisała obu przyjaciółkom, odebrawszy piątego mejla od Carmen, w którym rozwodziła się nad niebezpieczeństwami ponownej relacji z Rinaldim. Przynajmniej zapytaj go najpierw, czy się rozwiódł z żoną, tyle czasu minęło, że a nuż jest wolny, a my nic nie wiemy, zasugerowała Paula, zawsze z całej trójki najbardziej wierząca w ludzi. To jest telefon w sprawie służbowej, tylko tyle, odpowiedziała Nurit i wyłączyła komputer, żeby nie czytać już żadnych nowych porad, ostrzeżeń czy reprimend od przyjaciółek, w każdym razie nie przed rozmową z Lorenzem Rinaldim.

Tym razem musisz się tego podjąć, Betibu, od dawna nie ma o tobie żadnych wieści, nikt cię nie czyta, kiedy ostatnio wyszła jakaś twoja nowa książka? Trzy lata temu, tak dawno, jak dawno się nie widzimy, myśli Nurit, lecz nie odpowiada na to pytanie. Tego rodzaju seria artykułów w *El Tribuno* sprawi, że wrócisz do gry. Tyle że nie jestem pewna, czy chcę do jakiejś gry wracać; ale gdybym miała wybierać, wolałabym rzeczywiście jakieś zmagania sportowe niż powrót do paszczy lwa, jakim w tym mieście jest literatura i jej okolice. Odzyskasz swoich czytelników, czy to nie brzmi lepiej? Nurit Iscar nie odpowiada, przez chwilę skupia się na brzmieniu jego głosu, głosu Lorenza Rinaldiego, a nie na tym, co mówi. Ten głos brzmi tak samo, nie zmienił się przez te trzy lata. Głos starzeje się wolniej, myśli. A jego dłonie? Czy dalej ma nad uszami te szpakowate włosy, które lubiła głaskać, czy teraz jego czupryna zrobiła się bardziej siwa? Znow próbuje skupić się na tym, co głos mówi: Ile byś chciała? Kolumnę? Pół strony? Nurit wciąż milczy. Kto ze znanych ci pisarzy dysponować może dziś połową strony w gazecie czytanej przez miliony Argentyńczyków? Nurit wzdycha i próbuje zadać bezpośrednie pytanie: Dlaczego chcesz, żebym ja się tym zajęła? Przecież masz w redakcji Jaimego Brenę, któż się lepiej nadaje niż on, dziennikarz, który najpoważniej badał sprawę i najwięcej wie o zabójstwie żony Chazarrety? Jaime Brena jest wyautowany. Co to znaczy, że jest wyautowany? Przeszedł do innego działu. A, nie wiedziałam, a dlaczego? Decyzja przełożonych. Decyzja przełożonych, ładnie brzmi, choć nic nie znaczy; wciąż nie wiem: dlaczego właśnie ja? To samo, decyzja przełożonych. O nie, mnie nie załatwisz takim wytartym frazesem. Racja, prawie zapomniałem, jaka jesteś uparta. Słuchaj, Betibu, to musisz być ty, bo w takich sprawach, zwłaszcza na początku, nikt niczego nie wie ze względu na utajnienie dla dobra dochodzenia; na etapie, na którym dziś jesteśmy, nie chodzi o prowadzenie śledztwa i powtarzanie z grubsza tego, co wszyscy mówią, trzeba być kreatywnym, użyć wyobraźni i przede wszystkim mieć dobre pióro. Na początku czytelnika wciążą tekst, a nie zawarta w nim informacja. Ty jesteś pierwszą damą literatury kryminalnej, a pierwsza dama może napisać to, czego my w *El Tribuno* teraz potrzebujemy; ja wiem wszystko, co trzeba wiedzieć o świecie informacji prasowej, i jestem naczelnym tego dziennika, toteż wiem, że tym razem znow ty jesteś najlepszą opcją, tak jak trzy lata temu, choć wtedy nie przyjąłś zlecenia; to właśnie znaczy „decyzja przełożonych”, teraz jesteś bardziej zadowolona? Trochę bardziej. Czyli się zgadzasz? Jeśli się zgodzę, to, co będę pisała, nie będzie dziennikarstwem. Przecież wiem, ja chcę, żebyś to robiła, właśnie dlatego, że jesteś pisarką, młodzi dziennikarze są coraz gorzej przygotowani, ma się wrażenie, że piszą nogami, ja potrzebuję kogoś, kto umie pisać, to proste. Brena dobrze pisze, mówi Nurit. Ale ma inne problemy. Któż ich nie ma. Słuchaj, Betibu, załatwiłem ci lokum w La Maravillosie, jeden z szefów gazety

kupił tam jakiś czas temu dom, żeby robić sobie wypadki na weekendy, choć w ogóle w nim nie bywa. Wprowadzisz się tam jutro, z kim chcesz, tylko żebym nie był za bardzo zazdrosny, i bierzesz się za pisanie. Słuchasz, patrzysz, myślisz, kombinujesz i piszesz. Nie chodzi mi o to, żebyś szukała prawdy, chęć, żebyś napisała coś, co ludzi pociągnie, żebyś opisała tamten świat, ludzi, których tam zobaczysz, ty to świetnie umiesz robić. Przemyśl to, zadzwonię za dwie godziny i proszę o jasną odpowiedź, tak albo nie. Nurit przez chwilę nic nie mówi, a w końcu rzuca: Okej, zadzwonź za dwie godziny.

„Tylko żebym nie był za bardzo zazdrosny”, tak ci powiedział, palant jeden? upewnia się Paula Sibona, nie dowierzając temu, co opowiada jej przyjaciółka. Tak, potwierdza Nurit, która w trybie awaryjnym zebrała przyjaciółki u siebie w domu. Wiesz co, widać, że masz na to ochotę, i to mnie martwi, mówi Carmen Terrada. Przysięgam, że to nie ze względu na Rinaldiego. Taaa, jasne, pokpiwa Paula. Tu chodzi o mnie, upiera się Nurit, bo to jest konkretne zlecenie, bo za dwa tygodnie skończę rozplątywać supły byłej żony tego przedsiębiorcy i nie mam żadnej innej fuchy na widoku, bo to szansa na odkręcenie tego, co się stało trzy lata temu. Rinaldi dalej jest żonaty? pyta Carmen. Nie wiem, odpowiada Nurit. Jeśli dalej jest z żoną, niczego nie zmienisz, stwierdza Paula. Tyle że mi nie chodzi o nasz związek, chodzi mi o decyzję, którą podjęłam w związku z moją karierą i która chyba była błędna; podejrzewam, że gdybym przyjęła wtedy to zlecenie, może dziś nadal pisałabym własne książki. Jeśli tak na to patrzysz, bardziej mi się to podoba, stwierdza Carmen. Ale tylko pod tym warunkiem. Któraś z was byłaby w stanie zaglądać do mnie i podlewać mi rośliny? No to klops, czyli bierzesz to, podsumowuje Paula. Sama nie wiem, czuję jednak, że to mnie zbliży znów do zajęć znacznie wdzięczniejszych od pisania książek za innych. Tu masz rację, przyznaje Paula. Tylko uważaj na Rinaldiego, prosi Carmen. Będę ostrożna. Nie chodzi tylko o ciebie, chodzi też o nas, skąd wytrzaśniemy taki dźwig, żeby cię podnieść, jeśli znowu wpadniesz w sieci tego typu?

Tak jak ustalili, dwie godziny po pierwszej rozmowie Lorenzo Rinaldi zadzwonił po raz trzeci. Przyjaciółki wciąż z nią są. Bądź ostrożna, powtarza Carmen, kiedy Nurit sięga po słuchawkę. I dowiedz się, czy ten dom, co go dostaniesz, ma basen, dorzuca Paula.

Godzinę później Rinaldi ustala ze swoim kolegą, dyrektorem administracyjnym *El Tribuno*, szczegóły, żeby nazajutrz Nurit Iscar mogła wprowadzić się do jego weekendowego domu w La Maravillosie. Nurit pakuje małą walizeczkę, taką, jaką można zabrać na pokład samolotu jako bagaż podręczny, wydaje się, że na miesiąc to mało, ale nie sądzi, żeby tyle tam wytrzymała. Umówiła się z Lorenzem Rinaldim, że przed wprowadzeniem się do *country* Chazarretów wpadnie do redakcji po klucze i instrukcje dotyczące użytkowania domu oraz żeby omówić z Rinaldim i dziennikarzem zajmującym się tematami kryminalnymi szczegóły sprawy. Kiedy już skończą, kierowca zabierze ją stamtąd prosto do La Maravillosy, żeby mogła bezzwłocznie wziąć się do pracy.

W chwili gdy Nurit Iscar zamyka walizkę i odsuwa ją na brzeg łóżka, chłopak z kryminalnego włącza u siebie w domu kolejny już raz tego dnia Google'a i wpisuje różne kombinacje haseł, żeby mieć coś dla Rinaldiego na jutro: Chazarreta+zbrodnia+La Maravillosa. Cholera, nic nie wyskakuje. Przegląda długi ciąg tweetów, które zdążyły się uzbierać, lecz te dotyczące śmierci Chazarrety ograniczają się do suchej informacji, że coś takiego zaszło. Potem dzwoni do dwóch czy trzech osób z równie mizernymi efektami. Zadzwoniłby do swojego poprzedniego szefa, Zippa, on zawsze miał dobre informacje, najlepsze. Zippo jednak to teraz konkurencja, więc chłopak nie jest pewien, czy będzie tak skłonny do rozmowy, jak bywał w redakcji, zwłaszcza z nim, którego od kiedy zmienił dziennik, uważa nie tylko za zdrajcę, ale też za idiotę. Zadzwoniłby też do Jaimego Breny, lecz dzwonił przecież już trzy razy i Brena nie oddzwania. Poza tym jego dziewczyna czeka na niego w łóżku, mają obejrzeć najnowszy odcinek *Chirurgów*, więc dziś już chyba trzeba odpuścić. Podczas gdy chłopak z kryminalnego zamyka programy i wyłącza komputer, Paula Sibona i Carmen Terrada w taksówce, którą wracają razem do swoich domów, rozmawiają

o tym, jak bardzo niepokoi je ryzyko, że Nurit znowu wpadnie w niszczycielskie łapy Rinaldiego. Choć nie mogłyby dać głowy, że na jej miejscu nie postąpiłyby tak samo. Ścisłej mówiąc, są pewne, że tak by zrobiły. I jeszcze gorsze rzeczy też. Przykładów nam nie brakuje, lepiej tego nie przypominać, mówi Paula. A Carmen Terrada dodaje: Ja o wszystkim zapomniałam, przysięgam. Ale tu nie chodzi o nie, tylko o Nurit Iscar, a ich obowiązkiem jako przyjaciółek jest nie tyle zrozumieć ją, ile zadbać, żeby Lorenzo Rinaldi nie zrobił jej znów krzywdy. W tym samym czasie Gladys Varela, od kiedy wróciła z La Maravillosy, opowiada wszystkim w swojej dzielnicy o tym, co się stało. Jest północ, sąsiedzi siedzą u niej w domu i dyskutują o śmierci jej pracodawcy. Dziś ona jest prawdziwą celebrytką. Gdyby śmierć Chazarrety nie nastąpiła na terenie *country*, byłabym pewnie w telewizji, narzeka. Tylko że do *countries*, o czym Gladys Varela dobrze wie, kamery bez pozwolenia nie mają wstępu, praktycznie nawet policja, jeśli nie ma nakazu, tak będzie, dopóki nie zostaną zmienione przepisy, co gubernator obiecał, więc gdyby ktoś chciał z nią nagrać wywiad, to albo u niej w domu, albo w kolejce przed wejściem do La Maravillosy. Chociaż Gladys Varela zdaje sobie sprawę, że teraz nie będzie stała w tej kolejce przynajmniej przez jakiś czas. Nie ma już pracy ani pracodawcy w La Maravillosie. Będzie musiała rozejrzeć się za czymś nowym; trzeba się tym zająć szybko, ale nie tak od razu. Powiedziano jej, że przy wejściu do *country* pytają o nią ludzie z jakiegoś dziennika telewizyjnego, chcą ją zabrać do studia, lecz pod jej adres jeszcze nie dotarli. Powiedziano jej, że za takie występy można zażądać konkretnej kasy. Tak jej mówili, wciąż jej to powtarzają. Może niech się przejdzie pod wejście do La Maravillosy jutro rano, sprawdzi, czy dziennikarze wciąż tam są, przedstawi się. Tak, tak zrobię, myśli Gladys Varela w chwili, gdy Karina Vives puszcza u siebie w domu na komputerze muzykę klasyczną i zbiera się pod prysznic. Przypomina sobie, co Brena opowiedział jej o śmierci Chazarrety, i zastanawia się, czy wiadomość przeciekła już do telewizji, ale nie jest tego aż tak ciekawa, żeby zakłócać panujący w mieszkaniu spokój i włączać telewizor, szukać po kanałach. Tak, bez wątpienia Chazarreta i jego zabójstwo mało ją obchodzą w tej chwili, jeszcze się jutro w redakcji nasłucha. Zastanawia się też, czy chłopak z kryminalnego wiedział, co zrobić z informacją zapisaną na różowej karteczce, o której powiedziała mu na polecenie Breny. I obawia się, że nie wiedział. Właściwie nie tyle obawia się, ile wie; tyle że w sumie co ją obchodzą problemy chłopaka z kryminalnego? Pod prysznicem, z *Carmina Burana* Carla Orffa na cały regulator i w potokach ciepłej wody spływającej jej po plecach, Karina Vives nie myśli już ani o Chazarrecie, ani o chłopaku z kryminalnego, ani o Jaimem Brenie, tylko o tym, czy to już jest ten moment, kiedy powinna podjąć decyzję i poinformować ludzi w redakcji, że jest w ciąży. Ma nadzieję, że nikt nie zapyta, kto jest ojcem. Bo jeśli czegoś naprawdę nie lubi, to tłumaczyć się. I żeby nie docierały do niej głupie żarciki czy kretyńskie pytania w rodzaju, jakie zamierza dać dziecku nazwisko. Karina Vives wsuwa głowę w strumień gorącej wody i odpręża się, a tymczasem jakieś trzydzieści przecznic dalej Jaime Brena wchodzi do swojego mieszkania. Jest prawie jedenasta wieczorem, niesie ze sobą paczkę z trzema empanadami faszerowanymi mięsem, które kupił w piekarni za rogiem. Wcześniej trochę spacerował, poszedł do kina, ale zasnął na filmie, zadzwonił do Iriny, żeby zapytać, kiedy może wpaść po książki, co zostały w ich kiedyś wspólnym mieszkaniu – domaga się ich zwrotu, od kiedy się rozstali, to już dwa lata – lecz Irina nie odbiera telefonu. Czy jej się wydaje, że książki, które człowiek kupuje, kierując się swoimi gustami, skłonnościami, wędrówkami i błędami, że osobista biblioteka budowana przez całe życie to także jest majątek wspólny? zastanawia się. A jest? Nie, nie jest, ona może sobie myśleć, co tam chce. Nawet jeśli kodeks cywilny mówi coś innego, on jest przekonany, że byłby w stanie wybronić w sądzie tezy, że osobista biblioteka nie wchodzi w skład wspólnego majątku. Nie i kropka. Jakby mogło być inaczej! Jaime Brena czuje, że gdyby jego była żona czy jakakolwiek inna kobieta, z którą w życiu był związany, zatrzymała jego książki, wyszłoby na jedno, jakby nie chciała mu oddać jego ubrań, butów, zeszytów z zapiskami z tych wszystkich lat czy zdjęć matki. Tak naprawdę to nie są zeszyty, tylko takie kołonoatniki, w których kartki prze-

wraca się nie z boku na bok, tylko do góry. Tam zapisuje każdego dnia, z kim i o czym rozmawiał. Na wszelki wypadek, gdyby ktoś złożył zażalenie, gdyby go pytano, skąd ma daną informację. Żeby być krytym. A pod każdym dniem rysuje dwie długie kreski. Buty i skarpetki przyniósł w torbie, z którą wyszedł z ich wspólnego mieszkania. Zdjęć matki nigdy nie miał. Kołonoatniki ma, Irina mu je przesłała tego samego dnia, w którym wynajął sobie mieszkanie i wyprowadził się z dwugwiazdkowego hotelu, gdzie spędził pierwsze dni samotnego mężczyzny. Ale książek nie odesłała. Czasami, jest tego świadom, kobiety wyrównują długi na swoje specyficzne sposoby. Minał dom, ten, w którym mieszkali razem z Iriną przez prawie dwadzieścia lat, lecz nie odważył się zadzwonić. Portier go poznał i pozdrowił szorstkim gestem, robiąc grymas, jakby chciał cmoknąć, i pokręcił głową kilka razy, co Brena uznał za wyraz krytyki wobec kobiet i męskiej solidarności. Znowu przypomniał mu się pies. Wyobraził sobie siebie, Jaimego Brenę, wyprowadzającego psa na spacer. Podoba mu się ten pomysł. Zdecydowanie musi spróbować, jakoś niedługo sprawi sobie psa. Gdyby wcześniej się zdecydował, gdyby już miał tego psa, teraz wszedłby z mięsnymi empanadami do domu i pies powitałby go, merdając ogonem, kręciłby się dookoła, obwąchiwał paczkę, a on miałby poczucie, że pies cieszy się na widok swojego pana, cieszy się, że Jaime Brena wrócił do domu. I że zwierzę jest w tym szczere. Bo pies nie kłamie. Nie może machać fałszywie ogonem. Poza tym pies nie zatrzyma sobie biblioteki, którą ktoś kompletował przez całe życie, a kiedy dzwoni w tej sprawie, nawet się jego telefonów nie odbiera. Pies nigdy by czegoś takiego nie zrobił ani nic podobnego. Jaime Brena najpierw kładzie empanady na stole, a potem zapala światło. Kiedy ma już odłożyć klucze na stoliku przy drzwiach, zdaje sobie sprawę, że z boku przy drzwiach leży papierowa koperta, którą musiał przed chwilą nieświadomie ominąć. Do: Jaimego Breny. Od: komisarza Venturinięgo. Otwiera, w środku znajduje się urzędowy formularz z nagryzmołonymi zdaniem, a do niego przyczepiony spinaczem mniejszy papierek, na którym czyta: Brena, przyjacielu, będziesz musiał mi zrobić kąpiel w Dom Pérignonie. Przesyłam ci uwagi techników z miejsca zdarzenia. Zapisalem to dla ciebie i przesyłam to przez człowieka z policji miejskiej, który będzie przechodził obok. Oczywiście nie ma to mocy wyników autopsji, na to trzeba będzie poczekać, ale masz informacje z parodniowym wyprzedzeniem, a z tego, co powiedzieli ci, co się na tym znają, wyniki autopsji będą zasadniczo takie same. Już dostatecznie dużo półgłówek powtarza jakieś bzdury. Uściski, komisarz Venturini. Jaime Brena nie wie, czy zacząć od zawartości koperty, czy od empanad, acz że kuchenka mikrofalowa szwankuje ostatnio, uznaje, że lepiej zjeść, zanim wystygnie. Już nawet nie pamięta, jak się podgrzewa jedzenie na parze. A piekarnika nie włącza i nie zamierza włączać przez resztę życia. Nalewa sobie resztkę caberneta sauvignon, który został w butelce otwartej dwa dni temu, i włącza telewizor. Szuka wiadomości. Jak się spodziewał, śmierć Chazarrety znajduje się wśród newsów dnia, lecz ewidentnie wciąż nie mają za wiele do powiedzenia, bo zapełniają czas materiałem o zabójstwie Glorii Echagüe, w pewnym momencie na jednym z kanałów widzi nawet siebie z trochę bujniejszą czupryną niż dziś i znacznie mniejszym brzuchem, jak relacjonuje sprawę. Nic nowego, nic ważnego. Kiedy kończy się jego relacja, zanosi nieliczne zabrudzone naczynia do zlewu i zalewa wodą. Bierze kopertę przyslaną przez komisarza Venturinięgo i idzie do sypialni. Jest zmęczony, pewnie szybko zaśnie. Zdejmuje buty i ubranie. Bokserki, które ma na sobie, wyglądają fatalnie, kiedyś były czarne, dziś jednak trudno je nazwać szarymi. Będzie musiał sobie kupić nowe slipy. Przedtem kupowała mu je Irina. Ale to nie może być takie trudne. Kładzie dużą poduszkę w dole łóżka, żeby położyć wyżej nogi dla poprawy krążenia. Bierze notatkę komisarza Venturinięgo i czyta. Ciało znaleziono na fotelu z zielonego pluszu, w prawej ręce nóż do pieczystego, a u stóp szklanka whisky. Praktycznie pusta butelka po whisky tkwi na fotelu między ciałem Chazarrety a poręczą. Rana na gardle mierzy mniej więcej szesnaście centymetrów. Cięcie biegnie od lewego wyrostka sutkowatego i kończy się w prawym trójkącie bocznym szyi. Końcowa część rany ciętej jest dłuższa niż początkowa. I płytsza. Rana biegnie prosto, równoległe do podłogi oprócz końcowej części, kiedy wznosi się do góry. Cięcie

rozdziela więzadło pierścienno-tarczowe i odsłania przedsionek krtani. Krańce są dobrze rozdzielone i ostre. Rozcięte płaty są czyste i niepołączone. Nie widać śladów usiłowań innych cięć ani ran sugerujących stawianie oporu. Plama krwi widoczna u stóp fotela w czasie oględzin nie ma już żywoczerwonej barwy, co oznacza, że od zabójstwa upłynęło nieco czasu. Jednak nie za wiele, jako że krew dopiero zaczyna krzepnąć. Możliwe, że śmierć nastąpiła w wyniku zatoru gazowego, a nie wyłącznie w efekcie utraty krwi, jako że cięcie jest tak głębokie, że powietrze dostało się do naczyń żylnych. Brena odkłada notatki obok łóżka. Nie stara się wyciągnąć wniosków, jest zbyt zmęczony. Nawet nie ma pewności, czy jutro rano będzie pamiętał, co czytał. Jakie to w ogóle ma znaczenie, przecież nie musi się tym zajmować. Jego obowiązkiem jest informowanie społeczeństwa, że 65 procent kobiet rasy białej śpi na plecach, a 60 procent mężczyzn na brzuchu, ale to zostało na jutro, dziś już wysłał tekst o pieczeniu na ruszcie. Na tym dziś polega jego dziennikarska misja po ponad czterdziestu latach pracy. Czuje pogardę. Nie wie, czy do siebie, czy do Rinaldiego, czy może do tej dziwnej rzeczy, w którą zmienił się ten zawód. Jego zawód. Jutro musi znów się przyjrzeć zwolnieniu na własne życzenie. Poddać się procedurze, jak to brzmi. Siada na łóżku i wysuwa szufladę nocnego stolika. Przed pójściem spać powinien oddzwonić do chłopaka z kryminalnego, dowiedzieć się, czego chce, i przekazać właśnie otrzymaną informację, której już w sumie nie pamięta, zdaje sobie sprawę. Nie wie, czy on, ten chłopak, na to zasługuje, acz nigdy nie wiadomo, kto na co zasługuje. A komisarz Venturini zadał sobie tyle trudu, że głupio by to było zmarnować. Tak, musi zadzwonić do chłopaka z kryminalnego. W otwartej szufladzie Jaime Brena po omacku szuka puszek, w której trzyma rozdrobioną marihuanę, niewielkiej puszczonej po pastylkach cytrynowych, a telefon zostawia na później. Odkręca wieczko, niewiele trawki zostało, na dwa, trzy skręty, może na cztery, jak się uda. Przegląda szufladę, czy przypadkiem nie ma jeszcze jakichś resztek ostatniego zakupu, ale niczego nie znajduje. Trzeba będzie namierzyć dilerów przed piątkiem, jeśli nie chce zostać bez zapasów na weekend. I tym razem, jak będą gadać, poskarży się na jakość: za dużo łądygi i nasion. Bierze paczkę papierosów Virginia Super Slims, wyciąga jednego i wysypuje tytoń do popielniczki. Chciałby nauczyć się skręcać, lecz zawsze miał niezręczne dłonie, a na tym etapie już za późno na naukę. Virginia Super Slims napakowane trawką nie są złe. Opiera pustego papierosa o dno puszek i posuwa nim jak łopatką, żeby marihuana dostała się do środka. Podnosi papierosa, potrząsa nim lekko, by zawartość opadła i zrobiło się jeszcze trochę miejsca. Powtarza tę czynność kilkakrotnie, aż papieros się wypełnia. Jeden koniec zgniata. Zapala, zaciąga się, zatrzymuje dym w ustach, a potem powoli wypuszcza. Dzwoni do chłopaka z policyjnego, ale on właśnie bzyka się ze swoją dziewczyną, więc nie odbiera. Brena odkłada telefon na bok na łóżku i znów się zaciąga. Wsuwa się w pościel. Rozluźnia się. Czuje, jak jego ciało mięknie, przede wszystkim w pasie. Uśmiecha się. Zaciąga się jeszcze raz i gasi skręta, ostrożnie, żeby w innej chwili móc zapalić znowu tego sfalszowanego Virginia Super Slim. Zapisane przez komisarza Venturiniego strony spadają z łóżka i osuwają się na parkiet. Chłopak z kryminalnego leży przez chwilę obok swojej dziewczyny, potem całuje ją w czoło i idzie do łazienki. Dopiero kiedy wraca, zauważa na ekranie swojej komórki nieodebrane połączenie od Breny. Nie słyszałaś, że telefon dzwonił? pyta dziewczynę obrażonym tonem, jakby to była jej wina, że nie odebrał. Chłopak z kryminalnego oddzwania do Jaimego Breny. Telefon dzwoni gdzieś w fałdach pościeli Breny, który już śpi. Włącza się poczta głosowa. Chłopak rozłącza się, nie zostawiając wiadomości, dzwoni ponownie i znów włącza się poczta. Klnie. Obraca się plecami do dziewczyny i przykrywa kołdrą. Zamyka oczy, nie wypuszcza z dłoni telefonu, a nuż oddzwoni. Dziewczyna odwraca się w drugą stronę. Jaime Brena śpi rozluźniony, głęboko, w tej chwili nie istnieją dla niego ani Chazarreta, ani wcześniejsza emerytura, ani mężczyźni i kobiety rasy białej. Jeśli mu się coś śni, to na pewno nie oni. Gdyby śniło mu się coś z tych rzeczy, nie miałby tego spokoju na twarzy. Obok niego rozświecła się ekran telefonu, dzwoni chłopak z kryminalnego. Masz 2 nieodebrane połączenia, numer nieznany.

Czarne spodnie i lekka bluzka, nie za bardzo prześwitująca, acz sugestywna. Takie wskazówki podała Paula Sibona w kwestii stroju, jaki Nurit Iscar powinna włożyć na spotkanie z Rinaldim nazajutrz. Nieważne, że między nimi nic już nie ma. Nieważne, że Nurit przyjęła to zlecenie z wyłącznie zawodowych powodów. I żeby mieć na utrzymanie. I żeby naprawić błędy z przeszłości. Nikt nie może iść na spotkanie dawnej miłości po latach, zwłaszcza w wieku tak niewdzięcznym dla kobiety jak pięćdziesiąt plus, bez choćby minimum zabiegów upiększających, powiedziała jej przyjaciółka. I Nurit Iscar wie, że przyjaciółka ma rację. On, Lorenzo Rinaldi, będzie wyglądał jak zawsze, domyśla się. Ma absurdalne poczucie, że te trzy lata minęły tylko dla niej. Na zdjęciach towarzyszących wstępniakom Rinaldi prezentuje się tak samo jak dawniej. Ale Nurit nie wie, czy wierzyć, że dziennikarze po przekroczeniu pewnego wieku nie aktualizują tych małych fotek towarzyszących ich artykułom. Tak jak i pisarze swoich zdjęć na skrzydełkach książek. Jeśli któreś dobrze wyszło, zostaje już na zawsze. I choć wie doskonale, że zdjęcia kłamią, nie może się pozbyć tej absurdalnej myśli: on na pewno się nie zmienił. Tak, Lorenzo Rinaldi się nie zmienił. Mężczyźni nie sypią się po pięćdziesiątce: albo życie już wcześniej ich zniszczyło, albo robi to później. Ona, jako że nie jest taka jak wtedy, musi to zamaskować. Albo zrekompensować. Albo poszukać odpowiedniego ubrania, które podkreśli to, co należy podkreślić, a schowa to, co trzeba schować. Na przykład straciła talię. Brzucha nie ma, z czego się cieszy, choć talia zniknęła. Tyłek jej opadł, nie jakoś dużo, lecz wystarczająco, by w dzinsach robiły się jej dwie czy trzy fałdki pod pośladkami. Bardziej opadły uda, rozjechały się na boki i pomarszczyły. Skóra na nogach zaczyna robić się przezroczysta, i to nie tak jak u dzidziusiów, tylko jak u starców. Poza tym obok żylaka, którego nienawidzi i który towarzyszy jej od dawna – chciała sobie nawet zrobić operację, ale kiedy jej opisali, że będą musieli go z niej wypruć czymś w rodzaju szydła, bo to żyła biegnąca przez całą nogę i do tułowia dostaje się przez pochwę, o mało nie zemdląca i z miejsca odrzuciła możliwość zabiegu – na łydkach powychodziły jej pajęczki. Za to właściwie nie rosną jej nowe włosy, co stanowi jedną z nielicznych zalet starzenia się. Ma już trochę plam na twarzy, obiecuje sobie jednak, że kiedyś je usunie mikrodermabrazją diamentową albo laserowo, tak jak Viviana Mansini. Pozwoli sobie na to w roku, w którym uda jej się napisać kilka takich książek, jak *Rozplącz swoje supły*, bo po nich będzie mieć co prawda sieczkę w głowie, ale też solidny zapas na koncie. Za to na rękach nie ma plam. Nie ma też wielu zmarszczek na twarzy. Ani na szyi, która straciła na sprężystości, choć skóra jej jeszcze nie obwisa. W jej rodzinie nikt nie był zbyt pomarszczony, ani matka, ani babcia, więc zakłada, że będzie kontynuować tradycję kobiet o napiętej skórze. I nie tylko skórze. Piersi jej nie opadły, rozeszły się w miarę równo na boki, w górę i w dół. Czuje, że zaczynają się teraz bliżej obojczyków, i wie też, że robi jej się wyraźny rowek między piersiami, czego nigdy wcześniej nie miała. Nurit zadowolona się tym, że jak na swoje pięćdziesiąt cztery lata trzyma się naprawdę dobrze. W tym sensie nie przypomina Betty Boop, nie jest postacią z kreskówki, rysunkowa kobieta zachowuje swoje loki, usta, nogi w idealnym stanie, podczas gdy jej ciało, ciało Nurit Iscar, Betibu, zmienia się z roku na rok. Jak by wyglądała Betty Boop w wieku pięćdziesięciu paru lat? zastanawia się. Na pewno narysowaliby ją z miną zmartwioną – taką jak ona zapewne ma dziś, kilka minut przed spotkaniem z ostatnim mężczyzną, w którym była zakochana – ze względu na to, jak wygląda jej ciało. Nie przypomina sobie, żeby ostatnimi czasy rozmyślała nad swoimi plamami, utraconą talią czy o swoich udach. Tak naprawdę nigdy specjalnie się takimi sprawami nie przejmowała. Jednak dzisiaj, kiedy ma ją zobaczyć Lorenzo Rinaldi, chciałaby – musi to przyznać – prezentować się przynajmniej z godnością. Godne ciało.

Jak długo kobieta poczuwa się do obowiązku, by wyglądać „ładnie”? Pięćdziesiąt cztery lata. Chciałaby mieć trochę mniej. Nie oczekuje dwudziestu czy trzydziestu. Czterdziestu czterech albo pięciu, raptem dekady mniej. Musiałaby się rozejść z mężem, kiedy chłopcy byli mniejsi, ale i tak dobrze by ich wychowała, tego jest pewna. To był jej najlepszy czas. Tyle że wtedy tego nie wiedziała, a teraz to nie ma znaczenia. Nie da się cofnąć czasu. Można tylko podkreślić to, co warto podkreślić, i ukryć to, co trzeba ukryć.

Dlatego przystaje na propozycję przyjaciółki, żeby włożyć czarne spodnie, chociaż zważywszy na to, że ma stamtąd jechać prosto do *country*, powinna wybrać džinsy. Podmiejskie osiedla wymagają dżinsów, szortów albo innych krótkich spodenek, których ona nie nosi przez tę nieszczęsną żyłę. Czarne spodnie to niezły pomysł. Ale lekką koszulę zasugerowaną przez Sibonę zmienia na białą koszulkę z rękawami trzy czwarte i raczej mocno wyciętym dekoltem podkreślającym jej piersi, czyli tę część ciała, którą Nurit Iscar ocenia jako dobrze się prezentującą mimo tej ich ekspansji.

Wysiada z taksówki z walizką i idzie do recepcji dziennika. Wdaje się w krótką wymianę zdań z recepcjonistką na temat, czy może, czy jednak nie może wejść do pomieszczeń redakcyjnych z bagażem, w końcu wychodzi po nią sekretarka Rinaldiego i to rozwiązuje sprawę. Jak się pani ma, pani Iscar? Dawno tu pani nie widziałam, mówi kobieta w drodze do windy, a Nurit nie jest pewna, czy ton, jakim wymawia zdanie „dawno tu pani nie widziałam”, zawiera nutkę ironii, czy nie. Może po prostu ona czuje się wciąż zaszczuta przez przeszłość. Prawda, dawno tu nie byłam, odpowiada. Sekretarka towarzysząca jej dzisiaj pracowała na tym stanowisku także w czasach jej romansu z Rinaldim i nieraz dzwoniła do niej w imieniu szefa, żeby przekazać jakieś informacje, w większości wypadków dla Nurit upokarzające, na przykład: Pan Rinaldi prosił, by przekazać, żeby pani na niego nie czekała, nie da rady przyjść. Albo przesyłała jej różne rzeczy od niego: wejściówki na jakiś spektakl, na który mieli iść razem, ale potem Rinaldi w ostatnim momencie odwoływał wyjście, bilety, kwiaty, czekoladki. Nurit Iscar zdaje sobie sprawę, że przez to, że ich romans był przez Lorenza Rinaldiego ukrywany, ona dziś czuje się wciąż niezręcznie. Jakby w spojrzeniu tej kobiety kryło się coś w rodzaju osądu. Albo jakby ona oceniała siebie poprzez spojrzenie sekretarki. Chociaż Nurit odeszła od męża, chociaż nikogo nie zdradzała i nie musiała się ukrywać, i tak czuje się z tym niezręcznie. A może tak naprawdę przeszkadza jej, irytuje ją i upokarza, że ta kobieta wie, że Rinaldi nie wybrał jej, Nurit, że w odróżnieniu od niej wybrał małżeństwo i potajemny romans tak długo, jak długo się da, i nic więcej? Wybór. Nie jest łatwo pogodzić się z tym, że nie jest się tą wybraną, myśli, zawsze ma się nadzieję, że jednak się nią będzie. Sekretarka prosi, żeby usiadła w pomieszczeniu przed gabinetem Rinaldiego, i proponuje jej kawę. Nie, dziękuję, odpowiada Nurit. Skoro już wcześniej pobolewał ją żołądek, biurowa kawa podgrzewana w kółko przez dwadzieścia cztery godziny na pewno jej nie pomoże. Kilka minut później na korytarzu zjawia się młody mężczyzna, mówi: Rinaldi na mnie czeka, i rusza ku drzwiom gabinetu, nie czekając na pozwolenie sekretarki, jakby nawet nie zakładał, że jakieś pozwolenie jest mu potrzebne. Ale kobieta osadza go krótko: Pan Rinaldi ma spotkanie także z panią; siadaj, za chwilę was poprosi. Jednocześnie? nie rozumie tamten. Nurit nic nie mówi. Jednocześnie, potwierdza sekretarka i wstaje, żeby skserować jakieś papiery. Mężczyzna obraca się w stronę Nurit, robi ruch głową, niewystarczający jednak, żeby uznać go za prawdziwe powitanie, i mówi: Czyli trzeba będzie poczekać. Ona uśmiecha się i powtarza: Trzeba poczekać. Chłopak z kryminalnego nie siada obok niej, tylko staje przy oknie i patrzy na zewnątrz niewidzącym spojrzeniem.

Kilka minut później oboje, Nurit Iscar i chłopak z kryminalnego, siedzą w gabinecie Lorenza Rinaldiego. Pewnie już się poznaliście, i choć nie jest to prawdą, Rinaldi mówi dalej, jakby wszyscy wiedzieli, kto jest kim. Nurit Iscar zajmie się sprawą i potraktuje ją z perspektywy dobrze napisanej non fiction, mówi Lorenzo Rinaldi. Non fiction, powtarza chłopak z kryminalnego. A ty zajmiesz się robotą śledczą, bardziej policyjną, czysta technika dziennikarska, rozumiesz? Mniej więcej. Ona się wprowadzi do La Maravillosy, wynajęłam dla niej dom, wmiesza się w tamtą społeczność, będzie słuchać, obserwować

i pisać. Mnie taka praca w terenie też by leżała, mówi spokojnie chłopak z kryminalnego, starając się, by ten komentarz nie zabrzmiał jak uskarżanie się. Choć tak naprawdę właśnie tym jest. Będiesz to kompensował, szukając dobrych kontaktów, a oczywiście jeśli Nurit czegoś się dowie, uprzedzi cię; ty tak samo: kiedy tylko znajdziesz coś konkretnego i ważnego, dzwonisz do niej albo piszesz mejl. Tam jest komputer z wi-fi i wszystko, co potrzebne, żeby być w ciągłym kontakcie. Masz przysyłać swoje teksty prosto do mnie, mówi do chłopaka, nie przez sekretarza redakcji, ja sam będę to nadzorował. Teksty Nurit będą się ukazywać od jutra albo od pojutrze, jeśli dziś nie uda się wyszykować niczego przed zamknięciem numeru, mówi Rinaldi, a potem dodaje: Trzymaj dla niej pół strony. Pół strony? upewnia się chłopak. Tak, uważasz, że to mało czy dużo? pyta Rinaldi, choć odpowiedź zna. Nie, nie twierdzę, że to mało albo dużo, zależy od tego, co tam będzie do opowiedzenia, ale jeśli oddamy pół strony na pani tekst, braknie nam miejsca na coś innego, protestuje chłopak. Jeśli masz tak dużo świetnego materiału i brakuje ci miejsca, damy na teksty Nurit dodatkową stronę, poza twoim działem, tak że się nie przejmuj, mówi Rinaldi, patrząc prosto w oczy chłopakowi, który stara się jak może nie spuścić wzroku. Nurit czuje się niezręcznie jako świadek tej zawołowanej próby sił, lecz nie włącza się, nie powinnam się w to mieszać, myśli. Nie chciałyby zaczynać zlecenia od konfliktu z chłopakiem z kryminalnego, tym bardziej że nie wie jeszcze, czy to on, czy sam Rinaldi będzie redagował jej teksty, przycinał w razie potrzeby, dodawał materiał ilustracyjny, wymyślał nagłówki i może nawet zmieniał tytuły. Nie będzie ważniejszej rzeczy dla naszych czytelników od tekstów Nurit Iscar, podsumowuje Rinaldi, uznając rozmowę za zakończoną. Nurit, wysyłaj wszystko do mnie i jemu do wiadomości, ale... – i teraz zwraca się wprost do chłopaka – jej materiał idzie bez cię i bez przeróbek. Okej, odpowiada chłopak z kryminalnego, który na tym etapie chce jedynie stamtąd wyjść. I zadając następne pytanie, Lorenzo Rinaldi daje mu taką możliwość: Masz coś do jutrzejszego wydania? Pracuję nad tym, kłamie chłopak, a potem dodaje: Jeśli to wszystko, to lecę, mam parę pilnych telefonów jeszcze.

Nic się nie zmieniałaś, Betibu, mówi Rinaldi, kiedy zostają sami w gabinecie. I choć Nurit wie, że to kłamstwo, uśmiecha się: Ty też, odpowiada. Nie, nie, mylisz się, prezydent, którego teraz mamy, postarza mnie o dwa, trzy lata z każdym rokiem swojej kadencji. Czyli to też jest wina prezydenta? Co? Twoja siwizna i zmarszczki? Tak, oczywiście, nikt mnie tak nie zirytował i nie rozczarował w ciągu tych ostatnich lat jak on. No tak, już sobie wyobrażam taki nagłówek w najbliższych dniach: „Redaktor naczelny *El Tribuno* cierpi na przedwczesne starzenie z winy prezydenta kraju, który odmawia wypłaty należnego odszkodowania”. Cóż za dowcip, tylko mi nie mów, że ty mu wciąż wierzysz. Ani jemu nie wierzę, ani nikomu innemu, wam też nie. Poważnie? Tak, najzupełniej poważnie. No to jak sobie wyrabiasz opinię o tym, co się dzieje w kraju? Nie obchodzi cię to w ogóle? Pewnie, że mnie obchodzi, bardzo obchodzi, czytam wszystkie gazety, wszystkie, twoją też, a potem, opierając się na własnym zdrowym rozsądku, wyciągam średnią. Sporo roboty! Takie czasy, zmuszacie nas do tego. Ty zawsze byłaś nieufna, Betibu. Nie-wystarczająco, odpowiada i zmienia temat: Będę się już zbierać, długo się jedzie do tego osławionego *country*? Sądziś, że coś dziś zdołasz napisać? Nie naciskaj tak, Rinaldi. Kiedyś lubiłaś, jak cię naciskałem. To było kiedyś, odpowiada, teraz jesteśmy dorośli. Upłynęły tylko trzy lata. Ale ja je mierzę tak samo jak ty lata rządów prezydenta, mówi Nurit i uśmiecha się. On też się uśmiecha. Odprowadza ją do drzwi i na odchodnym mówi jeszcze: Brakowało mi ciebie, Betibu. I chociaż ona, Nurit Iscar, czuje, że te słowa wbijają się w nią jak szpilka gdzieś w plecy, stara się iść dalej tak, jakby ich nie usłyszała. Jak tylko będę miała coś sensownego, wyślę ci, mówi i wychodzi.

Nurit Iscar przemierza korytarz biegnący wzdłuż pomieszczeń redakcyjnych, robiąc, jak na jej gust, trochę za dużo hałasu kółkami walizki. Czy można regulować geometrię i zbieżność kół walizek? zastanawia się. Chłopak z kryminalnego widzi ją, więc odwraca się plecami, żeby nie musieć znów jej pozdrawiać. Karina Vives stoi przy kserokopiarce i poznaje ją, ale Nurit właściwie jej nie zauważa, nie wie, że zna tę

osobę, bo nie widziała jej twarzy, lecz gdyby ktoś wymienił jej nazwisko, gdyby powiedział: Karina Vives, od razu skojarzyłaby, że to ta kobieta na łamach *El Tribuno* opublikowała recenzję, która zmiażdżyła jej ostatnią powieść, *Tylko jeśli mnie kochasz*. Jaime Brena, który właśnie wysiadł z windy, też ją mijają na korytarzu. Dzień dobry, mówi. Dzień dobry, odpowiada mu. Nie znają się, to znaczy nikt ich sobie nigdy nie przedstawił, ale wiedzą o sobie. Oboje mają znane twarze i oboje w jakimś momencie zainteresowali się, mniej lub bardziej, pracą tego drugiego. Jaime Brena odsuwa się na bok, tak że Nurit może przejść z walizką. Dziękuję mu. Tyle że kółka walizki nie reagują jak powinny i ostatecznie walizka przejeżdża po prawej stopie Breny. O Boże, przepraszam, co za niezdara ze mnie. Proszę się nie przejmować, odpowiada jej, od dłuższego czasu wybieram się do pedikiurzystki. Brena się uśmiecha, Nurit odpowiada uśmiechem, choć wciąż jest trochę skrepowana swoją niezdarnością. Miłej podróży, mówi jej, kiedy już się rozchodzą każde w swoją stronę plecami do siebie. Nurit Iscar odpowiada: Dziękuję, i wsiada do windy. Brena rozsiada się za biurkiem. Od razu podchodzi do niego chłopak z kryminalnego. Dzwoniłeś wczoraj wieczorem, mówi. Tak, nikt nie odbierał, a potem zasnąłem. Co tu robiła Betibu? Kto? Nurit Iscar. A, Rinaldi ją zatrudnił, żeby pisała non fiction na temat zabójstwa Chazarrety, odpowiada chłopak, wymawiając słowa „non fiction” z pewną ironią. Niezły pomysł, ona to może świetnie zrobić, stwierdza Brena. Ale dlaczego, kto to jest? Chłopie, czy ty się dzisiaj urodziłeś? Nie znam jej. A powinieneś, to jedna z niewielu autorek powieści kryminalnych, jakie mamy w Argentynie, nie czytałeś *Śmierci na raty*? Nie. Więc musisz przeczytać, to i wszystko, co się tylko da, żeby otworzyć sobie głowę. Nie mam czasu, najwyżej na wakacjach zdarza mi się poczytać jakąś non fiction. Musisz znaleźć czas, koniecznie, i poczytać literaturę piękną. Jeśli chcesz być dobrym dziennikarzem, musisz czytać literaturę, nie było ani nie ma żadnego wielkiego dziennikarza, który by nie był dobrym czytelnikiem, głowę daję. Jaime Brena wyciąga z kieszeni kopertę, którą dostał wczoraj od komisarza Venturiniego. Masz, przyjrzyj się temu, mam to z dobrego źródła, są tu dane, które ci się mogą przydać. Chłopak bierze kopertę i przebiega oczami po tekście w obecności Breny. Wie, choć doświadczenia mu brakuje, że to, co dostał od Breny, ma dużą wartość. Dziękuję, mówi. Baw się dobrze, odpowiada Brena i bierze się za swój kolejny materiał: noworodki płci męskiej płaczą więcej, częściej i głośniej niż dziewczynki. Banda pedałów, mruczy pod nosem i bierze się za pisanie. Chłopak z kryminalnego wraca i pyta: Powiedziałaś, że jak się nazywa? Kto? No ta laska od kryminałów. Nurit Iscar. Tak, ale wcześniej jakoś inaczej ją nazwałeś. A, tak, Betibu. Przez te jej loki? Fakt, trochę jest podobna, przyznaje chłopak. Parę lat temu wyglądała identycznie jak Betty Boop i tak ją nazywaliśmy: Betibu. Ty i kto jeszcze? A, to już jest sekret zawodowy, kolego. Brena uznaje rozmowę z chłopakiem z kryminalnego za zakończoną, odwraca się w stronę biurka Kariny Vives i mówi: Wiedziałaś, że noworodki płci męskiej więcej płaczą niż płci żeńskiej? A ona mówi: Nie, nie wiedziałam, i oczy nabiegają jej łzami. Coś nie tak? pyta Brena. Alergia, odpowiada mu, o tej porze roku zawsze mi oczy łzawią. Jaime Brena nie wierzy, lecz postanawia uszanować, że koleżanka z redakcji na razie nie chce zdradzić, co ją doprowadza do łez. Będzie na to czas potem, jak wyjdą na chodnik zapalić.

Taksówka, która wiezie Nurit Iscar po jej dość rzucającym się w oczy wyjściu z redakcji *El Tribuno*, wjeżdża na szosę panamerykańską. Dzień jest rześki, lecz świeci piękne jesienne słońce. Dawno już tędy nie jechała, całe wieki. Nurit Iscar pochodzi z południowej części metropolii Buenos Aires, z okolicy zupełnie odmiennej od tej, w której teraz mieszka. Do południowej dzielnicy wraca raz na jakiś czas, żeby się spotkać z koleżankami z gimnazjum numer 2. Jednak to, co widzi teraz po obu stronach Panamericany, oraz to, co widzi, jadąc na południe, to zupełnie inne rzeczy. Przy południowej obwodnicy ciągną się punkty wulkanizacyjne, warsztaty samochodowe, ośrodki sportowe należące do organizacji społecznych i związków zawodowych, jeden uniwersytet, od paru lat hipermarket i nawet przypomina sobie jeden driving range do trenowania golfa. Przypomina sobie też, że przy Panamericanie było kiedyś dużo moteli. Teraz tyle ich już nie ma albo ich nie zauważa przez ten cały postęp widoczny na poboczach autostrady.

Otoczające ją samochody też są inne od tych, które widziałyby, jadąc do swojej starej dzielnicy. Kiedy podąża na południe, samochody robią się coraz starsze, pojawiają się dość rozklekotane egzemplarze z niedziałającym reflektorem i rejestracjami z początku alfabetu. Natomiast samochody, które widzi teraz, im bardziej oddala się od centrum, robią się coraz bardziej luksusowe, coraz nowsze, a na rejestracjach mają H albo I. Centra handlowe, kina, restauracje, fabryki, banki, firmy wszelkiego rodzaju, kliniki. A na skrzyżowaniu Pilar zaskakuje ją zielony kolor pobocza, świeżo skoszone trawniki, porządek po obu stronach szosy. Za rowami melioracyjnymi, przy drogach często jeszcze ziemnych, bez asfaltu, mieszczą się sklepy z dekoracjami do wnętrz, z antykami, prywatne cmentarze, salony samochodów różnych marek, niewielkie budynki biurowe, centra handlowe – *malls*, amerykański wynalazek składający się z obiektów pierwszej potrzeby, z apteki, marketu, kiosku i tak dalej, ze wszystkiego co potrzebne do zaopatrzenia oddalonych od miasta osiedli, restauracja sushi tej samej sieci, która ma lokal w luksusowej okolicy Puerto Madero nieopodal biura jej byłego męża. Myśl o sushi zaprowadziła ją do jej męża, a mąż do synów i wtedy Nurit Iscar zdaje sobie sprawę, że ani Rodrigo, ani Juan nie odpowiedzieli na jej wiadomość, w której uprzedzała ich, że na parę dni znika, i podawała adres, pod którym mogą ją znaleźć. Duzi już są, myśli sobie. Ale pocieszenia to nie daje.

Krótko przez bramkami poboru opłat zauważa pierwsze osiedla *country*. Tego pani *country* z drogi nie widać, mówi szofer, trzeba się zagłębić. Zagłębić, powtarza Nurit bardziej do siebie niż do kierowcy. Na którymś kilometrze od skrzyżowania na Pilar samochód skręca w zjazd po prawej i rusza boczną drogą prostopadłą do Panamericany. Mija kilka przecznic, ponad dziesięć, potem skręca w lewo, przecina drogę sprawiającą wrażenie opustoszałej, następnie mija jeszcze parę przecznic i w końcu zajeżdża pod bramę La Maravillosy. Wciąż stoją tam na straży dziennikarze dwóch stacji telewizyjnych. I wtedy Nurit Iscar musi zmierzyć się z pierwszą trudnością. „Pierwszy test na odporność”, tak to nazwała, kiedy potem opowiadała o wszystkim Carmen Terradzie. W domu nie ma nikogo, kto mógłby udzielić zgody, mówi strażnik. No pewnie, że w domu nie ma nikogo, bo ja się tam właśnie wprowadzam, odpowiada Nurit. Tylko że ja nie zostałem przez nikogo upoważniony, żeby panią wpuścić. Niech pan zobaczy, tu mam klucze, skąd bym je miała, gdybym nie była upoważniona? Nie byłby to pierwszy raz, proszę pani. Proszę w takim razie zadzwonić do właściciela, prosi Nurit. Dzwonimy, ale w domu nikogo nie ma. Pewnie, że nie ma, proszę zadzwonić na inny numer, na komórkę. Nie mamy jego danych osobowych, tylko telefon do domu. Dobrze, ja go namierzę, mówi Nurit. Oczywiście, proszę pani, mówi strażnik, tylko proszę zrobić przejazd, kiedy będzie to pani załatwiać. Już robię, już robię, odpowiada Nurit Iscar i podczas gdy kierowca parkuje z boku, ona dzwoni do redakcji *El Tribuno*, wyjaśnia sekretarce Rinaldiego, na czym polega problem, a ona odpowiada, że zaraz się wszystkim zajmie i żeby się nie przejmować. Nurit Iscar opuszcza szybę i pozwala, by słońce załało jej twarz. Bierze oddech. Spokojnie, proszę pani, mówi taksówkarz, za momencik nas przepuszczą, trzeba mieć do nich cierpliwość, w takich miejscach zawsze tacy są. Ale ona nie ma za wiele cierpliwości, więc zaczyna się irytować. Parę minut później podchodzi strażnik. Taksówkarz zapala silnik. Idzie powiedzieć, że możemy wjeżdżać, mówi. Myli się jednak. Proszę pana, tu nie można parkować. Aha, dobra, już odjeżdżam, mówi kierowca. A niby dlaczego? pyta Nurit, dotykając ramienia taksówkarza na znak, żeby się nigdzie nie ruszał. Bo nie można parkować przed bramą wjazdową *country*, odpowiada strażnik. Nie widzę tu żadnego wystawionego przez stosowne służby znaku drogowego, który by zakazywał postoju w tym miejscu. Bo to jest rozporządzenie *country*, proszę pani. Taksówkarz wzdycha. *Country* nie może rozporządzać tym, co do niego nie należy, ulica jest terenem publicznym, proszę pana. Takie mam rozkazy z góry, upiera się strażnik. Z góry czego? pyta Nurit. No z góry, odpowiada strażnik. Nurit patrzy na niebo. Tam są tylko chmury, stwierdza. Chodzi o władze *country*, wyjaśnia strażnik. Proszę przekazać władzom, że *country* nie może dysponować ulicą ani moim życiem, ani tym, gdzie będę parkować, jeśli nie jest to zabronione mocą decyzji stosownych służb drogo-

wych, powtarza mu. Ale to jest zabronione, proszę pani, pani nie słucha, co mówię. Wydaje mi się, że to pan nie słucha. Proszę się nie irytować, wtrąca się taksówkarz, przestawię auto i po sprawie. Nie, zatrzymuje go Nurit, ja się stąd nie ruszam. Proszę pani, czy nie zdaje sobie pani sprawy, że auto zaparkowane przed bramą wjazdową stanowi zagrożenie dla mieszkańców *country*? Nie, nie zdaję sobie sprawy, a jeśli ktoś tu jest zagrożony, to raczej ja wobec tylu facetów z bronią, na którą jak mi się zdaje, niekoniecznie mają pozwolenie. Macie pozwolenie na broń? Mężczyzna nie odpowiada. Podchodzi inny strażnik. Taksówkarz nalega: Przestawię auto i po sprawie, nie ma się co żołądkować. Ulica należy do wszystkich, powtarza Nurit. Ja wykonuję rozkazy, mówi strażnik, który przyszedł pierwszy. Pani ma zgodę na wjazd, odzywa się ten drugi. Kierowca oddycha z ulgą i rusza na jedynce. Całe szczęście, że nie oni będą pani podawali niedzielny obiad, mówi. Nurit nie rozumie. Gdyby podawali pani obiad, toby napluli do talerza. Trzeba umieć przeciwstawiać się nadużyciom, odpowiada Nurit. Czasami walka jest z góry przegrana, stwierdza szofer. To prawda, zgadza się Nurit. Podjeżdżają pod szlaban i inny strażnik prosi o dokumenty obojga. Taksówkarza dodatkowo o dowód rejestracyjny, zieloną kartę i potwierdzenie ubezpieczenia. Jej robią zdjęcie małym aparacikiem. Żeby panią wprowadzić do rejestru, nie będziemy musieli już pani zawracać głowy, tłumaczy człowiek od szlabanu. Pozwoli pan bagażnik? odzywa się ten sam strażnik do kierowcy, który naciska guzik i kłapa się otwiera, tak że taksówkarz nie musi wychodzić z auta. Nurit Iscar zastanawia się, co się stało z resztą zdania, gdzie się podziały brakujące słowa, pełna składnia. Dlaczego ktoś mówi „Pozwoli pan bagażnik” i omija czasownik? Co to w ogóle ma być za czasownik? Pozwoli zobaczyć, otworzyć, sprawdzić? Dlaczego ten drugi rozumie i zgadza się? Przecież czasowników nie można domniemywać. „Pozwoli pan bagażnik” mogłoby znaczyć: pozwoli pan, że zabiorę bagażnik, opróżnię bagażnik, spalę bagażnik, obsikam bagażnik. Kto ukradł te czasowniki strażnikowi, taksówkarzowi, którzy nawet nie wiedzą, że zostali bez tych słów? Dlaczego nikogo ta kradzież nie obchodzi? Czy kradzież słów to nie przestępstwo? Czy kradnie się samo słowo, czy też to, co ono oznacza? Okej, mówi wreszcie strażnik i przesuwając kartę magnetyczną przez czytnik, w wyniku czego szlaban się podnosi. Przejazd wolny.

Samochód jedzie główną drogą. Rząd wysokich drzew po jednej i po drugiej stronie ciągnie się w miejscu nieistniejącego chodnika. Niektóre gałęzie stykają się ze sobą wysoko. O, to naprawdę mi się podoba, mówi do siebie Nurit. Przyjemność nie trwa jednak długo, bo w miarę posuwania się naprzód korony drzew zmieniają się w zamknięty tunel i Nurit czuje, że się w niego zagłębia, a nie jest pewna, czy da radę z niego wyjść. Tak jak te dzieci w bajkach, co to otwierają jakieś drzwi i wychodzą w innym świecie albo wpadają do studni, która prowadzi je do nieznanego królestwa, albo włączają do szafy, która się kończy, i trafiają do lasu wrózek. Albo wiedźm.

Taksówkarz dociera do celu. Dom nie należy do najbardziej imponujących w La Maravillosie, ale bez wątpienia jest znacznie potężniejszy, zwracający uwagę i elegancki niż jakikolwiek inny dom, w którym Nurit Iscar dotąd mieszkała. Mężczyzna otwiera bagażnik, wyciąga walizkę, stawia ją przy Nurit, a potem podaje jej potwierdzenie, żeby podpisała. No nic, jakby czegoś pani potrzebowała, proszę dzwonić, zostawię pani numer, i podaje jej wizytówkę firmy taksówkarskiej, dla której pracuje. Powiedzieli mi, że za wszystkie pani przejazdy płaci gazeta, zawsze z nimi pracujemy, mają u nas konto, więc pani się niczym nie przejmuje, tylko dzwoni i już. Świetnie, w takim razie będę się odzywać. Ale proszę dzwonić z wyprzedzeniem, bo ja mieszkam w Lanús, tak że to dla mnie ze dwie godzinki, w godzinach szczytu dwie i pół. W Lanús? powtarza Nurit. W zachodnim Lanús, wyjaśnia jej. A co mam robić, jeśli rozboli mnie głowa i będę musiała skoczyć do apteki po aspirynę? Proponowałbym, żeby w takich nagłych sytuacjach prosić strażników o telefon do jakiejś lokalnej firmy, a jak już pani będzie jechać, to lepiej kupić na zapas, zmagazynować sobie, taniej wyjdzie niż jeżdżenie taksówkami przy każdej okazji. Pewnie, zgadza się Nurit, będę robiła zapasy. Taksówka odjeżdża, Nurit Iscar przez chwilę stoi w miejscu na żwirow-

wym podjeździe, z walizką w jednej ręce, kluczami do domu, który do niej nie należy, w drugiej, zastanawiając się, ile to rzeczy musiałaby zmagazynować, by mieć pewność, że nie znajdzie się raptem w nagłej potrzebie z tych, które jak wie, i tak są nie do uniknięcia.

Pod sam koniec dnia chłopak z kryminalnego dostaje jako kopię mejla do Rinaldiego pierwszy tekst przysłany przez Nurit Iscar z La Maravillosy. I czuje nienawiść. Ma ochotę coś kopnąć. Podnosi wzrok i rozgląda się za Jaimem Breną, lecz nie ma go przy biurku, tylko stoi obok Kariny Vives i o czymś rozmawiają. Chłopak idzie w ich stronę. Naprawdę, wszystko w porządku, mówi Karina. Tylko że to dziwne, że przestałaś palić, odpowiada Brena. To przez tę alergię, nie jestem w stanie przyjąć więcej nikotyny, mówi Karina w chwili, kiedy chłopak podchodzi. Jaime Brena stojący plecami do niego odpowiada: No to nie musisz palić, ale chodź mi potowarzyszyć. Ona odmawia, wie, że jeśli wyjdzie na chodnik z Breną, opowie mu o swojej ciąży, a dziś nie jest dzień na to, żeby informować o tym kogokolwiek, nawet jego, najbliższego przyjaciela z całej redakcji. Dlaczego wczoraj, kiedy się kąpała, była pewna, że tego chce, a teraz znowu ma wątpliwości? Nie mając wcale takiego zamiaru, chłopak wybawia ją z kłopotu: Masz chwilkę? pyta Brenę. Mam, odpowiada Brena, z rezygnacją chowa paczkę marlboro do kieszeni koszuli i głową daje znak chłopakowi, żeby podszedł z nim do biurka. Ta kobieta już przysłała artykuł, mówi chłopak. Jaka kobieta? pyta Brena. No ta pisarka, którą Rinaldi posłał do La Maravillosy. Nurit Iscar. Tak, Nurit Iscar, przytakuje chłopak. Naucz się tego nazwiska, mówi Brena. Tak, wiem, ale jestem wnerwiony. O co chodzi? Bo ona wymyśla teorię, która stoi w sprzeczności z moją, więc nie możemy dać mojego tekstu obok jej, bo wyjdzie na to, że mamy schizofrenię. No, trochę mamy. Poważnie mówię, nie mogę dać tego, co przysłała. A w czym się nie zgadzacie? pyta Brena. Ona twierdzi, opierając się na jakichś bzdurach, że usłyszała w supermarkecie, jakoby śmierć Chazarrety to było zabójstwo, a dla mnie jest jasne, że facet sam się zabił. Dlaczego? Miał broń w rękę. To łatwo załatwić, żaden dowód. W domu nie ma śladów walki. W przypadku zabójstwa nie zawsze masz ślady walki, zwłaszcza jeśli zostało dobrze zaplanowane. I nie ma śladów na rękach Chazarrety świadczących o tym, że się bronił. Mogli mu poderżnąć gardło, kiedy spał na fotelu mocno zalany; na razie nie podałeś mi żadnego poważnego dowodu. Czy raport mówi, że prawą rękę miał zalaną krwią? pyta Brena. Chłopaka zaskakuje to pytanie. Nie, nic takiego tam nie ma, bo co? Jeśli nie ma, to na pewno dlatego, że nie miał zakrwawionej ręki: to zabójstwo, człowieka. Na wielu stronach w sieci widziałem, że raczej przeważa wersja z samobójstwem, pełno jest tweetów i retweetów... upiera się chłopak. Tłitów i retłitów, powtarza Brena. A potem dodaje: Wiesz, jaki jest twój problem, chłopcze? Dużo Internetu, mało terenu. Dziennikarz kryminalny uczy się w terenie. Ile razy chowałeś się za drzewem, co? Ile razy dzwoniłeś do świadka zbrodni albo krewnego ofiary, podając się za komisarza Iksińskiego? Ile razy się przebierałeś, żeby się dostać gdzieś, gdzie nie chcieli cię wpuścić? Chłopak nie odpowiada, acz jasne jest, że nie zrobił żadnej z tych rzeczy, o które pyta Brena. Pamiętaj, chłopie, teren i tylko teren, wszędzie się wciskać i dopasowywać do sytuacji: masz być złodziejem, mordercą, zmarłym, współnikiem, co tylko będzie potrzebne, żeby wnikać do ich głów. I odstaw na trochę komputer, za dużo Google'a ci szkodzi. Wiesz, dlaczego Chińczycy go zabraniają? Internet stanie się nowym opium dla mas, nową religią. Chodź, siadaj, mówi Brena i oferuje mu własny fotel. Wysuwa szufladę, wyciąga starą dwudziestocentymetrową drewnianą linijkę, staje za chłopakiem i przykłada linijkę do jego gardła, tak jakby chciał mu je poderżnąć, ale nie wykonuje jeszcze ruchu. Chłopak się wzdyga, kiedy drewno dotyka jego szyi. Brena pyta: Jak przebiegało cięcie? Równoległe do podłogi? Do góry? W dół? Równoległe do podłogi, a pod koniec opada. Zabili go? Skąd to wiadomo? Brena podaje mu linijkę. Poderżnij sobie gardło, mówi. Chłopak patrzy na niego bez słowa. No poderżnij się, powtarza Brena. Bez specjalnego przekonania chłopak robi ruch linijką z lewa na prawo.

Gdzie miałeś rękę na końcu? Trochę niżej. Gdybyś zaczął się wykrwawiać, opadłaby wyraźnie w dół, nie da się podciąć własnego gardła do góry, to ruch sprzeczny z naturą. Sprawdź, czy prawa ręka była zachlapaną krwią, pierwszy strumień krwi musi na nią spaść, musi spaść na rękę, która przecina arterię. Ale na jego dłoniach nie było żadnych śladów walki, upiera się chłopak. Nieważne, cięcie do góry i ręka bez krwi to najmocniejsze dowody, nie było śladów walki, bo Chazarreta nie miał czasu, żeby się obudzić i zareagować. Przekonasz się, że kiedy dojdzie do oficjalnej autopsji, powiedzą, że miał dużo alkoholu we krwi, z pewnością spał, był pijany, może nawet dodali mu coś do whisky, jakiś środek uspokajający na przykład albo kilka różnych, taki koktajl proszków. Czyli ta kobieta może mieć rację. Nie „ta kobieta”, tylko Nurit Iscar. Nurit Iscar albo Betibu. Tak jest, Betibu może faktycznie mieć rację: przekazałeś jej te informacje z oględzin zwłok, które ci podrzuciłem? Nie, nie dawałem jej tego, chciałem to zachować do mojego tekstu. I słusznie, informacjami trzeba dzielić się skąpo, chwali go Brena. Ona się opiera na jakichś kompletnie bzdurnych komentarzach, mówi chłopak, tak jak ci mówię, pisze o rzeczach, które podsłuchiwała, kupując w markecie jogurt i takie tam. Widzisz, to jest teren, ona szuka w terenie, choć może na to nie wygląda, ale w tym wypadku supermarket w La Maravillosie to teren. Dasz mi przeczytać jej tekst? Zaraz ci to wyślę mejlem, mówi chłopak. Nie, wydrukuj mi, ja jestem pokolenie papierowe.

Kilka minut później chłopak przynosi wydrukowany artykuł Nurit Iscar i podaje Jaimemu Brenie, który od razu bierze się za lekturę:

W La Maravillosie panuje całkowity spokój. Człowiek spaceruje sobie po osiedlu w cieniu drzew, wdychając zapachy kwiatów i świeżo skoszonej trawy, i nietrudno sobie wyobrazić, że tu, za tymi murami, nie może wydarzyć się nic złego. Dzieci same biegają po ulicach, jeżdżą na rowerach, w samochodzikach napędzanych akumulatorem, a nawet na trójkołowych pojazdach. Ludzie wciąż zostawiają kluczyki w samochodzie i nie zamykają drzwi domu. Nie ma odgłosów hamowania ani autobusów, nie ma rur wydechowych zatruwających powietrze, bardzo rzadko słyszy się klakson, chyba że akurat jakiś sąsiad pozdrawia drugiego. A jednak, zupełnie jak w filmie Carrie Briana de Palmy (opartym na powieści Stephena Kinga), kiedy wszędzie panuje spokój i nieostrożny widz zaczyna się wreszcie rozluźniać, z ziemi wynurza się ręka Carrie, a ona sama wychodzi z grobu, żeby złapać swoją przyjaciółkę, która przyniosła jej kwiaty – tak i tutaj w tej sielankowej scenerii śmierć wdziera się niespodziewanie i tym razem zabiera Pedra Chazarretę w jego domu w La Maravillosie. Sceneria to jedno, a rzeczywistość to zupełnie co innego. Rzeczywistość odsłoniła swoją twarz już trzy lata temu, kiedy znaleziono zwłoki Glorii Echagüe. Choć przez jakiś czas wmawiano nam, że był to tylko godny pożalowania wypadek, śmierć żony Chazarrety bez wątplenia była rezultatem morderstwa. Morderstwa jak każde inne. Zabójca, motyw i ofiara. Tak po prostu. Tak makabrycznie. Tyle że w miejscu, gdzie coś takiego nie miało prawa się zdarzyć. Nie tutaj. Nie tutaj, gdzie trzy lata później, choć wymiar sprawiedliwości wciąż nie odnalazł sprawcy tamtej zbrodni, dochodzi do kolejnej. Następna osoba ginie z podejrzanym gardłem. I żeby dorzucić garść dających do myślenia zbiegów okoliczności i detali, dodajmy, że te dwie osoby to mąż i żona. I że ów mężczyzna był oskarżony o zabójstwo swojej żony. I że został oczyszczony z zarzutów z braku dowodów. Być może dlatego, a także z powodu zaskoczenia i szoku, pierwsze komentarze, jakie słyszało się w La Maravillosie natychmiast po odnalezieniu zwłok Pedra Chazarrety wczoraj rano, to że wdowiec po Glorii Echagüe popełnił samobójstwo. Plotka ta wzięła się z bardzo słabego dowodu: nóż użyty do podejrzenia gardła tkwił w prawej ręce ofiary, jakby Chazarreta sam zadał sobie cios. Jakby. Jednak plotka ta mogła krążyć z ust do ust tylko dopóty, dopóki nie dotarła do tych, co lepiej go znali. Przyjaciele i znajomi zaklinają się, że jeśli nóż tkwił w jego dłoni, to dlatego, że ktoś mu go w nią wsadził. W supermarkecie w La Maravillosie na własne uszy słyszałam, jak dwie sąsiadki, wybierając jogurty przy chłodziarce z nabiałem, rozmawiały między sobą z całkowitym przekonaniem, że śmierć Pedra Chazarrety nie mogła być rezultatem samobójstwa. I miały na to argumen-

ty. Takie same, jakie usłyszałam później w kiosku i w miejscowym barze. Że w żadnym razie nie może tu chodzić o samobójstwo. Że tylko ktoś, kto nie znał Chazarrety, mógłby uwierzyć w tę wersję. Ci, którzy rzeczywiście go znali, nie muszą czekać na efekty autopsji ani na ujawnienie tajnych na razie informacji. Dlaczego? Wiedzą to po prostu dlatego, że Pedro Chazarreta nigdy w życiu nie zrezygnowałby w połowie turnieju o pucharcountry z rozgrywek golfowych organizowanych w dwa weekendy pod rząd. Tym bardziej że w pierwszy weekend rozgrywek on i jego partner w grze uzyskali najlepszy wynik zarejestrowany w La Maravillosie od dziesięciu lat, czyli od kiedy otwarto pole golfowe. Żaden mieszkaniec tego miejsca pełnego drzew i zapachu kwiatów oraz skoszonej trawy nie zwraca uwagi na nóż w ręku Chazarrety. Jedyne, co do czego nikt tutaj nie ma wątpliwości, to że nigdy nie porzuciłby rozgrywek turniejowych. A już na pewno nie tych najważniejszych w country. I nie w sytuacji, kiedy grał jak nigdy dotąd. Nikt nie zrobiłby czegoś takiego. A już Pedro Chazarreta byłby ostatni. Trzy lata temu turniej wypadł akurat w dniu pogrzebu Glorii Echagüe. Przełożono go o tydzień i Chazarreta stawiał się na rozgrywkach jak zawsze.

Ja też, tak samo jak sąsiedzi Chazarrety, odrzucam wersję z samobójstwem. Na golfie się nie znam, ale na typach ludzkich owszem. Gdyby Pedro Chazarreta był jedną z postaci z moich książek, nie przyszłoby mu do głowy myśl o samobójstwie, bo jego duma, chęć rywalizacji i zwycięstwa nie pozwoliłyby mu na porzucenie turnieju, w którym miał wszelkie widoki na zwycięstwo. Poza tym nie zdradzał – z psychologicznego punktu widzenia – żadnych objawów typowych dla osób o skłonnościach samobójczych: nie miał w sobie ani poczucia winy, ani depresji, ani żalu. Nawet cierpienia. Zawsze prezentował się jako ktoś mocny, spokojny, całkowicie przekonany, że racja jest po jego stronie albo dlatego, że rzeczywiście nie zabił swojej żony, albo dlatego, że zrobił to dla jakiegoś wyższego w swoim mniemaniu celu: może chronił swoją reputację, jej reputację, honor rodziny lub po prostu majątek. Pedro Chazarreta zawsze sprawiał wrażenie kogoś, kto wie więcej niż my, nawet więcej niż prokurator i sędzia. I bardzo wyraźnie dał do zrozumienia swoim zachowaniem, że nie uważa, by musiał się przed kimkolwiek tłumaczyć. Skoro tak, po co w takim razie miałby popełniać samobójstwo? Tym bardziej teraz, kiedy sąd oczyścił go z zarzutów z powodu braku dowodów? Tym bardziej teraz, kiedy znów miał wygrać puchar w rozgrywkach golfowych? Nie, bez dwóch zdań, gdyby Pedro Chazarreta był postacią z moich książek, nie popełniłby samobójstwa. Ale w takim razie dlaczego ktoś próbował nam to zasugerować, dlaczego zostawił narzędzie zbrodni w dłoni ofiary? Czy to żart? Błąd? Ktoś nas nie docenia?

Po La Maravillosie krążą dwie hipotezy dotyczące motywów zbrodni: zemsta bądź ta sama przyczyna, która leżała u źródeł śmierci Echagüe. Czyli:

1) ten, kto go zabił, chciał, żeby Chazarreta przeszedł przez to samo, przez co przeszła jego żona; innymi słowy, sprawca uważał go za winnego tamtej zbrodni albo za odpowiedzialnego, albo był przekonany, że Chazarreta kryje zabójcę Glorii Echagüe, więc chciał własnoręcznie wymierzyć sprawiedliwość;

2) ten sam morderca zabił żonę i męża, dlatego zastosował tę samą metodę.

Nóż w dłoni? Chodzi tylko o wywołanie dodatkowego zamieszania.

Jest jeszcze zbyt wcześnie, żeby optować za którąś z tych możliwości. Co więcej, śmiem podejrzewać, że kiedy pojawią się rezultaty autopsji oraz nowe ustalenia śledczych, wypłyną nowe hipotezy. Podczas gdy my spacerujemy sobie w cieniu drzew w La Maravillosie, wdychamy czyste powietrze i cieszymy się panującym tu spokojem, hipotezy te będą wychodzić na światło dzienne.

Tak jak ręka Carrie wynurzająca się z grobu.

Trzeba tylko mieć cierpliwość i czekać.

Masz kłopoty, chłopcze. Dlaczego? Bo Iscar wie więcej niż ty. Przerób swój tekst, podrasuj go trochę i wrzuć tam coś w rodzaju, że niektórzy wciąż przyglądają się hipotezie samobójstwa, ale „dobrze poin-

formowane źródła” i głosy z La Maravillosy odrzucają tę wersję. W ten sposób nawiązesz do tekstu Iscar i wszyscy będą zadowoleni. Okej? Okej. Musisz się z nią zaprzyjaźnić, musisz umieć wszędzie się wciśnąć, pamiętaj, i iść po jej linii, bo inaczej Rinaldi da ci kopa w tyłek. Chłopak milknie na chwilę. Ma ochotę coś powiedzieć, acz się nie odważa. No dalej, do roboty, bo nie zdążysz przed zamknięciem numeru, mówi Brena. Dzięki, wydusza z siebie z trudem chłopak. Jaime Brena dorzuca tylko: No dalej. Więc go przygarnąłeś, podsumowuje Karina Vives, kiedy pod koniec dnia przechodzi obok jego biurka, zbierając się do wyjścia. Sierota i niezbyt rozgarnięty, co miałem zrobić? Taką masz naturę, Brena, masz gest i lubisz, jak ludzie dobrze wykonują swoją robotę. I sam jestem niezbyt rozgarnięty. Tak, to prawda, mówi Karen i śmieją się oboje. Pamiętaj, masz mi sprawdzić wśród swoich znajomych z dziećmi, czy to prawda, że chłopcy płaczą więcej niż dziewczynki, ty i ja nie mamy w tym względzie doświadczeń. Racja, my nie mamy, powtarza Karina i Brenie umyka, że ten temat jakoś ją porusza, bo Karina Vives stara się to ukryć. A może aby to wyrównać, dorosłe kobiety płaczą więcej od mężczyzn, co? zastanawia się Brena. Ty nie płaczesz? pyta Karina. Co robią mężczyźni, jak jest im źle? Uwalamy się na łóżko z pilotem do telewizora w ręku. Karina podchodzi i obejmuje go mocniej niż zwykle. Brena jest zaskoczony, ale odwzajemnia uścisk. Do jutra, Brena. Do jutra, ślicznotko.

Jaime Brena porządkuje rzeczy na biurku, zbiera papiery, wyłącza komputer, a kiedy ma się już zbierać, zauważa, że linijka, którą dał chłopakowi z kryminalnego podczas rekonstrukcji podrzynania gardła, leży na podłodze pod krzesłem. Jaime Brena ma tę linijkę, odkąd zaczął pracę w *El Tribuno*. Taki już jest, przywiązuje się do rzeczy, ma w sobie coś z fetyszysty. Bierze ją i chowa do szuflady. Podnosi wzrok i widzi, że chłopak z kryminalnego wciąż pisze za swoim biurkiem. Podchodzi. I jak tam? W porządku, odpowiada chłopak, już kończę. Okej, widzimy się jutro. Do jutra. Jaime Brena idzie, lecz po paru krokach zawraca. Mogę cię o coś zapytać? Tak, jasne, odpowiada chłopak. Do kogo chciałbyś być podobny? Jak to? nie rozumie chłopak. Do kogo chciałbyś się upodobnić, jaki jest twój wzór, ulubiony dziennikarz? Aha, a nasz czy zagraniczny? No stąd, raczej stąd, i żeby zajmował się sprawami kryminalnymi, jeśli masz się zajmować tą działką, musisz znaleźć swój wzorzec. No nie wiem, nigdy nad tym poważnie nie myślałem, zająłem się dziennikarstwem kryminalnym w sumie przypadkiem, wzorce raczej czerpię skądinąd. To widać, chłopcze, nie mówię tego złośliwie, ale to widać. Wiesz, kto to był GGG z *Crítica*? pyta Brena. Nie, odpowiada chłopak. Sprawdź, to Gustavo Germán González, poszukaj informacji o nim, dowiedz się, jak pracował, ciekawe, czy wygrzebiesz w tym swoim Internecie, co zrobił, żeby się dostać do kostnicy, kiedy badał sprawę śmierci radnego Carlosa Reya, podpowiada mu Jaime Brena. I mówi dalej: „Cyjanku brak”, tak się nazywa tekst, który napisał następnego dnia, przeczytaj sobie. Niezły tytuł, co, chłopcze? I przeczytaj też powieść Osvalda Aguirrego *Niepożądani*, fikcja literacka z GGG jako główną postacią. Uwierz mi, z samym Internetem nie dasz rady, to za mało. Czyli lekcja numer jeden: przeczytaj wszystko, co znajdziesz, o Gustavie Germánie Gonzálezie, to rozkaz, jasne? Jasne, odpowiada chłopak z kryminalnego. Jaime Brena robi swój charakterystyczny gest pożegnania, unosi rękę nad głowę, jakby zdejmował i wkładał znów kapelusz. I wychodzi.

Chłopak z kryminalnego odprowadza go wzrokiem. Kończy artykuł i wysyła go na czas przed zamknięciem numeru. Przed wyłączeniem komputera wpisuje jeszcze „GGG + dziennik critica” w wyszukiwarce Google’a i czeka na wyniki. Przeczuwa, że to, o czym mówił Jaime Brena, to cenna rada. Nawet nie tyle przeczuwa, ile wie. Nie wie natomiast, jak się dowiedzieć, kim jest Gustavo Germán González, inaczej, niż szukając w Internecie.

W ciągu następnych dni potwierdziła się wersja, że Chazarreta nie zginął śmiercią samobójczą, czyli ta, którą Nurit usłyszała od sąsiadek stojących przed chłodziarką z nabiałem. Sekcja zwłok wykazała – używając nieco bardziej technicznych terminów – dokładnie to samo, co komisarz Venturini przekazał Jaimemu Brenie w podrzuconym liściku: „Rozcięcie mięśnia mostkowo-obojczykowo-sutkowego, rozcięcie tętnicy szyjnej wspólnej jakieś 2 centymetry od rozdwojenia, rozcięcie żyły szyjnej i całkowite rozcięcie krtani na wysokości więzadła pierścienno-tarczowego z otwarciem przedsionka krtani, przy czym rogi dolne chrząstki tarczowatej także zostały przecięte”. Na rękach nie było śladów walki, ale na brodzie niewielkie nacięcie, dość płytkie, zapewne efekt instynktownej reakcji Chazarrety, który czując nóż wbijający mu się w gardło, raptownie pochylił głowę. I rzeczywiście wysoka zawartość alkoholu we krwi. Wskazywano też, i to ważny szczegół, że cięcie biegło lekko ku górze, a ręka, w której znajdował się nóż, nie była zaplamiona krwią. A nie mówiłem? zauważa Brena, kiedy chłopak z kryminalnego potwierdza mu te informacje. Jakie krążą hipotezy? Wyrównanie rachunków albo zemsta za śmierć żony, odpowiada chłopak. Porachunki były już podawane jako możliwy motyw zabójstwa jego żony. Po tym, jak sprzedał bank, Chazarreta zajął się windykacją, mówi Brena. To musiał narobić sobie wrogów, stwierdza chłopak. Tak, przede wszystkim przez to, jak działał, potakuje Brena i mówi dalej: Odbierał należności od każdego, acz metodami mało eleganckimi. Miał grupę windykatorów, niezłe wyszkolonych, twardych, oddanych, rzucali się na dłużnika jak psy gończe, na przykład w trakcie imprezy z okazji piętnastych urodzin córki brali mikrofon i opowiadali wszystkim gościom, że ten pan, który płaci za tę imprezę, o ile rzeczywiście płaci, jest im dłużny pieniądze. Goście robili się nerwowi, kelnerzy zaczynali oszczędnie lać wino, didżej domagał się wypłaty gotówką albo groził, że przestanie grać, a jubilatka kończyła urodziny zalana łzami. Niektórzy twierdzą, że w razie potrzeby potrafił przycisnąć naprawdę mocno, z tym że nikt nigdy nie złożył doniesienia. Co masz na myśli, mówiąc: „mocno przycisnąć”? No złamię ci kolano, dziabną cię w twarz, połamię parę kości, na przykład palców. Chazarreta nie mógł iść do sądu z dłużnikami, bo pożyczał kasę ludziom zajmującymi się lewymi interesami, często zupełnie nielegalnymi: pornografią, turystyką seksualną, praniem pieniędzy. Podczas wywiadu pytałem go o to, twierdził, że jego interes polega na pożyczaniu i odbieraniu pieniędzy, a co pożyczający robi ze swoją pożyczką, jego już nie interesuje. To jednak nie jest prawda, mogło go nie interesować z etycznego punktu widzenia, ale już z ekonomicznego z pewnością tak, musiał przecież ocenić, czy interesy dłużnika dają szansę na spłatę. Ja bym raczej tam szukał. Gdyby ta kwestia została wyjaśniona, może udałoby się rozplątać ten supeł i znalazłby się jakiś trop prowadzący do zabójcy Glorii Echagüe. O ile to nie jego sprawa. Była taka wersja, że facet chciał ją uciszyć, bo nie zgadzała się na którąś z jego akcji, zaczęła się stawiać, zagroziła, że go rzuci, a nawet zgłosi sprawę na policję. Ale sam nie wiem, czasami mam wrażenie, że to wszystko nie gra. No nic, podsumowuje Brena, motyw porachunków ciągle się powtarza i jeśli trzeba będzie pójść w tę stronę, za parę dni znów zabrnijemy w bagno. A druga wersja, zemsta za śmierć żony, wymierzona przez kogoś, kto chciał wyrównać rachunki na własną rękę, wydaje mi się trochę zbyt heroiczna jak na typ afery, którą tu oglądamy, nie? Czyli co? pyta chłopak. Trzeba wciąż główkować, czasami czepiamy się jakiejś hipotezy, która nas tylko osadza w miejscu, odpowiada Brena niemal w tym samym momencie, gdy do pomieszczenia wchodzi Rinaldi, wściekły, i ciska egzemplarz dziennika *La Primera de la Mañana* na biurko chłopaka z kryminalnego. Jaime Brena odsuwa się na bok, wie, że szef wściekły jest nie na niego, ale od jakiegoś czasu widok wściekłego – na kogokolwiek – Rinaldiego wywołuje u niego skurcz

mięśni pleców. Dlaczego Zippo ma informacje na temat sprawy, których my nie mamy, możesz mi to wyjaśnić? Chłopak patrzy na gazetę rzuconą przez szefa na blat, bierze ją i błyskawicznie czyta artykuł Zippa. Nie wiem, ja dałem wszystko, co mi powiedzieli na policji i w prokuraturze. Jemu najwyraźniej więcej powiedzieli; całe szczęście, że mamy te teksty od Nurit Iscar, mówi Rinaldi i odchodzi nadal tak wściekły jak na początku. Chłopak toczy pianę z ust. Dopiero kiedy Lorenzo Rinaldi znika za drzwiami gabinetu, Jaime Brena znów się zbliża, bierze egzemplarz *La Primera* rzucony przez szefa na biurko chłopaka i odszukuje tekst. Lekcja numer dwa, chłopcze: skąd Zippo ma tajne informacje? Nie wiem, przysięgam, że robię, co mogę. Popatrz na ten tekst i powiedz, skąd ma tę informację. Przeczytałem przed chwilą i nie wiem. Ja ci nie powiedziałem, żebyś przeczytał, tylko żebyś popatrzył. Przyjrzyj się. Nic ci się nie rzuca w oczy? Nie. Bądź czujny, dopasuj się, wejdź w cudzą skórę, wejdź w skórę Zippa. Przysięgam, że nie wiem. Zdjęcie prokuratora takiej samej wielkości jak tekst z istotnym podpisem, pokazuje mu Brena. A potem bierze gazetę i czyta pod okularami, które ma osadzone na brwiach: Prokurator Atilio Pueyrredón osiąga postępy w śledztwie dzięki starannej pracy kierowanej przez niego grupy. Powtarzam, chłopcze: Kto dał cynk Zippowi? Prokurator Pueyrredón. No właśnie, Zippo robi mu dobrą prasę, widzisz? Tak. Dziwne, Zippo nie jest z takich. Czasy są trudne dla wszystkich, dla najlepszych też, mówi Brena, najwyraźniej odwdzięcza się za jakąś przysługę, ja zawsze wolałem zaprosić na asado. Robienie reklamy policji, sędziom i prokuratorom nic a nic mi się nie podoba, chłopcze. Z więźniami to co innego, oni nie mają głosu. Acz tamci, jeśli chcą być sławni, niech się biorą do roboty.

Jaime Brena wraca do swojego biurka, dziś przyszło mu pisać o otwarciu nowego placu zabaw najnowszej generacji w Mataderos. Poprosił go o to Rinaldi, a Rinaldiego z pewnością poprosił prezydent miasta. Co nie znaczy, że Rinaldi jakoś strasznie się z nim lubi, tylko dziś obaj nienawidzą prezydenta kraju i to ich łączy. Jeśli jest coś dobrego w pisaniu o otwarciu placu zabaw, przyznaje Jaime Brena, to że aby napisać ten tekst, będę mógł popołudniem wyskoczyć do Mataderos. A świadomość, że część dnia pracy spędzi na ulicy, kręcąc się po jednej z dzielnic miasta, wprawia go w dobry humor. Jak niewiele ostatnio potrzeba ci do szczęścia, Jaime Brena, mówi do siebie i zaczyna stukać w klawisze. Zapraszam cię na herbatę do Mataderos, mówi do Kariny Vives, która właśnie przyszła. Na herbatę do Mataderos? Ależ ty jesteś dziś cool, Brena, Mataderos Soho czy Mataderos Hollywood? pyta dziewczyna, rozsiadając się za biurkiem. Ty się śmiejesz, dziewczyno, ale któregoś dnia zobaczysz, wezmę cię na tańce na avenida de los Corrales i Lisandro de la Torre i tam się przekonasz, co znaczy hulanka, ostrzega ją Brena, wywołując znów uśmiech na jej twarzy.

W chwili gdy Jaime Brena pisze tytuł notki dla prezydenta miasta, kilka metrów od niego chłopak z kryminalnego szuka w Internecie informacji o ludziach pracujących dla prokuratora Pueyrredóna, bo a nuż będzie miał szczęście i okaże się, że kogoś zna, a tymczasem w La Maravillosie Nurit Iscar próbuje spłodzić kolejny artykuł dla *El Tribuno*. Chłopak nie kojarzy żadnego nazwiska, a ona nie jest zadowolona z niczego, co dotąd napisała. Patrzy przez okno: wszędzie zieleń. Zasuwa zasłonę i zapala światło, żeby się poczuć jak u siebie w domu, w pokoju chłopców, który przerobiła na gabinet, od kiedy się wyprowadzili, żeby się poczuć jak na swoim krześle oparta o poduszkę z poszewką zrobioną na drutach ścięciem ryżowym, kiedyś należąca do jej matki. Powinna była ją tu ze sobą zabrać, choćby tę jedną poduszkę, żeby poczuć się jak w domu. I którąś z doniczek z balkonu; może jej rośliny nie są tak imponujące jak rosnące tutaj, ale są jej. Jednak zamiast wpatrywać się w księżyc jak ET i mamrotać: „Go home”, ona, Nurit Iscar, Betibu, optuje za jaśniejszym i bardziej stanowczym zdaniem: A może by to wszystko rzucić w cholerę? Przerzywa tok swoich myśli i dywagacji, bo dzwoni Carmen Terrada. Głos ci nie brzmi za dobrze, stwierdza przyjaciółka. Przechodzę przez drugą próbę wytrzymałości w La Maravillosie. Pierwszą miałam, kiedy chciałam przejechać przez szlaban, pamiętasz? pyta Nurit. Pewnie, pamiętam, a z kim teraz się pokłóciłaś? dopytuje Carmen. Jeszcze z nikiem, odpowiada Nurit. Opowiadaj, zachęca przy-

jaciółka. Syndrom odstawienia miasta: stresują mnie drzewa, stresuje mnie ta zieleń, nieprawdopodobnie wkurza mnie śpiew ptaków o szóstej rano, cykanie świerszczy, żaby rechoczące całą noc, wiesz, czego mi potrzeba, Carmen? Faceta, moja droga. Nie, betonu, dużo betonu, i kawy, tej kawy, którą dają u mnie za rogiem, odpowiada Nurit. I ciągnie: Wyobraź sobie, jak to jest, kiedy wychodzisz na ulicę i wiesz, że nie natkniesz się na nikogo, kto cię obchodzi, że wokół jest sama przyroda, sport, jakoby zdrowe życie i puste domy. Bo choć tu są ludzie, to ich nie widzisz, chyba że uprawiają jakiś sport. Choćby jogging. Wyobraź sobie, jak to jest, kiedy wiesz, że nie wydarzy się nic zaskakującego, że nie może cię spotkać nic nieprzewidzianego, mówi Nurit. No wiesz, mogą ci poderżnąć gardło z boku na bok, gdybyś zapomniała, chyba że nie pamiętasz już, po co tam jesteś? pyta Carmen. Prawda, mogą mi poderżnąć gardło, ale słowo daję, jeszcze parę dni samotności i śpiewających ptaków, a sama wyjdę na ulicę i będę błagać, żeby ktoś zechciał mnie zarżnąć, wyznaje Nurit. Spokojnie, w sobotę wcześniej rano zjawimy się z Paulą i zostaniemy u ciebie na cały weekend, obiecuje przyjaciółka. Dzięki, odpowiada Nurit, to mi dobrze zrobi. No i co w końcu, pyta Carmen Terrada, masz ten basen czy nie?

Chłopak stuka na klawiaturze swój tekst wciąż pod wpływem reprimendy, której udzielił mu Rinaldi po wejściu do redakcji chwilę temu, kiedy dał mu do zrozumienia, że źle wykonuje swoją pracę. Jaime Brena opisuje, jak został urządzony plac zabaw, chociaż na razie widział go tylko w broszurze przysłanej przez wydział prasowy miasta. I ja mam czelność mówić chłopakowi, że sam bym nie robił reklamy jakimś urzędnikom, myśli i z irytacją wali w klawisze. Rinaldi układa swój wstępniak na jutro, zaczyna od tytułu: „Kolejne kłamstwo prezydenta”. Karina Vives spisuje wywiad, który przeprowadziła właśnie z Egipcjaninem/Włochem/Meksykaninem Fabiem Morábitem. Nurit Iscar tworzy drugi tekst:

W tym miejscu zawsze, dzień po dniu, panuje cisza. Dwie śmierci, tak dziwne i zarazem tak podobne, w tym samym domu, w tym samym podmiejskim klubie (to osiedle i jemu podobne, zrzeszone w jednym stowarzyszeniu, same tak się określają), wprowadzają mieszkańców w niepokój i niepewność. Teraz ludzie nie mówią tu już, nie rozmawiają tak samo jak na początku. Starają się myśleć o czymś innym, prowadzić normalne życie. Nie wszyscy, choć zdecydowana większość zadawała się myślą: to ich sprawa, Chazarretów, nie nasza. Jakby ten ktoś, kto po raz drugi wkroczył tu i zamordował, obchodził wyłącznie Pedra Chazarretę i Glorię Echagüe. Albo co najwyżej jeszcze ich rodzinę. Albo ich, rodzinę i najbliższych znajomych. Albo ich, rodzinę, najbliższych znajomych i wspólników biznesowych. I tak to uniwersum się poszerza. Choć nie aż tak bardzo. „Nas” to nie dotyczy. To nie „my”. A kim są ci „my”? Wszyscy ci, którzy mają domy w La Maravillosie i żyją. A jednak są pytania, na które nie lubią odpowiadać, dlatego też nie chcą, by im je zadawać, i sami ich sobie nie stawiają. Bo wszyscy, którzy tutaj mieszkają, choćby woleli udawać, że nie wiedzą, mają świadomość, że opcji za dużo nie ma: albo zabójcą jest ktoś z La Maravillosy, albo ktoś, kto został wpuszczony przez strażników i wyszedł dzięki upoważnieniu jakiegoś mieszkańca, albo (i to ewidentnie najbardziej stresuje mieszkańców) mechanizmy ochrony osiedla zawiodły. Dziś, jeśli ktoś chce wejść na teren country, musi okazać: upoważnienie wystawione przez pełnoletniego mieszkańca (siedemnastolatek nie może zaprosić kolegi, również pomoc domowa nie ma prawa nikogo upoważnić, o ile sama nie ma stosownego pisemnego upoważnienia od swoich pracodawców), dokument tożsamości (wcześniej proszono tylko o numer i nie trzeba było pokazywać dokumentu, jako że stali bywalcy osiedla figurują wraz ze zdjęciami w komputerowym katalogu strażników, toteż można sprawdzić, czy twarz i zdjęcie pasują; jednak od czasu niedawnej kradzieży w sąsiednim zamkniętym osiedlu, nawet jeśli twarz i zdjęcie są identyczne, dokument okazać trzeba), ubezpieczenie od odpowiedzialności cywilnej wystawione na nazwisko kierowcy (jeśli ktoś próbuje wjechać autem zarejestrowanym na małżonka, ma problem), zdjęcie (jeśli to pierwsze wejście danej osoby, choć teraz nie ma to sensu, bo trzeba okazać dowód tożsamości; „od przybytku głowa nie boli” – to jednoz ulubionych haseł miejscowego kierownika ochrony; inne to: „trzeba dmuchać na

zimne”, „ostrożności nigdy za wiele”, „każdy jest podejrzany, dopóki nie udowodni swojej niewinności”), przeprowadzana jest rewizja bagażnika samochodowego przy wjeździe i wyjeździe, a teraz przy wyjeździe otwierają także maskę auta – czy dlatego, że gość mógłby coś schować między silnikiem a chłodnicą? Któż to może wiedzieć? Jeśli samochód wjeżdża nocą, od paru tygodni wymagane jest wyłączenie świateł zewnętrznych i włączenie światła w środku, żeby strażnik mógł podejść i sprawdzić, kto siedzi w pojeździe, dokładnie tak, jak w czasach dyktatury wojskowej wyglądała procedura rewizji samochodów. Ale i tak mając upoważnienie, ubezpieczenie, zdjęcie, dowód tożsamości, bagażnik w porządku i zgaszone światła – albo bez tego wszystkiego – zabójca Chazarrety dostał się do środka. Albo był już w środku, albo jakiś mieszkaniec go wpuścił, albo przeszedł i ochrona nie zauważyła niczego podejrzanego. I to „nas” naprawdę niepokoi.

Nurit zapisuje tekst. Wysyła go do Rinaldiego, lecz tym razem nie śle kopii do chłopaka z kryminalnego. Jemu wysyła artykuł w osobnym mejlu, adresowanym tylko do niego. Stara się nadać wiadomości serdeczny charakter; sama nie wie dlaczego, nie zaczyna od „Szanowny” ani nie pisze per pan, tylko od razu: „Cześć!”. A potem: „Przesyłam Ci tekst do jutrzejszego wydania. Bardzo dobry był Twój artykuł z wczoraj. Pozdrawiam, Nurit Iscar”. I przychodzi jej do głowy, żeby dodać na koniec postscriptum: „Gdybyś chciał zobaczyć miejsce zbrodni, o której oboje piszemy, możesz wpaść jakoś w weekend albo kiedy Ci pasuje”. I żeby nie było żadnych podejrzeń, czy przypadkiem to zaproszenie nie jest zawołowaną próbą podrywu chłopaka młodszego od niej chyba o trzydzieści lat, dorzuca w drugiej linijce: „Możesz przyjechać, z kim chcesz”.

Chłopak z kryminalnego otwiera mejl od Nurit Iscar, który właśnie pojawił się w jego skrzynce. Zaproszenie do La Maravilloso zaskakuje go. Nie przeczytawszy jeszcze nowego artykułu, wstaje i podchodzi do biurka Jaimego Breny. Co ta kobieta kombinuje? pyta. Betibu? Tak, Betibu. Wysłała do mnie artykuł bezpośrednio, a nie przez Rinaldiego, i zaprasza mnie do La Maravilloso. Nic, może po prostu jest dobrą koleżanką w pracy, czasami zdarza się ktoś, kto nie myśli tylko, jak ci dokopać, żeby samemu szybciej awansować i zająć twój stołek. Do mnie pijesz? Nie, chłopcze, ty nie masz nic wspólnego z tym, że jestem tu, gdzie jestem, a raczej że nie jestem tam, gdzie powinienem być. Wybierasz się tam? pyta. To wielka szansa, nie mogę jej zmarnować, choć sam nie wiem. Przypomnij sobie pierwszą lekcję, chłopcze: teren, musisz działać w terenie, choć to zupełnie inny teren niż takie Mataderos. A co Mataderos ma z tym wspólnego? Nic, muszę wpaść tam na chwilę w związku z inauguracją placu zabaw, chcesz się przejść ze mną? Zgoda, ale jeśli ty wybierzesz się ze mną w weekend do La Maravilloso. Nie mogę wpaść na krzywy ryj do domu kobiety. Nie kobiety, Brena, tylko Nurit Iscar, musisz się stosować do swoich pouczeń. Masz rację, Nurit Iscar, Betibu. I owszem, możesz, upiera się chłopak, bo ona pisze, że jak chcę, mogę przyjechać z kimś. Chłopie, ona ma na myśli twoją dziewczynę. Nic takiego nie pisze, czyli mogę przyjechać z kimkolwiek. Ja już znam to miejsce, mówi Jaime Brena, robiłem tam wywiad z Chazarretą, zniechęcił mnie po nim. Dlaczego? Bo nie napisałem tego, co on chciał, żebym napisał, bo nie udało mu się mnie zmanipulować. Niezły był manipulant z tego sukinsyna, takich najbardziej się boję. Ja tam przed ciosem w szczękę umiem się obronić, acz z manipulacjami jest ciężiej. To co, jedziesz ze mną? powtarza chłopak z kryminalnego. Jeśli znasz miejsce, tym lepiej, to luksus jechać z kimś, kto już się orientuje. Jaime Brena przygląda mu się. Ten chłopak w ogóle nie przypomina mnie, kiedy zaczynałem pracę w *El Tribuno*, myśli, przy czym ma w sobie coś, co sprawia, że chce mu się pomagać, pewnie dlatego nikt nie odmówi ślepemu pomocy przy przejściu przez ulicę, myśli sobie, a potem uśmiecha się i stwierdza: Okej, ty mną też manipulujesz, chłopcze, ale jesteś w porządku. Dzięki, to wielki krok do przodu w naszym związku, żartuje chłopak z kryminalnego. No, a jeśli Nurit Iscar spodziewa się ciebie z dziewczyną, mogę cię złapać za rączkę i dać ci buziaka. Jesteś dla mnie za stary, Brena. José de Zer zrobiłby to, gdyby zaszła taka potrzeba, mówi, o, to będzie twoja trzecia lekcja, chłopcze, dowiedz się,

która miejscowość pod Buenos Aires, bardzo blisko miasta, rodzinna miejscowość jednego z naszych najlepszych piłkarzy, została nazwana za sprawą Joségo de Zera i dlatego tak słynne stało się jego zdanie: Dalej, Chango, dalej. Sprawdzę, mówi chłopak, sprawiając wrażenie pełnego zapału, zaraz skończę dzisiejszy tekst i będę mógł z tobą jechać do Mataderos. Dobra. Chłopak się oddala. Brena patrzy na Karinę: Widzisz? Mam tu kolegę, który się ze mną przejdzie do Mataderos, choć może nie jestem taki cool. Szybko znalazłeś mi zastępstwo, Jaime Brena. Ciebie nie da się zastąpić, moja droga, nawet jeśli mnie zaniedbujesz. Karina się uśmiecha, lecz nic nie mówi, wie, że Brena ma trochę racji, ale przecież nie zaniedbuje go dlatego, że jej nie zależy, tylko dlatego, że bliskość z nim zmusiłaby ją do podjęcia decyzji i opowiedzenia mu o wszystkim. Czemu spojrzenie Breny działa na nią tak mocno? Przecież ma ojca i starszych braci. Czemu gdyby mogła wybrać sobie ojca, wołałaby Brenę? Patrzy na niego i uśmiecha się. On też się uśmiecha i nic nie mówi, nie ma wątpliwości, że z dziewczyną coś się dzieje, coś, czego jeszcze nie może mu powiedzieć. Chłopak z kryminalnego wstaje i wraca do biurka Breny. Co jest, chłopcze? pyta Brena. Jestem ci coś winny. Brena nie rozumie. Co mianowicie? Odpowiedź na pytanie, które zadałeś mi w ramach pierwszej lekcji tego przyspieszonego kursu dla wybrakowanego dziennikarza. Ej, nie przesadzaj, nie jest tak źle. Chłopak ciągnie: Gustavo Germán González, ten z *Crítica*, żeby wejść do kostnicy, przebrał się za hydraulika i tak się dowiedział, co mówią lekarze na temat ciała tego radnego, i potem napisał „Cyjanku brak”. W ciele nie znaleziono cyjanku, on pierwszy o tym napisał. Jaime Brena uśmiecha się z zadowoleniem. Zaliczone? pyta chłopak. Tak jest, zaliczone, będą z ciebie ludzie, mówi mu Brena, będą.

Nurit Iscar ma wrażenie, że przydałaby jej się na weekend jakaś pomoc. Przyjaciółki ją wspierają i są jak rodzina, tyle że dom jest spory, dostaje się do środka mnóstwo kurzu, sporo pyłków drzew. Poza tym jeśli ma się tu zjawić chłopak z kryminalnego, chciałaby, żeby wszystko było jak należy i żeby nie musiała się martwić o jedzenie, picie, naczynia, papier toaletowy w łazience i inne domowe potrzeby, żeby mogła się zająć gościem, oprowadzić go po osiedlu, pokazać mu dom Chazarretów wciąż otoczony taśmami policyjnymi blokującymi wstęp – poza tym czuwa przy nim funkcjonariusz policji miejskiej z Buenos Aires i jeden miejscowy ochroniarz – i wszystkie inne miejsca, które chłopak chciałby zobaczyć. Wyobraża sobie, że aby znaleźć kogoś, kto pomógłby jej w domowych obowiązkach, najlepiej zapytać gospozię kogoś z sąsiadów, czy nie ma jakiejś przyjaciółki, krewnej lub znajomej, którą mogłaby polecić. Wychodzi przed drzwi i czeka, aż ktoś się pojawi. Ale nikogo nie ma. Za to przejeżdża samochód, po dziesięciu minutach drugi, kwadrans później van z napędem na cztery koła. Przypuszcza, że musi być jakaś mniej czasochłonna metoda, na przykład może trzeba zapukać do czyichś drzwi. Idzie i puka do domu po prawej, nikt nie otwiera. Idzie do domu naprzeciwko – też nikogo. Nie ośmiela się dzwonić do domu po lewej: jeśli tam też nie pojawi się żadna żywa i mówiąca istota – psy i inne zwierzęta domowe się nie liczą – poczucie osamotnienia będzie takie, że nie wie, czy sobie z nim poradzi. Jeśli ona, Nurit Iscar, jest jedynym żywym człowiekiem w promieniu iluś tam metrów, woli o tym nie wiedzieć. Odczekuje jeszcze parę minut, udając spokój, którego wcale nie odczuwa. Musi przyznać, że takie wyczekiwanie przyprawia ją o niepokój. Obawia się, że aby spotkać jakichś ludzi, będzie musiała przejść się do sklepu, na korty, do klubu fitness albo do baru przy polu golfowym. A Nurit Iscar chce spotkać jakichś ludzi. O włos znowu nie ogarnia jej syndrom odstawienia miasta, kiedy nagle za rogiem pojawia się jakaś gospodyni domowa spacerująca z pieskiem chihuahua. Nurit Iscar oddycha z ulgą, jakby właśnie umknęła jakiemuś niebezpieczeństwu widocznemu tylko dla niej. Kobieta sprawia wrażenie dość poirytowanej wykonywanym zadaniem, co nietrudno zrozumieć, jak się widzi historyczne zachowanie psa. Ten zwierzak to diabeł wcielony, mówi właściwie do siebie, mijając Nurit. A Nurit przytakuje i wykorzystuje skrócenie dystansu wywołane owym wyznaniem, pytając, czy kobieta nie zna kogoś, kto mógłby jej pomóc w weekend. Kobieta próbuje się zatrzymać, żeby odpowiedzieć, lecz pies zaczyna tak ujadać, że obie muszą iść dalej razem. Ja mam córkę, mówi, ale w weekendy nie może, mąż jej nie pozwala, w tygodniu to tak, ale w weekend jej nie puści. I kobieta ma już zacząć narzekać na zięcia, jednakże Nurit Iscar przerywa jej i wyjaśnia, że niestety jej jest potrzebny ktoś właśnie na parę godzin w sobotę i w niedzielę, bo w tygodniu sobie radzi. Niewielu będzie mieć gości, ona plus dwie koleżanki i znajomy z pracy, acz wolałaby, żeby ktoś jej pomógł. Szkoda, w weekend mąż jej nie puści, powtarza kobieta. Szkoda, mówi Nurit. Gospodyni, która dalej szarpie się z chihuahua, macha do ogrodnika mijającego ich na rowerze, wiozącego na kierownicy kosiarkę do trawy, i choć Nurit o to nie prosiła, pyta go, czy kogoś nie zna. Mężczyzna zatrzymuje się, one też próbują przystanąć, lecz pies znowu histerycznie szczeka i w tym hałasie nie da się rozmawiać. W tej sytuacji mężczyzna zsiada z roweru i odprowadza je parę metrów w stronę, w którą chihuahua chce iść. Ano miałem, odpowiada mężczyzna, moją żonę, tyle że znalazła właśnie robotę, wczoraj znalazła, trzy miesiące bez niczego, ciężko było, ale wczoraj znalazła. Coś sobie przypomina, mówi, że w weekendy przed bramą, po drugiej stronie szlabanu, stoją kobiety, które szukają pracy na godziny, może wtedy uda się kogoś znaleźć, czasami ochroniarze je przeganiają, no a przecież to jest ulica, więc im wolno chyba, nie? Wolno, wolno, mówi Nurit Iscar i przypomina sobie swoją dyskusję

o tym, do kogo należy ulica, w dniu, kiedy przyjechała do La Maravillosy. Racja, potwierdza kobieta prowadząca psa, ja też je widziałam, przychodzą w soboty wcześniej rano. A jak trzeba, to są też mężczyźni, oferują się do robienia asado albo mycia aut czy co tam kto chce, dodaje ogrodnik. Nurit dziękuje za informację i wraca do domu. Mężczyzna jedzie dalej swoją drogą. Kobieta maszeruje za psem i mamrocze: Szkoda gadać, ten mój zięć.

Nazajutrz dość wcześnie Nurit wkłada jedyne swoje tenisówki, dostała je od swojego eks-męża – wtedy jeszcze po prostu męża – kiedy obchodziła czterdzieste dziewiąte urodziny, ostatnie, które spędzili razem, krótko przed separacją. Za dużo siedzisz przed komputerem, powiedział jej, niedługo zamiast tyłka będziesz mieć kocioł. Wolałaby jakiś bardziej romantyczny prezent niż para tenisówek i jakąś mniej drastyczną metaforę niż tyłek jako kocioł, ale jej mąż zawsze był pragmatyczny, a na tym etapie nie miała już zbyt wielkich oczekiwań ani wobec niego, ani wobec samego małżeństwa. Ani wobec metafor. Prawda jest taka, że pięć lat później tenisówki jej się przydały. Choć na bieganie jeszcze nie umie się zdobyć. Dlatego wkłada dzinsy – klasyczne spodnie, które w Argentynie, odpowiednio dobrane, mogą pasować zarówno na imprezę, jak i na piknik – koszulkę, okulary słoneczne, a przed wyjściem smaruje się kremem z filtrem i opryskuje repelentem przeciw komarom. Ewidentnie w *country* nie znaleźli metody, żeby je wytepić albo trzymać na dystans, myśli. A może te komary są wyszkolone i rozpoznają obcych, więc wyczuły, że Nurit jest nietutejsza, i kłują tylko ją? Patrzy na plan, który jej dali w dniu przyjazdu, i zastanawia się, jak najprościej dostać się do bramy. Za dużo zakrętów jest w tej La Maravillosie, ślepych zaułków, rond i okrężnych uliczek, więc trzeba zachować ostrożność, żeby nie skończyć jak Minotaur zamknięty w labiryncie Dedala. Ustala i zapamiętuje najlepszą trasę, po czym na wszelki wypadek składa plan i chowa go do kieszeni. Gdyby mimo dobrej pamięci jednak się pogubiła. Wybiera jedną z książek, które spakowała – *Memento mori* Muriel Spark – żeby sobie czytać po drodze do bramy, wsuwa komórkę do kieszeni i jakiś banknot do drugiej, gdyby potrzebowała kupić coś w sklepie. Coś jeszcze? zastanawia się. I ostatecznie wychodzi. No tak, powinna była włożyć czapkę, żałuje parę metrów od domu, ale nie chce jej się już wracać.

Ponieważ to sobota, spotyka więcej osób, niż widziała przez wszystkie dni dotychczas spędzone w La Maravillosie. Nikogo nie zna, niektórzy ją pozdrawiają, inni nie reagują. Ma wrażenie, że coś w jej wyglądzie zwraca na nią uwagę. Tak jakby nie spełniała jakiejś normy wpisanej w miejscowy *dress code*. Nie ma jednak pojęcia, co by to mogło być. Dzinsy odpadają, adidas też. Może książka, lecz chodzenie bez czytania to dla niej nuda. Może ludziom się wydaje, że to niebezpieczny nawyk, bo człowiek nie zwraca uwagi na drogę. Jeśli rzeczywiście o to chodzi, nie mają świadomości, że Nurit Iscar potrafi czytać w każdych okolicznościach: idąc, jadąc autobusem albo metrem, w kolejce do banku, nawet w kinie, dopóki nie wyłączą światła przed rozpoczęciem seansu. Ze wzrokiem utkwionym w książce, zasłonięta ciemnymi okularami, czuje się bezpiecznie. Wolałaby, żeby nikt jej nie rozpoznał, żeby nikt nie wiedział, że przebywa tutaj jak kolejna członkini klubu, tyle że na przeszpiegach. Chociaż czytelnicy *El Tribuno* pewnie już podejrzewają, że Nurit Iscar tu przebywa, to jednak nie to samo mieć taką świadomość a rozpoznać jej twarz i stanąć z nią oko w oko. Szpieg. Autorka non fiction, jak to nazwał Lorenzo Rinaldi. Dwa dni wcześniej podeszła do niej jakaś kobieta w supermarkecie i powiedziała: Ja cię skądś znam. I zaczęła się jej przyglądać. Możliwe, odpowiedziała Nurit. Kobieta uśmiechnęła się i stwierdziła: Pewnie z pilatesu, nie? Tak, na pewno z zajęć, skłamała Nurit. Chce zachować anonimowość, jak najdłużej się da. Dotąd ludzie jakoś szczególnie dużo jej nie powiedzieli, ale kiedy zrozumieją, że nie jest jedną z nich, tym mniejsze będzie miała szanse. I będą na nią krzywo patrzeć; a jej krzywe spojrzenia sprawiają dużą przykrość. Jeśli rzucanie uroku bierze się z krzywego patrzenia, to ona w nie wierzy, człowiek może zaszkodzić innemu, patrząc na niego z nienawiścią, złością czy pogardą. Dlatego właśnie Nurit chodzi w ciemnych okularach i ze wzrokiem utkwionym w książce, bo lubi czytać, idąc, i nie chce, żeby ktoś ją

rozpoznał i namierzył. Choć tak naprawdę nikt na nią nie patrzy. Większość mijanych osób uprawia jogging. Kilka maszeruje. Dwie młode kobiety mijają Nurit na rolkach. Kilka innych osób na rowerze. Chłopiec nie liczący więcej niż dwanaście lat mija ją na czterokołowym pojeździe z niepokojącą prędkością. Golfowe melekсы na akumulator, rowery z napędem silnikowym, deskorolki, waveboardy, motory. Jeżdżące po osiedlu pojazdy nie będące samochodami obejmują tak różnorodne typy, że Nurit nie jest w stanie nawet podać nazw niektórych.

W chwili gdy Nurit Iscar zbliża się do połowy drogi, Carmen Terrada wsiada do samochodu Pauli Sibony, bo wybierają się razem do La Maravillosy, gdzie mają spędzić weekend, żeby zgodnie z obietnicą dotrzymać towarzystwa przyjaciółce. Wzięłaś kostium kąpielowy? pyta Paula. Wzięłam, odpowiada Carmen. To taki późnomarcowy dzień, który zapowiada się na jeden z najlepszych dni w roku: słońce, czyste niebo, bardzo ciepło, acz nie upał. W tym czasie Jaime Brena w najlepsze jeszcze śpi. Dzwoni do niego chłopak z kryminalnego, chce się umówić, żeby po niego podjechać. Daj mi godzinkę, dobra? Muszę jedną sprawę załatwić. Chłopak jest już gotowy i dobrze wie, że ta sprawa polega na tym, że Jaime leży jeszcze z twarzą w poduszce, lecz mówi, że nie ma sprawy, nie pali się, poczeka. Jego dziewczyna narzeka, że cały weekend będzie musiała spędzić sama. Ale to jest służbowy wypadek, mówi chłopak i włącza komputer, żeby czymś się zająć przez ten czas, kiedy musi poczekać na Brenę. Wpisuje do wyszukiwarki Google'a: José de Zer. Dowiaduje się, że dzielnica, która zawdzięcza mu nazwę, to Fuerte Apache, Fort Apaczów – rodzinne strony piłkarza Carlosa Téveza – przedtem za sprawą Cacciatorrego, prezydenta stolicy w czasach dyktatury, zwane Barrio Ejército de los Andes, Osiedlem Armii Andyjskiej, która to nazwa wyparła – przez zapomnienie, a może z pogardy – jeszcze wcześniejszą, nadaną przez pierwszych mieszkańców: Carlos Mugica, na cześć księdza zamordowanego w 1974 roku. W trakcie jakiejś strzelaniny De Zer zupełnie nieświadomie wymazał miano Ejército de los Andes narzucone przez dyktaturę i przechrzczył dzielnicę na Fuerte Apache nazywaną tak do dziś. To wygląda jak Fort Apaczów! krzyknął do kamery, gdy wokół niego gwizdały kule. Już tym zasłużył sobie na miejsce w historii, pomyślał chłopak. Dzisiaj w świecie Tévez znany jest jako „Apacz” i wielu nawet sobie nie wyobraża, że to za sprawą Joségo de Zera. Gdyby De Zer nie zmienił nazwy dzielnicy, jak by dziś nazywano tego argentyńskiego zawodnika? Żołnierzkiem andyjskiej armii? Chłopak z kryminalnego dowiaduje się, również dzięki Google'owi, że jedną z pierwszych posad De Zera było stanowisko kasjera w teatrze, z którego go zwolniono za podkradanie gotówki. Anegdota ta pojawia się niemal we wszystkich notach biograficznych owego dziennikarza kryminalnego, jakby była warunkiem koniecznym do zrozumienia tego człowieka. A zdanie „Dalej, Chango, dalej” wypowiedział De Zer do operatora Carlosa „Changa” Torresa, kiedy podążali śladem rzekomych UFO widzianych nad górą Uritorco, acz z czasem okazało się, że były to latarki obsługiwane przez samego De Zera i jego ekipę. Dalej, Chango, dalej, i obaj ruszyli za światłami tych latarek. Te ich oszustwa, na przykład z nadmuchiwaną kukłą, która dała początek tak długo się utrzymującej legendzie o potworze z Loch Ness. Chłopak się śmieje, jak to możliwe, że nie słyszałem wcześniej tej historii z latarkami? zastanawia się. De Zer wyprzedził swoją epokę, opowie mu później Brena, kiedy będą jechali do La Maravillosy, był prekursorem tych wszystkich latarek zapalanych dziś przez naszych kolegów po fachu, tyle że oni robią to z mniejszym wdziękiem i bezkarnie, kreuja się na paladynów dziennikarstwa i są strasznie urażeni, jak się ich porównuje do De Zera. Wyzna mu też, że sam ma dużo szacunku dla De Zera mimo jego mrocznych stron, bo zapraszał do gry, której reguły były jasne, więc człowiek mógł wybrać, czy chce się w nią bawić, czy nie. Dzisiaj o taką jasność jest znacznie trudniej, chłopcze, westchnie Brena, „w naszym zawodzie jasność robi się coraz ciemniejsza”, to mogłoby być spokojnie zdanie autorstwa De Zera.

Dziewczyna chłopaka z kryminalnego znowu pyta, dlaczego nie może z nimi jechać. On nie odpowiada i wykręca numer Jaimego Breny. Wie, że nie minęło nawet dziesięć minut, ale nie jest w stanie tyle cze-

kać. Dzwoni telefon Breny, lecz to nie chłopak z kryminalnego, tylko komisarz Venturini, wyprzedza go o włos. I jak się miewasz, mój drogi? Dobrze, acz skromnie, odpowiada Brena. Kiedy mnie zapraszasz na to obiecanie asado? pyta komisarz. Dzisiaj jadę do La Maravillosoy, *El Tribuno* wynajął tam dom dla Nurit Iscar i jedziemy z kolegą ją odwiedzić. A, proszę, co za zbieg okoliczności, ja też tam będę w okolicy, jeśli zostanie mi trochę czasu, zajrzę i pogadamy. Pewnie, niech pan do mnie zadzwoni, komisarzu, podjadę, gdzie będzie trzeba, potwierdza Brena i rozłączają się. Jego telefon znów dzwoni. I jak? Wpadnę za dziesięć minut, może być? pyta chłopak z kryminalnego. Za kwadrans, odpowiada Brena. Chcęjechać z wami, mówi dziewczyna, a chłopak z kryminalnego, żeby już nie marudziła, odpowiada: No dobra, zbieraj się. Mam brać kostium kąpielowy? pyta dziewczyna.

Nurit Iscar podchodzi do bramy La Maravillosoy. Kilka metrów przed celem widzi już czekające na zewnątrz kobiety. Ledwie opuszcza teren osiedla, podchodzi do niej jedna, szybsza od pozostałych. W potrzebie nikt się nie certoli, zatyłował parę dni temu Lorenzo Rinaldi swój wstępniak, w którym zarzucał pewnym opozycyjnym gubernatorom mającym budżetowe kłopoty bratanie się z prezydentem. Potrzebuje pani pomocy domowej na godziny? pyta kobieta. Nurit Iscar tego nie wie, ale kobieta, blondynka, to ta sama osoba, która krzyczała w kolejce tamtego dnia, kiedy Gladys Varela czekała na wejście do La Maravillosoy, owego dnia, kiedy ostatni raz przyszła do pracy chwilę przed tym, jak znalazła zamordowanego Pedra Chazarretę. Tak, potrzebna mi pomoc na godziny, odpowiada Nurit, możesz przyjść dziś tak do popołudnia i jutro tak samo? Jak tylko pani wygodnie, ja mogę, mówi kobieta. Dobra, to chodźmy, odpowiada Nurit i wraca w stronę bramy. Zamierzają przejść przez nią, lecz zatrzymuje je strażnik. Czy pani ma pozwolenie na pracę albo kartę? zwraca się do Nurit, z tym że oczywiście chodzi mu o pomoc domową. Nurit Iscar patrzy z kolei na nią, jakby przekazywała pytanie. Nie, odpowiada zmieszana kobieta. W takim razie proszę zająć do biura, żebyśmy pobrali dane, a pani musi podpisać upoważnienie. Oczywiście, odpowiada Nurit i odprowadza kobietę do właściwego pomieszczenia. Kobieta podaje swoje imię i nazwisko, numer dowodu osobistego, wyciąga go, pokazuje torebkę – zawartość torebki, pytają ją, czy ma jakieś rzeczy do zadeklarowania, ona odpowiada, że nie, ale zaraz się poprawia, że owszem, ma komórkę, podaje ją strażnikowi, a on zapisuje markę i model, potem wprowadza dane do komputera, na ekranie pojawia się coś, co zwraca jego uwagę, drukuje pozwolenie, lecz przed przekazaniem go Nurit Iscar do podpisu prosi tę kobietę, która krzyczała w kolejce w dniu śmierci Pedra Chazarrety, żeby poczekała na zewnątrz. Kobieta stosuje się do polecenia. Staje po drugiej stronie drzwi nieufna. Zagląda do środka przez okno. Czeki. Strażnik patrzy na Nurit Iscar i mówi: Chciałem porozmawiać z panią na osobności, bo wyskoczyło mi na ekranie ostrzeżenie. A co to znaczy? pyta Nurit. Że system domaga się, żebym panią uprzedził, że Anabella López, tu strażnik wskazuje głową kobietę czekającą za drzwiami, pracowała w domu pani Campolongo, zna ją pani? Nie, ja tu nikogo nie znam. No w każdym razie pani Campolongo zażądała, żeby ta osoba miała zakaz wstępu na teren osiedla, rozumie pani? Nie. Pani Campolongo chce, żeby pani Anabella López nie miała wstępu do La Maravillosoy. A dlaczego? Bo pani Campolongo miała z panią López jakiś problem. A to jest legalne? Co jest legalne? Chodzi mi o to, czy pani Campolongo złożyła jakieś doniesienie na policji, czy jest sądowy zakaz wstępu dla tej pani? Nie, to taka grzecznościowa sprawa między mieszkańcami. Grzecznościowa. Tak, tak to załatwiamy, pojawia się ostrzeżenie na ekranie, pani Campolongo nie może złożyć „legalnego”, jak pani mówi, doniesienia, bo nie ma dowodu, a te dziewczyny w mig załatwiają sobie adwokata, przez co sprawa się ciągnie bez końca i co gorsza sporo kosztuje. Parę lat temu mieliśmy tu taką, co to jedną członkinię *country* pozwała do sądu federalnego za pogwałcenie konstytucyjnego prawa do pracy i swobodnego przemieszczania się. Wszyscy o tym pamiętamy, o mało roboty nie straciliśmy, pytali nas, czy ta kobieta pracowała dla tej członkini, więc potwierdziliśmy, bo tak stało w rejestrach, no cała afera się zrobiła. Dlatego pani Campolongo nie poszła z tym na policję, natomiast zgłosiła to nam, ochronie i straży, żebyśmy mogli ostrzegać

potencjalne nowe ofiary tej sytuacji. Aha, odpowiada Nurit, a co to jest „ta sytuacja”? No że pani Campolongo nie chce, żeby ta osoba miała tu wstęp. Ale dlaczego, skoro nie ma dowodów? Wygląda na to, że pani Anabella López ją okradła. Okradła? Tak, ukradła jej ser. Że co? Cały kawał sera. Kawał sera? Mężczyzna patrzy na nią, a ona na niego. Jak pani chce, zadzwonimy do pani Campolongo i ona pani szczegółowiej opowie. Opowie mi, jak jej ukradziono ser? Opowie o wszystkim, co pani potrzebuje wiedzieć. A proszę mi powiedzieć, czy jeśli ja, mimo ryzyka, że ta kobieta może mi ukraść kawałek sera, i tak będę chciała ją zatrudnić, wpuscicie nas do środka czy zatarasujecie przejście z karabinami w rękę? To raczej są karabinki. A, no to z karabinkami w rękę. Nie, my nie możemy pani zakazać zatrudniania u siebie w domu kogokolwiek, dlatego mówiłem o tym prawie do pracy i swobodnego przemieszczania się, to tylko sąsiadzka porada ze strony pani Campolongo. Grzecznościowa. Tak jest, grzecznościowa. Bardzo miło. Tak. Gdzie mam podpisać? Co podpisać? Pozwolenie na wejście. Czyli pani ją jednak zatrudnia? Tak, bo w sumie i tak serów nie jadam. Rozumiem, stwierdza ochroniarz i już więcej się nie odzywa.

Nurit wychodzi z podpisaną zgodą i wręcza ją kobiecie. Proszę, mówi i idzie kilka metrów. Potem przystaje, patrzy na nią i mówi: Zadam ci pytanie i od odpowiedzi będzie zależeć, czy zatrudnię cię u siebie, czy nie, dobrze przemyśl, co powiesz. Ukradłaś kawał sera z domu pani Campolongo? Kobieta na nią patrzy. Dobrze się zastanów nad odpowiedzią, ostrzega ją Nurit ponownie, uważnie jej się przyglądając. Kobieta nie spuszcza wzroku, choć jeszcze nic nie mówi. Nurit czeka. No i? pyta i robi ruch głową, zachęcając ją do odpowiedzi. Kobieta wreszcie się odzywa: Tak, zabrałam ten ser. Nurit przez chwilę milczy, a potem mówi: W porządku. W porządku? Tak, w porządku, zatrudniam cię, mówi i rusza dalej. Gdybyś potrzebowała czegoś z mojego domu, powiedz mi, a ja ci powiem, czy możesz to wziąć, czy nie, zgoda? Zgoda, odpowiada kobieta. I nie tykaj w ogóle ani moich papierów, ani książek, nigdy ich nie przekładaj, zgoda? Zgoda. Kobieta zostaje trochę w tyle, jakby ta rozmowa wytrąciła ją z naturalnego rytmu marszu. Dobra, idziemy, bo będę miała gości w domu, a na razie nawet nie oporządziłam kuchni. Kobieta rusza zwawiej i zrównuje się z Nurit. Idą parę metrów bez słowa, ale potem Anabella López się odzywa: To nie był cały ser, tylko połówka. Drugą połowę zjadła ta gruba. Jaka gruba? pyta Nurit. Ta gruba Campolongo, odpowiada kobieta.

Resztę drogi pokonują w milczeniu.

Pierwsze do bramy La Maravillosy docierają Carmen Terrada i Paula Sibona. Ktoś dzwoni z ochrony do Nurit, czy upoważnia je do wjazdu. Dziesięć minut później obie parkują swojego forda K pod domem, w którym na prośbę Lorenza Rinaldiego zamieszkała Nurit Iscar. Brakuje jeszcze tylko, żeby ci zrobili cytologię, wtedy kontrola przy wjeździe byłaby skrupulatniejsza niż coroczne badania medyczne, stwierdza Paula. Lepiej im nie podsuwaj takich pomysłów, mówi Nurit. Potem dodaje: Ma się tu też zjawić dziennikarz pracujący w redakcji *El Tribuno* w dziale kryminalnym, mam nadzieję, że nie będzie wam to przeszkadzało? W żadnym razie, bardzo się cieszę, że będę miała okazję poznać Jaimego Brenę, odpowiada Carmen. Nie, to nie jest Jaime Brena, to młody chłopak, nie znałam go wcześniej, Brena przeszedł do innego działu, wyjaśnia Nurit. Do jakiego? pyta Carmen. Przecież Brena to najlepszy dziennikarz kryminalny, jaki nam został. Ja tam wolę Zippa, wtrąca się Paula. Ty wolisz Zippa, bo jest ciemny i ma wąsa, ale Brena pisze od niego lepiej, stwierdza Carmen. Racja, potakuje Nurit, jak czytasz jego teksty, to jakbyś czytała jakieś opowiadanie. Bardzo dziwne, że zmienił dział, gdzie on teraz pisze? dopytuje się Carmen. Nie mam pojęcia, mogę popytać, odpowiada Nurit i zmienia temat: Nie odważyłam się na asado, więc kupiłam empanady i poprosiłam Anabellę, żeby naszykowała sałatki. A kto to jest Anabella? Pani, która pomaga mi w domu. Basen i służba domowa w weekend, to jest dopiero luksus, mówi Paula. Gdzie się mogę przebrać w strój kąpielowy?

Pół godziny później dzwonią z ochrony. Odbiera Carmen i przekazuje słuchawkę Nurit: Z bramy, żebyś udzieliła zgody na czyjś wjazd. To ten chłopak z kryminalnego, mówi Nurit do przyjaciółek, a potem bierze słuchawkę i mówi: Halo, tak. Jednak nazwisko, które słyszy z drugiej strony, zaskakuje ją: Kto? Nie, ja czekam na kogoś innego, powiedział pan, że jak się nazywa? Matías Gallo, odpowiada strażnik, mówi mi tu, że się przyjaźni z pani synem Rodrigiem. A, racja, Matías, ale czego on tu szuka? Zresztą nieważne, dobra, proszę go wpuścić. Nurit zaczyna się niepokoić: Dlaczego przyjaciel Rodriga przyjechał aż tutaj, do La Maravillosy? Musiało się coś stać, pewnie go poprosili, żeby przekazał mi jakąś złą wiadomość. Przyjaciółki starają się ją uspokoić, lecz z miny Nurit widać, że niezbyt im się to udaje. Oj, proszę cię, dlaczego zawsze musisz tak dramatyzować, kiedy chodzi o twoich synów? stawia pytanie Paula. To z pewnością jakaś bzdura, pewnie przyjechał do kogoś innego i zamierza zajrzeć tu, żeby ci coś podrzucić albo przywitać się z tobą, stwierdza Carmen. Nie, nie jesteśmy tak blisko, to kolega Rodriga ze studiów, ja go znam, wiem, kim jest, ale nie utrzymuję żadnych kontaktów z tym chłopakiem, nie ma powodu, żeby czuł się w obowiązku wpadać do mnie z pozdrowieniami. Może coś ci przyniesie dla Rodriga, zgaduje Carmen. Uprzedziłby mnie. Tak sądzisz? Po dzieciach można się spodziewać wszystkiego. Nurit dzwoni na komórkę syna: wyłączona. Carmen Terrada stara się użyć pojęcia brzytwy Ockhama. Czyjej brzytwy? pyta Paula. Carmen tłumaczy: To zasada filozoficzna podana przez niejakiego Wilhelma Ockhama, która twierdzi, że spośród dwóch teorii objaśniających ten sam fakt zazwyczaj prawdziwa okazuje się ta prostsza; na przykład jeśli ktoś, na kogo czekasz, nie przychodzi, powiedzmy syn, znacznie logiczniej jest założyć, że spóźnił się na autobus albo zagadał się u kumpla w domu, niż że zginął w wypadku drogowym. Paula i Nurit patrzą na nią przez chwilę. No dobra, dobra, to nie był szczęśliwy przykład, ale brzytwa Ockhama, dobrze użyta, może oszczędzić ci psucia sobie krwi. Jej przyjaciółki dalej siedzą bez słowa, więc postanawia zrobić to samo. Paula proponuje, żeby zeszły do drzwi i tam poczekały na Matíasa, i tak też robią. Nie wiedzą, którądy przyjdzie, do domu zajmowanego przez Nurit można od bramy pójść w lewo albo w prawo, bo ulica, przy której stoi, tworzy idealne półkole. Spoglądają to w jedną, to

w drugą stronę, jakby śledziły mecz tenisowy w zwolnionym tempie. Wydaje się, że czas stoi w miejscu. Ile ten facet może iść tutaj od bramy? irytuje się Paula. Czym on jedzie, powozem zaprzężonym w konie? Chcesz wyjechać mu naprzeciw samochodem? proponuje. To dobry pomysł, stwierdza Nurit i jej przyjaciółka już ma iść po klucze, jednak w tej samej chwili po lewej, jakieś dwadzieścia metrów od domu, zza rogu wynurza się idący bez pośpiechu chłopak. To ten? pyta Carmen. I nie czekając na odpowiedź, wszystkie trzy wybiegają mu naprzeciw. Chłopak przygląda się im, jak zmiernie, lekko zmieszany, ma plecak na ramieniu i słuchawki od iPod'a w uszach. Pierwsza dobiega do niego Nurit, staje przed nim, łapie go za ramiona i pyta: Co się stało? Chłopak wpatruje się w nią bez słowa. No mów wreszcie, co się stało, powtarza Nurit. Co się stało kiedy? ośmiela się zapytać kumpel jej syna. No wtedy, kiedy stało się to, co się stało, odpowiada Nurit. A co się stało? powtarza Matías. No właśnie tego chcę się dowiedzieć, teraz Nurit już krzyczy. Matías spogląda na pozostałe kobiety, jakby mówił: „Niech ktoś przyniesie kaftan bezpieczeństwa i coś zrobi z tą wariatką”. Nurit zaczyna płakać. Paula, choć cały czas twierdzi, że nie ma co przesadzać, obejmuje ją i pozwala jej się wypłakać. Chłopak zlewa się potem, wyciera sobie czoło ręką. Carmen stara się zachować spokój, ale prosi go zdecydowanym tonem: No mów, co masz do powiedzenia, byle szybko. Chłopak wciąż się namyśla, widać po jego twarzy, że strasznie chciałby utrafić z odpowiedzią w oczekiwania tych kobiet, lecz nie ma najmniejszego pojęcia, czego właściwie chcą. No mów, mów wreszcie, powtarza Carmen, powiedz to, musisz to z siebie wydusić! Dziękuję? mówi Matías. Jak to: dziękuję? nie rozumie Carmen. Dziękuję pani Iscar, że pozwoliła mi spędzić dzień na swojej posesji, odpowiada chłopak, jakby recytował. Nurit puszcza ramię Pauli i mówi: Że ja cię niby gdzieś zaprosiłam? No, w sumie nie pani, tylko Rodrigo, zaprosił mnie na weekend na pani posesję. Na moją posesję. Tak, mnie i resztę paczki, nikt jeszcze się nie zjawił? Nie, odpowiada Nurit, odetchnąwszy ze spokojem, tym razem przepełniona pragnieniem, by udusić swojego syna. A, bo oni mieli przyjechać bussem z plaza Italia, ale ponieważ ja jechałem od mojej babci z San Isidro, wybrałem się sam. Kierowca w audi trąbi na nich, bardzo delikatnie, żeby zrobili mu miejsce na ulicy. Nieświadomie kobiety i chłopak zajęli całą szerokość drogi. Przebiegają na pobocze, puszcza auto, a potem ruszają za nim w stronę domu. A powiedz no, pyta Nurit Matías, ile osób jedzie tym bussem z plaza Italia? A, nie-dużo, jakieś cztery czy pięć. Cztery czy pięć, powtarza Nurit. Nie licząc Rodriga, zaznacza chłopak. Nie, Rodriga możemy nie liczyć, bo obawiam się, że może doznać jakiegoś małego wypadku domowego, mówi Paula. Chłopak nie rozumie żartu. Ona to widzi, patrzy w niebo i mówi: Błogosławiony niech będzie Pan, bo dał mi tylko siostrzeńców.

Wracają do domu i Anabella mówi Nurit, że dzwoniła Viviana Mansini, że będzie po obiedzie – Kto zaprosił Vivianę Mansini? pyta Paula – i że znów dzwonią z ochrony: Ma pani gości przy wjeździe, konieczna jest autoryzacja, mówi gospoia i dalej kroci sałatę. Już oddzwaniam, odpowiada Nurit, szacując równocześnie, że warzyw jest jednak za mało: Dorzuć jeszcze jedną sałatę, dwa czy trzy pomidory, bo przybyło nam gości, a ja zaraz zamówię więcej empanad. Nurit dzwoni do ochrony: Tak, podobno mam autoryzować czyjeś wejście. Podają jej imię kolejnego gościa. Juan? mówi. Tak, tak, niech wejdzie, to mój syn. Wygląda na to, że Juan też się zjawi, telefonów nie odbierają, ale zwalić się bez zapowiedzi – proszę bardzo. Mogę wskoczyć w kąpielówki i popływać, zanim Rodrigo i reszta się zjawią? wtrąca się Matías. Pewnie, nie ma problemu, czuj się jak u siebie w domu, mówi Nurit z nutką ironii, która jednak przyjacielowi jej syna umyka. Przygląda mu się przez chwilę, nie dodając ani słowa, jakby dawała chłopakowi do zrozumienia, że najlepsze, co może zrobić, to iść i zanurzyć się w wodzie. No nic, wygląda na to, że dziś nie będzie premiery mojego kostiumu, stwierdza Paula, kiedy Matías znika, żeby się przebrać. Dlaczego? pyta Nurit. Widziałaś to ciało, tę skórę, tę młodość? No i to wszystko się przemnoży razy pięć, jak się tu zjawi Rodrigo, i nie wiemy nawet przez ile jeszcze, kiedy przyjdzie Juan, a ja nie jestem gotowa na takie porównania. Ach, przestań chrzanić, mamy swoje lata i nikt nie oczekuje od nas młodości,

mówi Carmen. Nie, młodości nie, ale szczypty krytycyzmu, szacunku dla innych i godności. Godności przede wszystkim. Tu się zgadzam, mówi Nurit i przypomina sobie, jak sama parę dni wcześniej stała przed lustrem i czuła, że to niegodne, by Lorenzo Rinaldi zobaczył, jak jej ciało postarzało się przez te trzy lata. Powinnam była zrobić to co Greta Garbo, mówi Paula, albo Mina, które w porę wycofały się z życia publicznego. Mina, ta od *Parole, parole?* pyta Carmen. Tak, Mina. Nie wiedziałam, że się wycofała. Usunęła się w cień, starość nas, artystów, przeraża, jesteśmy istotami estetycznymi, młodymi duszami uwięzionymi w starzejących się ciałach. I trochę egocentrykami, dodaje Carmen Terrada. Zwał, jak zwał, ja też byłam kiedyś uznaną artystką, choć nie wydaje się, żeby ten chłopak mnie rozpoznał, skarży się Paula. Zauważyłyście, że on nie ma pojęcia, kim jestem? Przeszedł obok i zignorował mnie jak jakiś słup. I dobrze, możesz włączyć do basenu, facet nawet na ciebie nie spojrzy, podpowiada Carmen. Tak, wiem, że ryzyko jest niewielkie, ale istnieje; co będzie, jeśli któryś z kumpli Rodriga widział mnie w jakimś starym filmie, zrobi mi zdjęcie i pośle do jakiegoś plotkarskiego portalu? Jutro się wykąpię, w końcu oni tu nie zostają na noc, czy może zostają? Mnie się zdaje, że ten cały Matías mówił coś o „weekendzie”, zauważa Carmen. Wszystkie trzy wymieniają się spojrzeniami. Paula podchodzi do okna i zgiąwszy palec wskazujący i mały, odpukuje w niemalowane drewno.

Juan, jak się okazuje, nie jest sam, przyjeżdża autem pożyczonym od ojca. Prawie mi się udało przekonać starego, żeby się z nami zabrał, mówi witając się i wprawiając matkę w osłupienie. Przywiózł ze sobą dziewczynę – Nurit do dziś jej nie znała – oraz siostrę dziewczyny i jej pudełka miniaturkę. Bingo, mruczy Paula Sibona, kiedy widzi, jak pies gania po ogrodzie. Nic nie wspomniałeś, że się tu wybierasz, mówi Nurit do starszego syna. Zgubiłem komórkę, a twojego numeru nie znam na pamięć, wkurza cię, że pojawia się bez uprzedzenia? Nie, wręcz przeciwnie, bardzo się cieszę, odpowiada Nurit i choć niezapowiedziane wizyty przynoszą oczywiste komplikacje, wcale nie kłamie. Skoro zawsze skarży się po cichu, że tak mało ich widuje, pobyt w La Maravillosie już teraz przyniósł jej nieprzewidziane korzyści. Kurczę, niezła ta chata, mówi Juan, taszcząc ze sobą dwa leżaki, żeby jego dziewczyna i jej siostra miały się gdzie położyć. Pudełek miniaturka obszczekuje kogoś, kto wyłonił się zza krzewów ligustru. Jakiś ciemny facet z wąsami, ale nie Zippo, Paula uprzedza Nurit. Za pozwoleniem, mówi mężczyzna i wchodzi, próbując ignorować histeryczne szczekanie skaczącego wokół niego pieska. No, sprawy mają się coraz lepiej, stwierdza Paula, podczas gdy Nurit wychodzi mu naprzeciw, żeby zapytać, kim jest i czego chce. Komisarz Venturini, bardzo mi miło, wielbiciel pani osoby i powieści, pani Iscar, niecierpliwie czekam na następną książkę. Dziękuję, z tym że już nie piszę powieści. Jak to nie pisze pani? W każdym razie nie teraz, może w przyszłości napiszę. Będę zatem dalej czekał, mam nadzieję, że pewnego dnia znów jakaś pani nowa powieść trafi w moje ręce. Na oko typ sprawia wrażenie eleganckiego, podoba mi się, mówi Paula do Carmen kilka metrów od nich. Przecież widzę, że ci się podoba, odpowiada Carmen. Byłem tu w okolicy, mówi komisarz do Nurit, i umówiłem się z Jaimem Breną, że się na chwilę spotkamy u pani i pogadamy, jeśli to nie problem, rzecz jasna. Z Jaimem Breną? Tak, mówił, że tu jedzie. Nie wiedziałam... Naprawdę? Oj, no to nie wiem... Ale raczej może pani być pewna, dzwoniłem do niego z godzinę temu i właśnie się zbierał. Skoro pan tak mówi, dziś i tak już się pogubiłam w gościach, odpowiada Nurit zrezygnowana i zaprasza go do środka: Proszę wejść. Nie, proszę sobie nie robić kłopotu, zaraz wrócę, tylko muszę najpierw zajrzeć do domu Chazarrety pogadać z jednym kolegą. Nurit nastawia uszy, bardzo ją zaciekawiły słowa komisarza, od samego przyjazdu do La Maravillosy parę razy zachodziła pod dom Chazarrety, lecz nigdy nie zdołała się dostać poza plastikowe taśmy w czerwono-białe paski rozciągnięte przez policję pierwszego dnia, wciąż pilnowane przez funkcjonariusza policji miejskiej i strażnika z *country*. Nie chciałabym stawiać pana w niezręcznej sytuacji, panie komisarzu, ale czy jest jakaś szansa, żebyśmy poszła z panem zobaczyć wewnątrz domu? No, nie jest to w zwyczaju. Rozumiem. Jako że to o panią chodzi, komisarz robi przerwę i uśmiecha się do niej, sądzą, że znajdziemy jakieś wyjście.

Potem, jak wpadnę zobaczyć się z Breną, jeszcze to potwierdzę. Dziękuję, nawet pan nie wie, jakie to dla mnie ważne. Przed odejściem komisarz Venturini mówi: Bardzo przepraszam, nie chciałbym być niegrzeczny wobec dam, po czym podchodzi do przyjaciółek Nurit i wita się z nimi mocnym uściskiem dłoni – łapie oburącz – co Carmen irytuje, a Paulę wprawia w ekscytację. Komisarz Venturini, powtarza policjant dwukrotnie, trzymając najpierw dłoń Carmen, a potem Pauli. I to słowo „komisarz” zapada Pauli głęboko w żołądek, tak że na chwilę traci mowę. Czy pani nie jest przypadkiem Paulą Siboną? pyta ją. Paula reaguje dopiero po paru sekundach i wreszcie wydusza z siebie: Tak, jestem Paula Sibona. Ależ to radość panią poznać, pani jest jedną z moich ulubionych aktorek. Pamiętam, widziałem panią w tym filmie, jaki on miał tytuł... no ten, w którym gra pani żonę tego potężnego faceta... *Droga soli*... O, przypomniałem sobie: *Droga soli*. *Droga saletry*, poprawia go Paula. O właśnie, saletry, świetny film, ciągnie, wciąż trzymając dłoń Pauli między swoimi. No nic, to ja się zbieram, ale zaraz wracam i będziemy mieli okazję pogadać, pani Paulo, mówi komisarz, mogę tak się do pani zwracać? Tak mam na imię, odpowiada Paula. Komisarz Venturini żegna się z całą trójką i odchodzi. Spodobał ci się, stwierdza Nurit. Mało sobie majtek przez głowę nie ściągnęła, lafirynda jedna, potwierdza Carmen. Uwielbiam mężczyzn, którzy tak mocno ściskają rękę, a jeśli są ciemnowłosi i z wąsem, tym bardziej. Tyle że ty nie jesteś z tych, które zadowolają się ściskaniem samej ręki, koleżanko, mówi Carmen. Co chcesz przez to powiedzieć? Że zamierzasz go przelecieć, tłumaczy Nurit. Prawda, kręci mnie, ale nie mogę. Dlaczego? Jak to dlaczego? Skończyłam konserwatorium, byłam Medea i Lady Makbet w Teatro San Martín, byłam za dyktatury w opozycyjnym ruchu Teatro Abierto!, rozumiecie? Nie mogę bzykać się z komisarzem... to sprawa ideologiczna. A od kiedy to mieszasz ideologię z seksem? śmieje się Carmen. Od zawsze. Czy mam ci zrobić listę typów ideologicznie niesłusznych, których zaliczyłaś? pyta Nurit. Nie, wolę o nich zapomnieć, a poza tym we wszystkich tamtych wypadkach dowiedziałam się po fakcie: najpierw był seks, potem ideologia. Sprawia miłe wrażenie i do tego czyta, zauważa Carmen, przecież powiedział, że przeczytał wszystkie powieści Nurit. Nie nalegajcie, dziewczyny, z komisarzem będę miała blokadę i do niczego nie dojdzie, wiem, co mówię.

Dwadzieścia minut później zjawia się Rodrigo i jego przyjaciele, których ostatecznie przyjechała piątka, a dziesięć minut po nich dostarczają empanady. Nurit doprawia sałatki i prosi Carmen, żeby odebrała dostawę: Wyjmij kasę z mojej torebki, leży na mikrofalówce. Pudełek miniaturka wchodzi do kuchni i z miejsca zaczyna łąsić się do nóg Nurit. Czy ktoś może zająć się tym zwierzęciem? pyta Nurit, próbując pozbyć się psa, ale Juan, jego dziewczyna i jej siostra wylegują się na słońcu jak jaszczurki i nikt nie reaguje. Carmen wraca z empanadami i mówi: Nie za mało będzie dwa tuziny na tyle osób? Zapomniałam domówić więcej! Alzheimer czy gapiostwo? Gapiostwo, moja droga, nie przejmuj się, pociesza ją Carmen. Nurit bierze telefon i dzwoni, prosi, żeby jej dosłali cztery tuziny. Ile? Półtorej godziny czekania? narzeka do słuchawki. No nic, proszę zrobić, co się da, mówi i rozłącza się w trochę gorszym humorze. Na szczęście chłopaka z kryminalnego wciąż nie ma, mówi i w tym momencie znów telefon dzwoni. Zostawia sałatkę, odbiera, słucha, co tam mówią, i wreszcie odpowiada: Tak, proszę wpuścić.

Jaime Brena i chłopak z kryminalnego czekają w długiej kolejce przed bramą z napisem „Goście”. Nurit Iscar udzieliła już zgody na ich wjazd, jeden ze strażników sprawdził im bagażnik i żeby zaoszczędzić na czasie, pokazał im na mapie osiedla, jak dotrzeć do właściwego domu. Ale muszą jeszcze przejechać przez szlaban, okazać dokumenty i dać sobie zrobić zdjęcie. A przed nimi stoi jakieś sześć aut, więc zejdzie im tam jeszcze dobre piętnaście minut. Dziewczyna chłopaka z kryminalnego wysiadła na pierwszych czerwonych światłach, na których stanęli w drodze do Jaimego Breny. Chciała podjechać do swojego domu po bikini, a chłopak powtarzał jej wielokrotnie, że są spóźnieni, że czekają na nich i że nie jadą do domu Nurit Iscar na piknik, tylko do pracy. To co ja mam robić przez cały dzień w takim miejscu, kiedy ty będziesz pracował, skoro nawet nie będę się mogła opalać? powiedziała, kiedy czekali na zielone. Masz rację, stwierdził chłopak z kryminalnego, wysiadł z samochodu, obszedł go dookoła, otworzył drzwi po drugiej stronie, pomógł jej wysiąść i powiedział: Lepiej nie jedź. Dziewczynę zatkało. Nikt nigdy tak mnie nie wystawił, zaprotestowała, kiedy chłopak wyciągnął rękę, żeby jej pomóc wysiąść. Zawsze jest ten pierwszy raz, odpowiedział, wsiadł do samochodu i odjechał. Jaime Brena się nie zdziwił, że chłopak z kryminalnego przyjechał sam, bo też nigdy nie dowiedział się o tym, że jego dziewczyna ma się do nich przyłączyć, natomiast owszem, zaskoczyła go jego zacięta mina, zmarszczone czoło i próby sprawiania wrażenia, że wszystko jest w porządku. Coś się stało? zapytał. Problemy domowe, odparł chłopak i już nie wracali do tematu.

Podczas jazdy szosą panamerykańską rozmawiali o piłce nożnej, o gazecie, o zwolnieniu na własne żądanie, które planował Jaime Brena, o José de Zerze, o Karinie Vives – Czy mi się zdaje, czy ta dziewczyna cię interesuje? spytał Brena; chłopak udął głupiego i ledwie odpowiedział: No ładna jest, choć dość antypatyczna, na co Brena rzekł: Trzeba wiedzieć, jak do niej podejść – o Pedrze Chazarrecie, o Lorenzu Rinaldim, o Nurit Iscar. Ruch w sobotnie południe był intensywny i Brena musiał poprosić chłopaka, żeby nie hamował tak tuż za autem przed nimi, jeśli nie chce mieć pawia na tapicerce. Zjechali z Panamerykańskiej dwa mosty wcześniej, niż należało, kosztowało ich parę prób, żeby znów się dostać na autostradę i skręcić na właściwym zjeździe, ale ostatecznie się udało. Pomyśleć, że niektórzy ludzie pokonują tę trasę dzień w dzień, stwierdził chłopak, szaleńcy. Nie doceniasz ich, członkostwo w *country* ma swoje korzyści, jak powiedzieliby ludzie z *American Express*, odpowiedział Brena.

Wreszcie ich kolej, dokument, zdjęcie, rejestr, ubezpieczenie auta, jeszcze jedna kontrola bagażnika – „No przecież już sprawdzaliście”, „A, to przepraszam” – i wjeżdżają do La Maravillosoy. Jaime Brena natychmiast rozpoznaje drogę, tę uliczkę wysadzoną po bokach drzewami stykającymi się w górze gałęziami, tak że tworzą zielony tunel, przez który przedziera się południowe słońce. To dobrze pamięta, ten zielony tunel. Brena opuszcza szybę i rozpina pas bezpieczeństwa. Nabiera pełne płuca powietrza. Znasz to miejsce? pyta chłopaka. Nie, tu nie byłem nigdy, odpowiada. Ja nie byłem tu od ponad roku, ale wszystko wygląda dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy robiłem wywiad z Chazarretą. A raczej wydaje się takie samo, bo jego już tu nie ma. Wtedy jeszcze toczyła się przeciw niemu sprawa w związku ze śmiercią żony. Od pierwszego pytania próbował mną manipulować, chciał zrobić z tego wywiadu jakiś pean na swoją cześć. Trudny typ, zimny, wyrachowany, spokojny i bardzo inteligentny. A ty co o tym sądzisz? pyta go chłopak z kryminalnego. O śmierci jego żony? Tak. Że to on zabił albo zlecił jej zabójstwo; gość w każdym razie wiedział, kto ją zamordował i dlatego, i bez wątplenia on ponosił za to odpowiedzialność. Chłopak z kryminalnego hamuje i przepuszcza matkę z córką, które próbują poruszać się

po ulicy na rolkach, acz żadna nie umie właściwie na nich jeździć. Wiesz, co Chazarreta powiedział operatorowi na pogotowiu, do którego zadzwonił, kiedy znalazł ciało żony? Nie, odpowiada chłopak. To jest nagrane, słuchałem go, powiedział: Bardzo proszę pilnie przyjechać, posesja numer 23 na osiedlu La Maravillosa, moja żona szła rozkojarzona, poślizgnęła się na śliskiej podłodze, wpadła na przeszklone drzwi, podcięła sobie gardło i wykrwawia się teraz. Wyobrażasz to sobie? Stanowczo za długie i zbyt wydumane zdanie jak na kogoś, kto powinien być w szoku, stwierdza chłopak. I jednocześnie naprowadzające rozmówcę na myśl, na którą miał zostać naprowadzony: że to wszystko było godnym pożałowania wypadkiem, tłumaczy Brena. Poza tym jeżeli nie dotykał ciała, a twierdził w pierwszych zeznaniach, że tego nie zrobił aż do przyjazdu lekarzy, nie mógł przecież wiedzieć, że żona ma poderżnięte gardło, skoro leżała na brzuchu. Dlaczego w takim razie uwolniono go z zarzutów? Nigdy tego nie zrozumiem. W orzeczeniu sądu mowa jest, że dowody nie były „rozstrzygające”, a ja bym go skazał już za to, o czym ci właśnie mówiłem. No ale wiadomo, sędzią nie jestem.

Jadący przed nimi elektryczny pojazd zmusza chłopaka z kryminalnego do zredukowania prędkości. Pojazdem jadą kobieta i mężczyzna, wiozą ze sobą dwie torby z kijami golfowymi, męskie są nieco dłuższe od jej kijów. Jeden z kijów kobiety ma na końcówce coś w rodzaju krótkiego pokrowca w kształcie uszatej głowy pluszowego psa. Brena patrzy na nich i mówi: Niektórzy żyją inaczej, nie? Ano żyją, owszem, wielu tak żyje, odpowiada chłopak, rzecz w tym, żeby żyć tak, jak się chce. Święta racja, zgadza się Brena, przygląda mu się przez chwilę, a potem mówi: W sumie nie jest z ciebie jednak taki bałwan. Chłopak z kryminalnego patrzy na niego, wyolbrzymiając swoje zdziwienie tym komentarzem, Brena parska śmiechem. To tylko żart, chłopie, głupi nie jesteś, brakuje ci tylko doświadczenia w terenie, a skoro o tym mowa – masz ochotę na ciąg dalszy szkolenia? Tak, jestem gotów na kolejną lekcję, wiem już wszystko o Josém de Zerze, Forcie Apaczów i jego latających talerzach. Kim mam się teraz zająć? Enriquem Sdrechem, Sdrecha musisz koniecznie poznać. Tak, widziałem kiedyś taki stary program, puszczają go ciągle w telewizji. Żaden program nie wystarczy, żeby dobrze poznać Sdrecha, musisz uważniej poszperać, na przykład musisz się dowiedzieć, dlaczego w dziewięćdziesiątym drugim ostrzelali mu dom z karabinu, chyba że to już wiesz? Nie. No to skombinuj sobie jego książkę: *Giubileo, sprawa otwarta*. Pamiętasz sprawę Giubileo, co? Z grubsza, odpowiada chłopak, żeby się nie przyznać, że nie ma bladego pojęcia, o czym Brena mówi. Z grubsza, powtarza Brena, Boże jedyny, sprawa lekarki, która zniknęła z powierzchni ziemi, nie zostawiając żadnego śladu, w osiemdziesiątym piątym roku. Ile miałeś lat w osiemdziesiątym piątym? Jeszcze mnie nie było na świecie, odpowiada chłopak. Jasna cholera, mówi Brena, jasna cholera, i przez chwilę patrzy przez szybę. Jeszcze cię nie było na świecie, powtarza, wpadając się gdzieś daleko w pole golfowe, które mijają po prawej. Potem mówi dalej: Pani doktor Giubileo zaginęła w dzielnicy Montes de Oca, była tam klinika neuropsychiatryczna znana jako Open Door, jak się potem okazało, handlowano tam organami i przeprowadzano na pacjentach testy nowych leków. Mówiąc krótko, jeszcze jedna nierozwiązana tragiczna historia. Sdrech miał obsesję na punkcie tej sprawy. I innych podobnych nierozwiązanych spraw: Oriel Briant, Jimeny Hernández, Normy Mirty Penjerek. Wiele kobiet nie doczekało się sprawiedliwości. On był naprawdę oddany sprawie. I mnóstwo czytał. Wiesz, czego się od niego nauczyłem? Że artykułów kryminalnych nie pisze się tak samo jak teksty do innych działów, nigdy w nagłówku nie daje się najsmaczniejszych kąsków, odkryć, to musi zostać na koniec, zupełnie jak w opowiadaniu.

Trzej chłopcy na rowerach zajmują całą szerokość ulicy i najwyraźniej nie zamierzają zjechać na bok. Chłopak z kryminalnego czeka, nie ośmiela się zatrąbić; wydaje mu się, że takie coś, klakson, nie wpisuje się w tutejsze zwyczaje. Sprawiają wrażenie, jakby się czuli panami ulicy, stwierdza chłopak. Bo są panami ulicy albo nimi zostaną, poprawia Brena. Jeden z chłopców skręca w stronę krawężnika i wywraca się, pozostali dwaj hamują, żeby mu pomóc, chłopak z kryminalnego wykorzystuje to i wymija ich. Zrobił

sobie krzywdę? zastanawia się. Mama się tym zajmie, odpowiada Brena. W ciszy przejeżdżają jeszcze jedną czy dwie przecznice, aż w końcu chłopak z kryminalnego decyduje się zapytać: A ty, Brena, na jakim punkcie masz obsesję? Jaime Brena przygląda mu się niepewny, czy dobrze zrozumiał pytanie. No tak jak Sdrech, jak De Zer, ty też musisz mieć coś, co cię opętało przez te lata pracy w zawodzie. Jakie ja mam obsesje? Sam już nie wiem, wiele lat temu chciałem być jak Rodolfo Walsh, wiesz? To był mój wzór, nie wiem, czy aż obsesja, ale wzór na pewno. Potem się zorientowałem, że nie mam co startować do takiej pozycji. Ani ja, ani nikt inny, dziś w tym kraju nie ma nikogo, kto mógłby upodobnić się do Rodolfa Walsha. Dlaczego? Bo Walsh bardziej niż dziennikarzem, bardziej niż pisarzem, bardziej niż kimkolwiek innym był rewolucjonistą, a dziś dziennikarstwo nie ma nic wspólnego z rewolucją. Zrobili się z nas strasni mieszczanie, chłopcze. Zapuściliśmy sobie brzuszki, z pewnymi ograniczeniami robimy to, czego od nas chcą, inkasujemy pensyjki pod koniec miesiąca, każdy orze jak może. I zdarzają się bezczelne typy, które uważają się za odważnych, bo krytykują prezydenta albo media. Albo prezydenta i media. Walsh by się bał? Ja na jego miejscu tak. Dzisiaj dziennikarskie albo w cudzysłowie „intelektualne” tuzy przemawiają butnie zza swoich biurka, często wygodnie ze swoich domów albo stamtąd, gdzie są na wakacjach. I uważają się za strasznie ważnych, bo „kształtują opinię publiczną”. Tylko że rzecz w tym, jak kształtujesz tę opinię, jakie szanujesz wartości i jakie masz skrupuły. Wielu z nich traktuje jak prawdę objawioną to, co tak naprawdę jest wyłącznie ich opinią. Czy też opinią tych, dla których pracują. Kiedy dziennikarz odkłada na bok informację, żeby przedstawić swoją opinię, uczciwy jest tylko wtedy, kiedy wyraźnie zaznacza, co robi. Można przedstawiać swoje poglądy, ale nie można mylić opinii z informacją. Ideologia mieszczańska stara się pokazać interesy swojej klasy jako naturalne i normalne. Zagalopowałem się, co? Nie, w żadnym razie, odpowiada chłopak z kryminalnego. Jaime Brena ciągnie: Cholera, nic nie może równać się z czymś takim jak wysłanie listu do junty wojskowej, kiedy masz świadomość, że nazajutrz po ciebie przyjdą. Taki był Rodolfo Walsh. Kto by dzisiaj zajął miejsce junty? Prezydent czy grupy trzymające władzę, które dziś wypłacają ci pensję? Ani jeden, ani drudzy. Jeśli nie zgadzasz się z linią wydawniczą dziennika, dla którego pracujesz, co masz robić? Pisać tak, jak sobie życzą, czy odejść? Czy jest miejsce na trzecią opcję? Nie wiem. Ten, kto odpowiada stanowczo na te pytania – kłamie. Wszyscy jesteśmy zbyt wielkimi tchórzami, chłopcze, żeby porównywać się do Walsha. Ale nie przejmuj się, potraktuj to jak głędzenie starucha, twoje pokolenie nie stawia sobie takich pytań. Przecież kiedy zniknęła doktor Giubileo, ciebie nawet jeszcze nie było na świecie. Niesamowite, chłopcze. Ty staraj się być dobrym dziennikarzem kryminalnym, bywaj dużo w terenie i pisz dobrze, żeby było zrozumiałe, żeby miało pazur, żeby wciągało. I bez błędów ortograficznych, bo w dzisiejszych czasach to już i tak sporo.

Samochód chłopaka podjeżdża pod dom Nurit Iscar. Dźwięki reggaetonu dobiegające z ogrodu lekko ich zaskakują. Chłopak z wahaniem wchodzi na żwirowy podjazd. Pewien jesteś, że to tutaj? pyta go Brena. Chłopak jeszcze raz patrzy na plan i sprawdza adres, który podali im na bramie: Calandaria 675. Czyli to tutaj, potwierdza Brena, niezła ta Betibu, takiej nowoczesnej muzyki słucha. Parkują, wysiadają z auta, chłopak naciska dzwonek. Wiesz, jak Enrique Sdrech zacząłby ten tekst? Jakoś tak: „I tak oto wylądowaliśmy w *country club* La Maravillosa, a ściślej przed domem pisarki Nurit Iscar”. Sdrech przepadał za słowem „wylądować”.

Pudełek miniatuurka wyskakuje im naprzeciw. Brena patrzy na niego z pogardą: Ten pies nie ma nic wspólnego z tym, którego chciałbym dla siebie.

Prezentacje gości, empanady – kiedy już dostarczono drugą porcję – i deser przebiegają w normie. Jako że komisarz Venturini zawczasu uprzedził o wizycie Jaimego Breny, nikt nie jest zaskoczony, widząc go u boku chłopaka z kryminalnego. Jednak choć dla Carmen Terrady takie spotkanie z nim twarzą w twarz jest emocjonujące, nie jest w stanie wydusić z siebie czegoś więcej niż: Dzień dobry, bardzo mi miło. Nurit Iscar czuje się nieco niezręcznie pośród tych wszystkich ludzi, tak różnorodnej mieszaniny zebranej u niej w domu – czy też w domu, który czasowo zajmuje – ale stara się zachowywać naturalnie i ze spokojem. Choć akurat spokój nigdy nie był jej szczególnie widoczną cechą. Basen i jego okolice to sektor młodzieży, grupa starszych trzyma się cienia bliżej korytarza. Nie wiem, jak oni mogą wytrzymać w tym słońcu tak prosto na głowy, stwierdza Brena i poprawia sobie resztki włosów, zaczesując je palcami niczym grzebieniem. Nurit przygląda mu się, pamięta go z bujniejszą czupryną. Ile to już czasu minęło? zastanawia się. Nie chodzi jej o czas miniony od ostatniego spotkania z Jaimem Breną – bo to było parę dni temu – ani o ten, który upłynął, odkąd bywała regularnie w redakcji, zanim zakończyła związek z Rinaldim – ponad trzy lata temu. Zastanawia się, ile to czasu upłynęło, od kiedy oni, Nurit, Brena, Paula, Carmen, mieli tyle lat ile dziś ich dzieci i byli w stanie wysiedzieć w słońcu, noszenie stroju kąpielowego przy innych nie stanowiło żadnego problemu, nie przejmowali się upałem ani rakiem skóry. Ile to już czasu upłynęło i ile czasu jeszcze pozostało, martwią ją te dwie kwestie. Dlatego Nurit woli się nie zastanawiać ani nad jedną, ani nad drugą. Tyle że przestać myśleć nie zawsze można ot tak, na żądanie, więc po chwili łapie się na rozmyślaniu o tym, jak wyglądało życie Jaimego Breny, kiedy ona była w wieku jej synów, trzydzieści parę lat temu. Choć woli tego nie wspominać. Nurit Iscar pamięta, że skakała ze swoimi ówczesnymi przyjaciółkami dookoła obelisku na plaza de la República, kiedy Argentyna zdobyła piłkarskie mistrzostwo świata w 1978 roku. Co Jaime Brena robił tamtego dnia? Wydaje jej się, że gdzieś czytała coś o jego udziale w ruchu oporu przeciw dyktaturze w tamtym okresie. Działaczką była też Carmen Terrada, dlatego na jakiś czas musiała wyjechać. W jakże innych czasach przyszło przeżywać swoją młodość im i ich dzieciom. Gdyby ona, Nurit Iscar, mogła wybierać, którą wersję młodości i złudzeń by wybrała? Nie wie, nie chce być naiwna ani politycznie poprawna, chce tylko postawić sobie to pytanie, choć odpowiedzi nie może być pewna. I nie chce jej być pewna. Chłopak z kryminalnego, zważywszy na wiek, mógłby dołączyć do sektora młodzieżowego, ale ze względu na wspólnotę zawodową przysiada się do tych w cieniu. Pudełek miniaturka woli cień, lecz Nurit jest tu stanowcza wobec swojego syna: Weź mi stąd tego psa, więc zwierzę zostaje zamknięte w pralni mimo protestów dziewczyny Juana.

O trzeciej po południu dzwonią z ochrony z informacją, że Viviana Mansini czeka przed bramą, nie może jednak wjechać, bo nie ma ze sobą aktualnego potwierdzenia ubezpieczenia auta. Jak sama potem wyjaśniała, nic nie pomogło, że tłumaczyła wiele razy i szczegółowo, że nie posiada papierowego potwierdzenia polisy, bo co miesiąc zapisuje się jej na karcie kredytowej, nie pomogło też, kiedy pokazała plastikową kartę od ubezpieczyciela ani kiedy zaproponowała, żeby zadzwonili do jej agenta ubezpieczeniowego, ani kiedy ich błagała. W tym tygodniu normy zostały zmienione, oświadczył strażnik, gdyby przyjechała pani w zeszłym tygodniu, tobym wpuścił, ale dziś nie mogę, mówiłem już, zmieniono zasady, teraz oprócz plastikowej karty potrzebujemy potwierdzenia opłaty, szkoda, że nie przyjechała pani w zeszłym tygodniu. Ponieważ nie przyjechała w zeszłym tygodniu, tylko w tym, i ponieważ nie ma potwierdzenia opłaty, Mansini każe zadzwonić do domu Nurit, żeby Paula albo Carmen podjechały po nią pod bramę, co z kolei zmusza gości do przestawienia samochodów, bo chłopak z kryminalnego zaparkował za

Juanem, a ten z kolei za Paulą Siboną, i choć Juanowi nawet do głowy nie przyszło, by zaproponować, że podjedzie po przyjaciółkę matki – mało tego, daje kluczyki Pauli, aby sama przestawiła jego auto i zrobiła sobie przejazd – to chłopak z kryminalnego owszem, wpada na to i proponuje, jednak Paula nie przyjmuje propozycji, za to prosi Carmen, żeby z nią pojechała. Wyobrażasz sobie, ile idiotyzmów Viviana mogłaby po drodze naopowiadać temu chłopakowi? Carmen przytakuje i już w samochodzie pyta przyjaciółkę: Dlaczego wciąż się z nią przyjaźnimy, skoro tak nas irytuje? Bo możemy się na niej wyładować, a poza tym wzbudza w nas poczucie winy; zawsze trzeba mieć kogoś, na kim można się wyżyć i odreagować, z tym że to musi być ktoś, kto znosi to ze spokojem, a ona jakby niczego nie zauważa, trzeba to przyznać. To, że mamy kogoś, żeby się wyładować, to jedyna forma ochrony reszty śmiertelników przed nami, oświadcza Paula. Racja, wychodzi prawie na to, że Viviana Mansini jest naszą ofiarą. Prawie. Prawie powinniśmy mieć wyrzuty sumienia. Prawie. Ale ja nie mam. Ja też nie. Wciąż mnie irytuje. Mnie też. Nie pójdziemy do nieba. Nie.

I jakby na potwierdzenie – na potwierdzenie swojej umiejętności doprowadzania przyjaciółek do szaleństwa – chwilę później, kiedy wraca komisarz Venturini w poszukiwaniu Jaimego Breny, ewidentnie widać, że Viviane Mansini, tak jak Pauli, podoba się ten brunet z wąsami, ale do tego stara się, żeby nie umknęło to uwadze komisarza. Ależ pan ma trudną pracę, panie komisarzu, musi pan być bardzo odważny, mówi mu pięć minut po zawarciu znajomości i zupełnie bez związku z luźną rozmową toczoną przez całe towarzystwo. Carmen patrzy ironicznie na Paulę i szepcze na stronie: Suka jedna. Paula dodaje: I w końcu zawlecze go do łóżka. Bo ona nie ma problemów natury ideologicznej. Viviana Mansini? Przecież ona nawet pewnie nie wie, co to znaczy „ideologia”. Nie tylko ona, przyjrzyj się kolegom synów Nurit nad basenem. Paula patrzy i wzdycha: młoda skóra, młode ciała, młode śmiechy, jakaś ideologia? Oddałabyś trochę ideologii za seks? No. Ja też. Nie pójdziemy do nieba, to więcej niż pewne. Nie. Ani nie trafimy do historii jako wielkie kobiety. Też nie.

Chwilę później komisarz Venturini proponuje wyprawę do domu Chazarrety i oczywiście Viviana Mansini próbuje wepchać się do grupy. Paula jednak stanowczo ją hamuje: Oni tam idą pracować, nie narzucaj się. I Viviana, choć niezbyt zadowolona, ostatecznie zostaje: Ojej, przecież tylko pytałam, a może pytać też nie wolno? Grupka ruszająca do domu, w którym zginął Chazarreta – a wcześniej jego żona – składa się z Nurit Iscar, Jaimego Breny, chłopaka z kryminalnego i komisarza Venturini. Nurit proponuje, żeby szli piechotą, to lepiej poznają okolicę. I tak też robią. Komisarz Venturini nabiera powietrza w płuca, przesadnie wyciągając ramiona w górę i na boki, jakby ten spacer, miejsce, wdychane powietrze, popołudniowe światło czy coś jeszcze były nadzwyczajnie zdrowe, a on na co dzień nie miał dostępu do czegoś takiego. Co to tak pachnie? pyta. Eukaliptus, drewno czy kwiaty? *Country*, tak pachnie *country*, Venturini, odpowiada Brena i nikt z nim nie polemizuje. Chłopak z kryminalnego robi zdjęcia smartfonem. Nurit Iscar zatrzymuje się, żeby wyjąć coś, co wlaźło jej w podeszwę butów i przeszkadza w chodzeniu. Nie wie jeszcze, co to jest, kamyczek, szyszka czy grudka ziemi. Jaime Brena też przystaje i czeka na nią. Ona patrzy na swoją podeszwę i znajduje malutki kamyczek. Czy coś takiego naprawdę tak może przeszkadzać? dziwi się i pokazuje kamyczek Brenie. To jak z bajki o księżniczce na ziarnku grochu, pamiętasz? mówi Brena. Nie, w ogóle. A, to bardzo ładna baśń Andersena, taka próba, przez którą musiały przechodzić dziewczęta, by udowodnić, że są prawdziwymi księżniczkami. Musiały się położyć na dwudziestu materacach, pod które królowa matka wsadzała ziarnko grochu, zawsze jest jakaś teściowa zatroskana o to, kto zawładnie jej cudownym synalkiem, nawet w bajkach dla dzieci. Tylko prawdziwa księżniczka czuła groch pod materacami i nie mogła spać w nocy, kończy Brena. To znaczy, że uważasz mnie za księżniczkę? Coś w tym guście. Bardzo mi miło, dziękuję. Nie ma za co, Betibu. Nie podoba jej się, że użył tego pseudonimu. Brena to zauważa. Nie lubisz, jak się tak do ciebie mówi? Betibu niezupełnie brzmi jak imię prawdziwej księżniczki, stwierdza Nurit. To ktoś znacznie bardziej interesujący niż

prawdziwa księżniczka, to prawie prawdziwa kobieta, mówi Brena i spogląda na nią. Ona nie opowiada, a on znów pyta: Nie lubisz, jak się tak do ciebie mówi? Nie, choć nie pseudonim mi przeszkadza, tylko historia o tym, jak do mnie przyłgał, czasami sprawia mi przykrość. A jak przyłgał? pyta Brena. Wtedy Nurit, nie wiedząc właściwie dlaczego, tak jakby rozmawiała z kimś, kogo zna całe życie, odpowiada: Tak nazwał mnie Lorenzo Rinaldi parę lat temu. Lorenzo Rinaldi tak cię ochrzcił? On wpadł na to, że przypominasz Betty Boop? Tak, tego dnia, kiedy się poznaliśmy w studiu telewizyjnym. No patrz... Lorenzo Rinaldi twierdzi, że tak cię nazwał. Nie, ja to mówię, on pierwszy tak do mnie powiedział. Właśność intelektualna zawsze budzi kontrowersje, stwierdza Brena. Dlaczego tak mówisz? pyta Nurit. A, nieważne, odpowiada Brena i zmienia temat: I jak się mieszka w La Maravillosie? pyta i w tym samym momencie chłopak z kryminalnego kilka metrów przed nimi obraca się i robi im zdjęcie. Nie mam wrażenia, że tu mieszkam, stwierdza Nurit, mam wrażenie, że tylko tu pracuję, nic więcej. Tyle że to robota z ograniczeniami, bo teren zamknięty. Tak, to nie takie łatwe, potwierdza Nurit. Wyobrażam sobie. Z drugiej strony to nie takie straszne spędzić tu parę dni. Pewnie nie, jak już sobie poradzisz z syndromem odstawienia miasta, zaczynasz nabierać do tego miejsca sympatii. Więc się zrelaksuj i ciesz chwilą. Postaram się, odpowiada Nurit. Patrzą na siebie, śmieją się, spuszczaają oczy i przez chwilę idą bez słowa.

Nie ulega wątpliwości, że coś w tej maszerującej grupie zwraca uwagę mijanych osób. Nurit dostrzega to, lecz nic nie mówi. Zauważyła to już wcześniej. Te spojrzenia wyznaczają różnicę między „nimi” i „nami”. Wcześniej wydawało jej się, że to przez książkę, którą czytała, idąc. Ale teraz książki nie ma, wobec czego zastanawia się, co takiego może na pierwszy rzut oka zdradzać, że nie są stąd, że są obcymi, intruzami, *aliens*. Może sportowa marynarka i szare spodnie komisarza Venturini, niepasujące absolutnie do sobotniego wieczoru w *country*, nie wspominając o jedwabnej chusteczce z bułgarskimi wzorami wystającej mu z butonierki; albo mokasyny Jaimego Breny, które tak trą o asfalt, że ma się wrażenie, że zaraz polecą iskry, albo elegancka koszula z rozpiętym kołnierzykiem, za to ze spinkami. W otoczenie najlepiej wtapiają się dwie osoby: Nurit Iscar – czego jest świadoma, bo dążyła do tego, dobierając ubiór na dziś – oraz chłopak z kryminalnego. Ona analizowała miejscowy *dress code* od początku swojego pobytu w La Maravillosie i chociaż nie ośmiela się jeszcze włożyć dresowych spodni, zrozumiała, że dzinsy z butami sportowymi nie zwracają na siebie uwagi, bo tak właśnie wszyscy cały czas tu chodzą. Chłopak z kryminalnego też pasuje, bo ma na sobie spodnie koloru khaki z wieloma kieszeniami, coś w rodzaju bojówek, adidas i białą koszulkę z okrągłym wycięciem. Acz gdyby mieli ubrania klasycznie sportowe i jakiejś znanej marki, wtopiliby się jeszcze lepiej.

Podczas gdy ta grupka maszeruje, teraz w milczeniu, w domu Carmen Terrada parzy mate, Paula Sibona – kompletnie ubrana – stara się opalić choćby twarz tylko, korzystając z ostatnich promieni popołudniowego słońca, synowie Nurit z przyjaciółmi grają swobodnie w piłkę w ogrodzie przy basenie, dziewczyna Juana i jej siostra zajmują się pieskiem zestresowanym przez to, że tak długo siedział w zamknięciu i czekał, a Anabella zbiera brudne serwetki, używane szklanki, resztki jedzenia, psie kupy i niedopałki albo do połowy wypalone papierosy porzucane po trawie. Z kolei ci, którzy idą piechotą przez La Maravillose, dostrzegają dom Chazarrety po jakichś dziesięciu minutach, wyłania się zza zakrętu na końcu ślepej uliczki. Teren wciąż otoczony jest czerwono-białą taśmą, która choć nie ma na niej żadnego napisu, wyraźnie obwieszcza każdemu, kto nie udaje głupiego, że wstęp jest zabroniony. Ale oni nie udają głupich, tylko mają pozwolenie i towarzyszy im osobiście komisarz Venturini. Przed wejściem do środka komisarz musi jednak bardziej tłumaczyć się przed ochroniarzem z La Maravillosy niż przed funkcjonariuszem policji miejskiej, bo z tym drugim, jak mówił, obgadał sprawę parę godzin wcześniej. Co nie znaczy, że strażnik bardziej przejmuje się prawem, tylko po prostu stosuje się rygorystycznie do poleceń swoich zwierzchników – właściciela i dyrektora firmy ochroniarskiej zatrudnionej przez *country* – a przełożeni powiedzieli mu, że do tego budynku nie może wejść nikt. Jak nikt, to nikt. Toteż dopiero po

dwóch czy trzech telefonach – Venturini odbywa te rozmowy bardzo niechętnie – strażnik otrzymuje przez krótkofalówkę odpowiednią zgodę od przełożonych i wreszcie wszyscy, pochylając się, przechodzą pod plastikową taśmą. Proszę wybaczyć, ale muszę stosować się do poleceń, powtarza ochroniarz. W porządku, w porządku, mój drogi, mówi Venturini i też się schyla, lecz cofa się i pyta: Znasz anegdotę o San Martínie, butach na grubych podszewkach i prochowni? Nie, nie znam, odpowiada mężczyzna. To przypomnij mi, jak będę wychodził, jak nam starczy czasu, to ci opowiem, mój drogi, obiecuje komisarz Venturini i znów się schyla, żeby przejść na ogrodzony teren.

Idą tym samym korytarzem, którym prawdopodobnie szła Gloria Echagüe tego popołudnia, kiedy zginęła. I wchodzi do salonu przez przeszklone drzwi, przez które weszła, nie otwierając ich. Komisarz Venturini wyciąga chusteczkę i otwiera przez nią drzwi, żeby nie zostawić nowych śladów. Na wszelki wypadek, mówi do Breny i puszcza do niego oko. Jedna rzecz, ostrzega towarzyszącą mu ekipę. Niczego nie dotykajcie, chociaż odciski już zdjęto, ale wszystko ma być tak jak przed naszym przyjściem, okej? Okej, odpowiadają chórem Brena, Nurit i chłopak z kryminalnego. Zaczynają obchód parteru, a ściślej miejsca zbrodni: salonu. Pomieszczenie ma na ścianach błyszczącą drogą boazerię, są w nim srebrne bibeloty, kryształ, obrazy o niewielkiej wartości, lecz z nadmiernie dekoracyjnymi ramami, złocnymi i patynowanymi, żeby udawać antyki. Nic tutaj nie pasuje do wystroju *country*, raczej do bardziej tradycyjnej, konserwatywnej estetyki, jak w jakimś mieszkaniu z dzielnic Belgrano czy Recoleta. Bar z polerowanego drewna i brązu z różnymi napojami: z dżinem, wódką o smaku mango, whisky – tej marki, którą Chazarreta pił w noc swojej śmierci – likierem Baileys. Pod stołem z czereśniowego drewna w salonie elegancki dywan, a drugi, mniejszy, pod małym stolikiem z takiego samego drewna pośrodku pomieszczenia. Masywne fotele ustawione w kształt litery L, obite beżowym materiałem i z poduszkami w pasy w różnych odcieniach zieleni, brązu i bordo. Dwie lampy z podstawami z brązu i białymi abażurami na dwóch małych stolikach z marmuru kararyjskiego po dwóch stronach foteli. Uwaga grupy skupia się ostatecznie na fotelu z zielonego pluszu, pojedynczym, naprzeciwko okna, zaplamionym krwią. Na tym fotelu umarł Chazarreta tamtego poranka. Nurit, chłopak z kryminalnego i Jaime Brena odruchowo zatrzymują się przed fotelem w tym samym momencie. Na Nurit widok ten robi większe wrażenie niż na mężczyznach, lecz nie ze względu na krew ani na śmierć, która z krwią się kojarzy, tylko przez skojarzenie literackie. Czy Chazarreta miał świadomość przed śmiercią, jak bliskie były jego ostatnie chwile do *Ciągłości parków* Cortáзара? pyta i nie czekając na odpowiedź, mówi dalej dalej: Chazarreta nie czytał, kiedy go zabito, ale może kiedy tak siedział, popijając whisky, rozmyślał o zbrodni, o intruzie, który wchodzi do domu i ktoś podrzyła gardło, i ostatecznie na chwilę przed śmiercią zrozumiał, że ktoś tak robi, że ktoś tu przyjdzie i poderżnie mu gardło. Myślisz, że Chazarreta czytał Cortáзара? pyta ją Brena, podczas gdy chłopak z kryminalnego robi zdjęcie fotela, zapisuje w smartfonie „Ciągłość parków/Cortázar” i szuka w sieci. Wierzę w przypadek, ta scena mogła się zdarzyć, nawet jeśli on nigdy nie czytał Cortáзара. Acz może i czytał, w liceum, ciągnie Nurit, wszyscy czytamy Cortáзара w szkole średniej. Potem zamyśla się na kilka sekund i zadaje pytanie, rezultat typowego łańcuszka skojarzeń: Do jakiej szkoły średniej mógł chodzić Chazarreta? W odpowiedzi odzywa się Jaime Brena: Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby to sprawdzić. A potem z kolei on pyta: Czy taka informacja do czegoś by nas doprowadziła? Nie sądzę, odpowiada Nurit. Ale skądś ci to przyszło do głowy, stwierdza Brena. Zapewne czysta ciekawość, słyszy w odpowiedzi. Albo przypadek, mówi Brena, myślami rządzi przypadek, a ty sama mówiłaś przed chwilą, że wierzysz w przypadek. Nurit Iscar patrzy na chłopaka z kryminalnego i pyta go: A ty czytałeś Cortáзара w szkole średniej? Na co chłopak odpowiada: Tak. Nie patrzy jednak na Brenę, kiedy to mówi, kiedy stwierdza, że czytał Cortáзара, bo wie, że jego kolega z *El Tribuno* zorientuje się, że to kłamstwo. Czy też częściowe kłamstwo, bo owszem, czytał, ale *Zajęty dom*. A jeśli czytał coś kiedyś o jakimś fotelu z zielonego pluszu i ciągłości parków, to nie pamięta. W wynikach podanych przez Google’a wyskakuje

mu tekst opowiadania, lecz nie będzie brał się za lekturę tak przy wszystkich, na tym malutkim ekraniku. Komisarz Venturini podchodzi i zaprasza ich na wycieczkę z przewodnikiem po domu. Najpierw postanawiają skończyć z parterem. Idą do kuchni: nieskazitelny porządek, białe płytki ścienne i podłoga ceglanej barwy, wyspa z czarnego marmuru, nad którą wiszą różnokształtne garnki i rondle sprawiające wrażenie, jakby używano ich nader sporadycznie. Chłopak podchodzi i porusza kilkoma przyborami z chirurgicznej stali: najpierw chochlą, potem durszlakiem. Niczego nie dotykać, napomina go Venturini, więc chłopak szybko cofa rękę. Sprzęt gospodarstwa domowego jest taki sam, jaki znaleźć można w każdym domu w La Maravillosie: dwudrzwiowa lodówka, kuchenka mikrofalowa, automat do kawy, gofrownica, kuchenka gazowa i piekarnik elektryczny. Dziwne, pralka w kuchni, stwierdza Brena. To zmywarka do naczyń, poprawia go Nurit. Aaa, przydałoby mi się takie coś, mówi Brena. Tobie by się kobieta przydała, a nie zmywarka, mój drogi, śmieje się komisarz Venturini. Popieram, ośmiela się odezwać chłopak. Nurit oczywiście żart nie przypada do gustu: Rzeczywiście niezmiernie to pochlebne dla każdej kobiety, że mogłaby zastąpić zmywarkę. Trzej mężczyźni patrzą po sobie i wiedzą, że lepiej już teraz nic nie mówić w kwestii kobiet i zmywarek. Nawet żartobliwie. Kolejny postój wypada w pralni, niemal tak samo za dbanej jak kuchnia. Wygląda jak pralnia przemysłowa, z pewnością znacznie powyżej potrzeb Chazarrety związanych z praniem, tak jego, jak i żony, kiedy jeszcze żyła. Suszarka. Dwa zlewy. Nad jednym metalowa plansza w rodzaju tych z nazwami ulic, ale mniejsza, która głosi: „Obszar bez wybielaczy”. Półki. Wieszaki na pranie ukryte, zgodnie z regulaminem La Maravillosy, za parawanami. Zewnętrzny kominek z rusztem, basen, magazyn. Wchodzą na piętro. Zaraz za schodami ukazuje się przestrzeń z telewizorem LCD, DVD, wieżą stereo, fotelami sprawiającymi wrażenie miłszych i wygodniejszych niż te na dole. Mała łazienka, wręcz mikroskopijna. A potem korytarz, wzdłuż którego ciągną się pokoje: najpierw gabinet, potem gościnny – zapewne Chazarretowie używali pokoi w innych celach, czekając na ewentualne urodziny dziecka, myśli Nurit. I na koniec sypialnia małżeńska: pokój niesamowicie uporządkowany i od razu rzuca się w oczy, że jest to – czy też raczej do niedawna była – sypialnia mężczyzny. Wskazują na to ciemne kolory pościeli, kosmetyki w łazience, nieopuszczona kłapa klozetu. Ciekawe, czy to tak wyglądało, kiedy mieszkała tu Gloria Echagüe? zastanawia się Nurit, lecz nie zadaje tego pytania towarzyszącym jej mężczyznom. Czy pozwoliłaby, żeby element męski w taki sposób opanował wspólną przestrzeń, czyby mu ustąpiła? Czy może dzisiejszy wystrój to rezultat zmian wprowadzonych przez Chazarretę po stracie żony? Wychodzą na korytarz. Pokój gościnny ma dwa wąskie łóżka, dwie nocne lampki, znacznie mniejszy niż w salonie telewizor, ale też LCD, fotel bujany i komodę. A w pomieszczeniu pełniącym funkcję gabinetu Chazarrety stoi szeroki stół, a na nim: komputer, drukarka, koszyk – zapewne na pilne papiery, koperty z fakturami o wpływających terminach płatności, kalendarzyk. Dwa krzesła po przeciwnych stronach stołu; stary globus; mały regał zajęty przez książki i bibeloty porozstawiane na półkach. Te bibeloty to przeważnie pamiątki z podróży: peruwiańska ceramika, trzy kasetki różnych rozmiarów ze złoczonego metalu z czarnymi zdobieniami, typowy produkt toledański; kryształowe miniaturki z Murano; jakieś kamienie i muszle. Książki zagranicznych autorów bestsellerów – amerykańskich: Sidneya Sheldona, Irvinga Wallace’a czy południowoafrykańskiego Wilbura Smitha – a także popularnonaukowe na aktualne tematy, pisane przez dziennikarzy, byłych urzędników, polityków, ekonomistów, oraz trochę światowej i krajowej klasyki w jednolitych okładkach z kolekcji wydanej parę lat temu przez dziennik *La Nación* – *Sto lat samotności*, *Leopard*, *Odwrócony krzyż* Aguinisa, *Tunel*. Chłopak z kryminalnego obfotografowuje książki smartfonem, najpierw wszystkie razem, potem pojedynczo albo grupkami, żeby w razie potrzeby dało się odczytać autorów i tytuły. Robi jeszcze parę fotek, bardziej na chybił trafił, a kiedy kończy, zdaje sobie sprawę, że Jaimego Breny i Nurit Iscar nie ma już za jego plecami, nie czekają, aż skończy, tylko stoją przy oknie, obok stolika zastawionego zdjęciami w ramkach. Chazarreta i Gloria Echagüe; Gloria Echagüe sama; oboje z jakąś inną parą; Chazarreta odbiera trofeum golfowe razem z ko-

legą; Gloria Echagüe na turnieju tenisowym; Gloria Echagüe i dwójka dzieci; te same dzieci, acz trochę większe, obok innej pary, pewnie swoich rodziców; Gloria Echagüe w grupie koleżanek wiele lat temu, może to pamiątka z wyjazdu po zakończeniu studiów, bo widoki z tyłu kojarzą się z Bariloche. Chłopak patrzy na nich, stoją do niego tyłem, spokojnie, bez ruchu, nic nie mówią. Robi zdjęcie, żeby uwiecznić tę scenę: plecy Nurit Iscar i Jaimego Breny przed zastawionym fotografiami stolikiem pod oknem. Robi zdjęcie, bo obrazek ten podoba mu się albo go niepokoi. Brena słyszy trzask aparatu i odwraca się: Pojdz bliżej, zrób tu zdjęcie, prosi. Chłopak podchodzi bliżej. Nurit też odsuwa się na bok, żeby chłopak miał miejsce na fotografowanie. Wszystkie czy którąś szczególnie? Wszystkie, odpowiada Nurit. Wszystkie, powtarza Brena. Lecz kiedy chłopak robi krok do przodu, ustawia się tak, że można się domyślić, że jedna z ramek nie zmieści się w kadrze. Tę ramkę z brzegu też, prosi Nurit. Tak, tę też, potwierdza Brena. Mimo że nie ma w niej fotografii? dziwi się chłopak. Mimo to, potwierdza Brena. Chłopak cofa się o krok i kadruje. Teraz mu się mieści, robi całościowe ujęcie, łącznie z ramką z brzegu: szybka, rama i tło, ale w środku niczego nie ma, pusty podkład.

Potem cała trójka bez słowa wychodzi z gabinetu, uznając wizytę za zakończoną. W ogrodzie czeka na nich komisarz Venturini, wyszedł chwilę wcześniej, żeby zapalić. Strażnik gawędzi z jakimś mieszkańcem La Maravillosy. Mężczyzna, w stroju sportowym, od adidasów po czapkę wszystko marki Nike, przygląda się grupie wychodzącej z budynku, więcej nawet, wręcz przygląda jej się uważnie i nieufnie. Jednak zanim jeszcze wszyscy przeszli pod plastikową taśmą, zegna się ze strażnikiem, klepiąc go w ramię, i odchodzi. Parę metrów dalej przystaje i zaczyna się rozciągać. No to pa, mój drogi, mówi komisarz Venturini do ochroniarza. Zaraz, nie opowie mi pan tej historii o San Martín i żołnierzu? dopytuje strażnik. A, jasne, już ci mówię, tak tylko w zarysie, bo kapkę się śpieszę, no więc w skrócie: żołnierz miał pilnować prochowni i San Martín wydał rozkaz, żeby nikt nie wchodził do środka w butach na obcasie ze względu na iskry, kapujesz? Iskra plus proch równa się wybuch, nie? Ale jednego wieczora wejść do środka w butach na obcasie chciał sam San Martín i chociaż się uparł i żołądkował, żołnierz go nie przepuścił. I co ty na to? Strażnik nie odpowiada. Zrobiłbyś tak samo? Strażnik się waha. Wiesz, co następnego dnia zrobił San Martín? Odznaczył go, właśnie tak. Kapujesz? Order mu dał! Podobała ci się anegdotka? Tak, jasne, dziękuję. Komisarz Venturini już ma się zbierać, lecz zawraca i dodaje: Inne czasy, mój drogi, inne czasy były, to jest morał, że czasy się zmieniły. A potem pozdrawia go, unosząc rękę, i dołącza do grupki, z którą tu przyszedł. Wtedy jednak Nurit przystaje, podchodzi do strażnika i pyta: Kim jest tamten człowiek? I pokazuje rozciągającego się faceta w ciuchach Nike. Luis Collazo, przyjaciel Chazarrety, odpowiada strażnik, codziennie tu zagląda, widać, że nie może się pogodzić. Nurit przygląda mu się, a wtedy sąsiad, jakby coś wyczuł, odwraca się i odkrywa jej spojrzenie utkwione w sobie. Ona jednak nie spuszcza wzroku, stoi tak, stara się zlokalizować tę twarz, bo wie, że już ją widywała w czasie swojego pobytu w La Maravillosie. Mężczyzna odwraca się i niezbyt zgrabnie, acz pośpiesznie odbiega. Sprawia wrażenie nerwowego, mówi Nurit do ochroniarza. No ba, od kiedy zabili Chazarretę, sporo się tu zmieniło, choć nie dla wszystkich, są tacy, co zachowują się, jakby nic się nie stało, ale dla innych owszem. Rozumiem, zmieniło się bardziej niż po tym, jak zabito Glorię Echagüe, co? pyta Nurit. Tak, prawdę mówiąc, tak, potwierdza strażnik.

Nurit jeszcze przez chwilę stoi i przygląda się, patrzy na dom. Jaime Brena podchodzi do niej, staje w pobliżu strażnika. Znowu kamyk? pyta. Tak. Albo prawdziwe ziarno grochu, okaże się, mówi Nurit Iscar. I ruszają dalej.

Po drodze do domu zajmowanego przez Nurit Jaime Brena opowiada komisarzowi Venturiniemu o przecuciach dotyczących pustej ramki na zdjęciu. Ale komisarz ucina temat: To jakieś głupoty, mój drogi, nie masz w domu żadnej pustej ramki? Ani pustej, ani ze zdjęciem, nie trzymam żadnych ramek u siebie, odpowiada Brena. No widzisz, a ja owszem, od trzech miesięcy mam taką na stoliku nocnym i nie wiem, jakie w nią wsadzić zdjęcie – i co, zabiją mnie za to? Nurit Iscar też miała wrażenie, że za tym coś może się kryć. Ech, pisarze, wy i te wasze fantazje! Ja nie jestem pisarzem, tylko dziennikarzem. Jeden pies, Brena, nie, nie traćcie czasu na fałszywe tropy, zabierzcie się za pisanie, bo to wam dobrze wychodzi, a nam zostawcie to, na czym się znamy. Cesarzowi co cesarskie, czy nie tak, mój drogi?

Komisarz Venturini żegna się, reszta wchodzi do domu. Dlaczego pusta ramka tak was zaintrygowała? pyta chłopak z kryminalnego, kiedy zostają w salonie sami we trójkę, Nurit Iscar, Jaime Brena i on. Bo przerywa serię, mówi Brena. Bo to, co jest, mówi, a to, czego nie ma, nasuwa nam pytania, stwierdza Nurit i zastanawia się: Kto mógł zajmować to miejsce? Dlaczego już go tam nie ma? Od kiedy go nie ma? Gdzie teraz jest ta fotografia? Kto ją zabrał? Pytania zadaje, nie licząc, że ktoś na nie odpowie. Chłopak szuka jednak jakiegoś wytłumaczenia: Wyjaśnienie może być rozczarowujące, może na przykład ktoś dał Chazarrecie w ostatniej chwili ramkę, krótko przed śmiercią, tak że nie zdążył wsadzić do niej żadnego zdjęcia. Nie jest nowa, szybka jest zadrapana w dolnym prawym rogu, odpowiada Nurit, a brązowa ramka miała takie plamy, jakie z czasem wychodzą na metalowych rzeczach. Z drugiej strony ramka jest identyczna jak te, w których było zdjęcie Glorii Echagüe z koleżankami ze szkoły, dodaje Brena. Mogę się założyć, że między zdjęciami w tych dwóch ramkach była jakaś relacja i na tym drugim widniał Chazarreta i jego koledzy ze szkoły. Chłopak z kryminalnego sięga po smartfona i przekonuje się, że opis ramki podany przez Nurit Iscar i Jaimego Brenę jest tak dokładny, jakby ją mieli przed oczami. Poza tym, mówi Nurit, widać, że w tym domu mieszkał pedant: koszulki poukładane kolorystycznie, butelki w barze ustawione według wysokości od największej do najmniejszej, wszystkie ręczniki białe, wszystkie ścierki w szkocką czerwono-zieloną kratę. Ktoś z taką obsesją nie stawia sobie na stoliku z fotografiami pustej ramki, zostawiłby ją w pudełku, zapakowaną, dopóki nie znajdzie czegoś, co da do środka, konkluduje Nurit. W tej ramce było zdjęcie, którego z jakiegoś powodu już nie ma, jestem tego pewien, mówi Brena, i Chazarreta postawił je tam, bo coś mu mówiło, coś dla niego znaczyło; w przeciwnym razie nie trzymałby ramki z porysowaną szybką. Chłopak się nie odzywa, te wszystkie logiczne argumenty go przytłaczają. Niezależnie od opinii Venturiniego, mówi Nurit Iscar, wolałabym nie odrzucać tego tropu i jednak mu się przyjrzeć, tego bym sobie nie darowała. Jestem tego samego zdania, Betibu, potwierdza Brena. Viviana Mansini otwiera drzwi salonu bez pukania i pyta: A komisarz Venturini? Poszedł do pracy, odpowiada Jaime Brena. My też tu pracujemy, dodaje z naciskiem Nurit. Szkoda, wzdycha Viviana, naszykowałam pączki z bananem, chciałam, żeby spróbował, a wy chcecie? Pewnie, mówi Nurit, powiedz Anabelli, żeby je nam przyniosła, i coś do picia. Mate? pyta zebranych. Mate, potakują chłopak z kryminalnego i Jaime Brena.

Nurit proponuje, żeby zapytać Luisa Collaza o brakujące zdjęcie. Prosi na strażnicy o numer jego telefonu i dzwoni, ale kiedy się przedstawia – Jestem Nurit Iscar, pracuję dla *El Tribuno*, przed chwilą minęliśmy się pod domem Chazarrety – osoba, która po drugiej stronie powiedziała „halo”, bezceremonialnie odkłada słuchawkę i Nurit zostaje z sygnałem zajętości przy uchu. Próbuje ponownie: wciąż zajęte. I jeszcze raz: nikt nie odbiera. Ewidentnie pan Collazo nie zamierza z nami rozmawiać. Kto może wie-

dzień, jakie zdjęcia stały na stoliku samotnie mieszkającego mężczyzny? zastanawia się Nurit i pyta o to resztę. Ktoś z rodziny? Jakiś inny znajomy, bardziej kontaktowy od Collaza? Z tego, co wiem, Chazarreta krewnych miał mało i na dystans i nie wydaje mi się, żeby zapraszał zbyt wielu kumpli do gabinetu, mówi Brena, acz możemy spróbować, o ile się dowiemy, jakich miał innych przyjaciół, rzecz jasna. Na chwilę wszyscy milkną, jakby potrzebowali ciszy, żeby dać mózgom popracować. Chłopak z kryminalnego przygląda się pustej ramce na smartfonie, szukając jakiegoś śladu. Potem wstaje, podchodzi do okna, przyciąga go mecz rozgrywany przez synów Nurit Iscar i ich przyjaciół. Kusi go. Ciągnie do nich. Ale chociaż czasami czuje, że zawadza, jest tam przecież w innym celu – żeby pracować i uczyć się. A w ciągu tych ostatnich godzin kurs dziennikarstwa śledczego, na który został zaproszony, z przyspieszonego zrobił się superszybki. Otwierają się drzwi i wchodzi Anabella z pączkami i mate. Podać coś jeszcze? pyta. Nie, dzięki, odpowiada Nurit. To proszę mi potem powiedzieć, czy dobrze mi wyszły, prosi kobieta. A, to ty je zrobiłaś? pyta Nurit jakoś niespecjalnie zaskoczona. Pewnie, odpowiada Anabella, a któż by inny? I zbiera się do wyjścia. Zanim jednak zdąży podejść do drzwi, zatrzymuje ją chłopak z kryminalnego: Ja mam prośbę, mówi, właściwie pytanie: znasz może kobietę, która pracowała u Chazarrety, zanim go zabił? Gladys Varela, odpowiada Anabella, tak się nazywa, w telewizji mówili. Tak, ja też widziałem ją w telewizji, tylko czy ty ją znasz tak w ogóle? Możesz ją namierzyć? Słabo znam, ale mam jej numer na komórkę. To zadzwoń do niej, mówi chłopak, zadzwoń i powiedz, że jesteśmy dziennikarzami, pracujemy dla gazety *El Tribuno* i chcemy z nią chwilę pogadać. Nurit i Brena przyglądają się chłopakowi zaskoczeni tą jego przytomną interwencją nie dlatego, że sądzili, iż jest do czegoś takiego niezdolny, tylko dlatego, że wreszcie chłopak jakby się obudził. Zadzwonię, jasne, mówi Anabella, pójdę do kuchni po telefon i zadzwonię. Kobieta odchodzi, żeby spełnić ich prośbę. Chłopak uśmiecha się zadowolony ze szczęśliwego trafienia. Niech ci woda sodowa nie uderzy, mówi Brena, ale uczysz się; tak to już jest, jak człowiek chce się nauczyć, to się nauczy. A chłopakowi woda sodowa nie uderza do głowy, lecz jest zadowolony.

Parę minut później wraca Anabella z komórką w ręku. Gladys Varela pyta, ile jej państwo zapłacą. Proszę powiedzieć Gladys, że jesteśmy poważnymi dziennikarzami, a poważni dziennikarze nie płacą za informacje, odpowiada pośpiesznie Jaime Brena. Za występ w telewizji jej zapłacili, upiera się kobieta. No właśnie, mówi Brena, bo to była telewizja, my tak nie robimy, powiedz jej, że *El Tribuno* nie płaci za informacje, ale jeśli nam pomoże, zrobimy jej fajne zdjęcie i wystąpi w jednej z najpowszechniej czytanych gazet w kraju, będzie duża fotografia, na ćwierć strony, powiedz jej. Słyszałaś, Gladys? pyta Anabella do słuchawki i czeka na odpowiedź. Chwila ciszy, a potem: Dobra, przekazuję, mówi Anabella do telefonu, po czym podnosi wzrok na Brenę, bo to on najwyraźniej prowadzi tu negocjacje, i dodaje: Gladys mówi, że zgoda, nawet jeśli jej nie zapłacicie, ze względu na to zdjęcie, bo nie podoba się jej, jak ją potraktowali w telewizji, wszystko państwu powie, ale ma być to zdjęcie i jeszcze ma jeden warunek: żeby mogła wejść przez gości. Brena patrzy na nią, nie rozumie, o co chodzi kobiecie, kiedy mówi o „wejściu przez gości”. Żeby mogła wejść przez bramę dla odwiedzających, próbuje wyjaśnić Anabella. Gladys chce wyjść na szosę, wziąć taryfę i wjechać przez bramę dla gości, inaczej nie przyjedzie. Bo ona nie jedzie tu do pracy jak kiedyś, przyjeżdża, bo ją zapraszacie. I muszą państwo zapłacić za taksówkę. Dobrze, w porządku, zgadza się szybko Nurit, jako że po tygodniu mieszkania w tym miejscu rozumie szybciej, o co chodzi kobiecie. Tylko proszę zgłosić to u strażników, uprzedza Anabella, bo inaczej każą jej wejść przez bramę dla pracowników, a jak coś będzie nie tak, to ona sobie pójdzie i nie wróci. Już tam dzwonię, wszystkim się zajmę, mówi Nurit. To wszystko gra? pyta Anabella do słuchawki, a potem potwierdza: Tak za godzinkę albo chwilę później tu będzie. Zamyka kłapkę telefonu i wychodzi. Dlaczego stawia taki warunek, że musi wjechać przez bramę dla gości? dziwi się chłopak. Żeby poczuć chociaż raz w życiu, że może wejść tym samym wejściem co inni, odpowiada Nurit. Nie myśl sobie, że nas jakoś

super traktowali, kiedy wjeżdżaliśmy przez bramę dla gości, mówi Brena. Nie chodzi o to, jak cię traktują, tylko jak cię nazywają, odpowiada Nurit.

Godzinę później Gladys Varela dzwoni do drzwi. Otwiera jej Nurit Iscar, zaprasza ją do środka i przedstawia wszystkim. Nie było żadnej taksówki, musiałam czekać ze dwadzieścia minut, przeprasza kobieta, więc powiedziałam kierowcy, żeby na mnie poczekał, bo inaczej znowu będę tam sterczeć. Zapłacą mi państwo za czekanie i powrót, co? Jasne, odpowiada Brena. Kobieta ewidentnie włożyła swoje najlepsze ubrania: czarną spódnicę, białą błyszczącą bluzkę, buty na obcasie, ma torebkę ze skaju. Gladys Varela siada i kolejny raz sposobi się do wywiadu. Opowiedzieć o tamtym dniu? pyta. Nie, to już wiemy, odpowiada Brena i choć nie miało to zabrzmieć szorstko, tylko chciał przejść do rzeczy, kobietę trochę peszy ten jego stanowczy ton. To po co mnie tu państwo sprowadzali? Chłopak z kryminalnego troszczy się o odpowiednią dawkę uprzejmości i manipulacji: Widzieliśmy panią w telewizji. A, widzieliście, mówi Gladys z rzucającą się w oczy dumą. I na YouTube, mówi chłopak, widziałem też panią w Internecie. Tak, dzieci mi mówiły, że tam jestem, w kafejce widziały. Mnóstwo ludzi to widziało na YouTube, ma pani dużo wejść, opowiada chłopak. Tylko że ci z telewizji nie dotrzymali słowa, zapłacili mniej i nie pokryli dojazdu, skarży się kobieta. I puścili mnie tylko raz, a umowa była, że przez trzy dni pójdzie, przez trzy dni, wie pan? I jeszcze raz wieczorem. Bo wieczorem więcej ludzi ogląda. A tak to nawet mąż mnie nie widział. Dzieci go wezmą do tej kafejki, żeby mnie obejrzał, ale nie ma kiedy, mąż nigdy nie ma czasu, mówi Gladys Varela i lekko kiwa głową, jakby w tym ruchu wyrażała się jakaś skarga, którą trzyma między zębami, lecz nie może się zdecydować, aby ją wypowiedzieć. Czyli co? pyta. Po co mnie państwo wezwali? Poprosiliśmy panią, bo chcieliśmy zapytać o jeden szczegół, o coś, co w domu Chazarrety zwróciło naszą uwagę, mówi Jaime Brena. Państwo byli w środku? pyta kobieta. Tak, z policją. Kiedy? Chwilę temu. Musi tam być strasznie brudno. Nawet nie, stwierdza Brena. No musi być, musi, nikt tam nie sprząta, od kiedy ja nie przychodzę, a tutaj pełno ziemi zawsze się nanosi. Mężczyźni takich rzeczy nie widzą, wtrąca się Nurit, bo owszem, jest nieźle nabrudzone. No pewnie, mówi Gladys Varela, strasznie się tu nosi. Chcieliśmy panią zapytać konkretnie o jedną ramkę, która stoi na biurku pana Chazarrety, tę bez zdjęcia, przechodzi do sedna sprawy Jaime Brena. Kobieta nagle sztywnieje, do tego stopnia, że wygląda, jakby rozważała, czy sobie nie pójść. Wie pani, o czym mówimy? Kobieta jednak nie odpowiada. Łapie torebkę, ściska ją, jakby szykowała się do ucieczki. Coś się stało? pyta chłopak. Dlaczego interesuje państwa jakaś ramka? pyta Gladys. Chodzi nam o zdjęcie, mówi Brena. Kobieta sztywnieje jeszcze bardziej. Państwo są prawnikami Chazarrety? pyta. Ależ skąd, zaprzecza stanowczo Brena, nie rozumiejąc, skąd kobiecie przyszło to do głowy – dla niego, dla Jaimego Breny to, że ktoś bierze go za prawnika, na pewno nie jest komplementem. Jesteśmy dziennikarzami, skąd ten pomysł z adwokatami Chazarrety? Bo on powiedział, że jeśli zdjęcie się nie znajdzie, zadzwoni po adwokata i policję. Kiedy to powiedział? Jak zdjęcie zniknęło. A kiedy to się stało? Ileś miesięcy temu, może rok, już nie pamiętam, myślałam, że wszystko się wyjaśniło, a w każdym razie że pan wie, że ja z tym nie miałam nic wspólnego. Z czym? No ze zniknięciem zdjęcia. Chazarreta na początku zwałił winę na mnie, ale jednego dnia powiedział w końcu, że wie, że ja z tym nie mam nic wspólnego, przyznał to, choć nie przeprosił, co to, to nie, a potem już do sprawy nie wracał. Bardzo to przeżyłam, ja nie ruszam niczego co nie moje. Niczego. Po co mi zresztą takie zdjęcie? Gladys patrzy na nich z troską i powtarza: Czyli państwo nie są adwokatami? Pani jest pisarką, a my dwaj dziennikarzami z *El Tribuno*, mówi chłopak z kryminalnego, jeśli nam pani nie wierzy, może pani zadzwonić do redakcji. Gladys Varela przerywa mu: Nie, w porządku, wierzę panu, zapewnia chłopaka. Prosi o szklanek wody. Nurit wychodzi z pokoju i przynosi wodę. Kobieta pije. Dla mnie sprawa była skończona, ja już zapomniałam, nie podobało mi się to, co pan powiedział, ale zapomniałam o tym, jak się u kogoś pracuje, to nie można mieć pretensji do pracodawcy, mówi, a Jaime Brena zamyśla się nad tym, ile on ma pretensji do swoich przełożonych i od jak dawna. No bo po co by

mi było takie zdjęcie? A co to było za zdjęcie, co na nim było? ponagla chłopak. To było zdjęcie sprzed wielu lat, jego z kolegami, czterech czy pięciu ich było, koledzy ze szkoły średniej. Jaime Brena i Nurit wymieniają się spojrzeniami. Stały tam dwie identyczne ramki, w jednej jego żona i jej koleżanki szkolne, a w drugiej pan Chazarreta i jego koledzy. Wie pani, do jakiej szkoły chodził Chazarreta? pyta Nurit. No, tam na zdjęciu pisało, ale nigdy za bardzo się nie przyglądałam, trzymali przed sobą sztandar, wszyscy, i tam był jakiś święty, z tym że nie święty Paweł ani święty Piotr, ani święty Augustyn, nie wiem, jakiś dziwny święty. Jakiś taki nie bardzo znany, wie pan, dlatego nie mogę sobie przypomnieć. A jak pani sądzi, dlaczego to było takie ważne dla Chazarrety? Nie wiem. A na dobitkę krótko potem umarł jeden z tych kolegów ze zdjęcia. Nieszczęście. Akurat ten, co był na zdjęciu. Wie pani, jak się nazywał? pyta Brena. Tak, Gandolfini, też mieszkał tu, w La Maravillosie, miał dom na weekendy. Zabił się na szosie panamerykańskiej. Mówią, że lubił przygazować i jednego dnia walnął w słup. Chazarreta bardzo to przeżył, można sobie wyobrazić. Zasadniczo nic nie mówił, nie był z tych, co mówią, chociaż czasami po whisky coś tam powiedział. To nie były żarty. Najpierw żona, potem przyjaciel. Może ktoś mu chciał zaszkodzić z tym zdjęciem. Bo to duży zbieg okoliczności. Strasznie trzeba by kogoś nienawidzić, żeby takie coś zrobić, mówi Gladys Varela, a potem milknie, przyciskając coś, co trzyma na piersi, pod koszulą, oni nie widzą co to. Zaszkozić, powtarza, ktoś musiał chcieć mu zaszkodzić, tak mu powiedziałam. Co dokładnie ma pani na myśli, mówiąc o tym szkodzeniu? pyta chłopak z kryminalnego. No to, co robią tacy, co się znają na czarnej magii, na wudu. Rzucanie zaklęć. Modli się do kogoś, prosi, żeby drugiej osobie zdarzyło się nieszczęście. Ja głowę daję, że to urok był, no bo co innego? Na początku nie wpadłam na to, bo jak tam poszłam do pracy, to żona już nie żyła. Ale potem to spotkało Gandolfiniego, samego Chazarretę, a krótko przed jego śmiercią tego, co umarł gdzieś na śniegu, w Stanach chyba, bo u nas wtedy było lato. Co takiego? pyta Nurit, lecz kobieta tak się zapaliła, że jej nie słyszy. To nie jest przypadek, ktoś musiał odmówić modlitwę i rzucić urok, ściągnąć na drugiego nieszczęście, mówi Gladys Varela. Kto umarł na śniegu? powtarza pytanie Nurit. Inny kolega Chazarrety, mówi kobieta, miał wypadek na nartach. Nie rozumiem, włącza się Brena, i on też był na zdjęciu? Tak, Chazarreta, Gandolfini i ten narciarz, mówi kobieta. Pamiętasz nazwisko tego ostatniego? pyta chłopak. Nie, nie pamiętam, mówi kobieta, ale też miał tu dom, to było parę miesięcy po Gandolfinim. Może Anabella będzie pamiętać, a jeśli nie, to ktoś przecież musi wiedzieć. Wszyscy o tym mówili, proszę sobie wyobrazić, jedzie z rodziną na urlop i zabija się. A facet dobrze jeździł na nartach, nagrody dostawał i takie tam, tak mówią, no nieszczęście. Gladys milknie, popija trochę wody. Nurit, Jaime Brena i chłopak z kryminalnego, choć starają się wyglądać na opanowanych i spokojnych, nie mogą wyjść ze zdumienia. Chłopak z kryminalnego próbuje to zebrać: Czyli podsumujmy, mówiłaś, że na zdjęciu było pięciu kolegów ze szkoły średniej Chazarrety. Czterech, najwyżej pięciu, mnie się wydaje, że z Chazarretą było ich pięciu. A może sześciu? waha się Gladys. I z tych czterech, pięciu czy sześciu trzech nie żyje, upewnia się Jaime Brena, choć tak naprawdę stawia pytanie, a potem wylicza nazwiska: Chazarreta, Gandolfini i narciarz. Tak, trzech nie żyje, powtarza Gladys Varela. Trzech nie żyje, powtarza znów Brena. Trzech nie żyje, szepcze Nurit. No właśnie, to musi być urok, zaklęcie, upiera się Gladys; inaczej nie mogliby tak wszyscy poumierać w jednym czasie. Doliczając do tego jeszcze żonę. I też nie ma gwarancji, że na tym się to skończy, mówi kobieta, a wtedy Nurit czuje dreszcz. Ktoś rzucił na nich urok, ściągnął nieszczęście. I ziściło się.

Wszyscy troje – Nurit Iscar, Jaime Brena i chłopak z kryminalnego – są wyraźnie poruszeni tymi informacjami, a czują dziwną mieszaninę ekscytacji i oszołomienia. Chłopak z kryminalnego jest do tego jeszcze pod wrażeniem celności przeczuć współpracowników. Poza wszelkimi logicznymi wyjaśnieniami, jakich można by w tej sprawie szukać, zaczyna podejrzewać, że to wszystko – a myśli „to wszystko” dlatego, że nie znajduje innych słów – jest ze sobą połączone, że istnieje jakaś szczególna perspektywa, która sprawia, że Nurit Iscar i Brena wyczuli – wyczuli, nie zrozumieli – iż stojąc przed biurkiem zasta-

wionym zdjęciami z jedną pustą ramką, mają przed sobą klucz do sprawy. To jest dar, myśli chłopak, ci dwoje mają dar.

Gladys Varela informuje, że musi się zbierać, bo czekają na nią w domu. Nikt jej nie zatrzymuje, nie mają na razie więcej pytań i muszą zostać sami, żeby sobie to poukładać w głowach. Zbyt wiele informacji, zbyt wiele wątków do prześledzenia, zbyt wiele nowych wątpliwości. A zdjęcie? pyta Gladys przed wyjściem. Nurit i Jaime Brena nie rozumieją pytania, wciąż są pod wrażeniem wiadomości, jedyne zdjęcie, jakie przychodzi im do głowy, to tamto zaginione z nieboszczykami. Reaguje chłopak z kryminalnego, wyciąga smartfona. Robimy, mówi. Tym mnie sfotografujesz? pyta kobieta. Robi lepsze zdjęcia niż aparat, tłumaczy chłopak i pokazuje jej na ekranie, jak się kadruje fotografię. Aha, dziwi się Gladys, lepiej niż aparat? Lepiej, lepiej, powtarza chłopak. Poza tym ponieważ ma połączenie z Internetem, od razu wysłałam je do redakcji i będziesz mogła je zobaczyć w wydaniu papierowym i internetowym. A, no jasne, pewnie w komputerze zobaczę, mówi Gladys i pyta: Gdzie mam stanąć? Przy oknie, mówi chłopak, ustawia ją na miejscu, oddala się, kadruje i robi zdjęcie. Pokazuje fotografię Gladys Vareli: Podoba ci się? Tak, w porządku, nie? stwierdza Gladys. Tak, fajnie wyszło, zgadza się chłopak, może zrobię ci jeszcze dwa na wszelki wypadek, mówi i pstryka. A kiedy wyjdzie ten artykuł? dopytuje kobieta. Za parę dni, odpowiada chłopak z kryminalnego, będziemy musieli posprawdzać parę rzeczy, ale za parę dni wyjdzie. Uprzedzimy cię, zadzwonimy na komórkę, Gladys, tak że spokojnie. Chłopak oferuje się, że odprowadzi ją aż do bramy, by rozliczyć się z taksówkarzem za przejazd, Gladys Varela przystaje na to, żegna się, wstaje gotowa do wyjścia. Już mają wyjść z salonu, lecz Nurit Iscar ich zatrzymuje. Jeszcze jedno pytanie, mówi, zwracając się do kobiety, ostatnie, słowo: czy jednym z mężczyzn na zdjęciu mógł być Luis Collazo? Tak, tak, pan Collazo był na tym zdjęciu, potwierdza Gladys, tylko że z tego, co wiem, on żyje. Tak, on żyje, przytakuje Nurit.

Zaimprovizowane i nader liczne zgromadzenie, do jakiego doszło w domu zajmowanym przez Nurit Iscar, rozchodzi się z dwóch powodów. Synowie, ich przyjaciele, dziewczyny i pies, kiedy zdali sobie sprawę, że nikt przez resztę dnia nie będzie się nimi zajmował, że nikt nie planuje dla nich kolacji ani nie przygotowuje im łóżek na nocleg, postanawiają w ostatnim momencie przyjąć zaproszenie na asado w Banfield, ale zapewniają, że jeśli w niedzielę też będzie tak ładnie, wrócą. Viviana Mansini skarży się, że jej nie uprzedzono, że mogła zostać na noc: Nie zamknęłam okien i nie zostawiłam jedzenia dzieciom. Na szczęście moje same sobie gotują, stwierdza Carmen. Ja tam nigdy nie zostawiam otwartych okien ze względu na nietoperze, wiesz? mówi Paula. Na dźwięk słowa „nietoperz” Viviana Mansini wstrząsa dreszcz: U mnie nie ma nietoperzy. Bardzo dziwne, odpowiada Carmen, w całym Buenos Aires roi się od nietoperzy. Nurit odprowadza chłopaka z kryminalnego i Jaimego Brenę do auta. To co robimy dalej? pyta chłopak. Uważam, że powinniśmy zatrzymać tę informację dla siebie, dopóki jej nie sprawdzimy, mówi Jaime Brena. Zgadzam się, popiera go Nurit. Ale to ja jestem tym popychadłem, które oberwie od Lorenza Rinaldiego, kiedy ktoś opublikuje to przed nami, skarży się chłopak. Jaime Brena przygląda mu się, dopiero w tej chwili zdaje sobie sprawę, że czy mu się to podoba, czy nie, nie ma już nic wspólnego z wykorzystywaniem informacji związanych ze śmiercią Chazarrety. I wtedy, nie obrażając się ani nie robiąc z siebie ofiary, z pełnym rezygnacji przekonaniem mówi: To twoja decyzja, ty prowadzisz dział kryminalny, a raczej twoja i Nurit, ja już nie mam prawa głosu. Jesteś naszym honorowym doradcą, Brena, mówi Nurit. Honorowym i bez honorarium, precyzuje chłopak, zgadzasz się? Brena milknie na chwilę, a potem mówi: To nawet na jedno piwo nie dostanę? Śmieją się we trójkę. Jaime Brena nie powie tego, lecz prawda jest taka, że byłby gotów zapłacić za tę robotę: po dłuższym czasie, kiedy to nie czuł niczego, pracując nad jakimś artykułem czy raportem – choć w sumie coś czuje, owszem, mianowicie niechęć, frustrację, znużenie i irytację – teraz zauważa u siebie ten zawrót głowy, tę pasję, dla której został dziennikarzem. Moje honorowe i niehonorowane zdanie jest takie, że powinieneś zachować tę informację do czasu, kiedy nabierze kolorów, chłopcze, nie możesz dać tego do druku, mając tak mało faktów. A policja? pyta chłopak z kryminalnego. Powinniśmy im coś powiedzieć? Wiemy tylko, że jakiś czas temu z domu Chazarrety skradziono zdjęcie, a to sam przecież powiedziałem komisarzowi Venturiniemu i kompletnie to olał. Nie sądzę, żebyśmy musieli informować go teraz, że na tej fotografii były trzy osoby, które – przypadkowo bądź nie – zmarły, w tym dwie w wypadkach. Ja nie wierzę w takie zbiegi okoliczności, mówi Nurit. A ja nie wierzę w te czary, o których mówiła Gladys Varela, dodaje chłopak z kryminalnego. Ja nie wierzę ani w jedno, ani w drugie, zgadza się Jaime Brena, natomiast owszem, sądzę, że na tym świecie istnieją mordercy. Zacznijmy od ustalenia, do jakiej szkoły chodził Chazarreta i z kim się najmocniej przyjaźnił, proponuje. Na komisarza Venturinię wolę nie naciskać, straci cierpliwość i zakręci mi kurek. Ja się spróbuję bardziej zaprzyjaźnić z sąsiadami z La Maravillosy; ktoś jeszcze prócz Collaza musi coś wiedzieć, stwierdza Nurit. A ja oczywiście, mówi chłopak i patrzy na Jaimego Brenę, jakby to jemu dedykował swoje słowa, zamierzam zanurzyć się w Internecie, gdzieś w sieci musi być informacja, jaką szkołę średnią kończył Chazarreta. Obaj mężczyźni żegnają się z Nurit buziakiem w policzek i wsiadają do samochodu. Ona stoi i czeka, aż ruszą. Jest jej zimno. Opadła wieczorna rosa i przed jej domem powiewa powolny przerywany wiatr, toteż Nurit Iscar krzyżuje ręce na piersi i pociera dłonie w tej samej chwili, w której Jaime Brena opuszcza szybę, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Mężczyźni i kobiety zawsze mają różną regulację termiczną, mówi. Tak, to klasyczne, potwierdza Nurit. Ty pewnie nale-

zysz do tych, co to wolą wentylator pod sufitem zamiast klimatyzacji, mówi Jaime Brena. A ty do tych, co używają klimy nawet zimą, odpowiada Nurit. Czyli razem byłoby nam ciężko? pyta Brena i Nurit się rumieni. Nigdy nic nie wiadomo, powiedziałyby, gdyby była postacią z takich powieści, jakie pisuje. Tyle że nie jest, więc nic takiego nie mówi; przyszło jej to tylko do głowy i uśmiecha się. Dlaczego zachowuje taki dystans? Dlaczego jest jeszcze bardziej zdystansowana, kiedy mężczyzna jej się podoba? Ma tyle lat, a nadal tego nie rozumie. Viviana Mansini biegnie zadyszana, właśnie sobie przypominała, że zaparkowała przed bramą. Podwieziecie mnie? pyta. Pewnie, odpowiada chłopak. Viviana żegna się z Nurit buziakiem i wsiada do auta. Jaime Brena macha na pożegnanie, wykonuje gest, jakby ściągał kapelusz, którego oczywiście nie ma, i znów wkładał go na głowę, podczas gdy auto rusza szarą alejką i zaraz znika.

Nurit wchodzi do domu i parzy sobie kawę. Choć Paula Sibona i Carmen Terrada są dla niej jak siostry, dziś wieczorem wolałyby zostać sama. Ich rozmowa dociera do niej, jakby to były dialogi po angielsku z serialu lecącego we włączonym telewizorze na tyle daleko, że nie widać napisów. Przeprasza je: Muszę napisać artykuł do *El Tribuno*, i wychodzi z salonu. Włącza komputer. Nic z tego, co pisze, jej nie obchodzi, bo jedyne, co teraz ma znaczenie, to brakujące zdjęcie i widoczni na nim zmarli. A o tej fotografii pisać nie może. Jeszcze nie. W tej sytuacji bierze się za opis domu Chazarrety, wnętrza i fasady, drobiazgowy opis każdego pomieszczenia, które widziała, kolorów ścian, tekstury materiałów, którymi obite są fotele albo z których zrobione są zasłony, jak pachnie w domu, jakie słychać w nim dźwięki mimo pustki: agregatu lodówki wciąż podłączonej i budzika na stoliku nocnym Chazarrety wybijającego swoje głucho tik-tak. To wszystko. Nie licząc ramki bez zdjęcia. Czyta to, co napisała, nie jest zadowolona, tekst poniżej poziomu poprzednich. Ona wie dlaczego, przez to przemilczenie, przez to, co pomija i ukrywa, co kiedy pisała literaturę piękną, stanowiło tę górę lodową, o której Hemingway mówił, że musi pozostać zanurzona dla dobra opowieści, ale w tym przypadku, w przypadku artykułu, tekstu informacyjnego publikowanego w gazecie, zdradza jej niezdolność powiedzenia tego, co powinna powiedzieć. Tak to jest, myśli. Tyle mam na dziś. Dopisuje dwa czy trzy zdania, a potem kończy swój tekst, niemal w całości poświęcony opisowi domu Chazarrety, następująco:

Gdyby dom Pedra Chazarrety umiał mówić, wiedzielibyśmy, kto jest zabójcą. Bo ten dom jest jedynym świadkiem popełnionej w nim zbrodni. To tu kryje się prawda. Na podłodze, w ścianach, w meblach i ozdobach wciąż tu obecnych. To wszystko niemi świadkowie.

Gdyby duch Pedra Chazarrety mógł stanąć przed nami, tak jak duch zmarłego ojca Hamleta objawił się swojemu synowi, żeby wyjawić mu prawdę, też dowiedzielibyśmy się, kto go zabił. O ile ów duch miałby ochotę o tym nam mówić, co w tej sprawie pełnej zagadek, tajemnic i przemilczeń, w których udział miała także ofiara, nie wydaje się takie pewne jak w przypadku ojca Hamleta, króla Danii.

Gdyby zabójca się załamał, gdyby ten, kto zamordował Pedra Chazarrety, nie był w stanie dłużej zachowywać tajemnicy, gdyby przyszedł do nas i powiedział dręczony wyrzutami sumienia bądź nie: „Ja to zrobiłem”, mielibyśmy okazję poznać prawdę.

Która z tych trzech wersji jest bardziej realna, a która mniej?

Bardzo niewiele skruszonych sprawców tego rodzaju zabójstw widziałam w życiu.

Dom nie ma głosu.

Duchy nie istnieją.

W pierwszym akcie Hamleta Marcellus, poznawszy rewelacje ducha, mówi: „Źle się dzieje w państwie duńskim”. Po wizycie w domu Pedra Chazarrety muszę powiedzieć to samo: tu zaszło coś złego, coś podejrzanego jest w tym domu.

Dom głosu nie ma, acz może jest w stanie mówić jakoś inaczej?

Nie tylko ten dom wydaje się podejrzanym. Podejrzanym jest całe osiedle La Maravillosa.

Zapisuje plik. Chętnie posłałaby tekst Jaimemu Brenie, żeby powiedział, co myśli. Ale Nurit Iscar

uświadamia sobie, że nie ma jego mejla ani nawet numeru telefonu. Nic. On też nie ma jej namiarów. Jeśli będzie chciała się z nim skontaktować, nie będzie miała innego wyjścia, jak zadzwonić do redakcji w poniedziałek. Dlaczego jednak miałyby do niego telefonować, pod jakim pretekstem? Czy w ogóle jakiegoś potrzebuje? Potrzebuje pretekstu, żeby do niego zadzwonić? Nie, przecież teraz razem w tym siedzą, odpowiada sobie. I stara się myśleć o czymś innym. Załącza plik do mejla i wysyła go chłopakowi z kryminalnego. Tym razem kompletnie zapomina posłać go też do Lorenza Rinaldiego.

W chwili kiedy Nurit wyłącza komputer i schodzi na kolację do przyjaciółek, Jaime Brena podsmaża u siebie w kuchni kawałek mięsa, który znalazł na dnie lodówki i który mimo podejrzanego koloru uratuje go przed schodzeniem na dół do sklepu po kolację. Empanady z południa i późniejsze pączki z bananem zniknęły z jego żołądka, który znowu zaczął domagać się jakiegoś ładunku. Mięso się smaży, a on podchodzi do regału, na którym trzyma nieliczne książki otrzymane w prezencie albo kupione po separacji oraz płyty DVD. Płyty udało mu się odzyskać zapewne dlatego, że Irina nigdy nie lubiła tych filmów co on. Jakie właściwie filmy lubi jego była żona? Czy w ogóle lubi kino? Nie jest pewny i zadziwia go, jak szybko zamazuje mu się nie tylko twarz Iriny, lecz także jej gesty, gusta, wspólne przeżycia. Czy to jest to, co nazywają „żałobą”? A może wreszcie ta żałoba dobiegła końca? Ale że ona trzyma jego książki, to mu się w pamięci nie zaciera. Co to, to nie. Jaime Brena przekopuje się przez swój bałagan i w końcu znajduje poszukiwane DVD, wyciąga je ze stosu. Przez chwilę przygląda się pudełku. Czyta: *Betty Boop i przyjaciele*, 90 minut, filmy animowane. Odwraca płytę i czyta spis treści: *Nie! Nie! Nie! Milion razy nie!*, *Biedny Kopciuszek*, *Betty Boop i mały Jimmy*, *Betty Boop i mały król*, *Zabić muchę*, *Muzykanci z gór*, *Betty w Dzikolandzie*. Mięso skwierczy w kuchni, Jaime Brena idzie do kuchenki z płytą w ręku, nie przestając czytać: *Automobil też*, *Kupidyn strzela*, *Pudgy: szczęśliwy ja, wesoly ty*, *Grampy: Blues przy sprzątaniu domu*. Dym i zapach smażonego mięsa wypełniają kuchnię, Jaime Brena soli mięso, odwraca na drugą stronę i znów soli. Nalewa sobie szklanekę wina. *Grampy i Niepraktyczny Żartowniś*, *Ciekawskie pingwiny*, *Grampy: Kandydat prostaczek*. Sięga po sztucce i układa je na stole. Przysuwa talerz do patelni, żeby potem przełożyć mięso. Płytę z *Betty Boop* kładzie obok. Za chwilę, kiedy pójdzie się położyć, zapali sobie skręta, puści płytę i zaśnie sobie przy niej. Z *Betty Boop* śpiewającą mu *Boop, Boop a Doop*, jakby to była kołysanka. Zdobędzie się kiedyś na odwagę, by powiedzieć Nurit Iscar, że to on nazwał ją *Betty Boop*? Powie jej, że miał przyklejone na biurku jej zdjęcie wycięte z magazynu ich gazety, z recenzji *Śmierci na raty*, jego ulubionej powieści? Powie, że Rinaldi go splagiatował? Powie jej kiedyś, Nurit Iscar, Betibu, że był w niej zakochany na odległość – tak jak można podkochiwać się w aktorce – nie tylko w tych jej lokach, ale w tej głowie wymyślającej takie historie, dobierającej takie słowa, tworzącej takie postaci? Nie, nie wydaje mu się, żeby się odważył. A już na pewno nie powie jej, że kiedy się zorientował, że ona ma romans z Rinaldim, zerwał jej fotografię z biurka i wyrzucił do śmieci.

Jaime Brena bierze się za swoje mięso, dolewa sobie wina i spogląda kątem oka na płytę leżącą na stole, a w tym samym momencie chłopak z kryminalnego włącza komputer. Wchodzi do skrzynki mejlowej i znajduje artykuł Nurit. Czyta. Wbrew jej wątpliwościom, o których nie wie, chłopak uważa, że tekst jest świetny. Przesyła go dalej do redakcji, żeby zdążyć przed zamknięciem numeru. I do Jaimego Breny z dopiskiem: „Ten, który zginął na nartach, nazywał się José Miguel Bengoechea, wygrzebałem to, rzecz jasna, w Internecie”. Ale Jaime Brena nie sprawdza mejli w domu, nigdy, chyba że ktoś do niego zadzwoni, uprzedzając, że jest jakaś pilna sprawa, i nie ma innego wyjścia. A chłopak nie dzwoni, tylko przesyła mejl od Nurit Iscar. Z kolei jego, chłopaka z kryminalnego, sporo kosztuje odejście od komputera, kiedy już go włączy. Bo to taki bezwarunkowy towarzysz, odpowiednik marzenia Jaimego Breny o psie. Chłopak przegląda tweety, a nuż pojawiło się coś nowego i ciekawego, przesuwa je pośpiesznie; większość, jak to w weekend, to raczej egocentryczne niż interesujące rozmyślania. Potem wchodzi do Google’a szukać informacji na temat szkoły Pedra Chazarrety. Wpisuje w wyszukiwarke: „Chazarre-

ta+Gandolini+Collazo+szkoła średnia”. Nic sensownego mu nie wyskakuje. Próbuje innych wariantów. Zaczyna od wyeliminowania jednego z nazwisk. Też nic. Próbuje z kolejnymi. Nic. Wyrzuca po dwa nazwiska. Bez efektów. Zmienia „szkołę średnią” na „liceum”, potem na samą „szkołę”, potem na „klasę”. Nic. Zmienia strategię, sprawdza teraz wszystkie szkoły ze świętymi patronami. Nawet gdyby ograniczyć się do szkół na terenie Buenos Aires, lista wydaje się nieskończona. Odrzuca licea ze „znanymi” świętymi, jak to ujęła Gladys Varela. Zostają mu San Ildefonso, San Bartolomé, San Anselmo, San Viator, San Silvestre, San Hermenegildo. Próbuje z tymi, wchodzi na ich strony, nigdzie nie ma listy absolwentów. Wstaje, żeby zaparzyć sobie kawy, patrzy przez okno mieszkania, przeciąga się, zastanawia. Zdaje sobie sprawę, że jego dziewczyna nie dzwoniła przez cały dzień i że go to nie obchodzi. Na ulicach zapanowała ciemność. Światła jeżdżących w tę i w tę aut mieszają się ze sobą. Chętnie by wyszedł, pospacerował. Noc jest hojna, myśli, zawsze coś ci da. Tak powiedziała kiedyś Cynthia, jego była dziewczyna, jakiś czas temu, dość dawno. Ciekawe, co tam u Cynthii? zastanawia się. Powinienem wyjść. W końcu całą sobotę pracował. Wraca do komputera i włącza Facebook, może ktoś coś dziś zorganizował. Robi sobie dwie czy trzy ankiety, ogląda filmik, przegląda zdjęcia z albumu kolegi, z którym od lat się nie widział. I jeszcze z albumu kolegi tego kolegi. Znowu sprawdza wydarzenia na ten dzień. Nic, co by go interesowało. A może wyjdzie się rozejrzeć, bez niczego z góry ustalonego, tak na chybił trafił. Nie, takie wyjścia bez planu to nie w jego stylu. Może źle trafić, wie o tym. Nie przychodzi mu do głowy, by zadzwonić do dziewczyny. Choć może i przychodzi, ale natychmiast tę myśl odrzuca, niemal z pogardą. Czy można czuć pogardę do kogoś, z kim się spało niecałe dwadzieścia cztery godziny wcześniej? Nie, pewnie jest na nią wkurzony o to bikini albo zmęczony. Albo trochę znudzony. A może rzeczywiście jest w tym jakaś niechęć. Wpisuje imię i nazwisko Cynthii do wyszukiwarki Facebooka, znajduje kilka pasujących osób, lecz poznaje ją po zdjęciu, wygląda identycznie, sprawdza jej walla, jest tam napisane, że ona jest w związku, więc nie wysyła do niej zaproszenia, bo po co. A może zaproponuje wyjście Karinie Vives? Bez sensu, przecież nawet nie ma do niej numeru. Poza tym ona musi być od niego starsza o jakieś pięć, sześć lat. Choć jakie to ma znaczenie? Szuka jej na fejsie, znajduje, sprawdza rok urodzenia, siedem lat starsza, no, to też nie jest jakoś strasznie dużo, myśli, ale nie odważa się wysłać jej zaproszenia. Zaproszenia do zaprzyjaźnienia się na portalu społecznościowym. Czasami wydaje mu się, że ona ma go za przygłupa. Przez chwilę jeszcze rozmyśla o niej, sprawdza jej walla, walla Kariny Vives, jej album zdjęć; dziwi go, że nie zastrzegła dostępu tylko dla znajomych, gdyby odważył się powiedzieć jej, że go oglądał, poradziłby, żeby to jednak zrobiła. Zaproszenia w końcu nie wysyła. Nie, tego nie robi. Odświeża stronę, by sprawdzić, czy przyszło coś nowego. Tak, coś jest. Jeden jego znajomy zapisał się do grupy „Jestem fanem Agentki 99 i nienawidzę Agenta 86 z *Dorwać Smarta*”. Bawi go to. A może wydaje się idiotyczne? Może on też idiociej? Na Facebooku są grupy, na jaki temat chcesz, myśli. I na jaki nie chcesz. Na każdy temat. Właśnie wtedy na to wpada, w chwili kiedy myśli: „Na Facebooku są grupy, na jaki temat chcesz i na jaki nie chcesz”. Wpisuje w wyszukiwarce: „Chodziłem do szkoły San...” i wyświetla mu się lista z 28 pozycjami. Znowu odrzuca te z popularnymi patronami i wchodzi do San Ildefonso, San Anselmo, San Jerónimo Mártir i paru innych. Wszystkie komentarze pochodzą od użytkowników, którzy szukają dawnych kolegów, chcą zorganizować spotkania, rocznice, jakieś uroczystości. Nie ma tam nikogo z pokolenia Chazarrety. Przeglądając stare posty, chłopak z kryminalnego zastanawia się nad swoją szkołą średnią. Na myśl o potencjalnym spotkaniu z towarzystwem z klasy oblatuje go strach. Nie interesuje go to. Liceum to nie był dla niego szczególnie udany okres. Dwóch czy trzech kolegów zaczęło go z osobna na Facebooku, lecz nie odpowiedział na ich zaproszenia. Skoro nigdy się z nimi specjalnie nie trzymał razem, prócz przerw między lekcjami i sporadycznie na jakichś zwykle nieudanych wypadach, po co miałyby teraz ich szukać? Ale szuka. I znajduje. Czyta kilka komentarzy i upewnia się co do tego, o czym myślał: nie ma nic wspólnego z tymi ludźmi i nie jest ciekaw, co u nich słychać. Mimo to czyta dalej i ogląda

zdjęcia, myśląc: Banda pacanów. Wraca do szkół, do których mógł chodzić Chazarreta, i na stronie San Jerónimo znajduje komentarz, który zwraca jego uwagę. Nie tyle treścią – „San Jerónimo trzeba jakoś wytrzymać” – ile tym, kto jest pod nim podpisany. To jeden z członków tej paczki, Gonzalo Gandolfini. Gandolfini. Wchodzi na jego walla i widzi, że to młody chłopak, z opisu wynika, że rocznik 1983. Nie rozumie, dlaczego ludzie wpisują swoje daty urodzenia, rok i tak dalej, on to pominął, pomija też miasto, w którym mieszka, oraz informację o tym, czy jest w związku czy nie. Myśli sobie, że ten Gandolfini z osiemdziesiątego trzeciego może być krewnym zmarłego, przy odrobinie szczęścia – synem. Szuka informacji w komentarzach jego znajomych, ale niczego więcej nie znajduje. Tyle że przyjaźni się z innym Gandolfinim, Marcosem. Wchodzi na walla Marcosa. Też uczęszczał do San Jerónimo i urodził się w 1987 roku. Bracia? Kuzyni? Zaczyna nabierać podejrzeń, że może to jedna z tych szkół, do których całe rodziny chodzą pokolenie po pokoleniu, jedno z liceów określających się mianem „z tradycjami”. Wysyła wiadomość do Gonzala: „Cześć, jak się masz? Jakiś czas temu kumplowałem się z Gandolfinim z tej szkoły” – gdyby chłopak z kryminalnego znał imię zmarłego Gandolfiniego, toby je wpisał, tyle że nie zna – „dziś miałby jakieś sześćdziesiąt lat. Potem wyjechałem z kraju i straciłem kontakt. Znasz go, to jakaś rodzina? Trzymał się z Pedrem Chazarretą i Luisem Collazem. Chętnie bym się z nim skontaktował. Mam kupę dobrych wspomnień z tych czasów”. Wysyła wiadomość i czeka przez chwilę, czy przypadkiem odpowiedź nie przyjdzie od razu. Tymczasem przegląda inne profile. Myśli sobie, że lepiej, by ten Gonzalo nie był synem Gandolfiniego, bo pewnie nie za miło byłoby dostać takie pytanie o ojca, skoro niedawno umarł. Ale nie żałuje, że wysłał to pytanie, przeciwnie, ma poczucie, że zastosował się do nauk Jaimego Breny jak nigdy wcześniej. Jeśli Brena kiedyś znów go zapyta: „Przebrałeś się kiedyś? Udawałeś kiedyś policjanta i zadzwoniłeś do domu ofiary?”, będzie mógł odpowiedzieć, że owszem, zrobił coś takiego. Na swój sposób. Nowe technologie otwierają mnóstwo nowych możliwości maskowania się. Czas mija, chłopak zaczyna czuć się zmęczony po tym długim dniu. Gonzalo Gandolfini nadal nie odpisuje na wiadomość, młody gość, myśli chłopak, na pewno gdzieś wyszedł w sobotni wieczór. Facet w jego wieku. On jednak, chłopak z kryminalnego, postanawia iść spać, to najsensowniejsza rzecz, jaką może zrobić tej nocy, jak widać za oknem, wciąż pełnej świateł, najlepiej będzie zamknąć oczy i odpocząć.

Przeciąga się, gasi światło, zasuwa żaluzje. Nie gasi jednak komputera, zostawia włączonego Facebooka, może nad ranem, kiedy Gandolfini wróci z miasta, zaloguje się i odpisze mu. Może on, chłopak z kryminalnego, wstanie i pójdzie do łazienki, a kiedy wróci do łóżka, rzuci okiem na ekran i znajdzie na nim to, czego szuka.

W niedzielny poranek pada. Nie jest to jakiś ulewny deszcz, właściwie nawet trudno nazwać to coś prawdziwym deszczem. Raczej taka mżawka. Tyle że uporczywa, ciągła, z tych, co naprawdę człowieka przemaczają. Nurit wstaje i wygląda przez okno. Zdaje sobie sprawę, że mżawka wcale nie szpeci widoku, przeciwnie – pejzaż robi się jeszcze ładniejszy, kolory są intensywniejsze, trudno zliczyć wszystkie odcienie zieleni, czuje zapach mokrej ziemi, choć jeszcze nie zdążyła otworzyć okien. A może po prostu się go domyśla? Czy można domyślać się zapachu, przywołać go, choć fizycznie go nie ma? Woda cieknie blaszaną rynną biegnącą wzdłuż dachu i spływa rurą do ziemi. Na dole, w miejscu gdzie wypływa, zrobiła się mała kałuża. Odgłos wody w rynnie przywołuje jakieś dawne wspomnienie, Nurit nie umie go jednak sprecyzować. Jakby już kiedyś słyszała ten sam deszcz, tyle że gdzie indziej. Albo jej się przyśnił. Myśli sobie, że w taki dzień, z taką gęstą mżawką, także w niedzielę, zamordowano Glorię Echagüe; choć wtedy Nurit nie przyjęła zlecenia od Rinaldiego, bardzo dobrze pamięta tamten dzień, gdy zginęła żona Chazarrety, i że wtedy też padało. Idzie do pokoju, który oddała przyjaciółkom, uchyla drzwi i zagląda. Obie śpią. Zaparza sobie kawę, podnosi z werandy egzemplarz *El Tribuno* podrzucony przez gazeciarza jak codziennie rano, zadbała o to od razu po wprowadzeniu się do La Maravillosoy. Ale w niedzielę Nurit Iscar chce czytać inne gazety, wszystkie albo prawie wszystkie. I nie zadowolają jej wydania online, tam sobie codziennie zagląda, żeby tyle nie wydawać, w niedzielę jednak chce papieru, farby drukarskiej, chce mieć palce upaprane od przewracania stron. Chce gazety. Wszystkich gazet. Wie, że jeśli zadzwoni do kiosku, chwilę zejdzie, zanim je przyniosą, tym bardziej że to niedziela, tym bardziej że pada, uznaje zatem, że lepiej się przejść, myśli sobie, że choć jest mżawka, nie powinno być zimno, a odrobina ruchu dobrze jej robi. Poza tym obiecała, obiecała Jaimemu Brenie i chłopakowi z kryminalnego, że postara się nawiązać bliższe relacje z sąsiadami, żeby spróbować wydobyć od kogoś informacje na temat szkoły średniej Chazarrety i jego kolegów z tamtych czasów. Nie zabrała tu ze sobą parasola, nie przyszło jej do głowy, że może się przydać, ma za to lekką kurtkę z kapturem, więc ją wkłada. Tym razem książki nie bierze, żeby nie zamokła. Ani czarnych okularów. Robi kilka kroków zdecydowanie i zanim pokona sto metrów, natyka się na Luisa Collaza, który biegnie w przeciwną stronę. Patrzy na niego, ale on ją mija całkowicie skupiony – albo po prostu na takiego wygląda – intensywnie wdycha i wydycha powietrze, lecz nie dlatego, że ma problem ze złapaniem tchu, tylko tak nakazuje technika ćwiczeń. Biegnie regularnym truchtem. Ma na ręku coś, co zdaniem Nurit wygląda na radyjko, choć pewnie to jedno z tych urządzeń, które służą do kontrolowania pracy serca. Ona robi jeszcze kilka kroków i odwraca się. On, nie przestając biec, ogląda się i patrzy na nią z odległości powiększającej się z każdym krokiem. Kiedy tylko się orientuje, że ona też patrzy, odwraca wzrok i biegnie dalej, jakby wcale nie spojrzął na Nurit Iscar ani ona na niego. Nurit kusi, żeby za nim pobiec. Bardzo kusi. Do tego stopnia, że to robi. Przebiega kilka metrów za Luisem Collazem krótkimi, szybkimi krokami, jak w Buenos Aires biegnie się do autobusu na przystanek. Grunt jest śliski i Nurit Iscar obawia się, że może się rozłożyć na asfalcie La Maravillosoy jak plama oleju. Z truchtu przechodzi do szybkiego kroku, tak czuje się pewniej. Collazo nie miał zbyt wielkiej przewagi, mimo to za którymś zakrętem znika. Wtedy Nurit, choć czuje się śmieszna, znów zaczyna biec. Kiedy zakręt i rosnące tam krzewy pozwalają jej zobaczyć dalszy ciąg ulicy, zdaje sobie sprawę, że Luisa Collaza już tam nie ma. Niemożliwe, żeby aż tak przyśpieszył i dobiegł do następnego zakrętu. Niemożliwe. Nurit Iscar idzie dalej spokojnym krokiem, zastanawiając się, co teraz. Poprawia kaptur, żeby mżawka nie zmoczyła jej włosów. Chowa pojedyncze kosmyki, które próbują uciec. Wilgoć sprawia, że

jej loki, loki Betibu, robią się jeszcze wyrazistsze; ona to wie i podoba jej się tak. Tyle że kiedy ostatnim razem zmoczył ją deszcz, skończyło się przeziębieniem i sporo czasu upłynęło, zanim doszła do siebie. Zapina kurtkę pod szyją, uchwyt, za który ciągnie, niemal dotyka jej twarzy, a potem rusza dalej przed siebie. Zastanawia się, czy któryś z mijanych po jednej i drugiej stronie domów należy do Luisa Collaza. Przygląda im się bezczelnie. Szuka jakiegoś śladu i niczego nie znajduje. Nurit Iscar obawia się, że jeśli dalej będzie szła w tę stronę, w końcu się zgubi, zapomniała zabrać ze sobą plan osiedla, a podczas wcześniejszych spacerów nigdy się tu nie zapuściła. Lepiej wracać, stwierdza, i obraca się na pięcie. Wtedy Collazo, który odkąd zniknął, cały czas był za jej plecami, staje tuż przed nią: Czego pani chce? Nurit nie odpowiada, serce jej podskoczyło z zaskoczenia. Pytałem, czego pani chce! krzyczy znów Collazo. Niczego, szłam sobie. Pani mnie śledziła, głupi nie jestem. No, tak naprawdę to rzeczywiście, chciałam pana o coś zapytać. Ja nie odpowiadam na żadne pytania. A to takie głupie pytanie, chciałam tylko wiedzieć, do jakiej szkoły chodził Chazarreta, bo pan był jego kolegą ze szkoły, prawda? Głupie pytanie, powtarza Collazo, a Nurit nie bardzo rozumie jego intencję. A co pani wie? pyta, łapiąc ją mocno za rękę. Nurit patrzy na jego dłoń zaciśniętą na swoim łokciu i nie robiąc żadnego ruchu, nie próbując się wyrwać, odpowiada: Nic, ciekawa jestem. Jeśli o mnie chodzi, nie ma pani co marnować czasu, mówi Collazo i puszcza ją, ja się niczego nie boję, nawet tego, że mnie zabiją, ale niech pani czy inni nie liczą, że coś powiem, tego nigdy nie zrobię. Nurit dalej niczego nie rozumie, w tej chwili mija ich strażnik w meleksie, przygląda im się, zastanawia się, czy stawać, czy nie, pozdrawia i pyta: Wszystko w porządku? I jedzie dalej, powoli, lecz nie staje. Wszystko dobrze, odpowiada Collazo. Strażnik jednak nie jest przekonany i parę metrów dalej zatrzymuje pojazd. Wtedy Collazo cicho, ale stanowczym głosem ostrzega Nurit: Niech pani nie pcha nosa w cudze sprawy. I nagle zrywa się do biegu. Nurit Iscar stoi i patrzy, jak się oddala. Strażnik na wstecznym podjeżdża meleksem. W trakcie tego manewru cały czas rozlega się sygnał uprzedzający, że pojazd cofa, co Nurit wydaje się w tych okolicznościach śmieszne. Strażnik zatrzymuje się przy niej i pyta: Wszystko dobrze? Podwieźć panią do domu? Nurit pomija pierwsze pytanie i odpowiada od razu na drugie: Nie, do domu nie, mógłby pan do kiosku? Pewnie, pani wsia-da, odpowiada mężczyzna i Nurit Iscar sadowi się obok niego.

Meleks jedzie kilka metrów, przez ten odcinek nie odzywają się do siebie. Krótco przed kioskiem mężczyzna mówi: Przestraszyła się pani? Trochę tak, odpowiada Nurit. Proszę się nie obawiać. Pan Collazo zrobił się strasznie nerwowy od śmierci Chazarrety, to zrozumiałe, bardzo się przyjaźnili, ciągle tylko biega, cały dzień, o każdej porze, ale przejdzie mu. Podjeżdżają pod kiosk. No, jesteśmy, mówi strażnik. Dziękuję, odpowiada Nurit i dodaje: A zanim pan odjedzie, mogę o coś zapytać? Pewnie, odpowiada strażnik i zatrzymuje pojazd, którym już ruszał. Wie pan może, do jakiej szkoły chodził Chazarreta? Mężczyznę dziwi to pytanie. Nie, nie mam pojęcia. A nie wie pan, jak mogłabym się dowiedzieć? nalega Nurit. Pytała pani Collaza? mówi strażnik. Tak, ale nie chciał nic powiedzieć, odpowiada Nurit. Dziwne, takie głupie pytanie. Tak właśnie mu powiedziałam. No nic, jak go spotkam i gdybyśmy gadali, to wrzucę ten temat, pani pracuje dla tej gazety *El Tribuno*, prawda? Tak, potwierdza Nurit. Dam pani znać, mówi strażnik, a na wszelki wypadek proszę nic nikomu nie mówić, moim przełożonym się nie podoba, kiedy przekazujemy dziennikarzom jakieś informacje, wie pani. Rozumiem. Dam znać, powtarza mężczyzna i odjeżdża. Nurit wchodzi do kiosku i prosi o dzienniki. Jakie? pyta kioskarz. Wszystkie prócz *El Tribuno*, odpowiada mu. Jakiś sąsiad szperający przy stojaku z miętowymi pastylkami rzuca jej pogardliwe spojrzenie, Nurit Iscar wie, że nie dlatego, że ona nie kupuje *El Tribuno*, tylko że ją rozpoznał. Wytrzymuje jego spojrzenie. Mężczyzna robi minę w stylu „co też my tu musimy znosić”, bierze dwie paczki pastylek o tym samym miętowym smaku, lecz różnych marek, płaci i wychodzi. Kioskarz patrzy na Nurit, ale nie odzywa się, czeka, w tej sytuacji ona przejmuje inicjatywę: Mam wrażenie, że nie jestem tu mile widziana. Niech się pani nie przejmuje, odpowiada sprzedawca, zwijając w rulon wybrane przez nią gazety

i wsadzając je do plastikowej torebki, żeby nie zamokły, niech sobie pani nie myśli, że tylko panią to spotyka. Nurit się uśmiecha, płaci za gazety i rusza w stronę drzwi. Mężczyzna zza kontuaru mówi: Fajne są te pani teksty, ten z dziś bardzo mi się podobał, ten o tym, że coś tu jest podejrzanego. Dziękuję, odpowiada Nurit i przed zamknięciem drzwi pyta jeszcze: Nie wie pan pewnie, do jakiej szkoły średniej chodził Chazarreta? Nie, nie mam pojęcia, odpowiada kioskarz, a co? A nic, coś mi przyszło do głowy w związku z następnym artykułem; jakby się pan przypadkiem dowiedział, proszę mi dać znać, dobrze? Pewnie, odpowiada, jakby co, dam pani cynk.

Nurit znów wychodzi na mżawkę. Nie przejmuje się już, że moknie, nie jest już poruszona spotkaniem z Collazem ani przestraszona tym, jak się do niej zwrócił. Jest podekscytowana świadomością, że coś musi się kryć w tym tropie, którym poszli za sprawą brakującego zdjęcia z biurka Chazarrety, to jest klucz do sprawy, za jego pomocą uda im się przeniknąć zagadkę tej śmierci. Wie, że gdyby było inaczej, Luis Collazo nie zachowywałby się tak. I gdzie są teraz te pierwsze wątpliwości, czy śmierć Chazarrety to samobójstwo czy morderstwo? zastanawia się. Śladu po nich nie ma, jest gotowa się założyć, że to była zwykła zmyłka, ten podrzucony nóż miał sprawić, by wszyscy skupili się na podobieństwach między śmiercią jego i żony. Ale jego śmierć ma związek z czym innym, w to Nurit nie wątpi, z czymś z pewnością jeszcze bardziej mrocznym, straszniejszym, co wyjaśnia trud, jaki zadali sobie sprawcy tych zbrodni. Śmierć jego i jego kolegów. Nie może się doczekać, kiedy wróci do domu i napisze do chłopaka z kryminalnego o tym, co tu zaszło. I przy okazji poprosi o mejl do Jaimego Breny. Pewnie, niby czemu nie?

Otwiera drzwi do kuchni i zastaje przyjaciółki w trakcie śniadania. Wcześniej wstałyście, stwierdza. Wcześniej nas zbudzili, telefon ciągle wydzwaniał, skarży się Carmen z pretensją w głosie kryjącą coś więcej niż tylko przykrość z powodu przedwczesnej pobudki. Nie zabrałaś ze sobą komórki, roztrzepańcu, dodaje Paula. Nurit obmacuje się po kieszeniach: Racja, nie wzięłam. Dzwonił Lorenzo Rinaldi, prosił, żebyś pilnie oddzwoniła. Nurit łapie się za głowę: Ojej, zapomniałam mu przesłać wczorajszy tekst. Przecież go puścili, mówi Carmen Terrada i pokazuje Nurit stronę z *El Tribuno* z jej artykułem. A tak, bo wysłałam go do chłopaka z kryminalnego, on to potem przesyła do druku, ale umówiliśmy się, że każdy mój tekst ma przejść też przez niego, przez Rinaldiego, i to najpierw, a wczoraj o tym zapomniałam. Strasznie dużo masz na tej główce, stwierdza Paula. Strasznie, powtarza Nurit i wychodzi. Gdzie idziesz? Oddzwonić. Z pokoju. O nie, koleżanko, masz zadzwonić stąd, my tu będziemy cię pilnować, a poza tym musimy mieć możliwość nadzoru, oświadcza Paula Sibona. Mamy obowiązek opiekować się tobą, dodaje Carmen. I nadzorować cię, powtarza Paula. Przecież to służbowa rozmowa, wyjaśnia Nurit, choć wie, że przyjaciółki nigdy nie będą w tej kwestii dowieść. Sama nie jest tego taka pewna. Nieważne, wszyscy wiemy, jak może się skończyć taka służbowa rozmowa, bo co, może my nigdy nie pracujemy? mówi Carmen. Więc bierz ten telefon i dzwoń, ale tutaj, przy swoich przyjaciółkach. W tej sytuacji, wiedząc, że nie ma mowy o dyskusji, Nurit Iscar stosuje się do tych poleceń: bierze telefon i wybiera numer. Nie musi przed nimi udawać, że nie zna już numeru Lorenza Rinaldiego na pamięć. Czeka ze słuchawką przy uchu. Carmen i Paula nie spuszcniają z niej wzroku. Halo, tak, Lorenzo... Tak, Nurit... Słuchaj, strasznie przepraszam, kompletnie zapomniałam wczoraj wysłać ci ten tekst, miałam migrenę i... a, nie... tak?... podobał ci się... to się cieszę... tak, no łatwo nie było, cieszę się, że ci się podobał. Nurit słucha teraz bez słowa, patrzy na przyjaciółki i dalej słucha. Ewidentnie nie chce, żeby to, co mówi Rinaldi, do nich trafiło, więc tylko na nie patrzy i słucha. One to wyczuwają i coraz uważniej nadstawiają uszu. W końcu Nurit nie ma wyjścia i musi wypowiedzieć parę słów, a to już wystarcza, by przyjaciółki się zorientowały, o czym może być mowa, na przykład kiedy Nurit, Betibu, mówi: Tak, tak, mogę. I wtedy one, co tak dobrze ją znają, zaczynają się martwić. Bardzo. I ogarnia je złość. Trochę. Wtedy Nurit potwierdza ich podejrzenia: Dobrze, tak, może być o tej godzinie. I ledwie wypowiedziała „może być o tej godzinie”, zaraz dodaje „Podjedziesz tu po mnie?”, a wtedy Paula Sibona uderza się otwartą dłonią w czoło – dłonią

z szeroko rozczapierzonymi palcami w sam środek czoła – w geście dezaprobaty, a Carmen Terrada odwraca się plecami, otwiera gazetę na chybił trafił i pogrąża się w lekturze.

Krótko przed tym, jak Lorenzo Rinaldi podejźdza po Nurit Iscar do La Maravillosoy, żeby zabrać ją na lancz, Jaime Brena parzy sobie pierwszą tego dnia kawę, a chłopak z kryminalnego, który przespał ciągiem całą noc i rano, sika obficie do klozetu, a potem idzie prosto do komputera, żeby sprawdzić, czy dostał wiadomość od Gonzala Gandolfiniego. I okazuje się, że dostał. „Cześć, zgadza się, jestem jego bratankiem. Niestety wujek zginął jakiś czas temu w wypadku samochodowym. Podejrzewam, że znasz go z czasów Daczy, i mam nadzieję, że masz dobre wspomnienia (ha, ha)! Mój stary twierdzi, że nie wszyscy zachowali dobre wspomnienia z tamtego okresu. Pozdrawiam”. Chłopak z kryminalnego kilka razy czyta wiadomość. Zastanawia się, co teraz. Dzwoni do Jaimego Breny akurat w trakcie jego drugiej kawy. Jakiej daczy? pyta Brena. Nie wiem, nie mam pojęcia, odpowiada chłopak. Może któryś z nich miał wtedy jakąś daczę pod miastem? Wydaje mi się, że tu musi chodzić o coś innego, Dacza jest napisane dużą literą. Czyli nazwa. Tak, jakaś nazwa albo imię. Sprawdziłaś, czy coś ci wychodzi o tej Daczy w Internecie? No, Brena, żebyś ty mi kazał szukać czegoś w necie... Jeśli nie możesz kogoś pokonać, przyłącz się, acz pamiętajmy, że Internet nie jest bogiem. Ach, nie jest? A istnieje coś bardziej przypominającego Boga niż sieć? Nie chrzań, młody, rozumiem, że to wyznanie, ale nie Bóg. Chłopak się uśmiecha, choć Brena tego nie widzi. Tak, szukałem, i nie znalazłem niczego, co by miało jakiś sens. To może go zapytasz? Kogo? No bratanka Gandolfiniego. Dobra, spróbuję. A powiedz mi, masz jakieś wieści od Nurit Iscar? Tak, wysłałem ci wczoraj wieczorem mejlem jej artykuł, od razu jak mi przysłała. Aha, tylko że ja nie odpalam komputera w domu, chyba że w jakiejś wyjątkowej sytuacji. To jest wyjątkowa sytuacja, Brena, włącz go; tak czy inaczej możesz to przeczytać dziś w gazecie. Jaime Brena otwiera egzemplarz *El Tribuno*, który zostawił nieotwarty na stoliku z szarego marmuru, i przerzuca strony, aż trafia na tekst Nurit Iscar. A tak, widzę, mówi i szuka okularów w kuchni. Daj mi znać, jeśli ustalisz coś w związku z Dacją. Chłopak, wciąż przed komputerem, odpowiada, że oczywiście, da znać, i jeszcze przed odłożeniem słuchawki dodaje, że w tym samym mejlu napisał mu, że znalazł w sieci nazwisko tego, co się zabił na nartach: Bengoechea. Bengoechea, powtarza Brena, okej, i rozłącza się. Chłopak z kryminalnego znów sprawdza wiadomości. Dostaje właśnie kolejny mejl od Nurit Iscar. Czyta, to szczegółowy raport z tego, co zdarzyło się dziś rano z Luisem Collazem, wraz z jej przemyśleniami w tej kwestii. Raport, który nigdy nie ukaże się na łamach *El Tribuno*, raport ściśle prywatny, przeznaczony tylko na użytek ich trzyosobowej, spontanicznie założonej ekipy. W postscriptum Nurit prosi chłopaka, by przesłał jej mejl Brenie i by jej podał jego numer, żebyśmy się mogli łatwiej komunikować, pisze. I podaje swój numer. Chłopak czyta ponownie treść mejla i w trakcie lektury czuje w sobie coś, czego nie umie opisać ani wyjaśnić. Czyżby po raz pierwszy reagował na coś, co robi w pracy? Coś się w nim gotuje, czuć to. I to gotowanie nie zostało wywołane tym razem ani przez kobietę, ani przez mecz finałowy, ani przez koncert Coldplay na stadionie River Plate. Chłopakowi zawsze się wydawało, że studia dziennikarskie skończył tylko z uporu i żeby nie sprawić matce zawodu, bez żadnego powołania. Kiedy trafił na komunikację społeczną, nawet nie wiedział, czy jako specjalizację wybierze dziennikarstwo, czy reklamę. Ale że fajniejsi ludzie szli na dziennikarstwo, poszedł za nimi. W każdym razie tak mu się do dziś zdawało. Że dziennikarstwo w jego życiu jest efektem bardziej przypadku niż jego inicjatywy. I tak samo myślał o dziale, którym przyszło mu się zajmować: że zajął się sprawami kryminalnymi, bo taki pierwszy wakat trafił mu się po drodze. A jednak, myśli dziś, nie mógłbym zajmować się niczym innym. Nie jest pewien, jak to było i co się stało, w każdym razie w tym momencie, tej deszczowej niedzieli, nic nie interesuje go tak bardzo

jak sprawa, którą się zajmuje. Przesyła ostatni mejl od Nurit Iscar na skrzynkę Jaimego Breny, ale też dzwoni do niego i mówi, żeby włączył komputer. I Jaime Brena poirytowany, że musi złamać jedną z najświętszych życiowych zasad – nie włączać komputera w domu – lecz równie zapalony do sprawy jak chłopak, włącza i czyta mejl od Nurit Iscar. Odpisuje: „Świetnie, Betibu, mamy trop. Uważaj na siebie. Brena”. W chwili gdy Nurit czyta „Uważaj na siebie. Brena”, słyszy klakson Lorenza Rinaldiego pod domem. Nie wiedziała, że jest już na terenie osiedla, jedna z przyjaciółek autoryzowała jego wjazd, jednak irytacja, jaką wywołuje w nich ten człowiek, sprawiła, że nie pofatygowały się do jej pokoju, żeby ją uprzedzić. Nurit wychyla się przez okno i woła: Już idę. Najwyraźniej nie usłyszał, bo trąbi ponownie. Nurit się śpieszy, łapie torebkę, przed wyjściem zachodzi jeszcze do łazienki i przegląda się w lustrze. Nie wiem, czy to dobry pomysł, ale trudno. Poprawia loki, delikatnie nakłada odrobinę szminki bardzo subtelnego koloru – z pewnością Betty Boop by takiej nie użyła – wyraźnej, acz łagodnej szminki wpadającej prawie w brąz, w odcieniu na dzień, nie zwracającym uwagi, nadającym jednak świeżości, trochę błysku, sprawiającym, że jej usta prezentują się trochę młodziej. Czy naprawdę jej usta wyglądają młodziej za sprawą szminki? Przygląda im się, kręcąc głową na boki, układa wargi w sztuczny uśmiech. Nie wie. Gładzi skórę szyi, podnosi brodę, nie można powiedzieć, żeby skóra jej zwisała, ale ewidentnie nie jest już taka napięta. Nie, to nie był dobry pomysł, żeby zaglądać do łazienki i patrzeć w lustro, teraz nie będzie już taka pewna siebie. Klakson rozbrzmiewa trzeci raz. Paula Sibona pojawia się za nią w lustrze i pyta: Słyszysz, że ten facet trąbi na ciebie? Tak, tak, już idę. Ślicznie wyglądasz, mówi Paula. Nurit obraca się, uśmiecha i mówi: Dzięki, kochana.

Lorenzo wysiada, widząc, że ona idzie w jego stronę, obchodzi samochód, otwiera drzwi pasażera i czeka z dłonią na klamce auta. Zawsze tak robił – wysiadał, żeby otworzyć drzwi – lecz prawie o tym zapomniawszy. Rinaldi zna i stosuje wszystkie zasady grzecznego zachowania w relacjach mężczyzna–kobieta – acz nie zalicza się do nich wierność żonie czy nierujnowanie życia Nurit fałszywymi obietnicami, choć wiedział, że ich nie dotrzyma – dziś już nie przez wszystkich mężczyzn respektowane: chodzić zawsze od strony ulicy, otwierać drzwi – nie tylko aut, ale też w windach, budynkach, pokojach motelowych, a także drzwi taksówek, z tym że mężczyzna wsiada pierwszy, by kobieta nie musiała przesuwac się przez całą szerokość siedzenia i nie siedziała w najmniej wygodnym miejscu, czyli za kierowcą, którego fotel jest zapewne mocno cofnięty – iść po schodach do góry za kobietą i na dół przed nią, nosić za nią ciężary, nalewać jej napoje w restauracji. I rzecz jasna płacić, płacić za wszystko. Co chłopczyca powiedziała by na te zasady, na te wszystkie zabiegi mężczyzny wobec kobiety – to elegancja czy upokorzenie? zastanawia się Nurit Iscar. Upokarzający są ci, co mają się za nowoczesnych i w związku z tym nie płacą rachunków, utrzymywała konsekwentnie Carmen Terrada. Ale upokorzenie może mieć różne formy, myśli Nurit i w tej samej chwili Lorenzo Rinaldi odzywa się: Cześć, Betibu, i delikatnie całuje ją w policzek, kładąc dłoń na jej plecach, a właściwie na karku, pod lokami. I ona ją czuje. Czuje znów rękę Lorenza Rinaldiego po trzech latach. Nurit Iscar wysuwa się spod tej ręki i wsiada, on zamyka drzwi i wraca na swoje miejsce. Ruszają w stronę bramy La Maravillosy. Zauważyłaś, że zmieniłem auto? pyta Rinaldi. Na co ona mówi, że tak, lecz kłamie, bo nie ma pojęcia, do jakiego samochodu właściwie wsiadła. Nawet gdyby jej przyłożyli pistolet do skroni i kazali powiedzieć, jakiej marki jest auto, w którym siedzi, jaki model czy nawet jaki kolor, Nurit nie byłaby w stanie odpowiedzieć. Nigdy nie pamięta, kto ma jaki samochód. Nie zwraca na to uwagi. Natomiast pamięta niektóre rejestracje, bo bawi się ich literami, układając słowa. Na przykład BRM z tablicy rejestracyjnej Pauli przerabia na BRAMA. A GRL z tablicy samochodu byłego męża, którym teraz jeżdżą jej synowie, Nurit przerabia na GRILL. A HMR Viviany Mansini odczytuje jako HUMORY. Ale nie zdążyła spojrzeć na tablicę nowego auta Rinaldiego. Podoba ci się? pyta Rinaldi i zanim Nurit odpowie, dodaje: Nie wyobrażasz sobie, ile mnie kosztował, więcej niż mieszkanie w Belgrano, po prostu miałem ochotę już od jakiegoś czasu... Poza tym mieszkanie w Bel-

grano już mam, mówi i wybucha śmiechem. Nurit Iscar patrzy na zegarek i zastanawia się, czy wytrzyma najbliższe godziny. To, co jej się nie podobało w Lorenzu Rinaldim, lekceważyła to jednak, bo była w nim zakochana, teraz spada na nią jak lawina, uderza prosto w głowę, jakby kamieniem w czoło. Jak mogłam zapomnieć o tej jego stronie? wyrzuca sobie. Tobie dobrze się układało, pewnie sporo ci zapłacili za te wydane książki, nie? pyta Rinaldi, potwierdzając przemyślenia Nurit, która nie może uwierzyć, że w tę stronę zmierza ich rozmowa, czy tak samo rozmawiali, kiedy była w nim zakochana? Czy miłość – i ona – przydawała dialogom i zainteresowaniom Lorenza Rinaldiego inteligencji i znaczenia? A może pilnował się, żeby nie pokazać się od tak durnej strony? Nurit wzdycha i błądzi spojrzeniem po pejzażu za oknem. Wypłacają ci chyba wciąż tantiemy, co? nie odpuszcza Rinaldi. Nurit Iscar wolałaby nie odpowiadać, lecz wie, że lepiej to zrobić, inaczej będzie tak pytał bez końca. No coś tam płacą, mówi. A ile to jest to coś tam? pyta ją. No nie, myśli Nurit, nie możesz być takim idiotą. Nie wiem, Lorenzo, odpowiada, ale jeśli chcesz, to jak wrócę do domu, prześlę ci ostatnie rozliczenie z wydawnictwa. Rinaldi jednak, nie zwracając uwagi na ironię wypowiedzi Betibu, ciągnie: A ile mogliby ci zaoferować w ramach zaliczki na poczet kolejnej książki? Nurit Iscar znów spogląda na zegarek. W dolarach, uściśla Rinaldi, no bo poza tym trzeba się cenić, możesz przecież złożyć propozycję różnym wydawnictwom, niech sobie wrywają z gardeł rękopis, niech bierze ten, kto da więcej. Taka jakby licytacja, mówisz? ironizuje Nurit, lecz on bierze to za realistyczną uwagę. Tak jest, licytacja praw do wydania twojej nowej powieści. Nie ma żadnej nowej powieści, mówi Nurit. Jeszcze nie? I nie będzie, rzuciłam pisanie. Jaja sobie ze mnie robisz. Nie, poważnie mówię, nie zastanowiło cię, że przez te wszystkie lata niczego nie wydałam? Nie, podejrzewałem, że musisz się otrząsnąć po tej ostatniej, więc dajesz sobie więcej czasu. Bo nie za dobrze poszła twoja ostatnia powieść, prawda? Nie, nie za dobrze. Jaki miała tytuł? *Tylko jeśli mnie kochasz*. *Tylko jeśli mnie kochasz*, racja; ale zaliczkę ci zapłacili, ciągnie Rinaldi, nie wiedzieli przecież, jak się sprzeda. Nurit nie odpowiada, tylko po raz enty zadaje sobie pytanie: Co ja tutaj robię? Patrzy na zegarek. Nie rozumiem, jakim cudem ty, która tak doskonale wiedziałaś, co należy wpakować do powieści, żeby odniosła sukces, odsunęłaś się na bok, stwierdza Rinaldi. Nurit ma wielką ochotę go spoliczkować. Ogromną ochotę. I nie kryje się z tym. Tyle że zawsze miał kłopot z odczytywaniem emocji innych, więc brnie dalej: Tak czy inaczej to, że się raz pomyliłaś, nie znaczy, że nie masz już daru. Jakiego daru? dziwi się Nurit z nieskrywaną irytacją. No tego, który ci mówi, co trzeba dać do książki, żeby ludzie chcieli ją kupować: trochę tego, trochę tamtego. A może byś się tak odwalił, Rinaldi? Oj, a co ja takiego powiedziałem? dziwi się. Słuchaj, nie mam zamiaru wdawać się z tobą w dyskusję, dlaczego piszę, co piszę i jak piszę, bo ty nie masz o tym pojęcia, mówi Nurit, i to tak stanowczym tonem, że Lorenzo Rinaldi musi wreszcie zauważyć, że jest poirytowana, i stwierdza: Obawiam się, że nie zaczęliśmy najlepiej. Nie, nie najlepiej, powtarza Nurit. Wyjeżdżają z *country* bez słowa, podawszy swoje dane strażnikom. Potem, już na szosie, Rinaldi próbuje nawiązać rutynową rozmowę: deszcz, okoliczne restauracje, ostatni artykuł Nurit, afery, w które pakuje się prezydent, katastrofalny stan kraju – według jego, Lorenza Rinaldiego, kryteriów, choć wygłasza swoje opinie jak prawdy objawione – jego poczucie, że jest prześladowany przez rząd – jestem ofiarą aktualnej administracji, stwierdza – i że te prześladowania zamiast go zastraszyć, generują w nim jeszcze więcej adrenaliny. Nurit nie zgadza się prawie z niczym, co słyszy od Rinaldiego, ani w kwestii prezydenta, ani kraju, ani domniemanego ryzyka, na jakie jest narażony z racji wykonywanego zawodu. Z niczym. Nie zgadza się z nim nawet w kwestii okolicznych restauracji. Ale milczy, wie, że nie ma sensu dzielić się swoją opinią. Wie, że Lorenzo Rinaldi nawet by nie wpadł na to, że ona może mieć tak odmienne zdanie. Skoro jest inteligentna, skoro jest profesjonalna, skoro sypiała z nim – jakże mogłaby myśleć inaczej, jakże mogłaby nie wiedzieć, jak wygląda rzeczywistość? Dziś rzeczywistość jest entelechią. Teoretyczną konstrukcją. Jeśli ona wspomni, że „jej” rzeczywistość jest tak odmienna od jego rzeczywistości, wdadzą się w dyskusję bez sensu i bez końca. Lorenzo Rinaldi będzie

próbował ją przekonać, lecz ona jego już nie. Jak mogła być zakochana w kimś, kto dziś jawi się jako ktoś tak odległy, że nawet nie jest w stanie utrzymać z nim trywialnej rozmowy w samochodzie? Jakże są te mechanizmy miłości, przez które człowiek nie widzi, czego nie chce widzieć? Bo dzisiejszy Lorenzo Rinaldi był taki sam trzy lata temu. W to Nurit nie wątpi. A jednak wtedy widziała w nim tylko to, co ją pociągało. A co ją pociągało? Jego dłonie, jego głos, to na pewno. Tylko czy głos i dłonie wystarczą, żeby kobieta padła jak trup do stóp mężczyzny? Gdyby dzisiaj ona, Nurit Iscar, miała wyjaśnić, dlaczego właściwie zakochała się w Lorenzu Rinaldim, powiedziałaby – bo tak teraz sądzi – że dlatego, że on był zakochany w niej. A w każdym razie tak mówił. Bardzo zakochany, twierdził. Powtarzał to do ostatniej chwili. A Nurit mu wierzyła. Właśnie to, poczucie, że ona, kobieta nazwana przez niego Betibu, przez niego ochrzczona, budzi namiętność, miłość, czułość, potrzebę bliskości, właśnie to sprawiło, że się w nim zakochała. Bo od jakiegoś czasu Nurit czuła, że w małżeństwie już tego nie ma. Dlatego się zdecydowała. Na zakochanie się. Myliłam się? stawia sobie pytanie, patrząc przez szybę, podczas gdy Rinaldi opowiada o spadku sprzedaży gazet po wprowadzeniu wydań internetowych. Nie, zakochać się – to nie była zła decyzja. Tylko źle wybrała obiekt. Trzeba było spróbować i tak zrobiła, spróbować, czy w jej ciele zostało jeszcze coś, co czuła w młodości, kiedy miłość, bycie razem, małżeństwo stanowiły tajemnicę, w którą chciała wierzyć. I okazało się, że zostało. Tylko czy nadal tak jest? Tego nie wie. Co słychać u twojej żony? pyta Nurit w połowie zdania Rinaldiego na temat wzrostu kosztów produkcji gazet. Wszystko dobrze, odpowiada jej, w porządku. Co porabia? dopytuje Nurit, jakby chodziło o starą znajomą, o kogoś dalekiego, kim jednak się interesujemy, choć prawdziwą przyczyną jej pytań nie jest rzeczywiste zainteresowanie żoną Rinaldiego, tylko ustalenie, że on miał, ma i będzie mieć żonę. Praktycznie mieszka w Bariloche, mówi Rinaldi. Kusi nas, żeby się tam przeprowadzić. Na emeryturę, rzecz jasna, nie teraz. Kupiłem tam ziemię za niesamowitą cenę, problematyczny spadek, ale udało nam się sprawę załatwić pod stołem i postawiliśmy sobie dom u stóp wzgórza z widokiem na jezioro, wymarzone miejsce. Wymarzone, powtarza. Wymarzone przez kogo? zastanawia się Nurit. Przez Lorenza Rinaldiego, przez żonę Lorenza Rinaldiego, przez nieboszczyka, który zostawił po sobie problematyczny spadek, przez ludzi takich jak oni? Czy kiedy ktoś mówi „wymarzony”, zakłada, że wszyscy marzymy o tym samym? Teren jest bardzo duży, więc go trochę rozparcelowaliśmy, postawiliśmy domki i Marisa – imię wzbudza jej niepokój, nie mówi się już o „żonie Rinaldiego”, tylko o kimś, kto ma imię, Marisa, imię, którego Nurit i Lorenzo Rinaldi unikali w czasie trwania ich związku – zajmuje się administracją. Dobrze się tam czuje, bo ma rośliny i zwierzęta, a to uwielbia. Ja tam jeżdżę regularnie, ona regularnie zjeżdża do Buenos. Wymarzone miejsce, powtarza Rinaldi. Koszmar, myśli Nurit. Jakież dwadzieścia kilometrów od centrum miejskiego, kojarzysz? Tak, znam Bariloche, choć twojej parceli raczej nie. Inwestycja prawie nam się zwróciła, niektóre domki wynajmujemy, a kilka sprzedaliśmy za cenę trzy, cztery razy większą, to był dobry interes, świetny. Nurit znów patrzy przez okno bez słowa.

Lorenzo Rinaldi decyduje się na włoską restaurację, ekskluzywny lokal z makaronami: nieliczne stoliki obstawione starymi krzesłami w różnych stylach i z różnymi obiciami, na dole piwniczka, którą widać przez oszklone szczeliny w podłodze pomyślane tak, żeby klienci mogli oglądać wina, nie ruszając się od stołu. Plusem tego miejsca jest to, myśli sobie Nurit, że za parę minut dostaniemy jedzenie i za godzinę czy dwie będę znów wolna od Lorenza Rinaldiego i rozmowy z nim. Potem robi się trochę przyjemniej, Nurit porusza tematy bardziej ją interesujące – kino, książki, jej dzieci, sprawa Chazarrety – żeby uniknąć monotematycznych opowieści Rinaldiego. On jednak sprawia wrażenie, jakby nie chciał się zagłębiać w wybierane przez nią tematy. Odpowiada lakonicznie, przytakuje, uśmiecha się, lecz nie słucha, czeka tylko, aż Nurit skończy, żeby móc znowu opowiadać o sobie i o swoim świecie. Przystawka, danie główne, wino wybrane przez Rinaldiego po dłuższych deliberacjach, aby pokazać, że się na tym zna, deser i kawa. Załatwione. Wsiadają do samochodu. Rinaldi jednak nie rusza. Patrzy na nią. Uśmiecha się. Wsa-

dza sobie do ust miętową pastylkę na odświeżenie oddechu. Często ją jedną. Nie, dzięki, mówi Nurit i to, że Rinaldi troszczy się o jej oddech, budzi jej czujność. Wiesz, że miesiąc temu miałem operację? pyta Rinaldi. Nie, nie wiedziałam, coś poważnego? Nie, nic poważnego, ale uciążliwe, w zeszłym tygodniu mnie wypuścili. Cieszę się, odpowiada Nurit. Prostata, mówi Rinaldi. No tak, dość typowe dla mężczyzn w twoim wieku, prawda? Tak, tak mówią, choć marna to pociecha, śmieje się Rinaldi, po czym sadowi się na fotelu tak, żeby ją lepiej widzieć, i daje wyraźny znak, że nie zamierza na razie zapalać silnika. Znowu jestem prawiczką, mówi. Co? nie rozumie Nurit. No jeszcze nie użyłem swojego sprzętu po tej operacji, wyjaśnia. Czy ten facet naprawdę opowiada mi o swoim fiucie? zastanawia się Nurit Iscar w milczeniu, wciąż nie dowierzając. Mówili, że problemów nie będzie, acz póki nie sprawdzę, pewności nie ma. No popatrz, mówi Nurit. Uśmiecha się do niej, patrzy jej prosto w oczy. Nurit obawia się tego, co teraz nastąpi. Pastylka na poprawę oddechu mówi za siebie. Pomożesz mi, Betibu? pyta Rinaldi z miną świeżo narodzonego jagniątko, które odłączyło się od stada. Mówisz poważnie? odpowiada Nurit pytaniem na pytanie. Przecież nam się dobrze układało, w każdym razie ja tak to wspominam, nie tak było? Tak, dobrze się układało, przyznaje Nurit, aż w końcu przestało. No to co, chcesz mnie rozdziewiczyć? To jest naprawdę przywilej, nie? Nie, nie, nie, co za sukinsyn! powie Paula Sibona parę godzin później, kiedy Nurit powtórzy jej: „to jest naprawdę przywilej”. Tak prosto z mostu, bez żadnych tam wstępów? zapyta Carmen. Moim zdaniem powinieneś użyć swojego sprzętu z Marisą, Lorenzo, odpowiada mu Nurit, ona pewnie ma do ciebie cierpliwość, zna cię od tylu lat, pojedź sobie do Bariloche, odpręż się w tym wymarzonej miejscu i zadebiutuj ponownie razem z nią. Rinaldi kręci głową i po chwili mówi: Nie pytaj dlaczego, ale jestem pewien, że z Marisą nie zadziała. W takim razie spróbuj z prostytutką, to specjalistki w ożywianiu fiutów, odparowuje Nurit, patrząc mu prosto w oczy i nie spuszczać wzroku, i nawet jej powieka nie drgnęła przy słowie „fiut”. Sama się sobie dziwi, że rozmawia z Rinaldim tak bezceremonialnie, lecz podoba jej się to. Tak mu powiedziałaś? zapyta Carmen, krztusząc się ze śmiechu. Ale co za nieprawdopodobny sukinsyn! powtórzy Paula. Nie, prostytutka też odpada, mówi Rinaldi, wzdycha i ciągnie: Wiesz, nigdy nie podobał mi się seks z prostytutkami. No to masz piękną okazję, żeby spróbować, odpowiada Nurit, wiesz, że czasem za młodu człowiek woli ostre, a na starość jednak słodczyce? Może spróbujesz i będziesz miał niespodziankę. A ja tak na ciebie liczyłem, że będziesz moją Florence Nightingale, mówi Rinaldi, naprawdę nie chcesz zostać moją Florence Nightingale? No ja po prostu nie wierzę, powie Carmen przerażona, nie wierzę, powiedz, że to nieprawda, że tak nie powiedział. Za kogo ten bałwan się uważa? zapyta Paula. Nie, nie chcę być twoją Florence Nightingale, odpowiada Nurit.

Jazda do La Maravillosy przynajmniej jej dłuży się nieznośnie. Podwozi ją pod drzwi domu, lecz tym razem nie wysiada. Przemyśl to, mówi, we wtorki i czwartki mógłbym się z tobą umawiać. We wtorki i czwartki, powtarza Nurit. I przypomnij sobie, jak nam fajnie było razem. Nurit staje i przygląda mu się. Przemyśl to, powtarza Rinaldi, Nurit się uśmiecha i wchodzi do domu bez słowa.

No, jeśli chodzi o rozgrzanie kobiety, to zupełnie zero, stwierdza Paula Sibona, podając filiżankę z kawą przyjaciółce, i dodaje: Jak można się podniecić przy kimś, kto proponuje, żebyś była jego Florence Nightingale? Jeśli tak to stawia, to musi być przekonany, że jest pełno dziewczyn, które chętnie wcieliłyby się we Florence Nightingale, mówi Nurit. A zauważyłyście to? pyta Paula. Ale co? No że do niedawna problemy mężczyzn, z którymi się umawialiśmy, to było naciągnięcie ścięgna, staw kolanowy, w ostateczności atak wyrostka. Jak prostata, to już z górki, mówi Carmen.

Kiedy Nurit Iscar omawia z przyjaciółkami szczegóły swojego spotkania z Lorenzem Rinaldim, chłopak z kryminalnego dostaje mejl, który okazuje się sporym zaskoczeniem. Napisał go Gandolfini, ale nie Gonzalo, tylko jego ojciec, Roberto, brat nieżyjącego Gandolfiniego. „Czołem, dowiedziałem się od mojego syna Gonzala, że znał Pan mojego brata i jego kolegów. Powiedział mi też, że zadał mu Pan kilka pytań, na które nie umiał odpowiedzieć, więc podesłał mi Pański mejl. Tyle jest rzeczy do obgadania z tamtych czasów, że może byłoby lepiej spotkać się na kawie? Co Pan na to? Jakie ma Pan plany na resztę niedzieli? Mieszka Pan też w Buenos Aires? Pozdrawiam, Roberto Gandolfini”. Chłopak z kryminalnego znów aż nie może usiedzieć. Dzwoni do Jaimego Breny jeszcze przed odpisaniem na mejl. Niesamowite, stwierdza Brena. Może iść na całość i poprosić go, żeby zabrał ze sobą jakieś zdjęcia z tamtych czasów? Może uda nam się trafić na odbitkę tej zaginionej fotografii i tak skompletujemy całą grupę? Tak, to dobry pomysł, ale martwi mnie co innego, przecież jeśli nie było cię jeszcze, chłopie, na świecie, kiedy wybuchła afera z doktor Giubileo, jakim cudem mógłbyś znać Chazarretę i jego kumpli w tamtych czasach? Kiedy oni kończyli szkołę średnią, ciebie przecież też nie było na świecie, prawda? Masz rację. Chłopak z kryminalnego i Jaime Brena milkną na chwilę, myślą, a na koniec chłopak mówi: A może ty byś się podszył pode mnie? Lekcja numer jeden Jaimego Breny: przebieranie się. Jak to? Bratanek Gandolfiniego zna moje nazwisko, pojawia się przecież na Facebooku, i przekazał je swojemu ojcu; gdybyśmy to teraz odkręcali, zmieniali wersję, to by wzbudziło ich nieufność, podejrzewania. Natomiast wiedzą o mnie tylko, jak się nazywam; na fejsie nie mam swojego zdjęcia, tylko koszulkę Estudiantes de la Plata. Jesteś z La Platy? Nie, kibicuję Estudiantes, tylko tyle, wyjaśnia i mówi dalej: Ty, Brena, mógłbyś być ich kolegą. Boże uchoвай, acz masz rację, jestem na tyle stary, że mógłbym należeć do ich paczki. Jest jedno ryzyko, mówi chłopak, mianowicie takie, że Gandolfini cię rozpozna; chociaż jesteś dziennikarzem prasowym, pojawiałeś się parę razy w telewizji, do tego w kontekście sprawy śmierci żony jednego z kolegów jego brata. Jeśli facet widział cię w jakimś programie i rozpozna, co mu powiemy? Że faktycznie przypominam z wyglądu niejakiego Jaimego Brenę, przez co przez całe życie miałem poważne problemy, na szczęście to nie ja. Chłopak się śmieje. Tak jak mówisz, chłopcze, takie podszywanie się, przebieranie, maskowanie to część naszej pracy. My, dziennikarze kryminalni, jesteśmy obsesyjnymi, neurotycznymi detektywami, do tego upartymi, wiemy, co to porażka, ale twardo wiosłujemy do końca. I jak powiedział Walsh, jeśli nie ma sprawiedliwości, niech przynajmniej będzie prawda. Walsh tak powiedział, nie? Chłopak nie odpowiada, lecz zamierza to sprawdzić. W sieci. Umów się z Gandolfinim w barze tak za godzinę albo dwie, powiedz, żeby zabrał zdjęcia, koniecznie, i prześlij mi wszystkie mejle, które wymieniłeś z nim i z jego synem, żebym czegoś nie palnął. Dasz radę po mnie wpaść? Poczekałbyś na mnie w samochodzie, gdy ja będę gadał z Gandolfinim. W zależności od tego, jak rozmowa się potoczy, może warto będzie podjechać do Nurit Iscar i popracować nad tym, jak myślisz? Bardzo dobry pomysł; napisać do Nurit, żeby uprzedzić, że możemy wpaść? Ja zadzwonię, mówi Brena, podaj mi numer. W mejlu ci przesłałem, odpowiada chłopak. Chyba nie każesz mi włączać komputera po to, żeby sprawdzić numer telefonu, co? Chłopak podaje mu numer. I Jaime Brena dzwoni. Niesamowite, mówi Nurit Iscar, używając tego samego przymiotnika, którego chwilę wcześniej użył Brena, kiedy zadzwonił do niego chłopak z kryminalnego. Jesteśmy coraz bliżej, Brena. Owszem, zbliżamy się, odpowiada jej, a potem pyta: Pasuje ci, żebyśmy po spotkaniu z Gandolfinim wpadli do ciebie? Myślę, że trzeba będzie wspólnie to przegadać i spróbować sformułować wnioski, nawet jeśli tylko wstępne. Pewnie, jasne, czekam na was, odpowiada

Nurit, o której możecie być? Sądzę, że nic cię nie uratuje przed pizzą na kolację, Betibu. Ona na to: Zdarzały mi się już gorsze rzeczy, Brena. I uśmiecha się, Brena nie widzi jej uśmiechu, choć go wyczuwa.

Jaime Brena drukuje mejle przesłane przez chłopaka z kryminalnego, czyta je, składa i chowa do kieszeni. Bierze swój notatnik i zapisuje w słupku nazwiska wszystkich zmarłych związanych ze sprawą, od każdego odchodzi strzałka, a po prawej stronie, w drugim słupku, przyczyna śmierci, w niektórych przypadkach jakieś dodatkowe uwagi. Pedro Chazarreta, strzałka, z podejrzanym gardłem (tak jak żona). Gandolfini, strzałka, wypadek samochodowy. Bengoechea, strzałka, wypadek na nartach. Luis Collazo, strzałka, żyje. Brenie się przypomina, że Gladys Varela mówiła o czterech mężczyznach na zdjęciu; albo o pięciu, poprawiła się, może o sześciu? zastanawiała się później. Dlatego dopisuje jeszcze dwie pozycje, żeby uwzględnić to, o czym jeszcze nie wiedzą: Nieznany 1, strzałka, żyje? Nieznany 2, strzałka, żyje? Przygląda się temu uproszczonemu zestawieniu. Wie, że ta lista kryje coś więcej, niż on potrafi dostrzec. Albo wyczuć. Albo rozszyfrować. Patrzy na nazwiska, patrzy na strzałki jedna pod drugą, patrzy na przyczyny śmierci. Co jeszcze łączy te śmierci prócz jednego zdjęcia? Jaki kryje się za nimi wzór? Na jaką nutę gra zabójca? A dlaczego on zastanawia się nad nutą i zabójcą, skoro większość tych zgonów to rezultat wypadków? Rzeczywiście to wypadki? Fakty mówią, że owszem. Jedyńm zajściem o charakterze zbrodniczym jest śmierć Chazarrety. Zastanawia się. I znów stawia pytanie: Co mówią te nazwiska, co mówią te zgony, co mówi los albo przypadek, jeśli trzy osoby z małej grupki widocznej na zdjęciu, które zniknęło z ramki, nie żyją? Zastanawia się. Dzwoni domofon. Idzie do kuchni, podnosi słuchawkę, mówi: Już schodzę, i odkłada. Wie, że to chłopak z kryminalnego, choć go nie słyszy, od miesiący domofon działa wadliwie i nie udaje się zmusić dozorczy budynku do naprawy. Kiedy ktoś dzwoni z dołu, można odebrać, ale nie słysząc nic. Będzie trzeba dać większy napiwek dozorczy, sam domofon aż tak Breny nie obchodzi, lecz kiedy popsuje się coś innego, będzie gorzej. Szuka czarnej skórzanej kurtki i takiej samej czapki, od dawna ich nie używał. Wkłada czapkę i przegląda się w lustrze w łazience. Ma poczucie, że wkładając ją, na swój sposób się kamufluje. Śmieje się z siebie. Dzięki tej czapce, latem, które upłynęły od ostatniego wystąpienia w telewizji, i kilogramom, których mu przybyło, rzeczywiście może wmówić każdemu, że facet patrzący na niego w tej chwili w lustrze to nie Jaime Brena. Domofon znów się odzywa w chwili, kiedy Brena otwiera drzwi mieszkania, toteż nie wraca, żeby uspokoić zapewne niecierpliwego chłopaka z kryminalnego, tylko od razu wychodzi i wsiada do windy. Kiedy zjeżdża na parter, osoba, którą widzi po drugiej stronie drzwi, mocno go zaskakuje: to Karina Vives, ma zaczerwienione oczy. Jaime pośpiesznie otwiera jej drzwi i mówi: Co się dzieje, kochana? Ona jednak nie odpowiada, tylko wieszta mu się na szyi i wybucha niepohamowanym płaczem. Daje się jej wypłakać. Już jakiś czas temu zrozumiał, że jak kobieta płacze, lepiej nie brać się za rozwiązywanie jej problemów, tylko pozwolić, żeby się wypłakała. Potem prowadzi ją do fotela stojącego na korytarzu, siada i każe jej usiąść obok. Co się dzieje? ponawia pytanie, kiedy Karinie udaje się częściowo zapanować nad spazmatycznym szlochaniem. Jestem w ciąży, mówi. Patrzy na nią. Czeka, nic nie mówiąc, żeby miała czas coś dodać, ale ona milczy. Brena czeka jeszcze trochę. Przez głowę przelatują mu pytania, których nie zadaje, także takie, których nigdy nie zada. Jeśli Karina Vives nie mówi na przykład, kto jest ojcem, on też nie będzie o to pytał. Jaime Brena gładzi ją po włosach. Uśmiecha się. Ona wciąż milczy. On mówi dalej: I co zamierzasz? Na tym polega problem, mówi Karina i znów zaczyna płakać, lecz opowiada: Nie wiem, co mam robić, jednego dnia jestem pewna, że chcę urodzić, a drugiego, że nie. Jaime Brena łapie ją za rękę. Jak ci mogę pomóc, kochana? Właśnie tak, potrzymaj mnie za rękę, mówi Karina i opiera głowę na jego obojczyku. Brena obejmuje ją ramieniem, ona opiera się o nie i przysuwa trochę bliżej. Jaime Brena spogląda na ulicę i widzi chłopaka z kryminalnego, który stoi za szybą i patrzy na nich, nie rozumiejąc, o co chodzi w tej całej scenie. Albo źle ją rozumiejąc. Brena daje mu znak, żeby chwilę poczekał. Bierze dziewczynę pod brodę i podnosi jej głowę, żeby na niego spojrziała: Muszę jechać z chłopakiem z kryminalnego na spo-

tkanie, sprawa służbowa, mówi i wskazuje spojrzeniem na przeszkolne drzwi, za którymi stoi chłopak, jedziesz z nami? Dziewczyna odwraca głowę i zauważa go. Ale nie mów mu, prosi Brenę. Spokojnie, odpowiada. Nie tłumacz nic więcej, Brena pomaga jej wstać i prowadzi ją do drzwi, otwiera je kluczami, które trzymał w kieszeni kurtki, wita się z chłopakiem z kryminalnego i nie tłumacz także nic jemu, mówi: Ona jedzie z nami. Wsiadają w trójkę do auta i jadą na miejsce spotkania.

Jakieś dziesięć minut później chłopak parkuje samochód na rogu pod barem, w którym mają się spotkać z Robertem Gandolfinim. Jaime Brena wysiada, a oni – chłopak z kryminalnego i Karina Vives – zgodnie z umową zostają w aucie. Brena przechodzi przez ulicę i nim wejdzie do lokalu, zatrzymuje się przed kioskiem, żeby kupić papierosy. Chłopak z kryminalnego odprowadza go wzrokiem, a potem zatrzymuje go na Karinie Vives. Ona to zauważa i uśmiecha się. Chłopak się peszy, jakby go przyłapano na podglądaniu przez dziurkę od klucza. Żeby jakoś wyjść z tego zmieszania, czuje, że musi coś powiedzieć: Masz zaczerwienione oczy. I zanim Karina zareaguje jakoś, on już żałuje, że to powiedział. Od wczoraj wieczorem cały czas ryczę, słyszy. Teraz chłopak jeszcze bardziej nie wie, co powiedzieć. Tym bardziej w tak małej przestrzeni, tak siłą rzeczy intymnej, jaką jest wnętrze samochodu. Karina odzywa się pierwsza: Wy nie płaczecie? Kto my? pyta chłopak. No wy, faceci. Chłopak nie odpowiada, lecz robi minę, którą można by rozumieć jako powątpiewające „nie” albo „rzadko”, albo „niektórzy może i tak, ale ja nie”. Jednak żadnej z tych fraz nie wypowiada głośno, tylko wciąż robi tę minę. A co w takim razie robicie, jak jest wam źle? dopytuje Karina. Siadamy przed komputerem, chat, Facebook, Twitter, takie rzeczy. Niedawno zadałam to samo pytanie i usłyszałam: uwalamy się na łóżko z pilotem do telewizora w rękę. No to pewnie zapytałaś faceta o pokolenie starszego, pana w średnim wieku, nie? Czyli technologia, stanowiąca substytut męskiego płaczu, jest kwestią pokoleniową, stwierdza Karina. Tak, przyznaje chłopak. A płakać, nie płaczecie nigdy, ani starzy, ani młodzi? upewnia się Karina. Chłopak robi nic niemówiącą minę i włącza radio, chcąc tak zakończyć tę niezręczną dla niego rozmowę.

W tej samej chwili, w której chłopak nastawia jakąś muzykę – niespecjalnie mu się podoba, lecz pozwala siedzieć cicho i udawać, że się słucha – Jaime Brena wchodzi do baru. Rozgląda się, próbując ustalić, czy któraś z siedzących tam osób może być Robertem Gandolfinim. Dwie pary, kobieta z dziećmi, młody mężczyzna – na oko w wieku chłopaka z kryminalnego – kobieta mniej więcej pięćdziesięcioletnia płacząca pod oknem. Tą się nie zamierza zająć, za wiele płaczących kobiet jak na niedzielne popołudnie, myśli Jaime Brena. Irina nie płakała, krzyczała i dopiero po tych wszystkich krzykach czasami poleciały jej łzy, acz raczej ze złości. Skąd mu się teraz ta Irina wzięła? Dlaczego przypomina mu się co jakiś czas w niedzielne popołudnie? Jaime Brena siada przy stoliku obok drzwi. Rozgląda się. Nikogo. Nagle z łazienki wychodzi mężczyzna, rozmawia przez telefon i rozsiada się za innym stolikiem, po przekątnej od Breny. Mówi coś w rodzaju: Okej, czyli mogę być spokojny? Jeszcze raz się sprężymy i będzie po sprawie. Choć Jaime Brena nie tyle go słyszy, ile wyłapuje pojedyncze sylaby, a reszty domyśla się z ruchu ust. Spokojny, sprężymy, po sprawie. Brena mu się przygląda. To mężczyzna niskiego wzrostu, około pięćdziesiątki, może trochę za młody na brata Gandolfiniego. Mężczyzna zamyka kłapkę telefonu i bawi się nim na blacie stołu, kręcąc go to w jedną, to w drugą stronę. Ma okulary, ubrany jest elegancko, w drogie rzeczy, dobrej jakości, choć nieco staroświeckie. Spodnie trochę za wysoko podciągnięte w pasie, koszula zapięta po ostatni guzik, klasyczne mokasyny i wełniana beżowa kurtka. Jaime Brena przygląda mu się badawczo, mężczyzna sprawia wrażenie niespokojnego, nawet nerwowego. Teraz wyciąga zdjęcia z papierowej koperty. Przegląda je po kolei. To on? zastanawia się Brena. To musi być on. Twarz wydaje mu się znajoma. Ale Jaime Brena nie wie, jak wygląda Gandolfini – ani żyjący, ani nieżyjący brat – więc jeśli go zna, to skądinąd. Mężczyzna zerka na zegarek, potrząsa zdjęciami, jak gdyby się wachlował. Jaime Brena nabiera coraz większej pewności, że ten człowiek po przekątnej to właśnie ten, z którym się umówił, lecz czeka jeszcze chwilę, obserwuje go i bada. Zdaje sobie sprawę, że tamten nie-

cierpliwi się czekaniem. I w końcu straciwszy cierpliwość, wstaje, rozgląda się i prawie krzyczy: Jestem Roberto Gandolfini, czy ktoś tu może na mnie czeka? Wszyscy – klienci baru, kelnerzy, kasjer – patrzą na niego jak na wariata, robią się czujni, przerywają swoje czynności niepewni, co ten wariat zrobi. Wszyscy prócz Jaimego Breny, który wstaje i mówi: Tak, ja. I podchodzi do jego stolika. Mogę się przysiąc? pyta. Pewnie, niech pan siada, odpowiada Gandolfini, a bar wraca do normalności. Szybko chowa zdjęcia do koperty, jakby nie był jeszcze pewny, czy je pokaże. Czego się pan napije? pyta i Jaime Brena odpowiada: Kawy z dużą ilością mleka. Mężczyzna odpowiada: Ja to samo, a potem się uśmiecha i czeka, aż Brena powie coś więcej. Brena to zauważa i dodaje: Dziękuję, że zgodził się pan spotkać. Nie ma sprawy, odpowiada Gandolfini, cieszy mnie, że mogę porozmawiać o bracie, to wszystko stało się tak nagle, tak nieoczekiwanie. Cóż, każdy wypadek taki jest, mówi Brena. Mężczyzna przygląda mu się w milczeniu przez kilka sekund i dopiero po tej nieco niezręcznej ciszy pyta: Ale pan z nimi nie chodził do szkoły, nie? Nie kojarzę pańskiego nazwiska – mówi o nazwisku chłopaka z kryminalnego, choć o tym nie wie. Nie, ja nie chodziłem do tej samej szkoły, poznaliśmy się na zjeździe absolwentów i przez jakiś czas byliśmy w kontakcie, z tym że nie z całą grupą, tylko z Chazarretą, Collazem i z pańskim bratem. Z osławioną Daczą, mówi Gandolfini. Z osławioną Daczą, powtarza Brena, choć w sumie nie wie, co mówi. W takim razie my też się poznaliśmy w tym czasie, stwierdza Gandolfini. Poważnie? Ja byłem tym nieznośnym dzieciakiem, co wszędzie za wami łąził, nie pamięta pan? Nawet na zjeździe absolwentów byłem. Taka obsesja matki, twierdziła, że wszystko, co robi mój brat, ja też mam robić, żeby nie było niesprawiedliwości, wyobraża pan sobie? Bardzo dziwny pogląd na sprawiedliwość. Czasami matki chcą dobrze, a wychodzi źle. Wyobraża pan sobie, jak wściekły był na mnie mój brat? mówi Gandolfini ze śmiechem. Posłali go na zjazd absolwentów z młodszym bratem i opiekunką, która miała się nim zajmować. Niesamowita ta moja matka, niesamowita. Mężczyzna zamyśla się na chwilę zapatrzony w swoje dłonie, jakby przyglądanie się im pobudzało pamięć. Odzywa się Brena: Strasznie mi przykro z powodu brata. Gandolfini robi smutną minę, na ustach ma jakby dziwny, melancholijny uśmiech, i przytakuje ruchem głowy. Tak, to był koszmarny wypadek, padało, a brat lubił przygazować, wie pan. Prawdę mówiąc, wszyscy się spodziewaliśmy, że może tak właśnie skończyć. Mężczyzna znów wyciąga zdjęcia, tym razem podaje je Brenie. Pierwsze, to na górze kupki, jest, jak podejrzewa Brena, bardzo podobne do tej zaginionej fotografii z ramki u Pedra Chazarrety: sześciu kumpli w jakimś górzystym terenie, pewnie w Bariloche, każdy trzyma proporczyk w barwach szkoły – San Jerónimo Mártir. Gdzieś już widział to zdjęcie, jest tego pewien. A może to déjá vu? Dacza, mówi Jaime Brena z fotografią w ręku, nigdy nie zrozumiałem, skąd się wzięła ta nazwa. Mężczyzna patrzy na zdjęcie do góry nogami, odwrócone w stronę Breny. Miał pan szczęście, śmieje się. Nie rozumiem, dziwi się Brena. A to nic takiego, żarcik, wyjaśnia mężczyzna i znów wraca ten jego melancholijny uśmiech. Brena czeka. Nazywali się Daczą, bo na daczy Chazarretów organizowali te swoje ceremonie inicjacyjne. Ceremonie inicjacyjne? dopytuje Jaime Brena. No, takie rzeczy, jakie organizują grupy chłopaków, kiedy mają kogoś przyjąć do paczki, takie rytuały dopuszczenia, tłumaczy Gandolfini, jakieś próby, które trzeba zaliczyć, takie tam, tyle już czasu zleciało, że niewiele pamiętam. Pan należał do tej grupy? pyta Brena. Do jakiej grupy? No do Daczy. A nie, nie, nie dopuścili mnie. Mówili, że jestem za mały. Ja za nimi wszędzie chodziłem jak balast, taki podatek, który musieli zapłacić, żeby mój brat mógł iść z nimi, ale nie dopuszczali mnie do niczego; natomiast owszem, używali mnie jako popychadła, kiedy tylko nadarzała się okazja. Brat był ode mnie starszy o dobre dziesięć lat. I mieliśmy różne matki. Ojciec owdowiał i ożenił się z moją matką. Po jakimś czasie ja się urodziłem. Mieliśmy tego samego ojca i różne matki. Przyrodni bracia. Rozumiem, stwierdza Jaime Brena. Obaj znów milkną na chwilę. Otwarcie przyglądają się sobie. Brena się zastanawia, skąd zna tego człowieka, lecz pierwszym, który zadaje to pytanie, jest Gandolfini. Pańska twarz wydaje mi się znajoma, zauważa, czy to możliwe, że skądś się znamy? No cóż, odpowiada Jaime Brena i żeby uniknąć podejrzeń,

przechodzi od razu do rzeczy: Niektórzy twierdzą, że przypominam jednego dziennikarza z *El Tribuno*, co jakiś czas ktoś mnie zaczepia na ulicy, bo mnie z nim myślą. A racja, faktycznie, pan przypomina Jaimego Brenę. Właśnie, Brenę. A ja pana mogę skądś kojarzyć, panie Gandolfini? No cóż, ja się zajmuję rozkręcaniem interesów, zakładamy firmy, rozkręcamy ich działalność, a potem sprzedajemy. Robimy też analizy wiarygodności, badania rynków krajowych i zewnętrznych, opracowujemy strategie na przyszłość, takie rzeczy, świadczymy dużo usług konsultingowych, zamawiają je duże grupy finansowe, nawet czasami politycy, dlatego często pojawiając się w programach telewizyjnych czy dziennikach, mówię o różnych sprawach związanych z tym, czym się zajmuję, z moimi specjalnościami, mówi mężczyzna z niemaskowaną dumą i dodaje: Jestem dyżurnym komentatorem pewnych spraw w kraju. Przede wszystkim zagadnień gospodarczych, wie pan? Tak, tak, jak pan o tym mówi, to mi się przypomina, że gdzieś w kablówce pana widziałem. Z pewnością. Kolejny raz obaj milkną, aż w końcu Gandolfini przechodzi do rzeczy: A dlaczego nie pyta mnie pan o to, o co pytał mojego syna? Niech pan korzysta, skoro siedzimy tu razem. No tak, w sumie bardziej niż pytać, chciałem się skontaktować z grupą znajomych z młodości, dowiedzieć się, co tam u nich, to wszystko, co się stało najpierw z żoną Chazarrety, a potem z nim, sprawiło, że wspomnienia z tamtych czasów wróciły. Mężczyzna przygląda mu się, to spojrzenie zgodne, lecz zarazem przeszywające, a w końcu mówi: Tak, śmierć żony Chazarrety wszystkich nas na powrót złączyła, kiedy to się stało, nie widywaliśmy się od lat. A w każdym razie ja ich nie widywałem. Brata oczywiście tak, nie za często ze względu na nasze zajęcia, ale w kontakcie byliśmy, wiedzieliśmy, co tam u drugiego słyszeć, w końcu to rodzina. Z resztą już nie. No a potem tamte zgony, nieszczęście za nieszczęściem. Mężczyzna przerywa opowieść i znów zapatruje się w swoje dłonie. Wreszcie stwierdza: Taki już jest ten los, nie? Ano tak, stwierdza Brena, a potem wskazuje na fotografię i mówi: Z sześciu kumpli trzech nie żyje. Mężczyzna go poprawia: Nie trzech, czterech. Jaimego Brenę ta wiadomość uderza. Jak to czterech? Mężczyzna bierze zdjęcie i mówi, pokazując: Mój brat w wypadku samochodowym, Chazarreta najpewniej zamordowany, Bengoechea w wyniku głupiego upadku na nartach, a Marcos Miranda, dodaje, wskazując palcem najwyższego w grupie przyjaciół, niedawno zginął w Stanach Zjednoczonych w jednym z tych idiotycznych ataków, komuś odbija i zaczyna strzelać do ludzi wychodzących z supermarketu z wózkami i zakupami. Jeszcze jeden umarł? Tak, Marcos Miranda, parę godzin temu, przypadkiem dowiedziałem się o tym z CNN. Argentyńczyk mieszkający w USA od lat, pełniący kierowniczą funkcję w ważnym banku. Nic pan nie słyszał? Nie, odpowiada Brena. Jeszcze pan usłyszysz, będzie o tym we wszystkich gazetach, to jedna z tych wiadomości, których nikt nie przegapia. Na szczęście było jeszcze tylko paru rannych, nikt poważnie, ludziom strasznie ostatnio odbija. Tak, zgadza się Brena, odbija, i nie może się otrząsnąć ze zdziwienia. To znaczy dwaj ostatni żyjący koledzy to Luis Collazo i... jak się nazywał ten ostatni? Uciekło mi nazwisko, udaje Brena. Gandolfini przygląda mu się przez chwilę, drapie po głowie, jakby to miało pomóc w myśleniu, patrzy i w końcu mówi: Vicente Gardeu? Tak jest, Vicente Gardeu, podchwytuje Brena. Gandolfini kilka razy kiwa głową, jakby coś potwierdzał. I znów obaj na chwilę milkną, przyglądają się sobie, mierzą spojrzeniami, lecz tym razem Brena czuje, że w oczach Gandolfiniego coś się zmieniło, nieznacznie, ale jednak. Gandolfini zerka na zegarek. No nic, jeśli nie ma pan więcej pytań, zaczyna i porządkuje zdjęcia. Brena go zatrzymuje: Pytań może nie, proszę mi tylko powiedzieć, czy jest jakaś szansa na to, żeby mi pan pożyczył to zdjęcie, ja bym je sobie skopiował, a potem je panu oddam? Nie, wie pan, to jedna z niewielu pamiątek po bracie i jego przyjaciółkach, jaką mam, odpowiada Gandolfini. To dla mnie bardzo ważne, nalega Brena, chciałbym też mieć taką pamiątkę. To nie jest jakieś specjalnie dobre zdjęcie, stwierdza mężczyzna, zostało zrobione ot, tak. Mniejsza o to. Nie, proszę wybaczyć, tego zdjęcia nie mogę, gdyby pan chciał inne, mogę się zastanowić, ale tego nie dam. Gandolfini chowa fotografię do koperty, jakby zamykał temat, potem wsadza rękę do wewnętrznej kieszeni kurtki, wyciąga pudełeczko na wizytówki i podaje jedną, prywatną. Gdyby pan czegoś potrzebował,

gdyby chciał pan o czymś pogadać w bardziej bezpośredni sposób niż przez Facebook. Okej, wielkie dzięki, mówi Brena. Ostatnia prośba, mogę jeszcze rzucić okiem na to zdjęcie? Mężczyzna się waha, ostatecznie jednak sięga do koperty i podaje mu fotografię. Jaime Brena przygląda się zdjęciu, jakby chciał je zachować w pamięci. Jest pewien, że gdzieś je wcześniej widział. Absolutnie pewien. Przeklina swoją pamięć, kiedyś niezawodną, od jakiegoś czasu chyba szwankującą. Gandolfini wyciąga rękę, jakby oczekiwał zwrotu fotografii. Brena mu ją oddaje. Dzięki, mówi, i proszę mi pozwolić postawić tę kawę. To mi się wydaje fair, stwierdza mężczyzna, pan płaci. I wychodzi.

Jaime Brena przygląda mu się przez szybę. Gdzie on widział to zdjęcie? Wyciąga notatnik, skreśla Nieznajomego 1 i wpisuje Marcos Miranda. Skreśla Nieznajomego 2 i wpisuje Vicente Gardeu. Na prawo od strzałki przy Marcosie Mirandzie notuje: zastrzelony w USA przez szaleńca. Chowa notes do kieszeni kurtki. Myśli o Chazarrecie i reszcie zmarłych. Myśli o Glorii Echagüe. Myśli o tym, jak wiele pracy kosztowała go sprawa jej śmierci. Myśli o sobie sprzed paru lat, kiedy rekonstruował tę zbrodnię, robił wywiad z Chazarretą, pisał raporty, także dla telewizji. Telewizja. Właśnie, tam widział to zdjęcie, w programie puszczone krótko po śmierci Chazarrety, kiedy jeszcze nie było żadnych innych informacji, w programie, w którym pojawił się on i który wieńczyła seria zdjęć państwa Chazarretów: zdjęcia Glorii Echagüe, zdjęcia Pedra Chazarrety, ich wspólne zdjęcia, zdjęcia z ich młodości, zdjęcia aktualne. Zdjęcia Glorii Echagüe z przyjaciółkami. Zdjęcia Chazarrety z kolegami. I jeszcze więcej innych, ale tamte go nie interesują. Obchodzi go tylko to, na którym widać Chazarretę z kolegami. Gotów byłby się założyć o wiele, że to było to samo zdjęcie. Musi zdobyć tamto nagranie, gdyby nie fakt, że jest niedziela, byłoby to łatwe, lecz jeśli do kogoś zadzwoni, i tak odeślą go na poniedziałek. Albo na wtorek. Powie o tym chłopakowi z kryminalnego, z pewnością on będzie miał pomysł, gdzie to można znaleźć w sieci. Jaime Brena nie ma pojęcia dlaczego, jednakże w tych sprawach wierzy w młodego, mocno wierzy.

Wreszcie zostawia na stole pieniądze za dwie kawy i wychodzi. Idąc ulicą w stronę samochodu chłopaka z kryminalnego, zastanawia się, ile czasu upłynie, zanim po prawej stronie przy nazwiskach Vicente-go Gardeu i Luisa Collaza będzie musiał wpisać przyczynę ich śmierci.

Kiedy Jaime Brena i jego towarzysze podjeżdżają pod La Maravillose, brama jest już zamknięta: w końcu to ósma wieczorem. Przez okienko stróżówki ochroniarz prosi chłopaka z kryminalnego, żeby wyłączył reflektory i zapalił oświetlenie w środku samochodu. Jednak chłopak nie rozumie tych instrukcji, widzi tylko człowieka, który wymachuje rękami, rozwierając i składając wyciągnięte palce, jakby naśladował kaczy dziób, facet nie podnosi szlabanu ani nie zamierza się pofatygować z jakimiś wyjaśnieniami, tylko czeka, aż chłopak zrobi to, czego odeń żąda. Jaime Brena rozumie te gesty i tłumaczy: Zgaś zewnętrzne światła i zapal lampkę w środku. Chłopak stosuje się do tych poleceń. Natomiast Jaime Brena, mimo że rozumie, o co chodzi strażnikowi, a może właśnie dlatego, że rozumie, to chociaż jest bardzo cierpliwym człowiekiem, poważnie się tym irytuje. Te instrukcje stanowią dla Breny przykład nadużycia władzy i kojarzą mu się z minionymi czasami. W czasie swojego małżeństwa wiele razy sprzeczał się z Iriną na temat tego, co uznawała za kolejny przykład jego niespójności i wewnętrznej sprzeczności: mieć tyle cierpliwości, a zarazem tak łatwo się irytować. Jeśli coś cię irytuje, to reaguj, a jeśli zamierzasz wykazać się cierpliwością, nie irytuj się, pouczała go żona. Kiedy ukąsi cię komar, skóra od razu robi się podrażniona, to nie ma żadnego związku z cierpliwością bądź z jej brakiem, odpowiadał, poza tym jeśli już cię ukąsił, co możesz zrobić prócz podrapania się? Jaime Brena zachowywał zatem cierpliwość wtedy, kiedy był żonaty, i zachowuje ją teraz, przed bramą wjazdową do La Maravillosey, bo wie, że utrata cierpliwości niewiele by dała, że cokolwiek zrobi, nijak to nie pomoże, a tylko opóźni ich wjazd. Acz nie zmienia to faktu, że jest rozdrażniony, jakby go pokłuła cała chmara komarów. Strażnik podchodzi do nich, pyta o nazwiska, numery dokumentów, numer rejestracyjny, model auta i kolor. Kolor? pyta chłopak z kryminalnego. Kolor, potwierdza strażnik. Zielony, odpowiada chłopak tonem zdradzającym znużenie głupim pytaniem. Ale jaki zielony? nie odpuszcza strażnik. Co proszę? nie rozumie chłopak. Zielony jaki? powtarza mężczyzna, przestawiając kolejność słów układających się w pytanie, jakby to miało pomóc w zrozumieniu go. No zielony, powtarza chłopak. Drugi strażnik, kręcący się w pobliżu z karabinem na ramieniu, podchodzi i jak ktoś, kto na hipodromie mimochodem podpowiada pewniaka w następnym wyścigu, rzuca: Zieleń tahiti. Zieleń tahiti, okej, dziękuje mu kolega, który rejestruje wjeżdżających, i wystukuje palcami na klawiaturze z pewnością to właśnie słowo: tahiti. Chłopak patrzy na swoich towarzyszy i mówi: Najgorsze jest to, że oni tak na serio. Nawet nie mów, odpowiada Jaime Brena. Strażnik prosi teraz chłopaka o dowód rejestracyjny, dokument tożsamości, ubezpieczenie auta, dowód opłaty ubezpieczenia, o otwarcie bagażnika, a potem maski. Chłopak robi, co każą, wykonuje polecenie strażnika jedno po drugim, lecz wyjaśnia: Wczoraj tędy wjeżdżałem z wizytą do tego samego domu, już mi zrobiliście zdjęcie i spisaliście wszystkie dane w tym waszym systemie prócz koloru... Tak, to jest nowa pozycja, pewnie koledze się zapomniało. A trzeba to wszystko spisywać jeszcze raz? dopytuje chłopak. Nie, normalnie by nie trzeba, tylko że system nam padł i musimy wpisywać wszystko ręcznie. Jaime Brena złości się jeszcze trochę bardziej. Karina Vives zaśmiewa się: Ci goście są niesamowici, to się nie może dziać naprawdę... Jak myślisz, czy ten facet nie zdaje sobie sprawy, że informacja, czy twoje auto ma kolor zieleń tahiti, czy zieleń mchu, na cholere mu się przyda? pyta Brena. Na ten genialny pomysł wpadli nie oni przecież, tylko ci, co im wydają instrukcje. Po każdym nowym napadzie w jakimś strzeżonym osiedlu dorzucają nowe zasady kontroli, które w żaden sposób nie mogą zapobiec kolejnemu niepożądanemu epizodowi, ale nikt nie ośmiela się tego zakwestionować. Odzywa się Karina: Moim zdaniem powinni wyjąć siedzenia z samochodu, tak jak przy kontroli policji antynarkotkowej, za-

glądać pod wycieraczki, sprawdzać gaśnicę, żeby się upewnić, czy nie jest wypełniona jakąś substancją nadającą się do domowej produkcji bomb, obszukać nas, czy nie mamy broni, sprawdzić mi torebkę, kazać przejść przez wykrywacz metali... Daj im tylko trochę czasu, wtrąca Jaime Brena, bardziej teraz zrezygnowany niż zirytowany, podczas gdy szlaban unosi się przed nimi, pozwalając im wreszcie wjechać do La Maravillosy.

Nurit Iscar w swoim domu, a raczej w domu, który zajmuje, poinformowana już, że Jaime Brena i chłopak z kryminalnego wjechali na teren, zadzwoniono bowiem do niej ze stróżówki, żeby autoryzowała wjazd gości – choć nie ma świadomości, że w samochodzie jedzie też Karina Vives – chesze się, lekko spryskuje perfumami, poprawia usta błyszcznikiem i czuje się głupio. Wraca do kuchni, gdzie urzędują jej przyjaciółki. Na którą zamówiłaś pizzę? pyta Paula Sibona. Na dziewiątą, ale trzeba było na wcześniej, nie? Nie, dziewiąta to w sam raz na kolację, stwierdza Carmen. A jak przyjadą głodni? Przygotować coś na przekąskę? pyta Nurit. Betibu, czy mi się zdaje, czy ty jesteś bardziej zdenerwowana niż przed spotkaniem z Lorenzem Rinaldim? pyta Paula. Zdaje ci się. Chrzęst opon na żwirze podjazdu ratuje ją przed dalszymi wyjaśnieniami. Nurit Iscar zmierza w stronę drzwi, żeby otworzyć gościom. Za sprawą ciemności nie widzi jeszcze, że razem z chłopakiem z kryminalnego i Jaimem Breną przyjechał ktoś, dopiero kiedy Brena otwiera tylne drzwi i z auta w kolorze, o czym wiedzą już teraz jego pasażerowie, zieleń tahiti wyłania się Karina Vives. Mam nadzieję, że to nie kłopot, przyjechaliśmy z koleżanką, Kariną, mówi Jaime Brena i dokonuje prezentacji. Nurit, przedstawia się Nurit, daje buziaka dziewczynie, a potem wita się z mężczyznami. I nigdy Nurit Iscar, Betibu, nie zrozumie, dlaczego od razu nie zaczęła podejrzewać, kim jest ta dziewczyna, już w chwili kiedy witała się z Kariną Vives albo prowadziła ich podjazdem do domu – domyślała się, że zważywszy na jej wiek, zaprosił ją raczej chłopak z kryminalnego niż Brena – i zda sobie sprawę z tego dopiero kilka godzin później, kiedy przyjaciółki powiedzą: Wiesz, kto to była ta wredna małpa? Bo nie przychodzi jej na razie do głowy, że ta kobieta, z którą idzie przez korytarz, to ta sama, która trzy lata temu pastwiła się nad jej powieścią *Tylko jeśli mnie kochasz* i tym samym wtrąciła ją do świata ghostwriterów. Prawdą jest, że nikt podczas prezentacji nie wymienił jej nazwiska, nikt nie wspomniał, że pracuje w dziale kultury, nikt nawet nie rzucił hasła „ona pracuje z nami”. Ale czyż nie istnieje kobieca intuicja? Odruchowa niechęć? Szósty zmysł? Wygląda na to, że nie, albo poruszenie tymi wszystkimi zgonami związanymi ze sprawą Chazarrety oraz obecność Jaimego Breny – najwyższy czas to przyznać – znieczuliły Nurit Iscar na inne sprawy. W każdym razie w tej chwili wchodzi do domu, rozmawiając z sympatyczną, uroczą dziewczyną, a następnie przedstawia ją przyjaciółkom: Paula, Carmen, przedstawiam wam Karinę. I wszyscy się witają, śmieją, rozsiadają się na fotelach w salonie i mówią sobie miłe rzeczy, jak gdyby, choć przecież niektórzy znają się bardzo słabo, wszyscy razem i każde z osobna wierzyli bez zastrzeżeń w prawdziwość znanego powiedzenia: przyjaciele moich przyjaciół są moimi przyjaciółmi.

Pierwsze, co robi chłopak z kryminalnego, to załatwia sprawę, o którą poprosił go Jaime Brena: idzie do pokoju Nurit i odszukuje na YouTube program telewizyjny o śmierci Chazarrety, parę dni temu powtórzony przez kanał należący do tej samej grupy co *El Tribuno*. Dokonuje tego bez trudu, drukuje także zdjęcie pojawiające się pod koniec materiału między różnymi innymi kadrami, zdjęcie, które jak Brena podejrzewa, jest fotografią zaginioną z ramki. Choć niska rozdzielczość obrazu go irytuje, wydaje się bardzo prawdopodobne, że to jest to zdjęcie, a twarze mężczyzn, choć mają mniej pikseli, niżby sobie można życzyć, widać dość wyraźnie. Schodzi, pokazuje Jaimemu Brenie, który potwierdza: Tak, to to, wielkie dzięki.

Chwilę później, kiedy już rozsiedli się w salonie, Jaime Brena wyciąga z kieszeni notatnik i zdjęcie, które właśnie dał mu chłopak z kryminalnego, odnajduje stronę z ostatnimi zapiskami i kiwa na Nurit Iscar, żeby podeszła. Nurit podchodzi, bierze kartkę z wydrukowanym zdjęciem, normalną kartkę papieru

z drukarki, i przygląda się po kolei wszystkim mężczyznom. Patrzy na każdego raz i drugi, na każdą twarz po kolei. Ujęcie pełne pozowanych uśmiechów, wszyscy takie mają prócz Gandolfiniego, on ma trochę inną minę, twardszą, jakby mówił do tego, kto robił zdjęcie, nawet nie tyle mówił, ile dawał instrukcje i krytykował. Nurit i Jaime Brena wymieniają kilka uwag, chłopak z kryminalnego z zainteresowaniem przysłuchuje się ich rozmowie. Reszta też, ale na pewien dystans, nie wiedząc jeszcze, czy im wypada, czy nie. Jaime Brena zauważa to i zwraca się do wszystkich: Jeśli ciekawią was dziwaczne rozważania, jakim się oddajemy, proszę się przyłączyć. I wszyscy się przyłączają. Brena streszcza przebieg rozmowy z bratem Gandolfiniego, nie szczędząc pochwał dla chłopaka z kryminalnego i jego internetowych zdolności, dzięki którym go namierzyli. Potem zakłada okulary i czyta na głos to, co uważa za najważniejsze: swoje zestawienie zmarłych i przyczyn ich śmierci. Nurit Iscar odkłada zdjęcie na stolik i wodzi oczami za tekstem czytany przez Jaimego Brenę. Chłopak z kryminalnego sprawdza zasięg na smartfonie, ale żeby go złapać, musi podejść bliżej drzwi dzielących salon od kuchni. Nie wie, dlaczego tak się przejmuje tym zasięgiem, lecz szuka go. Kiedy Brena kończy czytać zestawienie, Carmen Terrada, z ostrożnością typową dla kogoś, kto wie, że będzie się wypowiadać w sprawie, która go nijak nie dotyczy, mówi: Jeśli mogę coś powiedzieć, choć to niezbyt stosowne, dla mnie to brzmi jak śmierć w karnawale. Jaime Brena przytakuje. A co to znaczy „śmierć w karnawale”? pyta chłopak z kryminalnego, choć pytanie to mógłby zadać każdy, bo prócz Jaimego Breny i Carmen nikt nie wie, o czym ona mówi. Carmen tłumaczy: Teraz sprawy są bardziej pod kontrolą, niemniej przed laty podczas karnawału w Rio de Janeiro ginęło całkiem sporo osób w wyniku bijatyk uznawanych za naturalną konsekwencję alkoholu, zabawy, braku hamulców. Te zgony uznawano za normalny koszt karnawału, za bardzo tego nie badano, było wiele ofiar i mało tropów, przez co zabójcy, którzy chcieli się z kimś rozprawić z takiej czy innej przyczyny, czekali na karnawał, żeby ich zabójstwo zapisano na konto ofiar bożka Momosa i przeszło niezauważone albo prawie niezauważone. No i jak tak słucham tego, o czym mówicie, skojarzyło mi się z tym właśnie, z ofiarami karnawału. Nie bardzo to umiem wytłumaczyć, to raczej przecucie, kończy Carmen. Jaime Brena, który przysłuchiwał się jej bardzo uważnie, przytakuje. On też uważa, że ktoś tu próbuje coś zakamufłować, że jest to ktoś dużo inteligentniejszy od nich wszystkich, że ten ktoś jakimś sposobem pociąga za sznurki w tych przypadkach zgonów. Oraz w przypadkach jeszcze niejasnych. Mimo że sytuacja jest skomplikowana, nie uważa, żeby te wypadki rzeczywiście były wypadkami. Prosi chłopaka z kryminalnego, by poszukał więcej informacji o ostatniej ofierze, Marcosie Mirandzie, o tym, którego właśnie zamordowano parę godzin temu, tego wieczora, w strzelaninie w Stanach Zjednoczonych. Czy wszystkie te przypadki to takie karnawałowe zgony? Może tylko niektóre? A może któryś nie? Co może łączyć wypadek narciarski, śmiertelną kraksę samochodową, podejrzenie gardła i atak z bronią w rękę? mówi głośno Jaime Brena, dzieląc się z grupą tym, co nurtuje go od paru godzin. Jaki jest tu schemat, jaka stała powtarza się w każdym z tych przypadków? zastanawia się. Chłopak mówi, że to mu się wydaje dziwne, ale na stronach agencji informacyjnych nie znajduje żadnych doniesień na temat strzelaniny w New Jersey. Karina Vives zapomniała na chwilę o swojej ciąży i klęcząc przed małym stolikiem, przygląda się teraz fotografii z mężczyznami z paczki zwanej Daczą. Nurit Iscar wciąż wpatruje się w notatnik Jaimego Breny. Przesuwa palcem, niczym wskaźnikiem, od ofiary do przyczyny śmierci. Sprawia wrażenie, jakby odłączyła się od reszty grupy, jakby nie słuchała już tego, co mówią pozostali, tylko intensywnie rozmyślała. Czyta raz za razem przyczynę śmierci i nazwisko ofiary, z lewej do prawej i z prawej do lewej, z góry na dół i z dołu do góry. Aż w końcu, jakby doznała olśnienia, przerywa rozmowę, której nie słuchała, i mówi: Każdy z nich umarł tak, jak powinien był umrzeć. Co masz na myśli? pyta chłopak z kryminalnego. Że umarli tak, jak się można było po nich spodziewać, mówi Nurit Iscar, potem wstaje i jakby prowadziła wykład na uniwersytecie, przechadza się po salonie i tłumaczy, wskazując jednocześnie każdego z mężczyzn na zdjęciu, które wyjęła z rąk Kariny Vives gestem nie tyle władczym, ile raczej impulsywnym i pełnym za-

pału: Ten, który prowadził jak wariat i wszyscy sądzili, że pewnego dnia wpadnie na słupek, zginął w wypadku samochodowym; narciarz ryzykant zginął na nartach; ten, co wyjechał do Stanów, zmarł tak, jak można zasadniczo umrzeć w Stanach: zastrzelony przez szaleńca. I Chazarreta, którego tak wielu uznawało za zabójcę żony, umarł tak jak ona, tak jak powinien był umrzeć, jak można się było spodziewać. Każdy miał taką śmierć, jaką powinien mieć, konkluduje Nurit. Ale to nie przeznaczenie ani karma, ani przypadek, ani klątwa, ani nawet urok, o którym mówiła Gladys Varela, wyjaśnia Jaime Brena, a Nurit przytakuje bez słowa. Kto to jest Gladys Varela? pyta Karina Vives, lecz nikt jej nie odpowiada. Czyli co? pyta Paula Sibona. Zabójstwa na zlecenie, oświadcza Jaime Brena bez sekundy wahania. Ktoś chciał śmierci tych wszystkich osób i zatrudnił ludzi, którzy to dla niego załatwili. Taki był schemat. Tak jest naprawdę? pyta Carmen. Rzeczywiście tak łatwo znaleźć kogoś, kto przyjmie zlecenie zabójstwa? Ja myślałam, że to taka miejska legenda. Nie wiem, czy łatwo, jednak legenda to nie jest, płatni zabójcy istnieją, stwierdza chłopak z kryminalnego. Tak to mniej więcej wygląda, odpowiada Jaime Brena, a potem ciągnie: Takie „poważne” w cudzysłowie zlecenie, solidne, wykonane przez zawodowców, może kosztować jakieś trzy do pięciu tysięcy dolarów, ale można znaleźć dziś typów, co zlikwidują wskazanego delikwenta za trzysta pesos. Gdybym wcześniej wiedziała, wzdycha Paula Sibona i puszcza oko do Carmen Terrady, której jednak ten żart nie bawi. To musiało zleceniodawcę sporo kosztować, ciągnie Brena, czegoś takiego nie załatwi jedna osoba, tylko cała firma, seria zabójstw taka jak ta wymaga poważnej logistyki, informacji, sporego zasięgu, nawet scenariusza. Do tego trzeba prawdziwej firmy. Pisałam kiedyś artykuł o podobnej sprawie, odzywa się Karina Vives – A, to ty też jesteś dziennikarką? pyta Paula Sibona, dotąd sprawiająca wrażenie, że najmniej uważnie słucha rozmowy. Tak, odpowiada Karina – pisałam o firmie zajmującej się organizowaniem fałszywych kursów i kongresów dla facetów i kobiet zdradzających swoich współmałżonków. Delikwenci oznajmiali, że jadą gdzieś w świat na kongres, i przygotowywano im fałszywe foldery, teczki z papierami, wejściówki, spreparowane zdjęcia, dyplomy i tak dalej, wszystko tak, że mucha nie siada. Ludzie są zdolni do wszystkiego, stwierdza Paula Sibona. Racja, przytakuje Karina. To jest trochę podobne, prawda? Taka organizacja, która przygotowuje fałszywą wersję zdarzeń, tyle że nie o maskowanie niewierności tu chodzi, tylko czegoś innego. Kilku zgonów, mówi Jaime Brena, no i nie tylko je maskuje, ale także wykonuje, zabija, prawdziwie zawodowa robota w najgorszym znaczeniu tego słowa. I Brena mógłby tak dalej mówić i objaśniać, lecz zdaje sobie sprawę, że trzy kobiety, które dołączyły do grupy roboczej, skupiły się na firmie dla niewiernych mężów i żon i omawiają ten temat szeptem, nie zwracając specjalnej uwagi na to, co on im objaśnia. Po drugiej stronie salonu rozmowa ta nabiera coraz większego wigoru. Jaime Brena, chłopak z kryminalnego i Nurit Iscar nie podzielają tego zainteresowania. Martwią się. Bardzo się martwią. Odsuwają się trochę na bok, żeby móc spokojnie pogadać, nie strasząc reszty. Teraz już tak, teraz uważam, że trzeba porozmawiać z policją, stwierdza chłopak z kryminalnego. Owszem, zgadza się Jaime Brena. Nurit potakuje, jej umysł jednak wciąż pracuje na wysokich obrotach: Kto mógłby wynająć firmę płatnych morderców i po co? Najwyraźniej ktoś, kto ma dużo pieniędzy, odpowiada Brena. A ona mówi dalej: To jasne, ktoś, kto ma dużo kasy, tylko co zrobili ci faceci, że komuś chce się wkładać tyle energii i pieniędzy, żeby zaplanować ich śmierć i zlikwidować ich w tak wyrafinowany sposób? To dwie rzeczy, które musimy teraz wyjaśnić, stwierdza Jaime Brena, kto i dlaczego. Ale bez wątplenia policję zawiadomić trzeba.

Rozlega się dzwonek u drzwi i przerywa im rozmowę. To pizza? zastanawia się Nurit, dziwne, że ochrona nie uprzedziła. Ciekawe, kto będzie w stanie coś teraz przełknąć, ja w każdym razie mam gułę w żołądku, mówi, idąc do drzwi. Jednak kiedy otwiera, zdaje sobie sprawę, że po drugiej stronie stoi nie facet z pizzą, tylko ten sam strażnik, który podwiózł ją dziś rano do kiosku. Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, mówi. Nie, nic nie szkodzi, coś się stało? pyta Nurit. Ja... nie wiem, czy powinienem tu przychodzić, ale... No o co chodzi? nalega Nurit. Pan Collazo, pamięta pani, że rozmawialiśmy o tym, jaki

jest nerwowy? Tak, odpowiada Nurit i przeczuwa, co teraz nastąpi. Jaime Brena i chłopak z kryminalnego, którzy już się zorientowali, że strażnik zaraz powie coś bardzo ważnego, podchodzą do drzwi. Kolega zawiadomił mnie chwilę temu, że pan Collazo się zabił... a ja niedawno go widziałem. Nurit czuje się, jakby ją ktoś rąbnął w klatkę piersiową. Jak umarł? pyta Brena. Powiesił się na drzewie, wciąż tam wisi, przed domem, nie wolno go ściągnąć, trzeba czekać na przyjazd prokuratora. Nurit opiera się na ramieniu Jaimego Breny, który ją przytrzymuje i zarazem łapie jej dłoń i ściska. Chłopak z kryminalnego pociera twarz, jakby chciał się obudzić z dręczącego go koszmaru. Niech pani nie mówi moim przełożonym, że panią uprzedziłem, prosi strażnik, oni nie lubią, jak ktoś puszcza parę... ale musiałem pani powiedzieć, jestem w szoku, co tu się wyprawia, niech pani sama powie... Musiałem pani powiedzieć, przepraszam. Bardzo dobrze pan zrobił, mówi Nurit, dobrze pan zrobił, że tu przyszedł, i proszę się nie martwić, nikomu nie powiem, skąd się o tym dowiedziałam. Był taki podenerwowany, powtarzał strażnik, pewnie przeczuwał, nie? Nurit Iscar próbuje coś powiedzieć, lecz załamuje jej się głos. Jaime Brena dostrzega to i chce jej pomóc, żeby nie musiała udzielać odpowiedzi, na którą czeka strażnik. Dlatego on wypowiada słowa, które ona by powiedziała, gdyby nie ścisnęło jej się gardło, słowa, które brzmią wprawdzie jak potwierdzenie, ale tak naprawdę kryją w sobie intencję odmienną od tego, czego spodziewać by się mógł stojący przed nimi mężczyzna: Tak, przeczuwał, Collazo też umarł tak, jak powinien był umrzeć.

Jaime Brena i Nurit Iscar zbierają się do wyjścia do domu Collaza, przed którym jego ciało wciąż zwisa z gałęzi. Chłopak z kryminalnego, który w pierwszym odruchu zamierzał iść z nimi, zgadza się ostatecznie z Breną, że lepiej byłoby, gdyby został i poszukał informacji pozwalających namierzyć ostatniego żyjącego: Vicente Gardeu. W każdym razie liczą, że Gardeu udało się dotąd przeżyć. Nurit Iscar sugeruje, by skorzystał z jej komputera w pokoju, ma tam większy ekran oraz klawiaturę, od której może nie dostanie zwyrodnienia stawów palców, czym ewidentnie grozi korzystanie z maleńkiego smartfona. Karina Vives, Paula Sibona i Carmen Terrada zostają w domu i czekają na wieści i pizzę. Dlatego kiedy Nurit i Jaime Brena idą przez ciemną bezksiężycową noc – mieszkańcy La Maravillosy na ostatnim zebraniu odrzucili w głosowaniu projekt lepszego oświetlenia ulic, żeby zachować naturalny klimat tego miejsca, „inaczej moglibyśmy równie dobrze mieszkać w Buenos Aires”, podobno tak krzyknął jeden z mieszkańców i dostał od wszystkich oklaski – chłopak z kryminalnego siedzi w pokoju Nurit i stuka na klawiszach „Vicente Gardeu” w Google’u, a przyjaciółki Nurit gawędzą z Kariną Vives w kuchni, czekając na dostawcę pizzy, którego strażnicy już zapowiedzieli. Może włączymy piekarnik, żeby nie wystygły do ich powrotu, co? mówi Paula. Nie sądzę, żeby mieli wielki apetyt na pizzę, ale racja, zimne będą gorsze, zgadza się Carmen. I potem pyta Kariny Vives: Czyli ty też jesteś dziennikarką? Tak, odpowiada. I gdzie pracujesz? W *El Tribuno*, razem z nimi. A, czyli znacie się z pracy, pracujecie razem. Tak, i nawet dość blisko, mamy biurka w niewielkiej odległości. Od niedawna jesteś w redakcji? pyta Paula Sibona. Nie, odpowiada Karina i śmieje się, już od zbyt dawna, osiem lat. To ile masz lat? Trzydzieści pięć. Wyglądasz na znacznie mniej. Dzięki. Czyli jesteś tam od bardzo dawna. Tak. A w jakim dziale pracujesz, zawsze zajmujesz się niewiernymi kobietami i mężczyznami? Nie, na szczęście nie, to było na samym początku, używali mnie jako zapchajdziury i musiałam pisać o czymkolwiek, potem przeszłam do Spektakli, a od paru lat jestem w Kulturze. Carmen pierwszej włącza się alarm, powtarza wtedy jakby dla pewności: Pracujesz w Kulturze w *El Tribuno*. I zaraz pyta: W samej gazecie czy w dodatku kulturalnym? W obu, odpowiada dziewczyna. I na imię masz Karina. Tak, potwierdza znów, teraz już lekko zaskoczona tymi wszystkimi pytaniami, lecz przede wszystkim tonem, jakim Carmen je zadaje. Pracuje w dziale kultury w *El Tribuno* i nazywa się Karina, mówi Carmen do Pauli z ukrytą intencją, którą przyjaciółka od razu wychwytuje. A powiedz mi, kochana, jak brzmi twoje nazwisko? pyta Paula. Karina Vives, odpowiada dziewczyna. No nie wierzę, mówi Paula. Karina Vives, powtarza Carmen z miną „przeczuwałam to”. A powiedz mi, Karina, czy ty wiesz, u kogo teraz jesteś? pyta Paula. No tak... odpowiada dziewczyna, nie rozumiejąc, do czego zmierzają te pytania. No to u kogo? nalega Carmen. O co wam chodzi, to jakiś żart? W domu Nurit Iscar, odpowiada. I nie jest ci trochę głupio tu być? Jak to: głupio? No głupio, wstyd, czy nie masz, powiedzmy, wyrzutów sumienia, nie czujesz się trochę jak mała? doprecyzowuje Paula Sibona. Karina czuje się niezręcznie, nie rozumie, czy ta absurdalna rozmowa jest jakimś żartem, nieporozumieniem czy co, próbuje znaleźć wytłumaczenie dla tej nagłej agresji, z jaką odnoszą się do niej przyjaciółki Nurit Iscar. Ale czy to... ja nie mam nic wspólnego ani z Jaimem Breną, ani z chłopakiem z kryminalnego... Nie, nie, kochana, nie o to biega, to nie ma nic wspólnego z facetami. Karinie Vives nie przychodzi do głowy recenzja sprzed trzech lat, która oznaczała dla niej coś zupełnie innego niż dla Nurit Iscar i jej przyjaciółek. Recenzja, którą z innych powodów starała się wymazać z pamięci, do dziś skutecznie. Paula Sibona przypomina jej: Napisałaś recenzję książki, w której zmasakrowałaś Nurit, i przychodzisz tu sobie jakby nigdy nic? Teraz napisałam? Jakiejś nowej książki? Nie, nie nowej, trzy lata temu, taką masz

słabą pamięć? Pozwól, że ci pomogę: recenzja powieści *Tylko jeśli mnie kochasz*. A, racja, ta recenzja, tylko przecież to było trzy lata temu, mówi Karina, która dopiero teraz zrozumiała, o czym mowa. Nie masz nic do dodania? naciera Paula. Posłuchajcie, to dla mnie bardzo niezręczna sytuacja, tę recenzję mi zlecono, napisałam ją, dotyczyła książki, a nie osoby, to było moje pierwsze zlecenie w dziale kulturalnym, a poza tym wtedy nie znałam Nurit Iscar. Że co? Znaczy, gdybyś ją znała, napisałabyś inną recenzję? Tak to u was działa? pyta Carmen. Wolę o tym nie rozmawiać, są pewne sprawy związane z moją pracą, o których nie zamierzam dyskutować prywatnie; to była recenzja i tyle, jedna recenzja nie zmieni niczyjego życia. Otóż życie Nurit Iscar zmieniła, oświadcza Paula stanowczo. To nie mogła być recenzja, tylko coś innego, czy naprawdę opinia jednej osoby na temat książki może wpłynąć na życie autorki? broni się Karina Vives. No cóż, na każdego ma wpływ coś innego, a może ciebie nic nie jest w stanie poruszyć? pyta Carmen i ciągnie: Może ciebie nie rusza, jak ktoś krytykuje twoją pracę, nie szanuje czasu i wysiłku, które w nią włożyłaś, ale coś przecież cię dotyka, coś sprawia, że płaczesz, a może ty nigdy nie płaczesz, co? Karina Vives wytrzymuje ich spojrzenia przez kilka sekund z zaciśniętymi zębami, oddech ma przyspieszony, oczy zaczerwienione z irytacji, po czym bez zapowiedzi wybucha głośnym płaczem. Ej, no, zwolnij, nie ma też co przesadzać, przecież spokojnie z tobą rozmawiamy, mówimy ci to, co trzeba powiedzieć, ale grzecznie, nie? mówi Paula i patrzy na Carmen. Bardzo grzecznie, zgadza się Carmen. Jeśli zamierzasz nas wprawić w zakłopotanie... Nie płaczę z tego powodu! Nie płaczę przez was ani przez Nurit Iscar, ani przez tę pieprzoną recenzję, płaczę, bo jestem w ciąży! Teraz Paula Sibona i Carmen Terrada milkną zaskoczone. Czy to nie jest poważniejsza sprawa niż jakaś egzegeza literacka? Paula i Carmen wymieniają spojrzenia i patrzą na Karinę. Karina Vives z trudem łapie oddech, dławi się własnym szlochem. I nie wiem, czy je chcę, czy nie, mamrocze. Tak, zgadza się Carmen, to jest problem. Paula Sibona napełnia szklankę wodą i podaje Karinie. Masz, kochana, i zacznijmy wszystko od początku. Co to jest egzegeza?

W chwili gdy Paula Sibona podaje Karinie Vives szklankę wody, chłopak z kryminalnego odkrywa, że Vicente Gardeu jest założycielem zakonu, który sprowadził kolegium San Jerónimo Mártir do Argentyny, i że jeśli jeszcze żyje, ma w tym momencie 109 lat. Ktoś nazywał się tak samo? Ponawia poszukiwania, lecz wszystkie wyniki prowadzą go do tego samego Vicente Gardeu. Wiele wpisów odnosi się do wytoczonych mu procesów o pedofilię i molestowanie. Zagłębia się w jeden z nich: ponad piętnastu seminarzystów, którzy przeszli przez jego zakon, twierdziło, że byli ofiarami molestowania za strony Gardeu. Ale są tacy, co go bronią. Przeczytać można deklaracje rodziców, którzy zapisują swoje dzieci do szkół należących do zakonu i twierdzą, że nie przejmują się tym, co zaszło w przeszłości, bo „osiągnięcia tej instytucji przysyłają osobiste życie założyciela”. Zdecydowanie Jaime Brena źle usłyszał, Vicente Gardeu nie jest szóstym kumplem. Nie może nim być. Chłopak z kryminalnego ponownie sprawdza agencje pod kątem doniesień o strzelaninie w New Jersey. Teraz tak, wszędzie pojawia się z grubsza ta sama informacja po angielsku, którą tłumaczy w myślach w miarę czytania: Dziś, ledwie kilka minut po trzeciej po południu, niezidentyfikowany sprawca ostrzelał z dachu budynku parking centrum handlowego Wal-Mart w New Jersey, w wyniku czego jedna osoba zmarła, a trzy odniosły niegroźne rany. Policja stara się ustalić, skąd oddano strzały. Ofiarą jest mężczyzna na kierowniczym stanowisku w dużej firmie, Argentyńczyk liczący sześćdziesiąt lat, mieszkający w Stanach od kilku dekad. Chłopak z kryminalnego drukuje trzy strony z różnych dzienników online z tą informacją, bo wie, że Jaime Brena, jak już będzie mógł, będzie chciał przeczytać je na papierze. Stara się wydrukować co najmniej jeden tekst po hiszpańsku i ma wrażenie, że zaczyna rozumieć Jaimego Brenę coraz lepiej.

Kiedy drukarka wypluwa trzecią kartkę o strzelaninie w New Jersey, Nurit Iscar i Jaime Brena docierają przed dom Luisa Collaza. Wiedzą, że dużo dalej nie zajdą, że nie pozwolą im się zbliżyć do ciała wiszącego gdzieś tam w mroku na gałęzi dębu. Radiowóz policji miejskiej i samochód szefa ochrony La

Maravillosy zastawiają oba wejścia do domu, a pracownicy miejscowej ochrony nie pozwalają się nikomu zbliżyć na mniej niż parę metrów. Jakaś kobieta płacze wtulona w młodego mężczyznę, liczącego trochę poniżej trzydziestki. Jaime Brena podchodzi do jednego z ochroniarzy i pokazując na tamtą parę, pyta: Kto to? Żona Collaza i syn, odpowiada ochroniarz. Fatalnie to muszą znosić, nie? stwierdza Brena. A pan jak by się czuł, gdyby panu mąż i ojciec się powiesił na drzewie? odpowiada strażnik nieuprzejmie i oddala się, żeby zamienić parę słów ze swoim przełożonym, nie przejmując się Jaimem Breną, który mógłby przecież chcieć coś odpowiedzieć. Brena jednak nie przejmuje się tym afrontem, wie, że zadał głupie pytanie, z tym że zadał je celowo, zdobył potrzebną mu informację: policja nie ma wątpliwości, że to samobójstwo, że Collazo sam się powiesił na drzewie. Mówi o tym Nurit, która drży nie tyle z zimna, ile z poruszenia, w jakie wprawia ją ta sprawa. A on, Jaime Brena, choć wie, że ten dygot nie bierze się z chłodu, ściąga sweter i narzuca jej, Nurit Iscar, na ramiona. Proszę, Betibu. Dzięki, odpowiada Nurit i próbuje się uśmiechnąć, co ledwie jej wychodzi. Strażnik, który parę minut wcześniej przekazał im wiadomość o śmierci Collaza, podjeżdża meleksem. Z odległości pozdrawia Nurit skinieniem głowy, ledwie dostrzegalnie, jakby nie chciał, żeby ktoś się zorientował, że ją wita. Ona odpowiada mu równie dyskretnie. Jaime Brena przygląda się temu wszystkiemu, gładzi się palcami po podbródku, niemal go ściska. Musimy zobaczyć ciało z bliska, stwierdza w końcu. Nie puszczą nas dalej, odpowiada Nurit. Nas nie, mówi Jaime Brena, ale jego owszem, i wskazuje na strażnika. Odważysz się go poprosić, żeby zrobił zdjęcie twoim telefonem? Będzie skłonny raczej spełnić twoją prośbę niż moją. Nie sądzę, żeby przy tak marnym świetle zdjęcie z komórki na wiele nam się zdało. Prawda, może nie zobaczymy tego, co chciałbym zobaczyć, masz rację, najlepiej od razu mu powiedz, żeby zwrócił uwagę na dwie rzeczy: gdzie jest węzeł pętli, którą rzekomo zawiązał sobie Collazo, i jaki kolor ma jego twarz. Mówiąc ściślej, musimy się dowiedzieć, w jakim miejscu przy szyi znajduje się ten węzeł, czy z przodu, czy za karkiem, czy z boku, oraz czy twarz Collaza jest blada, czy sina. Okej, przekażę mu to tak, jak mówisz, a potem mi wyjaśnisz, dlaczego go proszę o to, o co proszę; teraz nie wytrzymałabym wykładu o śladach na szyi wisielca. Oczywiście, potem ci wszystko wyjaśnię. Nurit Iscar podchodzi do strażnika z pewnymi oporami, dopiero kiedy on ją zauważa i daje znak, że wszystko w porządku, śmieje się do niego zbliża. Wita się z nim i przekazuje prośby Jaimego Breny. Strażnik się zgadza i rusza w stronę dębu. Nurit Iscar wraca do Jaimego Breny. Po raz drugi, odkąd się poznali, Brena widzi gest Nurit pocierania rąk, jakby jej było zimno. Jak ci chłodno, możesz włożyć ten sweter. Nie, nie trzeba, tak na plecach jest w porządku. Nigdy nie myślałem, że te zabójstwa będą rozgrywać się tak blisko nas, stwierdza Brena; w dziennikarstwie kryminalnym człowiek zawsze zjawia się po fakcie, później, depczemy śmierci po piętach. No i zabójcy. Tym razem jest inaczej. Tak, jest inaczej, zgadza się Nurit, musimy znaleźć jedyne ocalałego choćby po to, by poczuć, że możemy mieć na coś wpływ. Czy przynajmniej ten ostatni raz zdążymy na czas? Kiedy wrócimy do ciebie, zadzwonię do komisarza Venturiniego, mówi Brena, nie możemy brać na siebie jeszcze jednego trupa. Oby Collazo okazał się jednak samobójcą, obyśmy się mylili, wzdycha Nurit. Oby, choć szczerze wątpię, odpowiada Brena. Strażnik, który poszedł obejrzeć wiszące na gałęzi ciało Collaza, wraca i podchodzi do nich. Supeł jest z boku, pod lewym uchem, mówi, a twarz biała jak śnieg. Nawet bielsza. Dzięki, odpowiada Brena i nie zadaje żadnego więcej pytania, nie musi. Kiedy strażnik się oddala, Jaime Brena zwraca się do Nurit: Dobra, wracamy do ciebie, nie mamy czego tu szukać, został zamordowany. Skąd ta pewność? Jesteś już gotowa na opowieść o objawach u powieszonych? Nie, gotowa nie, ale konam z ciekawości i to jest silniejsze. Wówczas Brena wyjaśnia: Wisielcy bywają bladzi albo sini, bladzi to ci, którzy udusili się symetrycznie, to znaczy obie tętnice i żyły szyjne zostały zaciśnięte równocześnie, tłumaczy, pokazując na swoje gardło. Obieg krwi zostaje przerwany i następuje niedotlenienie mózgu i bladość twarzy. Żeby doszło do takiego symetrycznego uduszenia, węzeł musi być zawiązany za karkiem albo pod brodą. Nurit robi się trochę słabo, Jaime Brena, podekscytowany swoim

wykładem, nie zauważa tego. Jeśli węzeł znajduje się pod kątem zuchwy albo pod uchem, nacisk jest asymetryczny, tłumaczy dalej, krążenie zostaje zablokowane nie w obu tętnicach szyjnych, ale tylko w tej, przy której jest pętla, a w tej obok supła nie. Idziemy? pyta Nurit i bierze go pod rękę. Tak jest, odpowiada i ruszają razem. Brena jednak nie przestaje mówić: Tam gdzie jest supeł, nacisk jest mniejszy, toteż krew dociera do głowy, lecz nie może wrócić do serca, tworzy się zator i twarz sinieje. Jaime Brena i Nurit Iscar idą powoli, tyłem do martwego ciała wiszącego na gałęzi. Gdyby Collazo był siny, moglibyśmy wątpić. Ale twarz Collaza jest blada, a supeł pod gardłem, to nie jest możliwe. Nurit znów przebiega dreszcz. Tym razem Jaime Brena to zauważa. Patrzy na nią: tak, Nurit Iscar dygocze. Wtedy otacza ją ramieniem, łapie za bark i przyciąga do siebie. Tak, tymi słowami Nurit woli to nazywać: że otacza ją ramieniem, łapie za bark i przyciąga do siebie. Tak by to opisała, gdyby to była jej powieść. Bo gdyby napisała: „Jaime Brena mnie obejmuje” albo „Jaime Brena ją obejmuje”, to osoba obejmowana, czyli Betibu, zadrżałaby jeszcze raz. Tym bardziej gdyby napisała: „Wreszcie po trzech latach jakiś mężczyzna ją obejmuje”.

Ona, Nurit Iscar, czegoś takiego nie zrobiłaby żadnej ze swoich postaci.

Nadjedzone kawałki pizzy stygną na talerzach. Nurit Iscar nie dość, że nie ma apetytu, to jeszcze siedzi w milczeniu, choć przyjaciółki starają się poprawić jej nastrój. Ale nieboszczyk wiszący na drzewie to nie jest obraz, który znika bez śladu. Tym bardziej jeśli się znało tego wisielca, rozmawiało z nim, nawet kłóciło. Tym bardziej jeśli człowiek wybrażał sobie, że coś takiego może nastąpić. Tym bardziej jeśli nie wierzy się, że ten ktoś powiesił się z własnej woli, tylko został do tego zmuszony. Albo nawet zamordowany, a potem powieszony. Pisać o śmierci to jedno, a zobaczyć ją to co innego. Paula Sibona podaje jej koc, który przeszukawszy cały dom, nikomu z obecnych nieznany, znalazła w pawlaczu na korytarzu na piętrze. Karina Vives wciąż ma zaczerwienione od płaczu oczy, lecz wobec tych wszystkich zgonów nikt nie zwraca na to uwagi. Chłopak z kryminalnego podaje Brenie wydrukowane przed chwilą kartki z informacją o śmierci kolegi Chazarrety w New Jersey; czeka, aż Brena założy okulary i przeczyta, a kiedy kończy, tłumaczy mu strony wydrukowane po angielsku, pomijając nieistotne kawałki. Wówczas Jaime Brena dzwoni do komisarza Venturinię, który nie odbiera. Zostawia mu wiadomość: Komisarzu, tu Brena, proszę do mnie pilnie zadzwonić w sprawie śmierci Collaza, nie wiem, czy pan jest na bieżąco. Jest już prawie północ, niedziela, wszyscy patrzą po sobie, nie wiedząc, co robić ani w którą stronę zmierzać. Nikt nie odważa się niczego zaproponować: dać spokój do jutra, zapisać świeżo uzyskane informacje, żeby nie zapomnieć o niczym istotnym, ponowić próbę rozmowy z komisarzem Venturiniem, określić, jakie informacje mają pojawić się w artykule w dziale kryminalnym *El Tribuno*, a jakie nie. Ciężko, nikt nic nie mówi. Wtedy Paula Sibona, korzystając z mechanizmu luźnych skojarzeń, który tyle razy objaśniała na zajęciach z teatru swoim uczniom, szkoląc ich w sztuce improwizacji, pyta: Słuchajcie, a nie ma tu nikt skręta? Carmen Terrada jest zaskoczona bezpośredniością pytania koleżanki. Nurit Iscar rzuca Pauli surowe spojrzenie, Paula je wyłapuje, ale nie daje się zastraszyć. Karina Vives myślami jest gdzie indziej i nie usłyszała, o czym toczy się rozmowa; w przeciwnym razie chętnie oddałaby skręta, którego nosi w torebce i którego nie zapaliła, odkąd się dowiedziała, że jest w ciąży. Jaime Brena uśmiecha się i kwituje: Ech, gdybym tak miał. Słyszając to, Paula patrzy na Nurit bardziej rozluźniona, puszcza do niej oko i robi szczególną minę, jakby uśmiecha się krzywo, co oznacza między przyjaciółkami coś w rodzaju: „Widzisz, że tak źle nie wypadłam?”. Chłopak z kryminalnego wstaje i mówi: Jeśli się nie mylę, mam drobny zapasik w schowku w samochodzie. I wychodzi.

Oczekiwanie na skręta jeszcze bardziej przedłuża tę scenę. Nurit Iscar kapituluje: wie, że za kilka minut wszyscy w jej domu będą palić trawkę. I nie chodzi o to, że ma z tym jakiś problem. Tak naprawdę czuje zazdrość. Oni będą się świetnie bawić, śmiać, odprężą się, będą dyskutować o drobiazgach, jakby to były bardzo poważne rzeczy, znajdą fundamentalne odpowiedzi na banalne pytania albo banalne odpowiedzi na fundamentalne pytania, rozwiążą problemy, nad którymi nigdy się nie zastanawiali, będą patrzeć na siebie z wielką sympatią, a tymczasem ona, Nurit Iscar, przekona się kolejny raz, że marihuana nie ma na nią żadnego wpływu. I kolejny raz marihuana nie zadziałała na nią w żaden sposób, nie licząc szczypania w gardle, kaszlu i rozczarowania. Coś takiego, jakby nie mogła śmiać się z żartu, który wszystkich bawi, albo jakby nie mogła się wzruszyć wierszem, który ci, co się znają, określają mianem „kultowego”, albo jakby – po dłuższych staraniach – nie była w stanie dojść do orgazmu. Chłopak z kryminalnego wchodzi do domu, bawiąc się skrętem trzymanym między palcem wskazującym, środkowym i kciukiem. Macie ogień? pyta. I Brena podaje mu zapalniczkę. Chłopak zapala i zaciąga się pierwszy raz, tak żeby zar porządnie się zaczerwienił. Potem podaje skręta w prawo. Paula Sibona pali z przyjemno-

ścią, chętnie, jakby miała na to ochotę od dawna. Botak rzeczywiście jest. Carmen Terrada zaciąga się krótko, tłumacząc się: Ja odrobinę, bo inaczej oka nie zmrużę albo mi odbije. Brena przyjmuje skręta niemal z takim samym zadowoleniem jak Paula Sibona, choć pali inaczej, spokojniej; dla niego palenie to czynność codzienna, pali zawsze wieczorem, relaksuje się i potem zasypia. Nie śpieszy się: przytyka palce trzymające skręta do warg i zaciąga się, przymykając oczy. Ta czynność sprawia mu przyjemność. Przytrzymuje w ustach dym, wypuszcza go po chwili, stopniowo, i dopiero po tej całej ceremonii podaje skręta Karinie Vives. Ja dziękuję, nie, mówi Karina. Nie palisz, nie lubisz? pyta niemal z radością Nurit, jakby odnalazła w tej kobiecie, o której wciąż mylnie sądzi, że jej nie zna, kogoś, kto ma tak samo jak ona. Wszyscy milkną, przeczuwają, że to, co wywnioskowała Nurit – że Karina nie lubi trawki – to nie jest prawdziwy powód. Wszyscy prócz niej sądzą, że znają prawdziwą przyczynę, ale nikt nie wie, że inni też wiedzą. Dlatego się maskują. Czekają, aż sama Karina odpowie. Jaime Brena wciąż siedzi ze skrętem w ręku, nie przekazuje go dalej. Paula podchodzi do niego, przejmuje skręta i zanim sprawa się wyjaśni, zaciąga się drugi raz. Ja tylko odrobinę, żeby nie wyszło niegrzecznie, bo też nie przepadam, mówi Nurit i brzmi to tak, jakby zwracała się specjalnie do Kariny Vives, na mnie to zupełnie nie działa. I robi tak, jak powiedziała: Nurit Iscar bierze skręta od Pauli Sibony, zaciąga się bez przekonania i podaje dalej. Nie, ja lubię, wyjaśnia Karina Vives, ale jestem w ciąży i nie wiem, czy powinnam. Nurit się kztusi. Chłopak z kryminalnego patrzy na Brenę i mówi do niego: Jest w ciąży. No wiem, wiedziałem, odpowiada Brena. Tylko jeszcze nie wie, co zrobić, objaśnia Carmen, zwracając się do Nurit. Dzwoni telefon Jaimego Breny, to komisarz Venturini. Jaime Brena słucha i po chwili się odzywa: To nie było samobójstwo, Venturini, wiem, co mówię. Z miny Breny, z wyrazu jego twarzy łatwo odczytać, że Venturini nie podziela jego zdania. A, jest pan teraz u Collaza? upewnia się i robi ruch głową oznaczający, że gdyby była jego kolej na skręta, mają go nie pomijać. Tak, ja też tam byłem, mówi Brena, i nie widziałem go, komisarzu. Tak, jestem wciąż u Nurit Iscar. Jaime Brena z lekką irytacją słucha tego, co mówią po drugiej stronie. Nurit Iscar kaszle. Okej, okej, rozumiem, chociaż blady wisielec z bocznym węzłem nie pasuje, komisarzu. Paula zabiera skręta Nurit, jakoby chcąc strzepnąć popiół, nim spadnie na dywan, choć kiedy już to zrobiła, korzysta z okazji i zaciąga się, dla niej to już trzecia kolejka. Brena żegna się z komisarzem i rozłącza się. Szlag, stwierdza. Wydaje mi się, że odrobina ci nie zaszkodzi, mówi Carmen Terrada do Kariny Vives. Ja tam podpalałam w ciąży, niewiele, mniej niż zawsze, ale krzywdy ci nie robi, to jakby napić się kieliszek wina, mówi. Ja w ciąży nie piłam wina, stwierdza Nurit. Bo ty masz wysoką samokontrolę, kochana, dlatego marihuana na ciebie nie działa, stwierdza Paula i parska śmiechem. Nurit ten komentarz nie bawi. Porządek przekazywania skręta zostaje zaburzony i dżoint trafia znowu do Jaimego Breny. Nie wiadomo już, czy idzie z prawej do lewej, czy z lewej do prawej. Od Jaimego Breny przechodzi do chłopaka z kryminalnego. I znowu do Pauli Sibony. Potem Nurit podejmuje jeszcze jedną próbę. Wsuwa skręta między wargi. Mocniej się zaciągnij, podpowiada jej Jaime Brena i nie wstając z miejsca, naśladuje właściwe ruchy, mocniej, powtarza, musi się zajarzyć, końcówka musi się rozżarzyć do czerwoności. Paula się śmieje. Nurit podaje skręta Carmen i wypuszcza dym. Trochę dłużej, mówi Brena, nie wypuszczaj tak szybko, musisz wypuszczać powolutku. Pali Carmen. To nie dlatego, że za szybko wypuszczam, tłumaczy się raz jeszcze Nurit, po prostu na mnie marihuana nie działa. Ale zaciągasz się dymem aż potąd? pyta chłopak z kryminalnego i dotyka sobie piersi. Pewnie, odpowiada Nurit, nie jestem taka głupia. Paula się zaśmiewa: Pomoc dla sfrustrowanego palacza. Carmen też się śmieje, a potem rozsiada się na fotelu, jakby zamierzała spać. Dobra, to daj, machnę sobie raz, stwierdza Karina Vives i przejmuje skręta od Carmen, zanim kolejny raz zawładnie nim Paula. Dziewczyna zaciąga się i podaje papierosa chłopakowi z kryminalnego, który po swojej kolejce opukuje nad popielniczką popiół z końcówki. Popiół ma w sobie coś z chmury, nie? stwierdza chłopak. Nie wiem, czy to przez kolor, czy przez specyficzną konsystencję, że jak się go dotknie, to się rozproszy, zniknie. Zniknie, powtarza Paula. Teraz

chłopak bawi się w milczeniu popiołem i kilka sekund później mówi: Tak jak chmura, zupełnie jak chmura, kiedy przelatujesz przez nią samolotem. To chmuuuura, bez dwóóóch zdań, nuci Carmen prawie przez sen. To kawałek Vox Dei, stwierdza Brena. Vox Dei, potwierdza Carmen i śpiewa: Lekka jak... chmu-u-raaa. Mój wuj Luis zawsze śpiewał ten kawałek z gitarą, odzywa się Karina. Chłopak z kryminalnego w życiu nie słyszał tej piosenki, choć wie, kto to Vox Dei, tak sądzi, pewności nie ma. Ale mówi: Chmura, tak, jak chmura. W tym czasie skręt przechodzi nadal z ręki do ręki. Bo popiół bierze się z ognia, mówi chłopak, a chmura poniekąd też. Paula podaje skręta Karinie Vives. Zdałaś sobie sprawę, kim ona jest? zwraca się do Nurit i parska śmiechem. Nurit kręci głową. Karina sztywnieje. To Karina Vives, ta mała, która napisała recenzję *Tylko jeśli mnie kochasz* dla *El Tribuno*, zawiadamia ją Paula Sibona. Lekka jak... chmu-u-raaa, śpiewa Carmen i przyjmuje nieco bardziej horyzontalną pozycję na fotelu. Karina Vives znów zaczyna popłakiwać. Nurit jest na wpół zdumiona, na wpół zirytowana. Albo i zdziwiona, i zirytowana, jedno i drugie naraz. Nie przejmuj się, mówi Paula, ona nie płacze dlatego, że jest małą, tylko dlatego, że jest w ciąży, płakała już wcześniej, po prostu sobie płacze. Nurit zabiera od niej skręta i zaciąga się znacznie mocniej niż poprzednio, nie spuszczać oczu z Kariny Vives, choć nie wie, co powiedzieć. A ponieważ nie wie, co powiedzieć, mówi jeszcze raz: Na mnie to nie działa, i kaszle. Jaime Brena rozluźnia plecy, mięśnie karku, kręci szyją w jedną i w drugą stronę, uśmiecha się. Ogólnie jest w porządku, nie? pyta. Wciąż pochlipując, Karina Vives mówi do Nurit Iscar: Nie czytałam tej twojej powieści. Carmen, która sprawiała wrażenie śpiącej, podnosi się. Co powiedziałaś? dopytuje i wybuchają śmiechem. Chłopak z kryminalnego gmera palcem wskazującym w popielniczkę, ledwie jej dotykając: Facebook i portale społecznościowe mają coś z popiołu, coś z chmury. Coś mają, zgadza się Brena. Właśnie... mówi chłopak. Czy wyście nie słyszeli, że ta dziewczyna powiedziała, że nie przeczytała książki Nurit? pyta Carmen. Ja też nie, stwierdza chłopak z kryminalnego. Tylko że ty nie napisałeś recenzji, w której zjechałeś tę książkę, oświadcza Paula i o mało nie parska znów śmiechem, acz sporym wysiłkiem udaje się jej opanować. Ja nie napisałam tej recenzji, wyjaśnia Karina Vives. Co takiego? dziwi się Nurit i prosi, żeby jej podali skręta. Ja nie napisałam tej recenzji, powtarza Karina i wysmarkuje sobie nos. Nie czytałam twojej powieści ani jej nie zrecenzowałam. Podpisałam ją swoim nazwiskiem, to prawda. Właśnie wtedy przeszłam do działu kultury, marzyłam o tym, chciałam tego od początku pracy w redakcji, a właśnie nie było w Kulturze redaktora odpowiedzialnego i wtedy Rinaldi dał mi tę robotę, uszom nie wierzyłam, opowiada z płaczem. I po chwili przyszedł i dał mi tę recenzję, powiedział, żebym podpisała i puściła do druku, więc tak zrobiłam. Rinaldi napisał ten tekst? upewnia się Nurit, nie mogąc wyjść ze zdziwienia. Nie, nie Rinaldi, jego żona, powiedział mi, że to Marisa, chyba żona Rinaldiego nazywa się Marisa, nie? No w każdym razie Marisa, stawiała pierwsze kroki w zawodzie, ale nie chciała jeszcze publikować pod własnym nazwiskiem, dopóki nie nabierze pewności, bo wszyscy będą ją postrzegać jako „żonę”. Żona tego maksymalnego sukinsyna, który ma problemy z prostatą, mówi Paula i śmieje się. Rinaldi ma problemy z prostatą? mówi chłopak z kryminalnego, nie przestając bawić się popiołem. Czasem puszcza recenzje, które są przysyłane z góry, to się dzieje raz na jakiś czas, trzeba to zaakceptować, generalnie ich celem jest zrobienie książce reklamy, raczej nie dokopanie, jak trzeba kogoś pognać, wtedy się o książce nie wspomina, nic się nie mówi, postępuje się tak, jakby książka nie istniała. Dlaczego właściwie ktoś chciałby zaszkodzić książce? pyta Carmen i ziewa. Z powodów politycznych albo dlatego, że w książce krytykuje się naszą gazetę, albo atakuje się kogoś blisko związanego z naszą gazetą, albo dlatego, że autor książki napisał wcześniej recenzję, w której dokopał komuś zaprzyjaźnionemu. Co za żenada, stwierdza Carmen. Albo kiedy pisarz czy pisarka ma romans z redaktorem naczelnym, mówi Paula i śmieje się. Paula... odzywa się Nurit, na próżno starając się skłonić przyjaciółkę do opanowania. Nie wiedziałam, że ta recenzja zrobiła ci taką krzywdę, skarży się Karina. Marihuana na nią nie działa, ale recenzje owszem, mówi Paula i zaraz zasłania sobie usta, jakby prosiła o wybaczenie.

A kto ci powiedział, że mi zrobiła krzywdę? pyta Nurit. One, odpowiada Karina i pokazuje na jej przyjaciółki. W druciaanej klaaatce, nuci Carmen i zaraz dodaje: Przepraszam. Dlatego nigdy nie przeczytałam twojej powieści, powtarza Karina, bo nie chciałam wiedzieć, czy to, co podpisałam, było prawdziwe czy nie. To znaczy, że moja przyjaciółka Nurit Iscar na trzy lata zarzuciła pisarstwo z powodu recenzji, którą napisała ta suka, żona tego sukinsyna, jej kochanka? podsumowuje Paula Sibona. Paula! napomina ją Nurit. Przepraszam, mówi Paula i chichocze. Jaime Brena przysypia w fotelu i we śnie wydaje mu się, że rozmawia z komisarzem Venturinem. Chłopak z kryminalnego próbuje sztachnąć się ostatni raz, lecz z tego skręta nic się już nie wycisnie. Uda się jeszcze? pyta i próbuje ugnieść papierosa. Po tej twojej recenzji jego żona przysłała jeszcze ze dwie czy trzy, ciągnie Karina, ale potem przestała, pytałam Rinaldiego i powiedział, że pracuje dla dodatku podróżniczego, bo tam się czuje bardziej „w swoim sosie”, pamiętam, że użył właśnie tych słów: „w swoim sosie”. Ciekawe, co taka kobieta jak ona mogła mieć na myśli, nie? pyta Paula. Bo dla każdego sos to co innego, dla mnie sos to pomidory i oregano, a dla innych może oznaczać coś innego, ciekawe, jakie sosy woli taka suka zdradzana przez męża? Wiesz, że niektórzy dodają popiołu do sosów? mówi Carmen do chłopaka z kryminalnego, który przygląda się jej z uwagą. A inni dodają listki marihuany, ale od czegoś takiego może być ostro, mówi Paula i uśmiecha się, jadłam kiedyś pączki z marihuaną, opowiada, lecz nie jest w stanie dokończyć anegdoty, bo wybucha śmiechem i zapomina, co miała opowiedzieć. To znaczy, żeby nie było żadnych nieporozumień, to wszystko przydarzyło mi się przez recenzję podpisaną przez kogoś, kto nie czytał mojej powieści, podsumowuje Nurit. Stało się tak, bo na to pozwoliłaś, mówi Carmen, mogłaś też na przykład posłuchać nas. Tylko że wy nie jesteście recenzentkami, jesteście przyjaciółkami. Obiecuję, że ją przeczytam, Nurit, chcę się z tobą kolegować, oświadcza chłopak z kryminalnego i gasi skręta, rysując popiołem chmurki. Przepraszam, mówi Karina i kolejny raz wysmarkuje nos. Nurit nie odpowiada. Niesamowite są zrządenia losu, mówi Carmen. Ktoś ma coś słodkiego? pyta Paula. Jakaś czekoladkę albo ciasteczko? Nurit idzie do kuchni – nie tyle nawet w poszukiwaniu słodczy, ile żeby przerwać tę scenę – i wraca z dwiema tabliczkami czekolady i pudełkiem z resztkami lodów. Podaje jedną tabliczkę Pauli, a sama gryzie drugą. Chłopak łapie za pudełko i łyżkę. Dzięki, kochana, mówi Paula. Chłopak z kryminalnego zajada loda z plastikowego pudełka i patrzy na Karinę, mówiąc: Facebook na dłuższą metę stanie się popiołem Internetu, zapamiętaj to, co mówię. Jaime Brena chrapie. Carmen znowu rozkłada się jak do spania. Paula pyta Nurit, pogryzając czekoladę: Skoro już tak gadamy, mogę ci coś wyznać, Betibu? Mów, odpowiada Nurit, skoro już tyle się nasłuchałam. Na pewno? Na pewno. No dobra, więc teraz, kiedy już wiemy, że ta recenzja, przez którą przestałaś pisać, została spreparowana przez żonę Rinaldiego, i że ta biedna dziewczyna, na którą tak wyklinałyśmy, nie ponosi za to większej odpowiedzialności, nie licząc tego, że daje się wykorzystywać przez system, mówi Paula i nagle przerywa. No mów, zachęca ją Nurit. Na pewno? Na pewno. Otóż muszę ci wyznać, kochana, że mnie, no czuję się w obowiązku to powiedzieć, mnie *Tylko jeśli mnie kochasz* od początku, od samego początku, od pierwszej linijki wydało się koszmarnym gniotem. Nurit patrzy na nią zaskoczona. Carmen próbuje wybudzić się ze stanu półsnu. Paula, upaliłaś się, napomina ją, a jak się upalisz, lepiej niczego nie wyznawaj. Owszem, upaliłam się, ale *Tylko jeśli mnie kochasz* to bez cienia wątpliwości najgorsza powieść Nurit, sama tak powiedziałaś, nie pamiętasz? Paula! krzyczy na nią Carmen, ja nigdy czegoś takiego nie powiedziałam, przekonuje, zwracając się do Nurit, powiedziałam, że wolę te wcześniejsze, a to nie to samo. Chłopak z kryminalnego pyta: Czy mi się zdaje, czy Jaime Brena chrapie? Paula Sibona nie odpuszcza: No ale człowiek ma prawo zrobić czasem coś, co jest gównem warte. Pamiętasz, jak grałam Norę w *Domu lalek* w Teatro San Martín? Kiedy trzasnęłam drzwiami i wyszłam, ktoś z publiczności zawołał: I bardzo dobrze, idź i nie wracaj, wariatko! I miał rację. Zrobiłam tam z siebie wariatkę. Bo jeżeli *Tylko jeśli mnie kochasz* nie jest gniotem, Karino, to co? pyta Paula. Nie wiem, nie czytałam, powtarza dziewczyna. Ja przeczytam, słowo, mówi znów chłopak z kryminalnego.

Nurit, przysięgam, przyjaciółko moja, to jest zła powieść, wiesz dlaczego? Bo jak ją pisałaś, byłaś zakochana, myślami gdzie indziej, a miłość i sztuka nie znoszą się zbyt dobrze. Seks i sztuka owszem, ale miłość i sztuka nie. Miłość nieodwzajemniona też działa. Za to miłość w rodzaju „buzi, buzi, kocham cię” – nie. Przecież nigdy nie mówiłam „buzi, buzi, kocham cię”, protestuje Nurit. Teraz musisz wziąć się do pisania, ciągnie Paula, nie reagując na protesty, przekonasz się, że znowu wyjdzie ci dobra powieść. Carmen, wciąż rozłożona w fotelu i nie otwierając oczu, łapie się za głowę i pyta: Czy ktoś ma tu płytę Vox Dei? Nikt nie odpowiada. I muszę wyznać ci coś jeszcze, kochana, mówi Paula do Nurit. Nie, prosi Carmen, już nic nie mów. Co takiego? pyta Nurit. Nie, dość już, skończ wreszcie, mówi Carmen, niech ktoś puści jakąś muzykę, cokolwiek, byle grało. Przecież nie wiesz, co powiem, broni się Paula. Nieważne, z pewnością coś, czego nie powinnaś, odpowiada Carmen. Teraz albo nigdy, ostrzega Paula. Nigdy, odpowiada Carmen. Mów, prosi Nurit. Niech mówi, śmiało, zachęca ją chłopak z kryminalnego. No dobrze, pamiętasz tego łysego typka z kozią bródką, który napisał w artykule, że kiedy się ostatni raz przeprowadzał, nie zabrał ze sobą twojej powieści *Śmierć na raty*, bo potrzebował miejsca, a wiedział, że nigdy jej nie przeczyta? *Śmierć na raty* czy *Tylko jeśli mnie kochasz*? *Śmierć na raty*, mówię przecież. Nie, nie pamiętam. Musisz pamiętać, przecież ty pamiętasz każdą recenzję. Łysego z bródką nie pamiętam. No ten taki, co podobno zna się na kinie, mówi Paula. Zna się na kinie, a pisze o książkach? pyta Karina. Przychodzą mi do głowy dwaj czy trzej, z tym że żaden nie jest łysy. No nie, nie pamiętam, mówi Nurit, ale o co chodzi? No nic, w każdym razie ten typak napisał, że przy każdej przeprowadzce korzysta z okazji i robi porządki z książkami, zabiera tylko wartościowe, i że podczas ostatniej zostawił twoją *Śmierć na raty*, w folii i tak dalej, tak jak ją dostał z wydawnictwa, bo wiedział, że w życiu jej za cholere nie przeczyta. To „za cholere” to mój dodatek, zaznacza Paula. Nie pamiętam tego, powtarza Nurit. My w każdym razie pamiętamy, pamiętałyśmy wtedy i zawsze będziemy pamiętały, i wiesz, co zrobiłyśmy? Naprawdę musimy jej o tym mówić? pyta Carmen. Posłałyśmy mu nowy egzemplarz podpisany przez ciebie, to znaczy raczej przez nas w twoim imieniu, z taką dedykacją: „Żebyś mógł sobie uzupełnić braki w bibliotece, łysolu”. Paula wybucha śmiechem. Przepraszamy, mówi Carmen. Przepraszamy, przepraszamy, powtarza Paula. Nie wierzę, mówi Nurit i odbiera chłopakowi kubek z lodami. Nie wierzę, mówi znów, czego jeszcze dziś się tutaj dowiem? Chłopak kładzie się na dywanie. Ależ mistrz chrapie, skarży się i też zamyka oczy. Przepraszamy, powtarza raz jeszcze Carmen. Że ta wariatka, to mnie nie dziwi, ale ty... odpowiada jej Nurit. Paula śmieje się i mówi: To jednak komplement być nazwaną wariatką, szaleństwo rozpala. Uwaga na popiół, odzywa się chłopak i chichocze. Możesz się przymknąć? mówi Nurit. Nie mówię do ciebie, uspokaja chłopaka, tylko do Pauli. Paula słucha. Carmen i Karina, jakby to polecenie dotyczyło także ich, też siedzą cicho, czekając na następny ruch Nurit. Betibu skrobie łyżką po dnie kubeczka i wygrzebuje resztki lodów. Potem oblizuje łyżkę, jednocześnie odkładając puste pudełko na stolik. Jednym ruchem wrzuca łyżkę do środka. Wstaje, patrzy na tych, co jeszcze nie śpią, i mówi: Ja idę się położyć do łóżka. Robi dwa kroki i obraca się. I wiecie co? Co tam kto napisał, to napisał, co mi zrobił, to mi zrobił, a co ja zrobiłam, to zrobiłam... Robi przerwę, jakby kreując napięcie, a potem kończy: Tak, *Tylko jeśli mnie kochasz* to gówniana powieść; zdecydowanie najgorsza, jaką napisałam. Nigdy nie powinno się pisać cipą.

I wychodzi.

Kiedy Nurit Iscar schodzi do kuchni, żeby zaparzyć sobie kawy, która pomoże jej zmierzyć się z nowym dniem, gości w domu już nie ma. Nie wie, kiedy ani w jaki sposób się stąd wynieśli, ale wyobraża sobie, że każda z osób, które zostały u niej w niedzielę na noc, jest już na właściwym miejscu i próbuje, tak jak ona, jakoś w ten poniedziałek odpalić. Ubijając łyżeczką rozpuszczalną kawę ze słodzikiem, tak żeby wyszła z pianką – wie, że kawę ubić można tylko z prawdziwym cukrem, trzcinowym, a nie z laboratoriów chemicznych, lecz nawyk ubijania kawy w proszku i słodziku na dnie filiżanki został jej po czasach, kiedy nie troszczyła się o wagę i jadła wysokokaloryczny cukier – rozmyśla o tym, jak to codzienne życie, zwykłe, banalne nawet, miesza się ze zbrodnią, tworząc dziwaczny eliksir ujmujący grozie dramatyzmu i komplikujący wszystko. Czy można ubijać sobie kawę, jeśli wczoraj oglądało się trupa wiszącego na gałęzi? Czy można robić sobie śniadanie, wiedząc, że ten nieboszczyk może stanowić część jakiegoś poważnego zbrodniczego planu albo projektu? Czy można dmuchać na zbyt gorącą kawę, gdy ma się podejrzenia, że jeśli nie zdążymy na czas, może dojść do kolejnej śmierci? Tak, odpowiada sobie, i tak naprawdę to przecież właśnie teraz robi: ubija sobie kawę z pianką. Dni pełne są kaw z pianką, drobiazgów, rzeczy zbytecznych dla opowieści, ale nie dla życia. Penélope Cruz też chadza do łazienki i robi kupę, mawia czasami Paula Sibona, kiedy rozmawiają o różnicach między światami wyobrażonymi a realnymi. Fikcja i sztuka nie potrzebują kaw z pianką ani klozetów. Nieprawda, powiedziałaaby Carmen Terrada, Duchamp nie, Jacques Prévert też nie, „*il a mis le café. Dans la tasse*”. Dlaczego wciąż pamięta ten wiersz, którego nauczyła się w szkole, gdy miała szesnaście lat, w języku, w którym ledwie coś tam potrafiła wymamrotać? Nurit Iscar siada przy stole, żeby napić się kawy. Spogląda przez okno na ogród domu, który nie należy do niej. Zastanawia się, ile różnych odcieni zieleni może zmieścić się w jednym żywopłocie; nie liczy ich jednak. Policzenie ich odebrałoby im magię, oznaczałoby potraktowanie jako pojedyncze czegoś, co ma sens tylko w większej całości. Miałaby ochotę pójść jeszcze raz zobaczyć dąb, na którym wisiał Collazo, nie jest jednak pewna, czy się odważy. Co łączy śmierć tych wszystkich mężczyzn, tak jak żywopłot łączy wszystkie odcienie zieleni, układając je w gamę barw, bez znaczenia, która jest która? Czy za tymi zmarłymi coś się kryje, czy też oni – Jaime Brena, chłopak z kryminalnego i ona – są bandą paranoików, którzy dopatrują się zbrodni w serii przypadkowych zgonów? Dlaczego zawsze musimy znaleźć w śmierci jakiś sens? Choć w przypadku śmierci naturalnej i gwałtownej nie domagamy się takich samych odpowiedzi, odpowiada sama sobie Nurit, w przypadku śmierci naturalnej człowiek natychmiast zderza się z niemożnością odnalezienia głębszego sensu, jakiegoś powodu. I szuka odpowiedzi na zbyt odległe pytania: Dlaczego życie się kończy? Co się dzieje po śmierci? Czy istnieje druga szansa, jakieś drugie życie po tym, życie wieczne czy coś takiego, co pozwoliłoby spojrzeć na śmierć trochę poza kontekstem samego ciała, które zgnije zeżarte przez robaki? I ona, Nurit Iscar, bardzo żałuje, że jest taką racjonalistką, tak nieufną czy pozbawioną nadziei, i że wierzy w to, co widzi: w robaki wierzy. Czasami też żałuje swojego agnostycyzmu i zazdrości tym, którzy w coś wierzą. W cokolwiek. Ale tylko przez chwilę im zazdrości. Potem znów wraca z przekonaniem do swoich poglądów. Czy też raczej do swojego braku poglądów. Znów błądzi spojrzeniem po żywopłocie i zastyga tak na chwilę, patrzy na zewnątrz, nie pijąc kawy, z dłońmi splecionymi wokół filiżanki; lubi tak ogrzewać sobie dłonie, nawet jeśli wcale nie jest zimno. Jednak mimo kawy nie przestaje myśleć o śmierci. Teraz z kolei rozmyśla o śmierci gwałtownej i pytaniach, które przy tej okazji się rodzą: poszukiwanie jej sensu nabiera innego charakteru i jak wyczuwamy, może być łatwiejsze niż w przypadku kwestii „z tamtego świata”, ma w sobie coś

ziemskiego, to śmierć, o której zdecydowała nie natura ani nie jakiś bóg, tylko człowiek, taki jak my. I to, że śmiercią tą rozporządzał ktoś taki jak my, powoduje, że czujemy się w prawie i w obowiązku, by w takich sytuacjach jednak znaleźć odpowiedź, rozwiązać pojawiające się wątpliwości. Choćby odpowiedzi nie było. Czasami wolimy nawet przyjąć wyjaśnienie, nawet jeśli wiemy, że jest fałszywe, niż znieść niepewność i niewiedzę, kto i dlaczego.

Nurit Iscar dopija kawę, przemywa filiżankę, wyciera ją i odkłada na miejsce. Zdarzają się rodziny naznaczone tragicznym losem, myśli. Grupy ludzi naznaczone takim losem. Przedsięwzięcia tragiczne. Tragiczny los polega na tym, że akceptuje się śmierć powiązanych ze sobą osób jako coś, na co nie ma rady. Czy zatem Chazarreta i jego przyjaciele to taka grupa naznaczona tragicznym losem? Pomijając kwestię tragizmu, czy to przypadek, że znajomi z tej grupy jeden po drugim poumierali, czy jednak istnieje jakiś mężczyzna albo kobieta, ktoś taki jak ona, kto zdecydował o tej śmierci i kogo Nurit Iscar, Betibu, czuje się w obowiązku znaleźć? Ona tego nie wie, wie za to, że o tym będzie pisać w swoim następnym raporcie, więc idzie na górę, żeby zabrać się do pracy.

W chwili gdy Nurit Iscar włącza komputer, chłopak z kryminalnego, wciąż trochę senny, wchodzi na korytarz Kolegium San Jerónimo Mártir. Na ścianie w holu widnieje portret Vicentego Gardeu w habitcie. Pod spodem znajduje się tabliczka z jego nazwiskiem i dedykacją: Ojcu Gardeu, założycielowi i dobremu duchowi tej instytucji, w rocznicę śmierci. Niesamowicie, wyobraża sobie to samo zdjęcie, tyle że z podpisem: „Poszukiwany za pedofilię”. Od wczoraj, od kiedy zasiadł przed Google’em w domu Nurit Iscar, nie ma wątpliwości, że kolega Chazarrety z brakującego zdjęcia wcale tak się nie nazywa. Tyle że teraz zastanawia się, jakim cudem brat Gandolfiniego mógł popełnić taki błąd, przecież Gardeu musiał być doskonale znany wszystkim uczniom z San Jerónimo. Brena zaklina się, że takie podał nazwisko. Robił sobie z niego żarty? Chłopak ma w kieszeni wydrukowane dla Breny zdjęcie grupy kolegów, które Brena dał mu rano, zanim wysiadł pod swoim domem, kiedy to z niemalym trudem wrócili od Nurit Iscar. Dał mu je z prośbą, by chłopak zrobił kopie dla całej trójki – dla Nurit, Breny i dla siebie – choć nie było to konieczne, bo mógł je znów wygenerować z filmu na YouTube i zrobić tyle kopii, ile będzie chciał. Ale o tej porze i po takiej niedzieli ani on, ani Brena nie byli w stanie określić do końca, co jest rzeczywiście potrzebne, a co nie. Chłopak wyciąga z kieszeni zdjęcie i przygląda mu się, czekając, aż ktoś się nim zainteresuje, rozsiadłszy się w starym pluszowym, lecz wciąż nienagannym fotelu. Minuty upływają i nikt się nie zjawia. Widzi dzwonek przy drzwiach prowadzących do czegoś, co może być biurem czy jakimś gabinetem. Wsuwa fotografię do kieszeni i idzie w tamtą stronę. Dzwoni, choć nie wie, o kogo ma pytać, kiedy mu otworzą. Gdyby się dało, chciałby rozmawiać z najstarszym księdzem pracującym w tej instytucji, z kimś, kto pamięta czasy, kiedy w San Jerónimo Mártir studiował Chazarreta i jego koledzy. Chłopak z kryminalnego raczej nie nastawia się na sukces, choć spróbuje. Kiedy zamierza nacisnąć dzwonek po raz drugi, drzwi się otwierają i pojawia się w nich sekretarz, na oko niewiele więcej niż dwudziestoletni, i pyta, o co chodzi. Chłopak przedstawia mu wersję wymyśloną po drodze: że jest siostrzeńcem Luisa Collaza, który właśnie popełnił samobójstwo, i w ostatnich przedśmiertnych słowach poprosił, żeby przekazać to zdjęcie jednemu z jego przyjaciół, tu wskazuje palcem mężczyznę, którego wciąż nie udało im się namierzyć, tego, którego Gandolfini nazwał Vicentem Gardeu, ale tak się przecież naprawdę nie nazywa. Nie udało nam się dosłyszeć, jakie podał nazwisko, a po chwili już nie żył, objaśnia chłopak, a sekretarz kiwa głową, jakby chciał tak wyrazić swoje współczucie. Pewnie, że pan nie będzie wiedział, jest pan za młody, mówi chłopak do sekretarza, nauczyciele z tamtych czasów mogą już być na emeryturze, choć pomyślałem, że może w szkole został jakiś ksiądz z tamtego okresu i mógłby przypomnieć sobie jego nazwisko. Sekretarz pozwala mu mówić, nie wykonując żadnych gestów, które wyrażałyby aprobatę albo sprzeciw wobec słów chłopaka. A następnie z równie nieobecną miną mówi: Księży i nauczycieli z tamtych czasów już nie ma, ale proszę pozwolić, tu jest coś, co może pomóc. Sekretarz puszcza go pro-

dem i pokazuje mu drogę. Idą korytarzem wyłożonym szarymi płytkami, nieskazitelnymi, choć utraciły już połysk, ciągnącym się w nieskończoność. Kiedy docierają przed drzwi z napisem „Sala San Jerónimo, pokój spotkań i czytelnia”, sekretarz zatrzymuje się i otwiera je. Pośrodku pomieszczenia stoi stół z czerśniowego drewna, a wokół niego mnóstwo krzesel. Jednak nie to jest istotne, tylko fakt, że ściany obwieszane są fotografiami, jedna przy drugiej, zdjęciami każdego rocznika absolwentów, rok po roku, a pod każdą fotografią umieszczono drewnianą tabliczkę, na której widnieją wyryte złoconymi literami nazwiska wszystkich sfotografowanych osób w takiej kolejności, w jakiej znalazły się na tableau. Dziś mam dobry dzień, myśli sobie chłopak całkiem serio. Sekretarz zostawia go samego, „żeby mógł spokojnie się rozejrzeć”. Chłopak z kryminalnego ma wrażenie, że został otoczony przez tych wszystkich ludzi urodzonych dekady temu, choć tu uwiecznionych w wieku osiemnastu lat, pozujących z czarną tablicą z wypisanym na niej rokiem ukończenia szkoły. Przypomina sobie, że Chazarreta w chwili śmierci miał około sześćdziesiątki, szacuje więc, że musiał skończyć szkołę jakieś czterdzieści dwa lata wcześniej. Nigdy nie był słaby w matematyce, choć zawsze ciężko mu się liczyło w pamięci, odejmuje więc równe czterdzieści i zaczyna szukać absolwentów z rocznika 1970 oraz z pięciu lat wcześniej i pięciu później. Poszukiwaną grupę znajduje w roczniku 1966. Pierwszego rozpoznaje Chazarretę, może dlatego, że tę twarz ma najbardziej na świeżo. A potem szuka po kolei pozostałych. Patrzy na zdjęcie, które trzyma w rękach, następnie na ścianę. Sprawdza nazwiska z listą na drewnianej tabliczce. Collazo w ostatnim szeregu. Gandolfini z boku, prawie wychodzi z kadru. Bengoechea dwa miejsca za nim, bliżej środka. I na dole trzymający tablicę Marcos Miranda, ten, co zginął zastrzelony w New Jersey. Obok niego z jednej strony Chazarreta, a z drugiej ten mężczyzna, którego nazwiska nie znają. Szuka na tabliczce, przesuwając po liście nazwisk palcem, żeby się nie pomylić: Emilio Casabets. Zapisuje to na smartfonie. Sprawdza jeszcze raz, nie ma możliwości pomyłki. Liczy uczniów z pierwszego szeregu, dochodząc aż do tego z tablicą, raz jeszcze liczy na tabliczce z nazwiskami: Emilio Casabets. Wychodzi i zamyka drzwi z solidnego drewna, które zatrząskują się ciężko. Mógłby od razu zacząć szukać w Google’u – „wygugłować”, to słowo Jaime Brena z pewnością by potępił – ale woli wyjść z tego pomieszczenia jak najszybciej i zająć się tym przy kawie w jakimś pobliskim barze. Wychodzi do holu, żegna się z sekretarzem, który wręcza jakieś dokumenty stojącej przy nim parze małżeńskiej. Udało się? pyta. Tak, udało, odpowiada chłopak, teraz tylko muszę go namierzyć, nazywa się Emilio Casabets. Casabets, nie kojarzę, pewnie nie ma w szkole ani dzieci, ani wnuków, choć jego dane są tu na pewno, prowadzimy rejestr wszystkich absolwentów z ich danymi osobowymi i informacjami, gdzie aktualnie pracują, często się z tego korzysta, ludzie szukają kontaktów. A, to by mi się przydało, mówi chłopak. Teraz jestem zajęty, proszę zadzwonić do mnie później, to poszukam, odpowiada sekretarz i wręcza mu folder szkoły podobny do tego, który przed chwilą dał tamtemu małżeństwu, tu są numery telefonów. Dzięki, mówi chłopak z kryminalnego i wychodzi na kawę. Kiedy tylko zdobył nazwisko, pierwsze, co mu przyszło do głowy, to wygugłować je. Gdyby zamiast niego był tu Jaime Brena, od razu podszedłby z tym nazwiskiem do sekretarza, myśli. Niestety on, czy tego chce, czy nie, Jaimem Breną nie jest.

Dwie sekundy po tym, jak chłopak z kryminalnego wszedł do baru trzy przecznice od szkoły San Jerónimo Mártir, Jaime Brena wkracza do redakcji dziennika. Wcześniej niż zwykle, normalnie zaczyna godzinę później, lecz spał mało, zbudził się wcześniej i nie wiedział, co ma robić w tym mieszkaniu, którego, choć spędził w nim sporo czasu, od kiedy wyprowadził się od Iriny, wciąż nie umie uznać za dom. Postanowił więc się ubrać i rozpocząć dzień. Zaczął się zastanawiać nad alternatywą dla psa. Teraz na jego biurku leży depesza z możliwym tematem na artykuł dnia: badania jakiegoś francuskiego instytutu zdrowia seksualnego, z których po przeanalizowaniu dwustu pięćdziesięciu przypadków wynika, że kobiety ze skłonnością do wielokrotnych orgazmów mają zwykle gęstsze owłosienie łonowe. Jaime Brena czyta i wybuchają śmiechem. Aż mu łzy lecą. Potem, kiedy już udaje mu się pohamować wesołość, wyobra-

za siebie setki Francuzek uprawiających seks w pomieszczeniu za weneckim lustrem, obserwowanych przez naukowców skrupulatnie zliczających każdy orgazm. Prawdziwy albo udawany. A potem dokonujących oględzin i obliczających włosy po włosku, jak bujnie owłosione mają krocza. Wyobraża sobie wykres, na którym współrzędna X to liczba orgazmów, a Y to liczba włosów. Ktoś tu sobie z nas robi jaja, myśli. A jeśli tak, to ja też sobie z nich zakpię. Przepisuje informację z depeszy, a potem dodaje: „Redakcja *El Tribuno* postanowiła ze swej strony zweryfikować te dane w odniesieniu do miejscowej populacji, ale wszystkie zapytane kobiety zapewniają, że mają obfite owłosienie łonowe, toteż brak podstaw do analizy porównawczej”. Przez chwilę zastanawia się, czy nie zatytułować tekstu „Pochwała owłosionej cipki”, lecz uznaje, że to by była przesada. I kończy tekst: „Duży napływ ludności emigrującej do Argentyny z Włoch i Hiszpanii sprawił, że tutejsze kobiety są seksualnie aktywne i łonowo owłosione”. Nie wątpi, że ktoś usunie jego tekst przed puszczaniem do druku. Albo go przytnie. Albo przeredaguje. O ile ktoś to w ogóle czyta. W pośpiechu prac redakcyjnych zdarza się, że teksty doświadczonych dziennikarzy – a on się do nich zalicza – są akceptowane z miejsca, o ile objętość jest odpowiednia. Wystukuje tytuł, choć wie, że taki nie przejdzie: „Pochwała owłosienia łonowego”, i przesyła go do Kariny Vives, żeby sobie przeczytała, kiedy przyjdzie do pracy, i powiedziała, co o tym myśli. Patrzy na zegarek, jego godziny pracy w zasadzie się jeszcze nie zaczęły, a on już swoje na dziś zrobił. Zastanawia się, czy Nurit Iscar i chłopak z kryminalnego mają jakieś nowe wieści, sprawdza mejle, lecz żadne z nich nie napisało. Dzwoni do komisarza Venturini. Oczywiście wita go nieuchronnie: Jak się miewasz, mój drogi? Dobrze, acz biednie, panie komisarzu. Kończy ceremonię powitalną i przechodzi do rzeczy. Wiadomo coś nowego o śmierci Collaza? Samobójstwo, Brena, nie ma co węszyć, odpowiada policjant. Są przecież przesłanki... Tym razem mnie posłuchaj: nie mieszaj się, zostaw to. Nie rozumiem, odpowiada Brena. No i trudno, mówi Venturini, po prostu to zostaw. Daj spokój, mój drogi. Nie trać na to energii, daję słowo, że nie warto. Potem pogadamy, mam pełno roboty, kończy i żegna się. Jaime Brena patrzy na słuchawkę, nigdy wcześniej komisarz Venturini nie był tak bezceremonialny, tak mało sympatyczny. Może Venturini też powinien złożyć wymówienie, myśli i wychodzi na ulicę na pierwszego dziś papierosa. A raczej na pierwszego w godzinach pracy, bo już palił w domu i po drodze do redakcji. Znowu się zastanawia, co tam u Nurit Iscar i chłopaka z kryminalnego. Jeszcze tego nie wie, ale kiedy skończy palić i wróci za biurko, zostanie w swojej skrzynce mejl z nazwiskiem poszukiwanego człowieka: Emilio Casabets, oraz nowy artykuł Nurit Iscar z wyraźną prośbą adresowaną do niego, żeby go przeczytał i powiedział, co myśli.

Czy istnieje tragiczne przeznaczenie? Niemożliwa do powstrzymania siła, której zdaniem Greków na próżno przeciwstawiano hybris, coś jakby pychę czy beczelną dumę? Na próżno, bo droga ku nie-szczęściu jest równie niepojęta jak nieunikniona.

O czym, do diabła, pisze ta kobieta? Zastanawiasz się pewnie, czytelniku tej gazety.

Chodzi mi o śmierć Chazarrety, rzecz jasna. I być może Glorii Echagüe. Ale piszę też o śmierci czterech przyjaciół Chazarrety, którzy odeszli w ciągu ostatnich miesięcy – przed zamordowaniem Chazarrety i później – ponieśli śmierć w wyniku różnych wypadków. A w każdym razie w okolicznościach sprawiających wrażenie wypadków.

Następujące po sobie zgony związanych ze sobą osób, a w tym przypadku tak było, o ile nie zostały ewidentnie zaplanowane przez jednego albo kilku zabójców, traktowane są zwykle jako działanie tragicznego losu. Jednakże to, że w życiu zdarzają się rzeczy tragiczne, nie oznacza, że za tymi wydarzeniami nie kryje się zbrodnia będąca przecież jeszcze jedną tragedią.

Na przykład rodzina Kennedych. Jej członkowie posiadali władzę gospodarczą, polityczną i lokalną, i to w takim kraju jak Stany Zjednoczone. Joseph Kennedy i Rose Fitzgerald mieli dziewięcioro dzieci. Ich syn Joseph (junior) zmarł w wieku dwudziestu dziewięciu lat, pilotując samolot w czasie II wojny

światowej. John Fitzgerald zginął zamordowany w wieku czterdziestu sześciu lat jako prezydent kraju. Kathleen Agnes zmarła, mając lat dwadzieścia osiem, w katastrofie samolotowej we francuskich Alpach. Robert został zamordowany w hotelu Ambassador w Los Angeles, mając czterdzieści dwa lata, kilka minut po tym, jak zwyciężył w prawyborach prezydenckich. Tragiczną śmierć poniósł też jeden z wnuków klanu, syn Johna F., John-John, także w katastrofie lotniczej, gdy miał lat trzydzieści osiem.

Trzej bracia, jedna kobieta i jeden mężczyzna z trzeciego pokolenia zginęli w wyniku morderstwa lub katastrofy lotniczej. Czy można uznać to za przypadek? Za przeznaczenie? Za tragiczny los? Próbujemy znaleźć jakieś wytłumaczenie dla śmierci i to nie zawsze jest możliwe. Czasami nie pozostaje nam nic innego jak niewygodna świadomość niewiedzy, dlaczego czyjeś życie dobiegło kresu. Dziś wciąż nie wiemy, kto zabił Glorię Echagüe. Mam świadomość, że wielu czytających te słowa żywi przekonanie, że owszem, wiedzą, kto jest sprawcą, że był nim Pedro Chazarreta. Zazdroszczę im, ta pewność daje im wygodę, której ja nie mam. Jednak nawet jeśli nie zgadzamy się w tej kwestii, wiem, że dzielą Państwo ze mną niecierpliwość i potrzebę wyjaśnienia śmierci samego Chazarrety. A ja, jako że trzymałam w rękach fotografię jego przyjaciół, z których tylko jeden ostał się przy życiu, czuję niepokój jeszcze większy. Szukam też odpowiedzi, czy Luis Collazo, José Miguel Bengoechea, Arturo Gandolfini i Marcos Miranda umarli w wyniku przeznaczenia, tragicznego losu, do którego przywiodła ich własna hybris, czy może jednak za tymi zgonami kryje się jakieś wytłumaczenie bardziej ludzkie, bardziej ziemskie, związane z czymś właściwym ludziom, nie bogom, czyli ze zbrodnicą. Takie wyjaśnienie wprowadziłoby mnie w przerażenie, ale zarazem odsunęłoby niepokój, że zgony te mogą być pozbawione sensu.

Jaime Brena kończy czytać i myśli: Ta dziewczyna jest dobra. Bardzo dobra. Tyle tylko ma do powiedzenia? A potem pisze mejl w odpowiedzi: „Bardzo dobrze, Betibu, tekst jest świetny. Któregoś dnia zaproszę Cię do siebie na kolację. Ściskam, Jaime Brena”.

O trzeciej po południu, już w pomieszczeniach redakcji i po przejrzeniu nielicznych i nieistotnych informacji znalezionych w Google’u, chłopak z kryminalnego dzwoni do szkoły San Jerónimo Mártir i prosi o rozmowę z sekretarzem. Danych nie ma zbyt wiele, ostatnie, co widnieje w archiwach, to informacja, że Casabets od kilku lat administruje wiejską posiadłością w Capilla del Señor, gdzie też mieszka. Jakiś adres, telefon, cokolwiek? pyta chłopak. Posiadłość nazywa się „La Colmena”, to jedyna konkretna informacja, jaką mamy, ale jak pan poszuka w Google’u, to na pewno... Tak, jasne, przerywa mu chłopak, dzięki.

La Colmena opisana jest na swojej stronie internetowej jako jedna z pierwszych takich posiadłości w prowincji Buenos Aires, które zostały zaadaptowane do celów turystycznych: ruszt do przygotowywania asado, konne przejażdżki, pakiety weekendowe, grupy zagraniczne, uroczystości. Na stronie widnieje mapka z zaznaczonym dojazdem. Najpierw szosą numer 6, potem Camino de Arroyo de la Cruz, parę kilometrów za zabytkowym centrum Capilla del Señor – zapewnia tekst na stronie – pojawiają się pierwsze znaki informacyjne. Chłopak z kryminalnego bez trudu przekonuje Jaimego Brenę, żeby z nim jechał. Pewnie, móc mogę, przesłałem już swój artykuł i nie sądzę, żeby ktoś za mną tęsknił. Zostawiacie mnie samą? pyta Karina Vives, widząc, że zbierają się do wyjazdu. Jaime Brena odpowiada żartem: Tylko nie wychodź na papierosa beze mnie, nasz związek jest przecież monogamiczny. Chłopak z kryminalnego nie słucha jednak żarciku Breny, bo zamyślił się nad tym, że Karina Vives zwróciła się także do niego, powiedziała: „Zostawiacie mnie samą”, w liczbie mnogiej, co znaczy, że mówiła do Jaimego Breny, lecz także do niego. I to mu się spodobało.

Bierzemy Nurit Iscar? pyta Brena chłopaka, kiedy wsiadają do samochodu, a chłopak mówi, że tak, i dzwoni do niej. Nie zastaje jej, bo kiedy oni ruszają do Capilla del Señor, Nurit idzie przez La Maravillosę, kolejny raz zapomniawszy komórki. Wyszła trochę rozkojarzona, rozmyślając o tym, że kiedy w *El Tribuno* ukaze się artykuł, który właśnie napisała, nie będzie mogła poruszać się po osiedlu z takim spokojem. Wie, że wymienianie z nazwiska – publicznie, i to w jednej z najpoczytniejszych gazet – mieszkańców La Maravillosy i rzucanie w powietrze sugestii, że być może za zgonami kryje się coś, co przynajmniej powinno zostać prześledzone, może się dla niej okazać źródłem kłopotów. Zastanawia się, czy chłopak z kryminalnego i Jaime Brena odkryli coś, co pozwoli im dotrzeć do brakującego kolegi Chazarrety. Jedyne, który żyje. A w każdym razie tak się wydaje. Dziwi się, że jeszcze nie zadzwonili. Obmacuje kieszenie w poszukiwaniu telefonu i zdaje sobie sprawę, że zostawiła go w domu. I dobrze, myśli, nie zaszkodzi przespacerować się trochę poza zasięgiem, tak sobie połączyć nawet bez celu, wybierając drogę w zależności od odcienia zieleni drzew albo zapachu kwiatów, albo ciszy. Zastanawia się nad tym, co właśnie pomyślała, i czuje się nieco pretensjonalnie. Zawsze miała w sobie coś pretensjonalnego, ale lepiej to ukrywała. Z latami wcale nie pogłębiają się ludzkie wady, tylko po prostu wychodzą na wierzch. To, co się ukrywało, w końcu wyłazi. Trudno jej to przyznać, lecz to miejsce, La Maravillosa, całkiem jej się podoba. Gdyby dało się zapomnieć o otaczającym osiedle ogrodzeniu, o wymogach, jakie trzeba spełnić, żeby dostać się do środka, o spojrzeniach niektórych sąsiadów, o tym, że aby kupić antybiotyki, trzeba przejechać minimum dziesięć kilometrów, że nie ma tu transportu publicznego ani ulicznych barów, ani teatrów otwartych przez cały tydzień, można by powiedzieć, że La Maravillosa to fajne miejsce. O tym rozmyśla, o tych wszystkich rzeczach, o których nie tak łatwo zapomnieć, oraz o tym, dlaczego człowiek wybiera jedną drogę albo inną, gdy nagle zdaje sobie sprawę, że stoi przed domem Collaza.

Dziwi ją, że w miejscu jego śmierci nie ma żadnych oznaczeń, że nic nie zagradza drogi, tak jak czerwona taśma przed domem Chazarrety. Gdyby chciała, mogłaby wejść na brukowaną ścieżkę prowadzącą pod drzewo, na którym wisiał ten człowiek, mogłaby podejść pod samo drzewo, dokładnie pod tę gałąź. Tak też robi, idzie ścieżką i zatrzymuje się pod dębem, patrzy do góry, szuka śladów po pętli, która utrzymała ciężar martwego ciała, jakichś otarć, uszkodzeń na drzewie. Dostrzega je, oderwany kawałek kory, wilgotny, jasny pień, jakby spocony. Wyobraża sobie Collaza wiszącego dokładnie w miejscu, gdzie ona teraz stoi. Nieruchome nogi na wysokości jej głowy. Jeśli nikogo już nie ma w tym domu, jeśli nie postawili żadnej straży ani nie otoczyli go plastikową taśmą, to dlatego, że sprawa została uznana za wyjaśnioną: samobójstwo. Zbyt szybko. Gdyby jakiegoś dnia ona, Nurit Iscar, Betibu, postanowiła popełnić samobójstwo, nigdy nie powiesiłaby się na gałęzi. Wyobraża sobie, że to musi boleć, takie wiszenie, ten moment między życiem i śmiercią. Musi boleć. Poza tym nie umiałaby zawiązać odpowiedniego węzła. Myśląc o tym, o węźle, przypomina sobie, że zostawiła na łodzi żonę tego transportowca i jej *Rozplącz supły*. Powinna do niej zadzwonić, żeby się nie niepokoiła, powiedzieć, że za parę tygodni przekaże jej gotowy tekst. Tak robi. Tylko musi skończyć te artykuły. Niedługo. Patrzy na koronę dębu. Nie, ona by się na drzewie nie powiesiła. Podobnie jak nie zdecydowałaby się na rzucanie pod pociąg i strzał w głowę. Takie rozwalenie ciała, które ją okrywało, wydaje się jej nie fair. Zapewne zażyłaby leki, mnóstwo leków, żeby płynnie przejść ze stanu snu do tego drugiego, którego nikt z nas nie zna. Czy każdy człowiek ma swój, właściwy sobie sposób odebrania sobie życia? Czy gdyby Collazo naprawdę się zabił, rzeczywiście powiesiłby się na gałęzi?

W chwili gdy Nurit Iscar wraca do domu, chłopak z kryminalnego i Jaime Brena dostrzegają przy drodze tablicę informującą o dojeździe do posiadłości La Colmena i jadą we wskazaną stronę. Miejsce ma w sobie coś przywodzącego na myśl scenografię, ma w sobie obfitość, jaką osiągnąć można tylko w wyniku świadomych starań. Mijają sektor z napisem „Parking dla autokarów i gości” i zatrzymują się przed bramą, która musiała kiedyś prowadzić do głównych zabudowań gospodarstwa. Zanim zdążą wysiąść z auta, już pojawia się przed nimi kobieta przedstawiająca się jako obsługa. W poniedziałek jesteśmy zamknięci dla gości, mówi. Ścisłe mówiąc, nie jesteśmy gośćmi, wyjaśnia Jaime Brena, szukamy pana Emilia Casabetsa. A w jakiej sprawie? pyta kobieta. Osobistej, odpowiada pośpiesznie Brena, mamy wspólnych znajomych i chcemy z nim porozmawiać, pogadać o pewnych sprawach. Emilio do rozmownych nie należy, mówi kobieta automatycznie, jakby to zdanie nie stanowiło odpowiedzi na słowa Breny, tylko było czymś, co ona powtarza bardzo często. Jestem żoną Emilia, wybrał się na konną przejażdżkę, niedługo powinien wrócić. Kobieta zaprasza ich do środka, pyta, czy się czegoś napiją, ale odmawiają. Proszę sobie nie robić kłopotu, mówi Jaime Brena i czuje, że kobieta przygląda im się czujnie, jakby im nie do wierzała albo jakby on i chłopak z kryminalnego mogli oznaczać jakieś zagrożenie. Brena próbuje wciągnąć ją w rozmowę, lecz ona trzyma dystans, odpowiada tylko tyle, ile trzeba, bez żadnych starań ze swojej strony, żeby podtrzymać konwersację. Emilio do rozmownych nie należy i jego żona również, myśli Brena. Atmosfera robi się trochę ciężka. Chłopak z kryminalnego prosi o pozwolenie na zrobienie zdjęć. Kobieta odpowiada: Bardzo proszę. I ani słowa więcej.

Na ceglanej ścianie, którą mają przed sobą, wisi kolekcja strzemion. A w gablotce różnego rodzaju tykwy do picia mate i rurki *bombillas*. Leżące na podłodze w różnych miejscach dywany to skóry zwierząt: krów, owiec, jagniąt. Na taborecie stoi w charakterze eksponatu siodło, z boku zwisają dwie srebrne *rastras*, gauczowskie ozdoby doczepiane do uprzęży, oraz nóż w pochwie. Wszystkie stereotypowe argentyńskie symbole, myśli chłopak z kryminalnego. Brakuje tylko, żeby ktoś puścił zambę, myśli i podejrzewa, że gdyby to był weekend, zamba pewnie by tu rozbrzmiewała. Za czymś, co wygląda na bar, na ścianie, w której kiedyś ewidentnie były drzwi, lecz zostały zamurowane, wisi wielki herb z wyhaftowanym w górnej części sloganem: Podwyższenie Krzyża Świętego. To faktycznie coś innego, coś, czego wcze-

śniej nie widział. Przedmiot, którego nie wzięłyby pod uwagę, gdyby ktoś wydał mu polecenie: Narysuj typową posiadłość gauczowską. Chłopak obfotografowuje herb z różnych stron. Żona Casabetsa przygląda mu się i nagle zdradza oznaki niepokoju, ale nie ze względu na chłopaka i jego zdjęcia, tylko przez coś na zewnątrz; lekko odwraca głowę, jak pies, który jeszcze przed ludźmi słyszy odgłosy. Jedzie, mówi. I po chwili rozlega się tętent konia. Po kilku minutach otwierają się drzwi i do środka wkracza mężczyzna ubrany od pasa w dół jak do pracy w polu – w luźne spodnie i espadryle – a od pasa w górę po miejsku – w lekko wyblakłą od słońca koszulkę Lacoste'a. W rękę trzyma pognieciony kapelusz. Mężczyzna patrzy na żonę, jakby nikogo prócz niej tam nie było, i mówi: Tak...? czekając, aż mu wytłumaczy, kim są ci dwaj, na których nie patrzy ani się z nimi nie wita. Panowie mają jakichś wspólnych znajomych z tobą i chcieliby porozmawiać. A co to za ludzie, których znam? pyta Casabets, nadal nie patrząc na gości. Luis Collazo na przykład, odzywa się chłopak z kryminalnego. Luis Collazo, powtarza mężczyzna i kieruje się w stronę baru, nalewa sobie whisky, nie proponując jej przybyłym. Czyli Luis Collazo rozmawia o mnie i zalicza mnie do swoich znajomych. Mężczyzna rozsiada się w fotelu pod oknem, zakłada nogę na nogę, wzrok utkwiony ma w szklance whisky, którą kręci, wprawiając płyn w kolisty ruch. Kobieta mu się przygląda. Chłopak z kryminalnego patrzy na Jaimego Brenę, czekając, aż on zadecyduje, co można powiedzieć, a czego nie. Jaime Brena widzi, że nie da się dłużej grać na zwłokę, i mówi: Panie Casabets, będę z panem szczery, znamy Luisa Collaza, nie przyjechaliśmy tu jednak dlatego, że on nas przysłał, tylko dlatego, że jesteśmy dziennikarzami i badamy sprawę serii śmierci znanych panu osób. Czy kogoś jeszcze obchodzi śmierć Glorii Echagüe i Pedra Chazarrety? pyta mężczyzna. Obchodzi wielu ludzi, jak najbardziej, ale nie tylko o nich mi idzie. A o kogo jeszcze? O Gandolfiniego, który zmarł w wypadku samochodowym, o Bengoecheę, który zabił się na nartach, o Marcosa Mirandę zastrzelonego w New Jersey. Marcos Miranda też nie żyje? pyta mężczyzna. Owszem, odpowiada Brena, także Luis Collazo, właśnie znaleziono go powieszzonego. Casabets patrzy na niego spokojnie, bez żadnej reakcji, jakby tego nie usłyszał. Usłyszał jednak, bo po chwili spogląda na żonę, wykrzywia usta w niemal niezauważalnym uśmiešku i mówi: Nikt nie został. Ona nie odpowiada; bez wątpienia jednak wie, o czym jej mąż mówi. Nikt nie został, powtarza Casabets i uśmiecha się teraz już wyraźniej. Brena go poprawia: Owszem, został – pan. I gestem daje znak chłopakowi z kryminalnego, żeby pokazał zdjęcie z grupką przyjaciół Chazarrety. Co to? pyta żona i próbuje przejąć papier, zanim trafi do męża. Daj spokój, mówi Casabets, daj mi to, ty się nie przejmuj, potem ci wytłumaczę... nie ma się co przejmować. Szuka okularów i wraca na miejsce. Ogląda fotografię, przytakując parę razy głową. Obawiamy się, że zgony mężczyzn widocznych na tym zdjęciu zostały zaaranżowane i grozi panu niebezpieczeństwo, tłumaczy chłopak z kryminalnego. Casabets się śmieje. Pokazuje palcem siebie na fotografii. Temu, co tu jest, nic się stać nie może, zmarł już dawno, dawno temu; jeśli się nie mylę, kilka dni po zrobieniu tego zdjęcia. Emilio, odzywa się kobieta, może... Może nic, przerywa jej, czy ty też nie rozumiesz, że ten tutaj umarł? Tak, rozumiem, ale... zaczyna żona, lecz on jej znów przerywa: Jeśli wszyscy z tego zdjęcia nie żyją, znaczy, że zasługiwali na to. Prócz tego chłopaka, mówi i pokazuje na siebie, on nie zasługiwał na śmierć, a i tak go zabili. Któregos dnia ktoś musiał wymierzyć sprawiedliwość. Sprawiedliwość za co? pyta Brena. Mężczyzna spogląda na niego niezycżliwie. Nie słucha pan? mówi i dopija whisky jednym haustem. Kto wymierzył tę sprawiedliwość? dopytuje chłopak. Pewnie Bóg, odpowiada mężczyzna. Mam wrażenie, że za śmiercią tych ludzi stoi człowiek, nie Bóg, stwierdza Brena, więc jeśli to człowiek, to kim mógłby być? Casabets zamyśla się, nie chce grać w grę Jaimego Breny, ale nie jest w stanie się oprzeć. Ponownie bierze zdjęcie i przygląda mu się w skupieniu. Myśli, nie sprawia wrażenia zaniepokojonego, tylko myśli. Jeśli konieczne było wymierzenie sprawiedliwości, musiało dojść do jakiegoś przestępstwa, jakie przestępstwo zostało tu popełnione? nie odpuszcza Brena. I kto wymierzył sprawiedliwość? Jeśli nie Bóg... odzywa się Casabets, sprawia wrażenie, jakby przyjął to wyzwanie, i nie przestając wpatrywać się w zdjęcie, uśmiecha

się tak, jakby wreszcie coś zrozumiał. Jeśli nie Bóg. . Kto? ponawia pytanie Brena. Mężczyzna to wie, widać, że wie, Brena jest pewien, że teraz, kiedy już odrzucił opcję z Bogiem, wie. To zdjęcie zrobiliśmy jakoś w okolicach tamtego dnia, mówi mężczyzna. Jakiego dnia? Starczy, odzywa się kobieta, proszę, niech panowie nie naciskają. Zostaw ich, mówi Casabets, zostaw. A potem patrzy na chłopaka z kryminalnego i zadaje mu pytanie: Ile osób jest na tym zdjęciu? Sześć, odpowiada chłopak. Błąd, stwierdza Casabets. A pan, zwraca się do Breny, pan zdaje mi się bardziej doświadczony, ilu pana zdaniem tu jest ludzi? Obawiam się, że mimo swojego doświadczenia też widzę sześciu. Szkoda, stwierdza Casabets, przegapiliście to co najważniejsze: trzeba widzieć to, czego nie widać. Tego dnia, którego nie zamierzam wspominać, byliśmy tam wszyscy, mówi, ci, których widać, i ci, których nie widać. Tak jak na zdjęciu. Casabets rzuca fotografię na stół i mówi dalej: Czasami świadkowie mają najgorzej, spada na nich ból jeszcze większy niż na ofiarę, winią się za to, że nie mogli zapobiec nieszczęściu, że niczego nie zrobili. Wstaje. Jak mogłem o nim zapomnieć? O kim? pyta Brena. Tylko on i ja mogliśmy ich zabić... a ja jestem tchórzem. Casabets urywa, dopija resztkę whisky, odstawia szklankę na bar i zachowuje się tak, jakby nie słyszał pytania Breny. Patrzy na herb z Podwyższeniem Krzyża, przystaje tak na chwilę, stojąc plecami do nich, patrząc na krzyż. A może patrzy na zamurowane drzwi. Kto to mógł wyhaftować? zastanawia się. A potem odwraca się do nich, uśmiecha i mówi: Wierzyć się nie chce. Co to za godło? pyta Jaime Brena. Herb Podwyższenia Krzyża Świętego, okręgu, do którego należy Capilla del Señor, nasza miejscowość. W 1940 roku jej burmistrz, niejaki Botta, zlecił wykonanie godła, które by nawiązywało do wydarzeń historycznych. Herb jest jak serce, prawda? Dwa przedsionki, dwie komory. Miałem studiować medycynę, zostać lekarzem, ale wcześniej... Casabets zamyśla się na chwilę, lecz nie dzieli się swoimi myślami, a po chwili podejmuje wątek: Projekt zrobił José Peluso, sekretarz rady miejskiej. Lewy przedsionek? pyta Casabets i pokazuje pierwszą część herbu. Krzyż, odpowiada Jaime Brena. Tak, bardzo dobrze, krzyż, symbolizuje założenie miasteczka przez Francisca Casca. Prawy przedsionek? tonem nauczyciela szkolnego pyta chłopaka z kryminalnego. Może to powóz jakiś? zastanawia się chłopak. Tak, powóz, powóz, na którym jechał wizerunek Matki Boskiej i który zatrzymał się po drugiej stronie drogi numer sześć, dając początek legendzie o Matce Boskiej z Luján. Bo tak naprawdę to wszystko legendy, moja legenda, wasza, Matki Boskiej, prawda? mówi i patrzy na Brenę. W tym się zgadzamy, odpowiada Brena. Lewa komora: dwa kłosa pszenicy symbolizujące żyzność ziemi, oraz prawa komora: pióro, bo właśnie tutaj Rivadavia założył pierwszą szkołę publiczną w 1821 roku. I co jeszcze widzicie? pyta. Niech pan nam coś podpowie, prosi Jaime Brena. Srebrna nić, mówi Casabets i pokazuje: Widzicie tę szarą linię rozdzielającą stronę prawą od lewej? To Strumień Krzyża. Emilio Casabets wzdycha, sprawia wrażenie zmęczonego. Idę się na chwilę położyć, oznajmia i podchodzi do kobiety. Całuje ją w usta. Spokojnie, mówi do niej, spokojnie, już po wszystkim. I rusza w stronę części mieszkalnej. Odprowadź ich do bramy, prosi i wtedy ostatecznie wychodzi. Kobieta się podnosi: Panowie pozwolą. Jaime Brena patrzy na nią przez chwilę. Może nam pani coś z tego wyjaśnić? Nie ma tu nic do wyjaśniania, odpowiada mu, mój mąż powiedział już, co miał do powiedzenia, chodźmy, odprowadzę panów. Jednakże Jaime Brena nalega: Proszę pani, szanuję prawo do milczenia pani i pani męża, ale prawda jest taka, że może mu grozić niebezpieczeństwo. Dlaczego ten, kto pozabijał jego przyjaciół, nie miałby teraz tu przyjść i zabić jego? To nie byli jego przyjaciele, szorstko odpowiada kobieta, i nikt po niego nie przyjdzie, bo Emilio niczego nie zrobił. A tamci co zrobili? Kobieta nie odpowiada. Teraz odzywa się chłopak: Ktoś, kto zabija albo zleca zabicie pięciu osób, nie rozumuje tak jak my, nie używa tej samej logiki, to zabójca, naprawdę pani myśli, pani Casabets, że wie pani, co się dzieje w głowie zabójcy? Naprawdę pani sądzi, że każde zabójstwo ma logiczne wyjaśnienie, które możemy zrozumieć? Kobieta zaczyna się wahać. Jaime Brena dostrzega to i daje gestem znak chłopakowi, żeby jeszcze przycisnął, bo dobrze celuje. Jeśli zabójca uważa, że pani mąż może go wydać, naprawdę sądzi pani, że nie przyjdzie tu po niego, nawet jeśli niczego nie

zrobił? pyta chłopak. Kobieta przygląda mu się przez chwilę, a potem mówi: Poczekajcie na mnie, panowie, przy bramie, zaraz do was dołączę.

Pięć minut po tym, jak Jaime Brena i chłopak z kryminalnego doszli pod bramę, żona Casabetsa podjeżdża tam fordem rangerem liczącym już ładnych parę lat i z solidnie ubłoconymi kołami. Widząc, że Jaime Brena pali, prosi go o papierosa. Emilio nie lubi, kiedy palę, mówi, zaciągając się. Pan też uważa, że mojemu mężowi grozi niebezpieczeństwo? pyta Brenę. Tak uważam, proszę pani, naprawdę, odpowiada Brena stanowczo. Kobieta zamyśla się na krótką chwilę, zaciąga się jeszcze dwa, trzy razy i dopiero wtedy zaczyna opowiadać, co wie.

Dacza to była grupka kumpli, którzy wchodzili w dorosłość, to ci, co są na zdjęciu, widzieli ich panowie. Bawili się tak jak wyrostki w tamtych czasach, a do tego zawsze, kiedy tylko nadarzała się okazja, znęcali się nad bliźnimi. To była dla nich największa frajda: dokuczać innym. Kobieta zaciąga się głęboko. Jaime Brena i chłopak z kryminalnego czekają. Ona wypuszcza dym i kontynuuje: Kiedy ci z Daczy pojawiali się na imprezie albo na jakimś spotkaniu, wszystko się zatrzymywało i zaraz stawali się centrum wydarzeń. Albo dlatego, że reszta ich podziwiała, albo dlatego, że się ich bano. To była taka paczka „niegrzecznych chłopaków” i jeśli nie można się było do nich przyłączyć, należało przynajmniej być z nimi w dobrych stosunkach. I Emilio, choć się ich bał, chciał być jednym z nich. Kobieta zaciąga się jeszcze dwa razy, potem rzuca niedopałek na ziemię i rozdeptuje czubkiem buta. Żeby zostać przyjętym, mówi, nowy musiał przejść przez próby inicjacyjne: włamać się do opuszczonego wagonu kolejowego, wypić mocz, przejść jakąś niebezpieczną ulicę po ciemku, wejść o północy na cmentarz. Jego, Emilia, Chazarreta zmusił do czegoś więcej. Kobieta milknie, nie sprawia wrażenia, jakby zrobiła przerwę, tylko jakby skończyła opowieść albo jakby chciała, żeby wszystko skończyło się tym zdaniem: „Jego, Emilia, Chazarreta zmusił do czegoś więcej”. Oczywiście nabiegłe krwią ze złości. Prosi o jeszcze jednego papierosa. Jaime Brena wyciąga paczkę w jej stronę, czeka, aż się poczęstuje jednym i włoży papierosa w usta, i wtedy podaje jej ogień. Kobieta nadal milczy. Co mu kazali zrobić? pyta Brena, żeby skłonić ją do podjęcia wątku. Ona zaczyna z trudem: Tak naprawdę nie tyle kazali, bo nie o jakieś polecenie chodzi, ile po prostu mu to zrobili, mówi i załamuje jej się głos. Przepraszam, ale muszę to zrozumieć, co takiego mu zrobili? nalega Brena. Wie pan, niech mi pan nie każe mówić, prosi kobieta z zębami zaciśniętymi z wściekłości, wie pan. Brena patrzy jej prosto w oczy, rozważając, czy wypowiedzieć to, czy nie, starając się wyczuć, czy kobieta prosi go o milczenie, czy żeby wreszcie to, co się wydarzyło, ktoś nazwał słowami, bo tak będzie mniej boleć, o ile to możliwe. Wtedy Jaime Brena decyduje się i mówi: Chazarreta go zgwałcił. Kobieta zaciska szczęki jeszcze mocniej, po policzkach ciekną jej łzy, duże, ciepłe, jakby obce, nie należące do niej. Potem poprawia: Nie sam Chazarreta, wszyscy. I wypowiedziawszy to, wybucha niepohamowanym płaczem. Szloch i słowa zlewają się w jedno. Cała piątka, mówi, szlochając, zgwałciła go cała piątka. Płacz kobiety, choć naturalny, sprawia, że obaj mężczyźni czują się niezręcznie; chłopak z kryminalnego robi ruch, jakby chciał podejść, lecz Brena go powstrzymuje gestem i mógi bezgłośnie: Daj się jej wypłakać. Kobieta stopniowo się uspokaja i mówi dalej: Od trzydziestu lat jesteśmy małżeństwem, ale o niczym nie wiedziałam, nigdy mi nic nie mówił, nigdy. Opowiedział mi o wszystkim dopiero jednego wieczora, krótko po tym, jak zamordowano Glorię Echagüe. Nie był w stanie tego wcześniej z siebie wyrzucić, rozumie pan. Ci jego znajomi zaczęli pojawiać się w telewizji, w prasie i to wspomnienie koszmaru, które dotąd było gdzieś schowane, martwe – wróciło. Kobieta wyciera łzy, bierze głęboki oddech, próbuje mówić spokojnie, chociaż trudne jest to, co ma do powiedzenia. Opowiedział mi wszystko o tym, jak go gwałcili jeden po drugim, opowiedział mi wszystko ze szczegółami, czym śmierdziało w tym pomieszczeniu, o uderzeniach, krzykach, o tym, jak haratał twarzą po ceglanej ścianie, o bólu, śmiechach, potem wstydzie i ciszy. Kazał mi przysiąc, że nigdy więcej nie wrócimy do tego tematu. Emilio nigdy nikomu o tym nie powiedział, wie pan, nawet rodzicom. Nie był w stanie.

Kobieta znów płacze. Jak ktoś może przez tak długi czas zachować milczenie o czymś takim? pyta. On wszystko pochował, zabił tego, kim był, urodził się na nowo, jak tylko mógł, jako inna osoba. Takiego go poznałam, innego człowieka. Nigdy się nie dowiem, jaki był chłopak na tym zdjęciu. Kiedy pojawili się ci ludzie, wróciły martwe wspomnienia, ale nie żeby przywrócić tego Emilia sprzed lat, tylko żeby mu przypomnieć, że wtedy umarł. On ich odnalazł wszystkich, potrzebował tego, rozmawiał z nimi, nawet z Mirandą, kiedy pojawił się z wizytą w kraju. Wszystkiego się wyparli. Jakby niczego takiego nie było. Jakby mu odbiło. Emilio chciał tylko, żeby przyznali się do krzywdy, jaką mu wyrządzili, żeby poprosili o przebaczenie, ale nie; nawet takiego drobiazgu, skurwysyny, nie chcieli dla niego zrobić. To był duży cios dla mojego męża. Wtedy przyszło mu do głowy, żeby kupić ten dom i te tereny, uparł się, nie były wcale na sprzedaż, złożył jednak właścicielom tak dobrą ofertę, że ich przekonał. Ja nie chciałam, sprzeciwiałam się z wszystkich sił, zdałam sobie jednak sprawę, że nie jestem w stanie go powstrzymać. To musiała być ta posiadłość. Ta i żadna inna. A co tu jest takiego szczególnego? pyta chłopak z kryminalnego, niemal obawiając się odpowiedzi, której się domyśla. To była przed laty dacha rodziców Chazarrety, mówi kobieta. Drży jej broda, lecz nie chce już płakać, hamuje się i mimo tego dygotu mówi dalej: Miejsce, gdzie zgwałcili mojego męża, miejsce, gdzie zabili tego, kim do tamtego dnia był. Kiedy tamci wszystkiego się wyparli, on tu wrócił, poszedł do piwnicy, gdzie to wszystko się stało, potrzebował zmierzyć się z tymi niemymi świadkami, ścianami, cegłami. Potrzebował potwierdzenia, że nie oszalał. I tak się stało. To było to miejsce, ten zapach, ta sama wilgoć. Kupiliśmy tę posiadłość i krótko potem przeprowadziliśmy się tu. Cały tydzień przesiedział tu w środku, z nikim nie rozmawiał, prawie nie jadł. A kiedy wyszedł, własnoręcznie zamurował te drzwi na zawsze, te, co są schowane teraz za gobelinem z herbem Podwyższenia Krzyża. Zamurował je. Od tego dnia nigdy nie wrócił do tematu ani nie opuścił naszej posiadłości, nie licząc wyjazdów do miasteczka do banku, do lekarza i zaraz z powrotem do domu. Kobieta znówu płacze. Chłopak z kryminalnego idzie do auta po butelkę wody. Podaje jej, ona pije i wyciera sobie niezgrabnie łzy. Niczego nie wiedziałam, żyłam u jego boku i nie wiedziałam, aż pewnego cholernego dnia ktoś zabił Glorię Echagüe i wszyscy oni nagle się pojawili. Wie pani, kogo mąż podejrzewa o tę zbrodnię? Nie, nie wiem i nie sędzę, żeby mi powiedział, nie będzie o tym rozmawiał. Proszę tak czy inaczej spróbować, prosi Brena. Przysięgłam, że nigdy więcej nie będę o tym mówić, odpowiada kobieta. To naprawdę wyższa konieczność, upiera się Brena. Nie wiem, czy dam radę. Jeśli tak się stanie, jeśli mąż poda pani jakąś informację, która może okazać się przydatna, proszę do mnie zadzwonić, mówi Jaime Brena i podaje jej wizytówkę. A jeśli panowie odkryją coś, co może oznaczać niebezpieczeństwo dla mojego męża, proszę mi też dać znać, prosi kobieta. Może pani być spokojna, że tak zrobimy.

Jadą kilka kilometrów bez słowa – nie dlatego, że nie mają o czym rozmawiać, tylko dlatego, że nie mogą. Zmierzcha i w lusterku wstecznym chłopak z kryminalnego widzi wciąż jeszcze rozjarzone słońce, które chowa się za horyzontem. Jak to możliwe, że postanowił tu zamieszkać? pyta, kiedy wjeżdżają na Panamericanę i skręcają w stronę La Maravillosy. Nie wiem, stwierdza Brena, naprawdę nie wiem. Mam teorię, przyznaje chłopak z kryminalnego, mogę powiedzieć coś strasznego, nawet jeśli to nie jest politycznie poprawne? Możesz, ja mam powyżej uszu politycznej poprawności. Czasami mam wrażenie, że kobiety są lepiej od nas przygotowane na coś takiego, mówi chłopak, gwałt to coś, czego się boją, ale mają świadomość, że coś takiego istnieje. Ktoś w jakimś momencie ich życia uprzedził je, że męczyzna może im zrobić krzywdę, że muszą uważać, nie powinny chodzić w niebezpieczne, ciemne miejsca, płatać się przy szosach i tak dalej, o tym wszystkim matka mówiła mojej siostrze, a mi już nie. Z facetami jest inaczej, my nie rozmawiamy o takich sprawach, nie dotyczą nas, nikt nas nie uprzedza, że też możemy zostać zaatakowani, zgwałceni, więc kiedy dochodzi do czegoś takiego, jesteśmy kompletnie pogubieni, bezradni, martwi, tak jak stało się z Casabensem, bo to, co się stało, nie mogło się stać, nie nam, wątpimy

nawet we własne zmysły: to, co się stało, wcale się nie stało, to niemożliwe, nieprawdziwe. Może u Casabetsa to, że po tych wszystkich latach kłamali mu w oczy, że sprawili, że zwątpił w swoje przeżycia, że gwałciciele nawet dziś przeczą temu, co zrobili, wywołało efekt jakby nowego gwałtu. Najpierw zgwałcili jego ciało, a potem jego świadomość i pamięć. I ból. Pierwszemu gwałtowi zaradzić nie mógł, drugiemu owszem, jadąc tam, gdzie doszło do tej tragedii, rozpoznając te ściany, szukając świadków, niemych, ale wiernych, odzyskując wspomnienia, które od lat próbował zabić. Żeby potem znów móc je zabić w świadomym akcie, w wyniku własnej decyzji, zamurować je za ścianą i zawiesić na niej herb, który przypomina zranione serce przeszyte srebrną nicią. Chłopak milknie, Brena mu się przygląda. Głupoty gadam? pyta chłopak. Nie, powiedziałaś prawdę i ładnie powiedziałaś, sensownie, literacko niemal. Któregoś dnia będziesz naprawdę dobrze pisał, zobaczysz, jeśli trochę więcej poczytasz, zaczniesz naprawdę dobrze pisać.

Podjeżdżają pod bramę, nie przejmują się czasem oczekiwania ani tymi wszystkimi kontrolami, przez które muszą przejść. Nie dziś. Dziś nie ma miejsca na sprzeczki czy irytację. O co ochroniarze proszą, to im chłopak z kryminalnego daje. A Jaime Brena czeka, nie zdradzając w ogóle niecierpliwości. Kiedy docierają pod dom Nurit Iscar, ona już czeka na nich na zwirowej alejce. Ledwie ich widzi, od razu wyczuwa, że ci dwaj sprawiają wrażenie, jakby ich pociąg przejechał. Parzy kawę, a oni opowiadają. Czy jest jakaś możliwość, że zabójcą jest sam Casabets? pyta Nurit. Nie, zdecydowanie to odrzucam, odpowiada Brena, myślę, że po tych wszystkich latach z zabójcami i ofiarami coś tam wiem i ten człowiek nie byłby w stanie nikogo zabić. Poza tym, jak powiedziała żona, Casabets od trzech lat nie rusza się ze swojej posesji, dodaje chłopak z kryminalnego. Sprawiał wrażenie szczerego, rzeczywiście zaskoczonego śmiercią Mirandy i Collaza, acz też nie próbował okazywać najmniejszego smutku ani z powodu ich śmierci, ani żadnego innego członka paczki. Teraz staje się zrozumiałe, dlaczego Collazo bardziej bał się ujawnienia prawdy, niż że jego też mogą zabić, zauważa Nurit. Tak, to zrozumiałe, przyznaje Jaime Brena i prosi chłopaka, żeby jeszcze raz wyjął zdjęcie i pokazał Nurit. Klucz tkwi w tej fotografii, widziałem to na jego twarzy. Casabets powiedział, że jest jeszcze siódma osoba, której nie widzimy, i dał do zrozumienia, że to ona, że nie tylko była świadkiem wydarzeń, ale też jest zabójcą. Nurit bierze zdjęcie i przygląda mu się z uwagą. Masz lupę? pyta Brena. Może jest tu jakiś szczegół zbyt mały, żeby go widzieć, jakaś ukryta za nimi stopa czy ręka. Nurit nie odpowiada, nie wie, czy w domu jest lupa ani jej to zbyt nie obchodzi, skupia się na fotografii. Widzisz coś? pyta Brena. Tak, coś tam widzisz, sam sobie odpowiada. Trudno powiedzieć, żebym widziała, zauważa Nurit, nie przyszło wam do głowy, że to, czego szukamy, możemy być schowane nie za, tylko przed? Przed czym? dziwi się Jaime Brena. Jak to przed? pyta chłopak z kryminalnego. Zdjęcie jest świadectwem rzeczywistości, a świadkiem jest fotograf. Zawsze jest jakiś fotograf. I to jest siódma osoba, mówi Nurit. Fotograf, powtarza Brena. Musimy ustalić, kto zrobił to zdjęcie, stwierdza chłopak z kryminalnego, można by ponaciskać na żonę Casabetsa. Nie musimy nikogo pytać, mówi Jaime Brena, ja wiem, kto zrobił to zdjęcie. Kto? pyta Nurit. Roberto Gandolfini, chodził z nimi wszędzie, używali go jako chłopca na posyłki, acz do grupy nie należał. On zrobił to zdjęcie. Jesteś pewien? pyta Nurit. Prawie, odpowiada Brena, matka zmuszała jego przyrodniego brata, żeby wszędzie go ze sobą brał, nawet na zjazd absolwentów szkoły. Zrobiła z niego balast dla starszego. Wyobrażasz sobie, jak musieli przepadać za nim ci faceci? Wyobrażam, stwierdza chłopak z kryminalnego, nad nim pewnie też się znęcali. Jestem pewien, że też był na dacy Chazarretów tego dnia, mówi Brena. To on jest świadkiem. Mścicielem. Czy taki ból, ból bycia świadkiem wyprawianych przez nich okropieństw, wystarcza, żeby wszystkich ich pozabijać? zastanawia się chłopak z kryminalnego. Co jest wystarczającym powodem do zabójstwa, a co nie, to pytanie bez logicznej dla nas odpowiedzi, stwierdza Brena. Jeśli to on, wyjaśnia się, dlaczego wiadomość o śmierci Mirandy w New Jersey pojawiła się kilka godzin po tym, jak ci o niej powiedział, zauważa chłopak z kryminalnego, bo on wiedział o tym przed

wszystkimi. Nie rozumiem tylko, dlaczego powiedział, że szósty członek grupy nazywa się Vicente Gardeu. Gandolfini doskonale wiedział, jak się nazywał ten szósty oraz kim jest Vicente Gardeu. To było ostrzeżenie dla Breny, mówi Nurit, chciał, żeby zrozumiał, kiedy już pozna prawdę. Ale żeby co zrozumiał? pyta chłopak z kryminalnego. Z kim zadziera. Gandolfini stawiał się na to spotkanie, żeby cię ocenić, żeby sprawdzić, któż taki wypytuje o niego i jego zmarłych, konkluduje Nurit Iscar. Teraz ona patrzy na Jaimego Brenę i odzywa się do niego: Chciał, żebyś wiedział, że on wie; chciał, żebyś pojął, jeśli kiedyś zrozumiesz, że tego dnia, kiedy spotkaliście się w barze, on już wiedział. Wiedział, kim jesteś i po co chciałeś się z nim spotkać. To było ostrzeżenie. Albo taki popis, mówi Jaime Brena, może chciał się pochwalić swoimi wyczynami. Myślę, że to coś więcej, stwierdza Nurit, myślę, że chciał ci pogrozić. Cała trójka milknie, nikt nie polemizuje z teorią Nurit. I co teraz? pyta chłopak z kryminalnego. Na razie mamy tylko domniemania, mówi Jaime Brena, acz możemy być całkiem blisko prawdy. Gandolfini siedzi w biznesie, ma wpływy i dostatecznie dużo kasy, żeby opłacić najemnika albo kilku, jest w stanie zlecić likwidację swojego brata i jego kolegów, załatwić ludzi, którzy zabili każdego z nich w stosowny sposób. Jeśli tak rzeczywiście było, jutro się to potwierdzi, podsumowuje Jaime Brena. A co takiego stanie się jutro? pyta chłopak z kryminalnego. Pójdę do niego i przedstawię mu naszą teorię. Chyba zwariowałaś, mówi Nurit, właśnie powiedziałam, że ten facet ci groził, a ty zamierzasz ot tak iść do niego? Odpuść, Brena, popiera ją chłopak z kryminalnego, to niebezpieczny typ. Nie dla mnie, dlaczego miałyby coś mi zrobić? Bo wiesz. Nie sądzę, żeby to go specjalnie obchodziło, w końcu nie mamy żadnego dowodu. Ostrzegali cię tego dnia w barze, groził ci, powtarza Nurit. Ale nie zabił mnie, od jakiegoś czasu wie, że wiem, i niczego mi nie zrobił, odpowiada Brena. Nie wydaje mi się zbyt rozsądne, żebyś do niego szedł, co mu powiesz, czego się niby dowiesz? mówi chłopak z kryminalnego. Jaime Brena przerywa mu: Taką mam pracę, stwierdza stanowczo. Chłopak wygląda na przejętego, Nurit też. Iść tam to szaleństwo, mówi Nurit, on tylko na to czeka. Taką mam pracę, powtarza Brena. Chłopak patrzy na niego, waha się, a potem, zdecydowany już, stwierdza: Nie, to nie jest twoja praca, teraz jest moja, ty nie pracujesz w dziale kryminalnym. Jaimego Brenę zaskakuje ta odpowiedź. Czuje się rozbrojony, niemal urażony. Oczywiście wie, że nie pracuje w tym dziale, lecz przez te dni spędzone z chłopakiem i Nurit Iscar wróciło do niego wrażenie, że mimo wszystko, mimo przeniesienia, mimo Rinaldiego, mimo idiotycznych artykułów, które musi przygotowywać i pisać, znowu jest tam, gdzie chce być. Ale nie. To było tylko złudzenie. Jaime Brena patrzy na Nurit Iscar, która nie mówi nic, widać jednak, że jej milczenie potwierdza to, co powiedział chłopak, nawet jeśli chodzi tylko o to, żeby Brenę chronić. Kręci parę razy głową, wzdycha, wydaje się, jakby miał coś powiedzieć, lecz wstrzymuje się, wyciąga portfel i z niego wizytówkę, którą parę dni temu dał mu Gandolfini, i rzuca ją na stół. Skoro to teraz twoja praca, tutaj masz adres, mówi do chłopaka, jeśli się odważysz. Potem chowa portfel, wkłada marynarkę i żegna się: Powodzenia. Dokąd idziesz? pyta Nurit. Do domu, odpowiada. Ale jak? Pójdę do bramy i tam zamówię taksówkę. Nie bądź taki, mówi chłopak, przecież mogę cię podwieźć. Jestem taki, jestem, odpowiada Brena, czasami dobrze być takim, to pomaga zachować godność. A w czasach, kiedy otacza cię wszędzie samo gówno, trzeba umieć utrzymać się na powierzchni. Jaime Brena czyni gest, jakby uchylał kapelusza, którego nie ma na głowie, tym razem tylko w stronę Nurit Iscar, i wychodzi. Chłopak siedzi ze zmartwioną miną. Ja go chciałem tylko powstrzymać, mówi. Wiem, odpowiada Betibu, i Jaime Brena też to wie. Doskonale wie. Ale jest uparty i uważa się za nieśmiertelnego, bardzo niedobre połączenie. I co teraz? pyta znów chłopak z kryminalnego. Nie wiem, mówi Nurit, jeszcze nie wiem. Może najlepiej będzie zrobić sobie parę godzin wolnego, żeby się zastanowić. Odpocznijmy i jutro zdecydujemy, co robić. Tak jak powiedział Brena, mamy tylko podejrzenia, nawet jeśli w nie wierzymy. Co ty na to? Dobry pomysł, stwierdza chłopak z kryminalnego. To chodź, mówi Nurit, zanim ruszysz znowu w drogę, napijemy się kawy, chodźmy do kuchni. Nurit Iscar pokazuje mu drogę. Włącz ekspres, a ja spuszczę zasłony, dodaje. Chłopak potakuje i wychodzi, ale ona

wcale nie robi tego, co powiedziała. Zawraca, bierze wizytówkę z adresem Gandolfiniego, którą Brena rzucił na stół, przygląda się jej, chowa ją do kieszeni spodni i teraz już naprawdę idzie zaparzyć kawę.

O jedenastej rano przysłany z gazety samochód wjeżdża do La Maravillosy po Nurit Iscar. Poprzedniego wieczora poprosiła kierowcę, żeby przyjechał wcześniej, ale przypomniał jej, że mieszka w Lanús i że stamtąd „ciężko będzie dojechać”. Nurit zastanawia się nad tym przysłówkiem dopełniającym czasownik: „ciężko dojechać”; waha się, czy nie powinno się powiedzieć „trudno będzie przyjechać”; albo dodać zaimek i powiedzieć „ciężko mi będzie dojechać”. Nie może się zdecydować. Podczas gdy tak traci czas na czcze spekulacje językowe – od dzieciństwa, kiedy jest zdenerwowana, skupia się na użyciu słów, żeby pozbyć się myśli, które ją wytrącają z równowagi – kierowca upiera się przy swoim: Wie pani, jak o tej godzinie wygląda aleja Pavón? A ona nie wie, lecz może sobie wyobrazić. Tak naprawdę Nurit nie musi się śpieszyć, mobilizuje ją tylko niepokój i obawa, że w każdej chwili może do niej zadzwonić chłopak z kryminalnego, pytając o wizytówkę Gandolfiniego, którą zostawił mu Jaime Brena i której nie zabrał. Poprosiła Anabellę, żeby znów przysłała na parę godzin i wysprzątała dom; mówiła jej wprawdzie wcześniej, że zatrudnia ją tylko na weekendy, ale wygląda na to, że nie będzie już długo mieszkać w La Maravillosie, więc przed wyprowadzką chce wszystko zostawić w takim stanie, w jakim zastała. A nawet w lepszym. Komórkę ma w torebce na wszelki wypadek, wyłączyła ją jednak: woli, żeby Jaime Brena albo chłopak jej nie namierzyli; w przeciwnym razie będą chcieli ją powstrzymać tak jak ona ich.

Przed szlabanem kierowca oddaje kartę, którą mu dali przy wjeździe, a potem ochroniarz sprawdza mu bagażnik – „Pan pozwoli?” – i wyjeżdżają. Wyjechać zawsze łatwiej, niż wjechać, stwierdza kierowca. I Nurit znów zamyśla się nad rzeczą tak abstrakcyjną jak to zdanie, pięć słów, i zastanawia się, czy to nie byłby dobry tytuł dla jej następnego tekstu o La Maravillosie, być może ostatniego artykułu Nurit Iscar: „Wyjechać zawsze łatwiej, niż wjechać”.

W chwili gdy samochód przejeżdża przez bramę La Maravillosy, kierując się w stronę biur Gandolfiniego, chłopak z kryminalnego wychodzi z domu do redakcji. Martwi się, że jego przyjaźń z Jaimem Breną ucierpiała, lecz musiał go jakoś powstrzymać. Może powinien był zrobić to inaczej, lepiej wyjaśnić powody i nie uciekać się do ciosów poniżej pasa, przede wszystkim nie wspominać wydalenia Breny z działu kryminalnego, bo przecież, i dziś chłopak dobrze to wie, Brena nigdy tego działu nie opuści. Ale wczoraj to zdanie: „Nie, to nie jest twoja praca, teraz jest moja, ty nie pracujesz w dziale kryminalnym” było jedynym, jakie przyszło mu do głowy. Teraz, kiedy jest już za późno, przychodzą mu do głowy inne, znacznie lepsze zdania. Mógł mu nawet zaproponować wspólną wizytę u Gandolfiniego. Przestraszył się, miał wrażenie, że Jaime Brena pcha się prosto w paszczę lwa. Musiał działać stanowczo. Jednakże – i tego sobie wybaczyć nie może – wie, że był nie tylko stanowczy, lecz też okrutny.

Kiedy samochód wiozący Nurit Iscar mija bramki na autostradzie, chłopak wsiada do taksówki, a Jaime Brena wychodzi z domu i zamierza iść do pracy pieszo. To dwadzieścia przecznic, jest w nie najlepszej kondycji fizycznej, lecz chce się przejść. Potrzebuje tego. Potrzebuje pomyśleć. Na pierwszym przejściu dla pieszych, gdzie zatrzymuje go czerwone światło, stoi przy krawężniku obok wyprowadzacza psów. I jego stada: plątaniny smyczy i harmidru szczeknięć. Tego by nie chciał, nie chciałby mieć psa, którego by wyprowadzał ktoś inny z całą sforą zwierząt zapewne rozżalonych na swoich właścicieli. On, Jaime Brena, chciałby psa właśnie po to, żeby chodzić z nim na smyczy. I żeby szli razem do parku, żeby pies merdał ogonem, kiedy on będzie wracał do domu. Tylko takie towarzystwo byłbym w stanie wytrzymać w domu, myśli. Stopniowo zmieniłem się w samotnika, rozmyśla Jaime Brena, przyglądając się dalmatyńczykowi, który patrzy na niego z przekrzywionym łbem i macha przyjaźnie ogonem. Uważa, że sa-

motny był jeszcze przed rozstaniem z Iriną. Samotność jest stanem wewnętrznym, którego można doświadczać, nawet przebywając z innymi, tak uważa. I oczywiście tamci inni, o ile nie są takimi samymi samotnikami, w końcu mają tego dość. Tak jak Irina. I uważa też, że właśnie to, samotność, paradoksalnie zbliża go do niektórych ludzi. Samotność, która łączy. Bractwo samotników. Na przykład z Kariną Vives. Z chłopakiem z kryminalnego, choć dziś nie chce go widzieć na oczy. Z Nurit Iscar. Nurit Iscar, gotów się założyć, jest samotną kobietą, nawet jeśli otoczona przyjaciółkami. Samotniczką do szpiku kości, to widać. Tak jak widać to po nim. Bycie samotnikiem to coś fundamentalnego, sposób życia, coś, co z upływem czasu wcale się nie zmienia, nawet jeśli dom zapełni się ludźmi. Gdyby on i Nurit Iscar mieli kiedyś coś tam razem zdziałać, stać się czymś w rodzaju pary, i tak dalej będą samotni. Szczęśliwi być może, dbający o siebie, cieszący się dobrym towarzystwem i dobrym seksem, ale wciąż samotni. I wcale nie brzmi to źle, właściwie wydaje mu się, że to mógłby być model związku, jaki jest mu potrzebny: spędzić resztę życia u boku takiej samej samotniczki jak on. Tylko samotnik może żyć z drugim samotnikiem i nie odczuwać potrzeby, obowiązku i prawa, żeby nim zawładnąć i zmieniać go. Skąd mi przyszło do głowy to o Nurit Iscar? Może jednak skupię się na tym psie, myśli. I tak też robi.

Biura Gandolfiniego mieszczą się w wieżowcu w centrum biznesowym Catalinas, w okolicy avenida Leandro N. Alem, jednym z wielu stojących w pobliżu hotelu Sheraton. Żeby nie robić dużego koła, kierowca wysadza Nurit po drugiej stronie alei i pokazuje jej, że tu będzie czekać, a gdyby go nie widziała, jak już wyjdzie, to dlatego, że ktoś go przegonił i on robi rundkę dookoła, lecz wróci. Może nawet dłuższą rundkę, bo w okolicy pełno jest ulic zamkniętych dla ruchu kołowego, sama pani widziała, ale jakby co, proszę dzwonić na komórkę, mówi szofer. Jakby co, zadzwonię, potwierdza Nurit. Przechodzi na drugą stronę ulicy i wiatr o mało jej nie przewraca. Nie zdawała sobie sprawy, że dzień jest taki wietrzny. Może nawet nie był. Zawsze ją zastanawiało, dlaczego w tej części miasta tak mocno wieje, nie jest pewna, czy bliskość La Platy to wystarczające wytłumaczenie tego zjawiska pogodowego. Przypomina jej się jednak znajoma Pauli Sibony, aktorka od jakiegoś czasu mieszkająca w Hiszpanii, która kiedy miała gorszy nastrój, wkładała spódnice, stawała na rogu Leandro Alem i Córdoba i czekała, aż wiatr wywoła efekt Marilyn Monroe, który był przez przechodniów i gapiów przyjmowany z zapalem, a ją podnosił na duchu. Betibu, ubranej w czarne spodnie i białą koszulę, wiatr mierzwi tylko te jej loki, które co chwilę poprawia odruchowym, daremnym gestem.

Budynek Gandolfiniego jest cały pokryty szkłem polaryzowanym. Czarnym, jeśli się patrzy z zewnątrz. Ochrona jest równie rozbudowana jak w La Maravillosie. Każdego, kto przejdzie przez drzwi obrotowe, zatrzymuje jeden z siedzących za długim biurkiem ochroniarzy, prosząc o nazwisko, dokument tożsamości, piętro i numer pomieszczenia odwiedzanej osoby. Kiedy przychodzi jej kolej, Nurit oświadcza, że nie pamięta piętra, natomiast przyszła do pana Gandolfiniego. Siedemnaste piętro, podpowiada strażnik i pyta: Jest pani umówiona? Oczywiście, kłamie Nurit. Mężczyzna zapisuje jej dane na arkuszu i wręcza jej kartę gościa; Nurit się dziwi, że ta część kontroli jest tak prosta do przejścia, wystarczyło banalne kłamstewko: Oczywiście, jestem umówiona. Może też znaczenie ma twarz, kolor skóry, odpowiedni ubiór, to, że jest kobietą. Dokument trzeba zostawić w depozycie aż do wyjścia i zwrotu karty, wyjaśnia ochroniarz. I choć Nurit wcale się nie podoba, że ktoś będzie przetrzymywał jej dokumenty, przystaje na to. Przed przejściem przez barierkę musi jeszcze pokazać swoją torebkę – tak jak gospodynie domowe w La Maravillosie, acz w tym przypadku emocje są inne – przejść przez bramkę z wykrywaczem metali, a potem przytknąć kartę gościa do czytnika. Tożsamość każdego sprowadza się dziś do zbioru różnych kart używanych do różnych celów, myśli Nurit. Czuje się jak postać z amerykańskiego filmu wchodząca do biur CIA albo jak w serialu *24 godziny*, jakby wchodziła do budynku, w którym pracuje Jack Bauer. Robi to wrażenie. Zwłaszcza jeśli się pomyśli, że wszystko to służy do ochrony między innymi – jak jej, chłopakowi z kryminalnego i Jaimemu Brenie się wydaje – mordercy. Kogoś, kto opłaca zabójstwa in-

nych ludzi. Zabójstwa na miarę, jakby zamawiał strój u krawca. Krawiec śmierci, przychodzi jej do głowy i zaczyna się zastanawiać, czy to byłby dobry tytuł dla jej następnej powieści: *Krawiec śmierci* autorstwa Nurit Iscar. Albo *Śmierć na miarę*. Albo *Śmierć XXL*. Czyżby zaczęła rozmyślać nad następną powieścią? Staje przed windą i kiedy rozwierają się drzwi, wsiada razem z grupą mężczyzn w nienagannych garniturach oraz kobiet w garsonkach i butach na obcasach – jakich ona od lat nie nosi – a także z posłańcem z kaskiem motocyklowym pod jedną pachą i kopertami różnych rozmiarów pod drugą i z kobietą z dzieckiem, które pyta: Tutaj pracuje tatuś? Nurit wysiada na siedemnastym i rozgląda się za sekretariatem. Znajduje sekretarkę za drzwiami z matowego szkła z białym napisem wrytym i dość słabo widocznym: *RG Business Developers*. Przedstawia się sekretarce: Nazywam się Nurit Iscar, jestem pisarką, przychodzę na spotkanie z panem Robertem Gandolfinim w związku z książką reportażową, nad którą pracuję. Sekretarka patrzy w kalendarz: Nie mam tu zapisanego spotkania, może mi pani powtórzyć swoje nazwisko? Nurit Iscar, pisze się tak jak wymawia; dziwne, w wydawnictwie powiedzieli mi, że wszystko jest załatwione. A jakie to wydawnictwo? Bo ze mną nikt się nie kontaktował. Może rozmawiali bezpośrednio z panem Gandolfinim i zapomniał pani przekazać. Nie sądzę, zawsze mi wszystko przekazuje. W każdym razie byłabym wdzięczna, gdyby pani go zapytała, czy nie zgodziłby się mnie przyjąć, nawet jeśli spotkania nie ma w kalendarzu. Obawiam się, że to niemożliwe, pan Gandolini ma bardzo wypełniony dzień. Możemy mimo wszystko spróbować? Sekretarka się waha. Bardzo panią proszę, nalega Nurit. Nurit Iscar, powiedziała pani, prawda? upewnia się sekretarka. Tak, odpowiada Nurit, i proszę mu wspomnieć, że kontaktuję się z polecenia pana Luisa Collaza, bardzo proszę o tym wspomnieć, z polecenia Luisa Collaza. Kobieta rozmawia przez telefon z szefem i pod koniec rozmowy powtarza: Tak, tak, Luis Collazo. Odkłada słuchawkę. Przyjmie panią za piętnaście minut, proszę sobie usiąść na fotelu w recepcji, jak tylko skończy spotkanie, wyjdzie do pani. Okej, mówi Nurit Iscar i czuje, że dygoczą jej nogi. Jeśli na czymś jej zależy, to na tym, żeby tu właśnie teraz być. I jeśli czegoś naprawdę nie chce, to dokładnie tego samego. Myśli o Jaimem Brenie i o chłopaku z kryminalnego, o tym, co powiedzą, kiedy się dowiedzą, że tu przyszła. Wyobraża sobie, że się wkurzą. Na małym stoliku umieszczonym między fotelami leży numer *Newsweeka*, niedzielny dodatek gazety sprzed dwóch miesięcy i rocznik jakiegoś krajowego stowarzyszenia biznesowego. Zamyka oczy i czeka.

W chwili gdy Nurit Iscar zamyka oczy, Jaime Brena wkracza zdyszany i spocony do redakcji *El Tribuno*. Chłopak z kryminalnego zauważa go i śledzi jego ruchy, starając się dociec, czy jest na niego jeszcze obrażony. Brena rzuca ogólne „dzień dobry” i siada na swoim miejscu. Wciąż obrażony, stwierdza chłopak. Jaime Brena sadowi się wygodnie, pociera twarz dłońmi, rozmasowuje sobie szyję, czekając, aż komputer się uruchomi. Na ekranie widzi tekst wiadomości, z której ma zrobić kolejny artykuł: Badania centrum medycznego z Lyonu we Francji, z których wynika, że wśród osób z uczuleniem na penicylinę prawdopodobieństwo rozwodu przed czterdziestką jest o 64 procent większe niż wśród tych, którzy takiego uczulenia nie mają. Czy naprawdę ktoś zadał sobie trud i zbadał relację między penicyliną i rozwodami przed czterdziestką? Czyta to raz, drugi, trzeci. Potem wyłącza komputer, wyciąga z szuflady dokumenty z wymówieniem pracy i zaczyna je wypełniać. Chłopak z kryminalnego podchodzi do niego. Jaime Brena obraca papiery, żeby chłopak nie widział, co tam pisze. Masz chwilę? pyta chłopak. Jaime Brena patrzy na niego, acz nic nie mówi; natomiast chłopak owszem, mówi: Przepraszam. Jaime Brena wciąż nie odpowiada. Przepraszam, powtarza chłopak, przestraszyłem się, że pójdziesz do Gandolfiniego bez względu na ryzyko i wydawało mi się, że tylko tak mogę cię zatrzymać. Okej, mówi Brena, coś jeszcze? To „coś jeszcze” Breny zupełnie go ścina, lecz chłopak dalej się stara i mówi: Tak, coś jeszcze, pamiętasz, jakie mi zadałeś pierwsze pytanie, kiedy zacząłeś mnie przyuczać do dziennikarstwa kryminalnego? Nie, stwierdza Jaime Brena, dużo ci pytań zadałem, nie mam pojęcia, które było pierwsze. Zapytałeś o najważniejsze, o to, do kogo chciałbym być podobny, jaki jest mój model, ale ja jeszcze nie wiedzia-

łem. Nie pamiętałem, odpowiada Brena. No więc teraz już wiem, mówi chłopak i czeka, aż Brena zapyta, do kogo w takim razie chciałby się upodobnić. Brena jednak nie pyta. Toteż chłopak mówi niepytany: Do ciebie chcę być podobny, do Jaimego Breny. Brena patrzy na niego, jego twarz nie ma żadnego specjalnego wyrazu, nie licząc lekkiego drżenia dolnej wargi w nieświadomym tiku; gdyby chłopak lepiej go znał, wiedziałaby, że jeśli Jaimemu Brenie drży tak dolna warga, znaczy, że to, co powiedział, trafiło go gdzieś, nie bardzo wiadomo gdzie, ale tam, gdzie Brena jeszcze czuje. Jedziemy do Gandolfiniego? pyta chłopak. Co? No czy jedziemy razem? Wydaje mi się, że tak zmniejszymy ryzyko, w końcu nie możemy tego tak zostawić ze strachu, we dwóch damy radę. Jedziemy? Jaime Brena, jakby to był kolejny zwykły dzień w pracy, jakby nie został wczoraj urażony i jakby nie wypełnił do połowy tych formularzy ani jakby nie usłyszał tej deklaracji chłopaka, pyta go: A gdzie to? Przyjrzałeś się jego wizytówce? Chłopak klnie. Zostawiłem ją u Nurit, idiota ze mnie. No to zadzwoń do niej i poproś, żeby ci podała ten adres, sugeruje Brena. Chłopak wybiera numer. Wyłączony, mówi. Po co ta kobieta w ogóle ma komórkę? pyta Brena, jakby zapomniał, że jego równie trudno złapać pod komórką jak ją, a potem mówi: To zadzwoń do domu. Nie mam numeru, poproszę w sekretariacie Rinaldiego. Chłopak idzie tam i po chwili wraca korytarzem, rozmawiając przez telefon z Anabellą. Pani wyszła, mówi kobieta, przyjechał po nią szofer, może pan na komórkę zadzwoni? Wyłączyła ją, ale może wiesz, dokąd jechała? Mówiła, że musi się z kimś zobaczyć na mieście, tak mi się zdaje. Chłopak drapie się po brodzie, a potem zastyga z dłonią zakrywającą usta, kręcąc głową, jakby nie mógł uwierzyć, że Nurit jest tam, gdzie jest. Mam jedną prośbę, Anabelle, zobacz, proszę, czy na stoliku w salonie nie leży wizytówka, którą wczoraj tam zostawiłem, niejakiego Roberta Gandolfiniego. Kobieta idzie sprawdzić i potwierdza jego podejrzenie: na stoliku w salonie niczego nie ma. Dzięki, mówi chłopak, rozłącza się i podchodzi do biurka Jaimego Breny. Nurit Iscar jedzie do biura Gandolfiniego, może nawet już tam jest. Co za kobieta, wykrzykuje Brena, gadałeś z nią? Nie, acz po tym, co mi powiedziała gosposia, mogę się założyć, że tam pojechała; odbiło jej, mówi chłopak. Tak samo jak nam, stwierdza Brena, tyle że jest sprytniejsza, bo ona, owszem, robi to. I prócz podziwu, jaki budzi w nim ta kobieta, czuje też obawę. Musimy ją dogonić, słabo mi na samą myśl, w co może się wpakować. Poszukaj w Internecie, może znajdziesz adres firmy Gandolfiniego, prosi Brena. Szukałem już, odpowiada chłopak, niczego nie ma, jakby jakimś duchem był. Brena zamyśla się na chwilę i zaraz dodaje: Sprawdź u sekretarki Rinaldiego, który szofer wozi Nurit, jeśli to będzie ktoś z tej firmy, co zawsze obsługuje gazetę, jesteśmy w domu, ale jeśli nie...

Kilka minut później chłopak rozmawia z kierowcą, który zawiózł Nurit Iscar do biura Gandolfiniego, tyle że szofer nie zna dokładnego adresu. Wie tylko, gdzie na nią czeka, parkuje w miejscu niedozwolonym, a ona przeszła przez Leandro N. Alem kawałek przed skrzyżowaniem z avenida Córdoba i weszła do jednego z tych typowych w tej okolicy budynków, diabli wiedzą którego, skąd mam wiedzieć, czy tego, co ma dwa piętra mniej czy dwa piętra więcej, wszystkie są takie same, mówi. I że ma na nią tu czekać. Nie, mówił przecież, nie wie, do którego budynku weszła. Nie, ona zadzwoni do niego, jak skończy. Proszę, nie ruszaj się stamtąd, mówi chłopak, jedziemy tam. I ruszają.

Kiedy chłopak z kryminalnego i Jaime Brena wychodzą z redakcji, Nurit Iscar siedzi już przed Robertem Gandolfinim. To, co widzi przez rozległe okno za plecami swojego rozmówcy, jest tak piękne, że budzi w Nurit mieszane uczucia: z jednej strony pejzaż ten pociąga ją swoją jasnością i jej oczy samoczynnie kierują się w tamtą stronę – na rzekę, statki sprawiające wrażenie nieruchomych, odbłask słońca. Z drugiej strony wydaje się jej, że to zupełnie niestosowne tło do rozmowy, którą ma w tym miejscu przeprowadzić z Gandolfinim. Gdyby to była powieść Nurit Iscar, usunęłyby to okno. Mężczyzna też wygląda zupełnie inaczej, niż go sobie wyobrażała, jest niższy, łagodniejszy z wyglądu. Ubrany w markowe rzeczy, trochę już niemodne. Gdyby nie podejrzewała go o to, o co go podejrzewa, nie obawiałaby się w ogóle tego siedzącego przed nią mężczyzny. Uznałaby go za nieszkodliwego. Czyli chce pani przepro-

wadzić ze mną wywiad do książki, nad którą pani pracuje? mówi Gandolfini, bawiąc się długopisem, naciska go od góry, a końcówka to się pojawia, to chowa. Tak, bardzo panu dziękuję, że zgodził się mnie pan przyjąć mimo tego zamieszania. Gandolfini przytakuje z dość poważną miną i pyta: A jaki temat ma pani książka? Otóż przyglądam się firmom świadczącym specjalne albo nietypowe usługi. Ach, jeśli o to chodzi, to obawiam się, że panią rozczaruję, moje firmy nie mają w sobie nic niezwykłego, stwierdza, lecz słyhać w jego głosie ton fałszywej skromności. Może dla pana, bo ma to pan na co dzień, ale dla czytelników owszem. Mężczyzna przygląda się jej, Nurit wie, że ją analizuje. Sekretarka powiedziała mi, że polecił mnie pani Luis Collazo. Tak, krótko przed śmiercią, odpowiada Nurit prosto z mostu, żeby wyczuć ewentualną reakcję po minie Gandolfiniego. On jednak odpowiada niemal obojętnie: Co za nieszcześnie, słyszałem, że się powiesił. Został znaleziony powieszony, uściśla Nurit, rzeczywiście nieszcześnie. A o której z moich firm chciałaby pani rozmawiać? O tej, która zajmuje się likwidowaniem ludzi na zlecenie, odpowiada Nurit, starając się zachować pozory spokoju. Jakim likwidowaniem? pyta Gandolfini. Ostatecznym. Gandolfini się uśmiecha. A skąd pani przyszło do głowy, że prowadzę taką firmę? Może pan nie prowadzi, może tylko pan ją wynajął. Jak mówię, droga pani, nie mam pojęcia, skąd pani coś takiego przyszło do głowy. Pod wpływem pewnych zdarzeń i zbiegów okoliczności. Zdarzenia i zbiegi okoliczności mogą panią zwieść na manowce. To, że wszyscy członkowie grupy zwanej Daczą, łącznie z pańskim bratem, zginęli w bardzo szczególnych okolicznościach, to coś, co rzuca się w oczy; pamięta pan Daczę, prawda? Wymawiając tę nazwę, Nurit oczekuje, że Gandolfini okaże jakiś niepokój, choćby minimalny, na tyle, żeby coś wyczuć. Ale nawet teraz nie ma w nim śladu niepokoju, a w każdym razie ona go nie widzi. Pewnie, że pamiętam, więcej nawet, chyba mam przy sobie ich zdjęcie, niedawno udało mi się je znaleźć, mówi, a Nurit wie, o jakim zdjęciu mówi, i podejrzewa, że znalazł je właśnie w ramce w domu Chazarrety i zabrał w charakterze wojennego trofeum. Dlaczego tak panią intryguje rzecz tak zwyczajna jak wypadek samochodowy? dziwi się Gandolfini. Bo śmierć w wypadku to dokładnie ta forma śmierci, jakiej wszyscy się spodziewali po pańskim bracie. Powinien więc przejąć się troską innych i jeździć wolniej; mój brat nigdy nikogo nie słuchał i wydaje się, że jego życiowym celem było poprawić własny rekord prędkości. Podobno bardzo dobrze prowadził, stwierdza Nurit. Bardzo dobrze, tyle że za szybko, wyjaśnia Gandolfini, łamał wszelkie zasady i narażał nie tylko siebie, ale też innych. Czyli pani zdaniem ja zrobiłem coś, żeby go sprowokować albo skłonić do roztrzaskania się na drodze? Pan albo ktoś, kogo pan najął, tak, tak właśnie myślę, potwierdza Nurit. Na przykład przeciąłem mu przewody hamulcowe? Na przykład. Ma pani niesamowitą wyobraźnię, mówi Gandolfini ze śmiechem. Tak samo z Collazem, żeby się powiesił, i z Bengoecheą, żeby się zabił na nartach? Nurit uzupełnia: Mirandę kazał pan zastrzelić tak, żeby to wyglądało na śmierć z ręki wariata, a Chazarretę zgładzić tak, jak zginęła jego żona: podrzynając mu gardło. Każda z tych osób poniosła śmierć tak, jak powinna była ją ponieść, tak jak wszyscy się spodziewali. Gandolfini przytakuje: Jak tak pani o tym mówi, to owszem, muszę przyznać, że każdy zginął tak, jak powinien był zginąć. Wstaje, podchodzi do okna, patrzy na rzekę. Nie obracając się, mówi: Co wcale nie znaczy, że miałem z tymi zgonami jakiś związek. Ja czy ktokolwiek inny. To mógł być po prostu przypadek, los, który określa statystyczne prawdopodobieństwo ryzyka dla każdej osoby, pani Iscar. Może to nawet przypadek boskiej sprawiedliwości, gdyby chciało się na to spojrzeć z perspektywy „religijnej”, że tak to nazwę. Albo że ktoś rozważył wszystko i uznał, że to najlepsza metoda zakamuflowania zbrodni, mówi Nurit, każdy umiera tak, jak powinien. On odwraca się i spogląda na nią: I pani uważa, że tym kimś jestem ja? Tak. Gandolfini znów się uśmiecha, wraca za biurko, patrzy na Nurit, nie odzywając się na razie. Nie, jak dobrze się zastanowić, to gdyby to była jej powieść, Nurit Iscar nie usunęłaby tego okna, to jeden z nielicznych detali, które umożliwiają ruch postaci. Gandolfini próbuje rozbroić spekulacje Nurit Iscar, sprowadzając je do absurdu: To znaczy, że jestem dla pani niemal jak Bóg; albo nawet jestem samym Bogiem. Nie wierzę w Boga. Ateistka, stwierdza Gan-

dolfini. Agnostyczka, uściśla Nurit. Gandolfini przygląda się jej, ale teraz w jego oczach kryje się błysk oznaczający – Nurit Iscar to wie – raczej ekscytację niż obawę. Jak wtedy, kiedy ktoś bardzo dobry w jakiejś grze odkrywa, że jego przeciwnik jest dobry, prawie tak dobry jak on, lecz i tak ma większe szanse na wygraną. I że jeśli tak się stanie, jeśli z nim wygra, da mu to prawdziwą satysfakcję. Większą niż kiedykolwiek. To bardzo ciekawy pomysł, pani Iscar, bardzo dobry, mogę go pani podkraść? Zastrzegła pani prawa? Proszę sobie wyobrazić, że z tego gabinetu z widokiem na rzekę, wyposażonego w najlepszą technologię i luksusy, urządzonego z doskonałym smakiem, co nie jest zasługą moją, tylko najętych przeze mnie architektów, no więc że z tego gabinetu mogę sterować dwiema czy trzema osobami w kraju oraz najemnikami za granicą, nielicznymi, żeby zachować tajemnicę, i za kwotę zależną od trudności sprawy zlecam zabójstwo wskazanej osoby w okolicznościach dokładnie takich, żeby pasowały do tego, co wszyscy sobie myślą. Coś w tym rodzaju, zgadza się Nurit. Nie jest to zły pomysł, muszę pani przyznać. Prócz najemników musiałbym zatrudniać ludzi do zbierania informacji na temat ofiar, prawda? ciągnie z zapalem Gandolfini. Szpiegów w starym stylu i szpiegów internetowych. Ludzi zdolnych do ustalenia nawet marki bielizny noszonej przez przyszłą ofiarę. Gandolfini się uśmiecha, przechodzi do kąta gabinetu i nalewa sobie kawy. Może się pani napije? pyta. Nie, dziękuję, odpowiada Nurit. No więc założmy, że ma pani rację, że te zgony nie były przypadkowe, założmy, że rzeczywiście ktoś za tym stoi, ale mam wciąż to samo pytanie: dlaczego ja? Dlaczego miałbym chcieć ich pozabijać niezależnie od tego, jak bardzo lubiłem czy nie lubiłem swojego brata i jego kumpli? Nurit Iscar odpowiada bez kręcenia, zmierza prosto do celu, chce zobaczyć jego reakcję: Bo był pan świadkiem gwałtu na Emiliu Casabetsie. I teraz owszem, po raz pierwszy na twarzy Gandolfiniego widać małą zmianę, ona ją dostrzega, jakby napięcie skupiło się w jego policzkach, w łukach brwi, w ustach. Nie robi żadnego grymasu, nie uśmiecha się, lecz twarz mu tężeje. Może nie był to jedyny gwałt, który musiał pan oglądać. I w pewnym momencie nie mógł pan już dłużej znosić poczucia winy, że pan tam był i nie zrobił nic, by temu zapobiec, kończy Nurit. Gandolfini patrzy na nią przez chwilę twardo, a potem mówi przez zaciśnięte zęby, niemal do siebie: Miałem ledwie osiem lat. Ja nie osądzam pana za nic, co się wtedy stało, mówi Nurit Iscar, tylko za te ostatnie zgony. To uczucie, które tłumił pan przez tyle lat, wypłynęło na powierzchnię znacznie później, kiedy pański brat i jego koledzy zaczęli pojawiać się w mediach w związku ze śmiercią Glorii Echagüe. Gandolfini znów podchodzi do okna, patrzy gdzieś w dal, nie śpieszy mu się, a potem, jakby był aktorem, który zdołał się skupić i wrócić do roli, mówi: Ma pani niezwykłą wyobraźnię. Nie przeczę, zgadza się Nurit. Nawet jeśli lata temu rzeczywiście stało się to, co się stało, i nawet jeśli ja przy tym byłem, powtarzam: jaki pani ma dowód na mój związek z tymi wydarzeniami? Żadnego, odpowiada Nurit, jeszcze żadnego. Pani Iscar, wszystko, co pani mówi, mogło się wydarzyć i mogło się nie wydarzyć. Z tym że na tym świecie nic nie jest ważne, jeśli nie można tego dowieść. Poza tym, przyjmując nawet na chwilę, że ma pani rację, że korzystam z najemników w różnych miejscach na świecie czy nawet że mam taką firmę, ba! założmy, że wykorzystywałem tę firmę, żeby pozbyć się nie tylko tych ludzi, o których pani mówi, ale też innych, że to biznes, na którym da się zarabiać. Założmy, że coś, co wynikało pierwotnie z osobistej potrzeby, rozrosło się na inne pola. Nie wydaje się pani, że byłbym wtedy kimś zbyt potężnym i nie do ruszenia? Ja i moja firma? Firma „likwidacyjna”. Taka firma odniosłaby na pewno spory sukces, wszyscy ludzie władzy korzystaliby z moich usług, ja bym im pomagał, a oni byliby moimi dłużnikami. Politycy, biznesmeni, nawet hierarchowie różnych wyznań, dlaczego by nie? Tym sposobem stałbym się kimś nietykalnym. Proszę sobie wyobrazić, że ja, a raczej moja firma mogła doprowadzić do wypadku helikoptera, w którym leciał syn pewnego prezydenta. Albo wypchnąć pewną niedyskretną sekretarkę przez okno pod pozorem, że chciała odciąć kabel telewizyjny. A może nawet wpłynąć na pewnego potężnego przedsiębiorcę, żeby strzelił sobie w łeb. Wielką miałbym władzę, pani Iscar, wielką, nie sądzi pani? Stałbym się takim, jak to mówią, „nietykalnym”. Nie ma ludzi nietykalnych, stwierdza Nurit. O, niech się pani nie lu-

dzi, wiele osób z długim wdziękiem to prawdziwa gwarancja bezpieczeństwa. Ale nie chcę pani więcej o tym opowiadać. Nie powinienem nawet. Miałem już dostatecznie dużo kłopotów po spotkaniu z Jaimem Breną. A kto panu sprawiał kłopoty? pyta Nurit. Każdy ma jakiegoś zwierzchnika, prawda? Zastanawiała się pani, czy jest ktoś nade mną, czy naprawdę jestem sobie szefem? Bo to częste dzisiaj, prawda? Taki śledczy jak pani sądzi, że namierzył zabójcę, tylko że kim tak naprawdę jest zabójca? To ten, który życzy drugiemu śmierci, ten, co ją zleca, czy ten, który podrzyna ofierze gardło, strzela czy stosuje jaką tam pani woli metodę, ten, kto organizuje zabójstwo, kto je planuje, kto je kryje, kto bierze wynagrodzenie za tę pracę? Kto ponosi większą odpowiedzialność? Jak dziś wygląda piramida zabójstwa? Kto w tym naszym XXI wieku jest prawdziwym zabójcą, pani Iscar? Wszyscy w to zaangażowani, odpowiada Nurit. Łatwa odpowiedź, pani Iscar, politycznie poprawna. A poprawne politycznie odpowiedzi nie dość, że są tchórzliwe, to jeszcze nigdy nie podają prawdy. Wie pani, jak ja bym odpowiedział? Że zabójcą jest ten, kto zostaje żywy na końcu tego wszystkiego, ten, którego nikt nie zdołał zabić. Reszta to tylko szczeble. W większości przypadków wymienialne. Natomiast ten, kto zachowa życie do końca, to co innego, ten owszem, naprawdę ma władzę. Gandolfini wstaje i przechadza się po gabinecie, znów nie spoglądając na Nurit Iscar, wpatrzony gdzieś w zatokę. Potem przystaje i mówi: Ajajaj, tak blisko pani była, ale nigdy się pani nie dowie, czy trafiła w sedno. Jediną osobą, która mogłaby to potwierdzić, jestem ja, pani Iscar, tak mi przykro. Zniesie pani tę niepewność? Zniesie pani to, że nie dostanie pani odpowiedzi na swoje pytanie, że nie dostanie pani potwierdzenia swojej teorii? Zniesie pani to, że nikt nie powie, czy to, co z takimi detalami pani wymyśliła, jest prawdą czy nie? Ja wiem, że tak, że taka jest prawda, mówi Nurit i stara się sprawiać wrażenie pewnej i zdecydowanej, choć nogi drżą jej ukryte w nogawkach czarnych spodni. Nie, nie może pani mieć pewności, w głębi ducha coś każe pani wątpić, coś panią napawa niepewnością, ja to widzę. I Gandolfini patrzy na nią, jakby rzeczywiście dostrzegał jej wahanie. Po chwili pełnego napięcia milczenia pyta: Mogę pani w czymś jeszcze pomóc? Nie, mówi Nurit, myślę, że to wszystko, wyraził się pan jasno, jaśniej, niż mogłam się spodziewać, zyskałam sporo materiału. Nie wydaje mi się, żeby mogła to pani wykorzystać, nie ma pani wiarygodnego źródła do przytoczenia. Nie jestem dziennikarką, jestem pisarką, mogę obyć się bez źródeł, mogę ukazywać jako prawdę coś, co istnieje tylko w mojej wyobraźni. Wystarczy, że to, co piszę, nazwę „powieścią”, a nie „reportażem”, praktycznie drobny detal, mówi Nurit. Gandolfini patrzy na nią badawczo, zastanawia się, którą zagrać figurą, i chce ją dopasować nie tyle do samej gry, ile do przeciwnika. Ale chcę coś jeszcze pani powiedzieć, pani Iscar. Czy może woli pani pseudonim Betibu? pyta Gandolfini ku zaskoczeniu Nurit, wyciągając jednocześnie z biurka żółtą teczkę z czarnym, jakby żałobnym paskiem w prawym górnym rogu. Betibu nazywają mnie tylko przyjaciele. Oj, nie chciałem wyjść na bezczelnego, proszę mi wybaczyć. Nie otwierając teczki, którą właśnie wyjął, lecz położywszy na niej dłoń, jakby składał przysięgę na Biblię, recytuje najprawdopodobniej treść tego, co zawiera – jak parę minut później Nurit Iscar powie Jaimemu Brenie i chłopakowi z kryminalnego – i to recytuje z pamięci: Jaime Brena, sześćdziesiąt dwa lata, życie nieuporządkowane, używki wszelkiego rodzaju: alkohol, papierosy, narkotyki, choć teraz tylko marihuana. Nie uprawia sportów. Sugerowana śmierć: zawał. Nurit ze zdumienia przechodzi do poruszenia. Gandolfini mówi dalej: Paula Sibona, pięćdziesiąt sześć lat, aktorka, jak dotąd bez problemów medycznych. I tak dalej, i tak dalej. Lubi bywać na mieście i spotykać się z nieznanymi. Sugerowana śmierć: z ręki przygodnego kochanka w jej mieszkaniu po wspólnie spędzonej nocy. Juan i Rodrigo Pérez Iscar, mówi Gandolfini, pani synowie, prawda? Dosyć! protestuje Nurit. Nie mam mówić dalej? Nie. Mogę spróbować z innymi znajomymi. Nie chcę tego wiedzieć. Naprawdę? Proszę wziąć pod uwagę, że dużo ryzykuję, jeśli wyjdzie na jaw, że przekazuję pani te informacje, drogo za to zapłacę. Nurit wciąż jest przerażona, nie jest w stanie wydusić z siebie ani słowa. On to widzi. Niech się pani nie denerwuje, to tylko taka zabawa, teoretyczne ćwiczenie, nikt tu nie umrze. Na razie. Nie jest dobrze, kiedy ludzie

umierają bez powodu, to nigdy nie jest dobre. Mój brat i jego kumple musieli umrzeć, mniejsza o to, czy to były wypadki, czy ich zabito. Zasłużyli na to. Dziś nie żyją i dla mnie to duża ulga. Jakby świat odzyskał równowagę. Nikt nie może mieć do mnie pretensji, że czuję ulgę po śmierci tak podłych ludzi, rozumie pani? Nurit wstaje. Tak, rozumiem, mówi, a nogi wciąż jej drżą. Odprowadzić panią? Nie, znam drogę. Nie ciekawi pani, w jaki sposób „teoretycznie” powinna umrzeć pani? Nurit nie odpowiada, ale zżera ją ciekawość. Nie jest pani łatwym przypadkiem, wie pani? Mało się pani naraża. Nie zadaje się pani z nieznajomymi, nie pije za dużo, nie pali, nie bierze narkotyków. Proszę mi powiedzieć: jest pani szczęśliwa? Nurit Iscar po raz kolejny czuje się zbита z tropu pytaniem Gandolfiniego, choć tym razem ma ono inny charakter. Ach, proszę pani, jak trudno być szczęśliwym, prawda? I mówię to ja, a właściwie mam wszystko. Gdyby pani, Betibu, miała umrzeć w *country*, w którym teraz pani mieszka, najbardziej prawdopodobne byłoby zezadzenie. Domy, które mają piece grzewcze, nawet w odrębnym pomieszczeniu, w służbówce albo w pralni na przykład, są niebezpieczne. To by było niezłe, nie pani pierwsza tak by umarła na zamkniętym osiedlu. Dochodziło do takich wypadków, choć przecież mówimy o luksusowych domach, ludzie się tym nie przejmują dostatecznie, wie pani? Jeśli wróci pani już do siebie, powiedziałabym, że najbardziej prawdopodobna wersja to upadek do pustego szybu windy. Nagłe pośpieszne wyjście, ktoś zadzwonił w jakiejś pilnej sprawie, pani łapie w przelocie swoje rzeczy, zostawia telefon, zapomina o nim, nie zatrzymuje się, już nie może, światło na korytarzu nie działa, wzywa pani windę, myśli, że ona tam już jest, mechanizm zawodzi, pani otwiera drzwi i robi krok w pustkę. Mogłaby pani też wypaść z balkonu podczas podlewania roślin, ale to za bardzo przypomina śmierć tej sekretarki, co odcinała kabel, a pani powinna mieć coś bardziej wyjątkowego, ciekawszą rolę.

Nurit nie chce już tam dłużej stać; stara się zmierzać w stronę drzwi, otwiera je. Na swój sposób skomplementowała mnie pani swoimi podejrzeniami, uznając mnie za zdolnego do stworzenia takiej firmy, nie każdy by przecież potrafił. Pamięta pani, co to były Erynie? – Co takiego? zapyta chłopak z kryminalnego chwilę później, kiedy Nurit Iscar będzie im o tym opowiadać. – To trochę tak, jakby przejąć ich sztandar; wydaje mi się, że Ajschylos niesłusznie przerobił je na Eumenidy, z bezlitosnych mścicielek zrobił takie wyrozumiałe, szkoda. Eumenidy szanują prawo i sprawiedliwość, nie wymierzają jej własnoręcznie, udaje się wtrącić Nurit. No właśnie, dlatego szkoda, stwierdza Gandolfini, nie wydaje się pani słuszne, że ktoś wymierzył sprawiedliwość tym skurwysynom, którzy zgwałcili swojego kolegę? Proszę zapomnieć o politycznej poprawności i powiedzieć szczerze, co pani myśli. Że się pana boję, to myślę, mówi Nurit Iscar i już zamierza wyjść, ale Gandolfini znów ją zatrzymuje. Jeszcze dwie rzeczy, mówi. Nurit obraca głowę i nie puszczając klamki, patrzy na niego. Po pierwsze: ani słowa na ten temat z nikim, bawi mnie rozmowa z panią, natomiast nie chcę mieć takich kłopotów jak po spotkaniu z Jaimem Breną. I po drugie: Maidenform, mówi Gandolfini i uśmiecha się. Proszę? Maidenform. I wtedy Nurit ostatecznie wychodzi, niemal ucieka. Po drodze do windy przystaje przy sekretarce, pyta o łazienkę i idzie w jej stronę.

Wchodzi, spuszcza majtki i czyta na metce to, o czym i tak wie: Maidenform.

Nurit Iscar nie jest w stanie sobie przypomnieć, co się działo między chwilą, kiedy wsiadła do windy na siedemnastym piętrze budynku mieszczącego biuro Gandolfiniego, a aktualną chwilą, kiedy siedzi przy stoliku w barze na rogu Córdoba i San Martín razem z chłopakiem z kryminalnego i Jaime Brena. Podobno przebiegła przez avenida Alem, o mało nie potracił jej samochód, w rękę trzymała jakiś papier, a kiedy dotarła na drugą stronę ulicy, osunęła się w ramiona Jaimego Breny i straciła przytomność. Ale Nurit Iscar nic z tego nie pamięta, ani tego przebiegania, ani auta, co to o mało jej nie przejechało, ani nawet objęć Jaimego Breny. Ostatni obraz, jaki zachowała jej pamięć, to siebie zgiętej w pół, z majtkami spuszczoneymi do połowy łydek i metkę: Maidenform. I potem windę, lecz niewyraźnie, coś, co musiało być windą, i to uczucie w żołądku, kiedy winda szybko opadała w dół. Opowiadają, że właściwie nieprzytomną wpakowali ją do samochodu, że ledwie tylko poczuła powietrze nawiewające przez uchylone okno, od razu odzyskała przytomność, wciąż jednak była jakby nieobecna, myślami gdzie indziej. Zaprowadzili ją do pierwszego baru, na jaki się natknęli, żeby się czegoś napiła i doszła do siebie. Mieszając łyżeczką podwójną kawę, do której Jaime Brena dolał jej koniaku i dosypał trzy łyżeczki cukru, Nurit opowiada, co zapamiętała jeszcze sprzed tej dziwacznej amnezji, to, co się działo od chwili, kiedy stanęła przed sekretarką Gandolfiniego, aż do wejścia do windy po zakończonej rozmowie: jak wyglądał gabinet, okno, zatoka, samo spotkanie, co powiedział Gandolfini i czemu zaprzeczył, co ona powiedziała. Opowiada o piramidzie zabójstw. I na koniec o groźbie. O żółtej teczce z czarnym paskiem. O teczce, której Gandolfini nie stworzył, lecz jej zawartość bez wątpienia znał i popisывał się tym: o żółtej teczce z czarnym paskiem przebiegającym skośnie w prawym górnym rogu. O marce swojej bielizny. I o Eryniach, ale choć chłopak z kryminalnego zadaje o nie pytanie, Nurit nie zatrzymuje się przy tym, nie wyjaśnia mu. Potem popatrzysz w Google'u, dobra? mówi Brena. Obaj nie mogą się otrząsnąć ze zdumienia. Nie mogę uwierzyć, że odważyłaś się na to sama, Betibu, stwierdza Brena. Nie rób mi wymówek, mówi Nurit, teraz się boję bardziej niż tam, w środku. Oczy jej nabiegają łzami, Jaime Brena robi ruch ręką, jakby chciał ją złapać, lecz ona – nie zauważając tego, nie wyczuwając jego intencji – cofa swoją dłoń, przez co Brena powstrzymuje się w pół drogi. I co teraz? pyta chłopak z kryminalnego. Nic, odpowiada Nurit niemal zirytowana, ja nie będę narażać niczyjego życia, a już na pewno moich synów. Cała trójka na chwilę milknie. Grupa Brazylijczyków, którzy wchodzą do lokalu obładowani torbami i paczkami, zmusza ich do przesunięcia się, żeby przepuścić tamtych do jedyne go wolnego stolika, jaki został pod witryną, zresztą zbyt małego, więc muszą dostawić więcej krzeseł. Rozmawiają głośno, śmieją się, brazylijscy turyści stanowią idealny kontrast dla tego, co się dzieje przy stoliku Nurit, Jaimego Breny i chłopaka z kryminalnego. Kiedy nowo przybyli wreszcie się rozsiadają, Jaime Brena się odzywa, a w jego głosie nie słycać rezygnacji: Czasami trzeba się zadowolić tym, że się poznało prawdę. Co to ma znaczyć? pyta chłopak. Nie do nas należy wymierzanie sprawiedliwości, jesteśmy dziennikarzami i jeśli w trakcie swojego śledztwa natkniemy się na ważną prawdziwą informację, której prawdziwości jednak nie jesteśmy w stanie dowieść, to i tak znacznie więcej, niż nam się zazwyczaj udaje osiągnąć. Nie jest naszym obowiązkiem zgłosić tego na policję? Rozmawiałem z komisarzem Venturinem i kompletnie to olał. Ale pomijając odpowiedzialność, jeśli ten Gandolfini będzie dalej zabijał, to wina spadnie na nas, stwierdza chłopak. Zawsze jest się czegoś winnym, chodzi tylko o to, żeby zdecydować, z czym jesteśmy w stanie żyć, mówi Brena. Ja bym nie mogła żyć ze świadomością, że ten szaleniec zabił któregoś z moich synów, mówi Betibu, patrząc na chłopaka. Rozumiem, zapewnia chłopak z kryminalnego, szkoda tyl-

ko, że nawet nie możemy zrobić z tego materiału do gazety. Trzeba to przemyśleć, mówi Brena, może damy radę powiedzieć coś między wierszami, podejść do tego jakoś i powiedzieć prawdę, nie mówiąc jej, tak jak robiliśmy za dyktatury, kiedy pisało się szyfrem. Dla kogo mielibyśmy dziś pisać szyfrem? pyta Betibu. Nie wiem, dla tego, kto będzie chciał to rozszyfrować. A kto dziś chce? A kto czyta nasze artykuły, nasze powieści? Czyta je ktoś? Kto? Brazylijczycy wybuchają hałaśliwym śmiechem i na dźwięk tego śmiechu cała trójka aż podskakuje. Kelner pojawia się przy stoliku obok z piwami oraz z zakąskami na tak wielu talerzykach i miseczkach, że nie ma szans, by turyści wszystko to zjedli. Śmiechy ustępują okrzykom zdumienia na widok tego, co kelner stawia im na stole. I potem znowu rozlegają się śmiechy. Chciałbym porozmawiać osobiście z komisarzem Venturinem, mówi Brena, wydaje mi się, że wie więcej, niż mówi. Nie chcę nikogo narażać, zaznacza Nurit. Spokojnie, będę ostrożny, choć ryzykować, i tak ryzykujemy, odpowiada Brena, a potem pyta: Jesteś na siłach wrócić do La Maravillosoy, Betibu? Nie wiem, ale to właśnie zamierzam zrobić, pojedę tam, napiszę ostatni artykuł i spakuję się. Jeszcze dziś wracam do domu. Nie ma sensu tam siedzieć. Chcesz, żeby któryś z nas z tobą pojechał? pyta Brena. Nie, każdy ma swoje rzeczy na głowie, odpowiada Nurit. Dziś zanosi się na skomplikowany dzień, potem jeszcze pogadamy. Okej, pogadamy, zgadza się Brena. Chłopak przytakuje, lecz się nie odzywa. Co jest? pyta go Brena. Na tym polega praca dziennikarza? Szukasz prawdy, uznajesz, że ją znalazłeś, choć nie jesteś w stanie do końca tego dowieść, a potem masz siedzieć cicho, bo w przeciwnym razie ryzykujesz życie swoje i bliskich? Czasami tak, czasami na tym to polega, a kiedy indziej nawet tego nie masz, nawet nie udaje ci się zbliżyć do prawdy. I czasami, choć naprawdę sporadycznie, masz poczucie, że robisz wszystko jak należy. Ale wtedy patrzysz w kalendarz i zdajesz sobie sprawę, że życie ci ot tak przeleciało, że przed tobą już bardzo niewiele. Ja nie chcę, żeby tak ze mną było, mówi chłopak. Ja też nie chciałem, odpowiada Jaime Brena.

W chwili gdy chłopak z kryminalnego wjeżdża windą do redakcji *El Tribuno*, a Nurit Iscar wieziona przez kierowcę przejeżdża przez bramki na autostradzie do La Maravillosoy, Jaime Brena wkracza do poczekalni przed gabinetem komisarza Venturiniego i siada w miejscu wskazanym przez sekretarkę, przed drzwiami gabinetu. Nie ma wyznaczonego spotkania, wie jednak, że Venturini tak czy inaczej go przyjmie, zawsze przyjmował. Po chwili sekretarka przynosi mu, wcześniej nie zapytawszy, kawę w filiżance z białej porcelany Tsuji, ze złotym paskiem, prawdziwy luksus, na który mogą sobie tu pozwolić tylko najwyższe szarże. Na tacce stoi też cukierniczka, również porcelanowa, ale z innego zestawu, ze starym cukrem skamieniałym na łyżeczce, pod filiżanką leży złożona w trójkącik serwetka. Zaraz pana przyjmie, mówi sekretarka. Jaime Brena nie wie jeszcze, co mu powie, a czego nie. Obiecał Nurit Iscar, Betibu, że nie narazi nikogo na niebezpieczeństwo. Czy odważy się kiedyś jej powiedzieć, że ten przydomek, Betibu, nadał jej on, a nie Rinaldi? Kiedy wydała powieść *Śmierć na raty*, on stał się jednym z jej najwierniejszych czytelników – albo fanów. Kiedy już ją skończył, przeczytał wszystkie wcześniejsze jej powieści i niecierpliwie czekał na następne. Nawet *Tylko jeśli mnie kochasz*, choć uznał ją za rzecz pomniejszą, też mu się podobała. Kiedy ukazała się *Śmierć na raty*, w dodatku kulturalnym dziennika pojawiło się zdjęcie Nurit na całą stronę. Wyciął je i przykleił sobie nad biurkiem. Miał ją przed sobą, kiedy pracował. Jednego dnia, gdy nie mógł znaleźć słowa potrzebnego, żeby dokończyć artykuł, podniósł wzrok i zapytał fotografii: Jak to się nazywa, kiedy naturalny następca tronu rezygnuje z niego, Betibu? Tak powiedział, Betibu, jakby tak się zawsze nazywała, jakby Nurit Iscar i jej loki nie mogły nosić innego imienia. Betibu. Abdykacja, słowo pojawiło się chwilę później, on strzelił palcami: abdykacja. I Nurit Iscar, Betibu, stała się jego konsultantką w trudnych sprawach – w innych też. Kiedy w tamtym okresie Lorenzo Rinaldi – z którym Jaime Brena utrzymywał wtedy jeszcze dobre stosunki, niemal jak równy z równym – pytał go o źródła niektórych, jak on to nazywał, „kompletnie odjechanych teorii spiskowych i kryminalnych”, Jaime Brena odpowiadał: Betibu mi powiedziała, i pokazywał zdjęcie bez żadnych dalszych wyja-

śnień. Aż któregoś popołudnia Rinaldi podszedł do jego biurka i powiedział, że właśnie ją poznał w telewizji, ją, tę ze zdjęcia. I po jakimś czasie Nurit Iscar zaczęła się pojawiać w redakcji dość regularnie. Czasami Betibu czekała na Rinaldiego na jednym z foteli w recepcji i szli gdzieś razem. Ona i Lorenzo Rinaldi. Kiedy indziej spędzali sporo czasu u niego w gabinecie, a potem ona wychodziła sama. Któregoś dnia po redakcji poszła plotka. Wtedy Jaime Brena uznał, że pozbywa się zdjęcia i nie będzie się już z nim więcej konsultował. Czy odważy się kiedyś jej o tym opowiedzieć? zastanawia się znów. Nie wydaje mu się, za bardzo by się wtedy odsłonił, a jeśli czegoś Jaime Brena trzymał się przez całe życie, to zasady, że żadnej kobiecie nie będzie opowiadał tego, czego ona – wedle jego obsesji – nie powinna o nim wiedzieć.

Kiedy Jaime Brena wspomina, jak to nazwał Nurit Iscar Betibu, chłopak z kryminalnego siedzi przed wyłączonym komputerem i zastanawia się, co robić. I to „co robić” nie oznacza pytania, co pisać o zbrodniach w La Maravillosie ani nawet co pisać o jakichś innych sprawach cieszących się mniejszym zainteresowaniem medialnym, o których też przecież trzeba pisać. Zastanawia się, co począć ze swoim życiem. Czy chce dalej robić karierę w redakcji *El Tribuno* – jeżeli się da – żeby któregoś dnia dojść do stanowiska redaktora prowadzącego dział, które wcale go nie interesuje i na którym będzie musiał konsultować z Rinaldim czy też z jego następcą wszystko, co się minimalnie oddali od linii gazety. Czy on tu będzie za dziesięć lat? A Rinaldi? A Jaime Brena? Gdzie oni będą za te dziesięć lat? Rozgląda się wokół. Chłopak z kryminalnego nie chce skończyć jak redaktorzy, z którymi dzieli pokój. A już na pewno nie chce stać się takim Rinaldim, który kiedyś przecież też był dziennikarzem. On chce stać się Jaimem Breną. Tylko że Brena został przeniesiony z działu, do którego w sposób naturalny przynależał, do innego, który tylko psuje mu krew. On, chłopak z kryminalnego, czegoś takiego nie chce. Czy dzisiaj w *El Tribuno* jest miejsce na to, żeby być takim dziennikarzem, jakim on chce być? Czy pracując tu, będzie czuł się każdego dnia coraz bardziej wolny czy coraz bardziej uwikłany w jakieś sprawy, których nie zna, ale będą mu narzucane jako nieprzekraczalne prawa? Czy jest gotowy na spędzenie tu życia jak Jaime Brena, żeby się przekonać, która wersja okaże się prawdziwa, kiedy już nie będzie miał zbyt wielu opcji prócz zwolnienia na życzenie? Nie wie, nic nie wie. Jedyne, co wie teraz naprawdę, to że chce być dziennikarzem. Dziennikarzem od spraw kryminalnych. I że chce być jak Jaime Brena. Tylko że nie chciałby skończyć tak jak on dziś, to na pewno.

Nurit Iscar składa swoje rzeczy w jedno miejsce, włącza komputer i zaczyna pisać ostatni artykuł. Chłopak z kryminalnego rozgląda się za Kariną Vives, lecz mówi mu, że dziś nie przyszła do pracy, że przesłała zwolnienie lekarskie, co go martwi. Jaime Brena wchodzi do gabinetu komisarza Venturini, który wita go swoim zwyczajowym: Jak leci, mój drogi? Tym razem jednak Brena nie podtrzymuje żartobliwego tonu, nie mówi: U mnie dobrze, ale biednie, panie komisarzu. Siada tylko przed nim po drugiej stronie biurka i pyta: Poczynił pan jakieś postępy w sprawie śmierci Collaza? Venturini robi zniesmaczoną minę. Ten temat jest zamknięty, Brena, Collazo popełnił samobójstwo, dlatego chcesz mnie zmusić do pracy, nawet jeśli to wcale nie jest potrzebne? Czemu pan też się pojawił na miejscu, kiedy znaleziono Collaza, panie komisarzu? Dlaczego mówisz „też”? Przecież pod względem jurysdykcji śmierć Chazarrety pana nie dotyczyła, tak samo Collaza. Przypadek, pomoc kolegom, osobisty interes? Zaraz, zaraz, od kiedy to mam obowiązek się przed tobą tłumaczyć z tego, w jaką sprawę się angażuję, a w jaką nie? Nie, obowiązku pan nie ma, komisarzu, ja tylko staram się zrozumieć, dlaczego ostatnimi czasami tak mnie pan unika. Venturini przygląda mu się, sprawia wrażenie, jakby miał ochotę coś powiedzieć, jakby się wahał, czy coś powiedzieć, czy nie. I wreszcie mówi tak: Słuchaj, Brena, czasami musimy zaakceptować nasze ograniczenia, czasami nie jesteśmy w stanie sięgnąć tak daleko, jak byśmy chcieli, ale to nie niweczy wszystkich naszych dokonań. Jeśli jednego dnia musimy w czymś odpuścić, to czy robi to z nas przegranych? Nie wiem, pan mi to pewnie powie, komisarzu. Nie, nie robi, robi z nas ludzi, czasami się da,

a czasami nie. Czasami możemy iść właściwą drogą, a czasami musimy wybrać inną i nie wiemy, czy doprowadzi nas tam, gdzie chcemy, rozumiesz? Prawdę mówiąc, niezbyt. Nie przejmuj się, nie da się wszystkiego zrozumieć, to też ludzka rzecz, ale możesz mi zaufać, daję głowę, że mnie ufać możesz. Brena nie odpowiada, nie wie, czy mu wierzyć. Chciałby, lecz nie wie. Nie ma tam już czego szukać.

Jaime Brena wstaje, wykonuje ruch ręką udający, że ściąga z głowy nieistniejący kapelusz, nakłada go z powrotem, mówi: Panie komisarzu. I wychodzi.

<i>Wyjechać zawsze łatwiej, niż wjechać

Żegnaj się. To mój ostatni artykuł z La Maravillosy. Nie będę prowadzić dłużej tej rubryki o sprawie Chazarrety. Chciałabym jednak, żeby zapamiętali państwo, co napiszę: że ten tekst jest ostatni, to moja decyzja i chcę, żeby to było jasne. To ja postanowiłam nie pisać więcej o śmierci Pedra Chazarrety ani o innych związanych z nią zgonach. To mój wybór, moja decyzja.

Nie chciałabym, żeby stało się tak jak tyle razy wcześniej z różnymi tematami, wiadomościami, informacjami, które jednego dnia skupiają uwagę wszystkich, a potem zaczynają zanikać i w końcu nikt o nich nie pamięta. Czasem do tego się dąży: żeby wiadomość zniknęła, żebyśmy zapomnieli o sprawie. Ale to nie jest ten przypadek. Przestaję pisać, bo się boję. Przestaję pisać, bo nie mam dowodów ani wystarczającej pewności, aby podzielić się tym, co myślę. Jedyne, czym dysponuję, to strach i podejrzenia. Ta sprawa nie jest rozwiązana. I nie ją ja rozwiążę. Może nikomu się to nie uda. Może niebawem nikt już o sprawie Chazarrety nie będzie mówić. Nie pozwólcie na to.

To, co się dzieje z tym kryminalnym newsem, zastosować można do każdej wiadomości i do ogólnej sytuacji w dzisiejszych mediach. Hierarchia priorytetów informacyjnych, która sprawia, że pewne informacje zostają na marginesie, jest tym samym co cenzura. Nie pozwólcie, żeby ktoś wam narzucał swoją hierarchię. Ani jedni, ani drudzy. Czytajcie dużo gazet, oglądajcie różne dzienniki telewizyjne, wszystkie, nawet te, z którymi się nie zgadzacie, i dopiero potem układajcie własną hierarchię. Komunikacja dziś nie ogranicza się do duetu nadawca–odbiorca, tworzymy ją wszyscy. Układanie informacji zgodnie z własnymi kryteriami, a nie na podstawie narzuconej hierarchii, to tworzenie kontrinformacji. A kontrinformacja to nie jest jakieś brzydkie słowo, wręcz przeciwnie. To informowanie z innej strony, ze strony, która nie ma władzy.

Trzeba próbować zrozumieć i opisywać motywy postępowania grup i osób. Nie zadowalać się prostym wytłumaczeniem, sięgać dalej, wnikać w ludzkie zachowania. Co to ma wspólnego z wiadomościami kryminalnymi? Ze sprawą zabójstwa? Bardzo dużo. To bardzo uspokajające wiedzieć, że Chazarretę zabito z tego czy innego powodu. Ale nie liczcie na to, że zaoferuję wam taką prostą analizę. Jeśli nie mogę sobie pozwolić na wnikliwe pokazanie tematu, wolę milczeć, lecz wiedzcie, że taka wnikliwość jest możliwa, choć nie będziecie mieli do niej dostępu. Ja się dziś wycofuję ze strachu. Wy jednak szukajcie, szukajcie nieustannie w wiadomościach kryminalnych, ale też w politycznych, międzynarodowych, kulturalnych czy sportowych. Powiedzieć, kto złapał za nóż i rozciął gardło Chazarrecie od ucha do ucha, to powiedzieć, kto go zabił, ale też to tyle co nic nie powiedzieć. Bo za tym kryje się znacznie bardziej złożona prawda, brutalna i odwieczna. Nadużycia, zemsta, pakty milczenia, to wszystko jest znacznie mroczniejsze i bardziej zagmatwane niż kwestia, kto trzymał nóż. Czy to istotne, do jakiej szkoły uczęszczał Chazarreta? A to, że jej założyciel był sądzony za molestowanie nieletnich? Czy to ważne, jakie zasady wyznawali Chazarreta i jego przyjaciele z młodości, a w co wierzyli ostatnio? Sądzę, że tak, że to ważne. Czy krzywdy, nadużycia i niewyjaśnione przeszłe zbrodnie mają wpływ na krzywdy, nadużycia i zbrodnie dziś i jutro? Nawet jeśli dawne krzywdy nie mają dziś znaczenia, zostają po nich otwarte rany i – co gorsza – ktoś może czuć się w prawie powetować to, co swego czasu nie zostało sprawiedliwie załatwione. Tyle że wymierzenie sprawiedliwości na własną rękę to kolejne nadużycie i tak bez końca nakręca się koło nienawiści i zemsty. Czy mniejsza jest wina zabójcy, który zabija kogoś, kto na to zasłużył? Sprawiedliwa kara za popełnione przestępstwo, za popełnioną zbrod-

nią – tylko to może uratować nas jako społeczeństwo.

Nie zapominajcie o bezkarnych zbrodniach, bo one zawsze kryją w sobie coś więcej niż samą zbrodnię.

Dziś kończę pisanie dla tego dziennika nie dlatego, że mnie to nie interesuje, tylko z powodu wręcz przeciwnego. Rodolfo Walsh przyznawał, że od 1968 roku zaczął wątpić w literaturę, „bo nie jest już możliwe pisanie wysoce wyrafinowanych dzieł nadających się wyłącznie dla «mieszczańskiej inteligencji», kiedy cały kraj zaczyna drżeć w posadach. Wszystko to, co pisałem, musiało wpisywać się w ten nowy proces i być dla niego użyteczne, przyczyniać się do jego postępów. Kolejny raz dziennikarstwo okazywało się właściwą bronią”. Czy dziś nasze dziennikarstwo wciąż jest odpowiednią bronią? Nie wiem, nie mam też prawa udzielać żadnych odpowiedzi, nie jestem przecież dziennikarką. Jestem pisarką. Wymyślam historie. I zamierzam wrócić do świata fikcji, jak tylko skończę ten ostatni artykuł. Bo tam nie czuję strachu, bo tam mogę wymyślić sobie inną rzeczywistość, taką jeszcze prawdziwszą. Tam mogę zacząć pisać powieść, jakkolwiek, na przykład o kobiecie, która przychodzi sprzątać do domu kogoś takiego jak Pedro Chazarreta, musi przejść, jak co dzień, przez te wszystkie kontrole przy wejściu do La Maravillosoy, nie wiedząc, nie podejrzewając, że kiedy znajdzie się już w domu pracodawcy, znajdzie go z poderżniętym gardłem. Mogę wymyślić śledztwo, odkryć powiązania z innymi zgonami przez nikogo niezauważone, wskazać fizycznych i ideologicznych sprawców zbrodni, powiedzieć, dlaczego zginęli ci, co zginęli. Spróbować raz i drugi. Może nawet powiedzieć, że ostatecznego sprawcy należy szukać w wyższych sferach biznesowych, w wysokim wieżowcu w Retiro, Puerto Made-ro albo na Manhattanie. Gdzie zechcę, bo przed nikim się tłumaczyć nie muszę. W gabinecie z dużym oknem. Albo nie, bez okna. Tak czy inaczej to wszystko będzie tylko wymyśloną przeze mnie rzeczywistością. Powieść należy do świata fikcji. A moja jedyna odpowiedzialność to dobrze ją opowiedzieć.

Wracam zatem do literatury. Nie będę dłużej pisać tych artykułów, bo boję się pisać to, co powinienam, a pisać co innego wstyd.

Wyrazy szacunku dla moich czytelników.

I żyję nadzieją, że będą państwo wiedzieli, jak sobie radzić w tych nowych informacyjnie czasach. W czasach, w których państwo także są kluczową i aktywną częścią tego wszystkiego.

Chłopak z kryminalnego kończy lekturę ostatniego artykułu Nurit Iscar w tej samej chwili, gdy ona przejeżdża przez bramę wjazdową – albo wyjazdową – La Maravillosoy w samochodzie opłacanym przez dziennik, w bagażniku mając swoją małą walizkę, którą ochroniarze otwarli, ale jej nie przeszukali, i zmierza w stronę domu, tego prawdziwego, do swojego mieszkania w Buenos Aires. Chłopak przesyła tekst, żeby poszedł do jutrzejszego numeru. Wie, że Rinaldi się nie ucieszy. Zwłaszcza jeśli Nurit Iscar go nie uprzedziła, że nie będzie dłużej pisać dla *El Tribuno*. A nawet jeśli go uprzedziła, poprawia się, jemu też się to nie spodoba. Lorenzo Rinaldi nie lubi, jak go ktoś wystawia do wiatru. Chłopak odpowiada na kilka zaległych mejli, potem zbiera swoje rzeczy, wyłącza komputer i już zamierza iść do domu, kiedy nagle zatrzymuje go krzyk Rinaldiego: Jak możesz wysyłać ten tekst do druku bez konsultacji ze mną? Na szczęście ktoś po drodze to przeczytał i dał mi znać. Chłopak z kryminalnego udaje głupiego. Ale przecież artykuły Nurit Iscar miały iść bez żadnej redakcji. Nie żartuj sobie ze mnie, wiesz, że nie o to chodzi, tak to nie może pójść. Wycięła nam niezły numer, nie widzisz tego? Dzwonię do niej, ale przepadła jak kamień w wodę. Tak się nie robi. Jak mogłeś sądzić, że to może tak iść? Mamy pewne zasady w tej redakcji, nie możemy puszczać byle czego. Rinaldi jest bardzo zezłoszczony, lecz stara się udawać opanowanego mimo tonu i gwałtownego wybuchu na początku. Włączaj komputer i bierz się za pisanie, musimy mieć jakiś tekst, żeby wypełnić to miejsce, rozkazuje mu i wraca do swojego gabinetu, nic już nie dodając. Chłopak z kryminalnego jest załamany, że czytelnicy gazety nie poznają najlepszego tekstu Nurit Iscar. Zamierza poprosić kilku znajomych, żeby zamieścili go na swoich blogach, wrzuci linki na Facebo-

oku i Twitterze, i gdzie indziej, by dotarł do jak największej liczby osób. Patrzy na zegarek, jest siódma wieczorem. Znów odpala komputer. Naprawdę jest w stanie napisać coś w miejsce tego artykułu? Nie, nie jest. Wchodzi do wyszukiwarki, wpisuje „Erynie”. Czyta w Wikipedii: w greckiej mitologii kobiece personifikacje zemsty, pierwotne siły podlegające władzy Zeusa. Powracają na ziemię, by karać zbrodniarzy. Ostatecznie, mimo pragnienia zemsty, Erynie akceptują sprawiedliwość wymierzaną przez Atenę, bo chcą, żeby lud przestał nimi gardzić. Zemsta, która ustępuje sprawiedliwości. Chłopak znów sprawdza godzinę, dziesięć po siódmej. Dlaczego siedzę jeszcze w tej redakcji? zastanawia się, ale pytanie nie dotyczy godziny, tylko jego życia: dlaczego wciąż tu pracuje? Czy decyzja Rinaldiego, by nie publikować tekstu Nurit Iscar, to nie jest wystarczający powód, żeby zrezygnować? Wraca do Eryni i sprawiedliwości. A jeśli zarówno zabójca, jak i ofiary to wszystko podli ludzie: Chazarreta, jego koledzy, Gandolfini? zastanawia się. Jeśli dowiedziemy, że Chazarreta był sukinsynem, to czy jego śmierć staje się przez to sprawiedliwsza, czyni z Gandolfiniego mniejszego zbrodniarza? A czy fakt, że Chazarretę zamordowano, robi z niego mniejszego bydlaka? Patrzy na zegarek, siódma piętnaście. Pisze w Google’u: kontrinformacja. Pomija kilka wyników i wchodzi na informację o książce pod takim tytułem Natalii Vinelli i Carlosa Rodrígueza Esperóna. Streszczenie wydaje mu się interesujące, szuka pliku do ściągnięcia, ale nie znajduje. Nie ma innego wyjścia, będzie musiał kupić tę książkę. Tylko gdzie? Gdzie ją znaleźć? Wchodzi na portal aukcyjny, znajduje ją i kupuje. Zamawia dostawę na jutro. Płatność gotówką. Patrzy na drzwi gabinetu Rinaldiego. Znów spogląda na swojego smartfona: za dwadzieścia pięć ósma. Wpisuje do Google’a „alternatywne środki przekazu”, mniej więcej dwa miliony siedemset trzydzieści tysięcy wyników. Wchodzi na jedną stronę drugą, piątą. Zagląda na Indymedia, na Radio Sur 102,7, a stronę Krajowej Sieci Alternatywnych Mediów, Antena Negra i Barricada TV zostawia sobie do przeglądnięcia w domu. Za dużo tego, nie ma teraz wystarczająco czasu. Kręci mu się w głowie, jest poruszony, jakby coś wziął. Za piętnaście ósma. Musi to zrobić teraz. Wyłącza komputer, łapie portfel, smartfona i wychodzi. Dociera na pocztę dokładnie pięć minut przed zamknięciem. Chciałbym wysłać telegram, mówi. I dyktuje swoją rezygnację z pracy w *El Tribuno*. Kiedy wychodzi, zamykają lokal. Bierze telefon i dzwoni do Jaimego Breny: Słuchaj, Brena, a może chciałbyś rzucić robotę w gazecie i założyć ze mną portal informacyjny?

Tydzień później Jaime Brena i Nurit Iscar jedzą kolację w El Preferido. On dał jej słowo, że podają tam najlepsze puchero w całym Buenos Aires. No chyba że wolisz którąś z tych restauracji, gdzie obsługują cię nie kelnerzy, tylko tacy śliczni chłopcy, i gdzie podają jedzenie *fusion* czy inne takie wynalazki, które można zjeść w każdym miejscu na świecie, stwierdził Brena, dzwoniąc do niej w sprawie spotkania. Uwielbiam puchero, odpowiedziała. I oto siedzą naprzeciwko siebie, wybierając czerwone wino. Czy podajecie puchero z kiełbasą? pyta Nurit kelnera. Bez kiełbasy, ciecierzycy i wołowiny to nie byłoby żadne puchero, odpowiada kelner. Ona mruga do niego, podnosi kciuk do góry, zamyka menu i oddaje je. Jaime Brena wybiera caberneta sauvignon i też oddaje kartę. Nurit mówi mu, że nie odpowiedziała jeszcze na te wszystkie uporczywe telefony Rinaldiego, że wie, że będzie się odgrywał za ten ostatni artykuł, zwłaszcza po tym, jak chłopak z kryminalnego rozpropagował go w Internecie, ale nie ma ochoty słuchać tego typu. Brena mówi, że jakiś czas jeszcze popracuje w *El Tribuno* i będzie pomagać chłopakowi przy jego portalu, pisać dla niego teksty, lecz jakoś sobie nie wyobraża, że mógłby nie wstawiać każdego dnia i nie iść do redakcji. I że mimo Rinaldiego, mimo działu Społeczeństwo, mimo tych kretyńskich statystyk na temat tego, co robią kobiety i mężczyźni, dziewczynki i chłopcy oraz dziewczyny z dużą lub małą ilością owłosienia, on jednak woli dalej pracę w gazecie. Wydaje mu się, że nie poradziłby sobie bez tego zapachu redakcji. A czym tam czuć? pyta Nurit. Kiedyś śmierdziało dymem papierosowym, było pełno dymu, czuć było papier i farbę drukarską; dziś sam nie wiem, jest trochę tak, jakby ten stary zapach już pozostał w tym specyficznym, pełnym kurzu powietrzu, które w nieskończoność przepuszczane jest w tę i we w tę przez klimatyzatory. I ten hałas, brakowałoby mi też hałasu, dźwięku ludzkiego silnika, od którego aż kręci się w głowie, od tego wszystkiego, co tam się dzieje. Dzisiaj tę rolę odgrywają telewizory działające w każdym pomieszczeniu, którym głos włącza się tylko wtedy, kiedy dzieje się coś ważnego. Do tego delikatny, ale uporczywy szmer komputerów, coś jak bzyczone komara. I telefony dzwoniące nie tak jak kiedyś, kiedyś wszystkie miały ten sam dzwonek, teraz każdy ma własny, śmieszny, wyjątkowy dźwięk. Trwa wielka rywalizacja coraz to dziwniejszych dzwonków, żeby każdy bez pomyłki rozpoznał swój. Nie wiem, czy mógłbym być szczęśliwy bez tego wszystkiego, stwierdza Jaime Brena. Pyta Nurit, czy zaczęła pisać, a ona przytakuje, opowiada mu o nowej powieści, ma ledwie dwie strony, lecz dużo w głowie. Są trupy, owszem, jest napięcie i prawdziwa historia ukryta za śmiercią, ta historia najważniejsza, codzienna, taka, której śmierć nie jest w stanie zatrzymać. Jedzą chleb, czekając na puchero, i oboje narzekają na to objadanie się pieczywem i na kilogramy, co tu już mają je w nadmiarze. I śmieją się. Może powinniśmy byli zrobić coś więcej, zastanawia się Nurit, może trzeba było złożyć doniesienie na Gandolfiniego? Nie wiem, też się nad tym zastanawiam, odpowiada Jaime Brena, będziemy musieli sobie z tym poradzić: koszty podzielenia się tym, co wiemy, czy też tym, co nam się wydaje, że wiemy, są zbyt wysokie. Może kiedyś przyjdzie nam do głowy jakiś pomysł, bywa, że z biegiem czasu pojawia się szansa. Ja też nie wiem, stwierdza Betibu, ale nie daje mi to spokoju. Kelner przynosi wino, nalewa, stukają się kieliszkami i piją. Bez toastu jednak. Nad ich głowami we włączonym, acz bez dźwięku telewizorze zamocowanym na uchwycie zaczynają się wiadomości o dziewiątej. Oni nie patrzą, musieliby wyciągać szyje jak czaple, żeby widzieć ekran, a poza tym niezbyt ich to obchodzi, dziś nie są zainteresowani innymi ludźmi.

Podczas gdy Jaime Brena i Nurit Iscar czekają na swoje danie, Carmen Terrada i Paula Sibona jedzą empanady i co chwilę zerkają na swoje telefony. Napisała ci coś? pyta Carmen. Nie, a tobie? mówi Pau-

la. Też nie, odpowiada Carmen. A przecież obiecała, że będzie pisać, jak idzie, narzeka. Obiecała, żebyś jej dała spokój, Paula, nie może nam przecież relacjonować randki na bieżąco jak jakiegoś meczu. Ja tam bym chciała, żeby relacjonowała, stwierdza Paula. Chcesz obejrzeć film czy serial? pyta Carmen. A jakie masz seriale? *Terapię* i *Mad Men*. To *Terapię*, ten psychiatra jest zabójczy. Carmen włącza telewizor i wsadza płytę do odtwarzacza. Rozsiadają się na poduchach porzrzucanych na podłodze. Poszli już do łóżka? zastanawia się Paula Sibona. Nie sądzę, mówi Carmen, jak znam naszą przyjaciółkę, to pewnie nawet buzi sobie nie dali. Ja tam wierzę w Jaimego Brenę, oświadcza Paula. Ja też, rzecz w tym, czy w nią wierzymy, wyjaśnia Carmen. Ej, ale ona nas chyba nie porzuci, jak się zakocha w tym Brenie, co? niepokoi się Paula. Nie, nasza Betibu – nigdy, stwierdza Carmen Terrada stanowczo, szukając na pilocie ustawienia napisów po hiszpańsku. Trzeba by wprowadzić jakąś formę gwarancji przyjaźni i spędzania razem czasu w sytuacji, kiedy któraś z nas angażuje się w związek, żeby zawsze była na to przestrzeń, proponuje Paula. O mnie możesz być spokojna, ja tam niczego na oku nie mam, mówi Carmen. O mnie też, ja mam dużo na oku, więc wychodzi na to samo, co nie mieć nic. Czy ten Jaime Brena może mieć jakichś sensownych kolegów?

Przynoszą puchero. Nałożyć ci? pyta Brena. Bardzo proszę, odpowiada Nurit. W tej samej chwili chłopak z kryminalnego otwiera puszkę piwa w domu Kariny Vives. I co myślisz o moim pomysle? Brzmi świetnie, stwierdza Karina. Szkoda, że Brena nie został moim współnikiem, wzdycha chłopak. Brena to dziennikarz redakcyjny, mówi Karina, musisz go zrozumieć. No przecież tworzę redakcję. Karina Vives nie jest tego pewna. Bez pracujących w jednym miejscu ludzi, bez wyjść na papierosa z kolegami przed budynek, bez szefa, na którego można powyklinać: za dużo wirtualności dla takiego typu jak Brena, stwierdza. A ty przyłączyłabyś się do mnie? pyta ją chłopak. Za jakiś czas, kiedy będę w stanie rzucić gazetę, mówi Karina, najpierw muszę postanowić, co zrobić z ciążą. Na mój rozum, to na tym etapie już decyzję podjęłaś, choćby przez zaniechanie. Karina nie odpowiada. Chłopak z kryminalnego upija kolejny łyk, a jednocześnie patrzy na etykietę butelki. *Ink or link?* pyta ją. Co? nie rozumie Karina. Na co stawiasz, na link czy na druk? Nie rozumiem. Jeśli masz dobrą treść, ale niezalinkowaną, nikt jej nie zobaczy, wyjaśnia chłopak i po chwili ciągnie: Dziś ludzie potrzebują, żeby im ktoś wybrał najlepsze treści. Tyle że ktoś musi te treści pisać, zauważa Karina. Zgoda, mówi chłopak, potrzebne są obie te rzeczy, acz kiedy masz nadmiar treści, kluczowa staje się selekcja, więc ja zamierzam zająć się podczepianiem najlepszych treści dla tych, którzy będą śledzić moją stronę. Wierzysz, że dam sobie radę? pyta ją. Wierzę, odpowiada Karina Vives. Chłopak odstawia butelkę na stolik. Czy można całować kobiety w ciąży? pyta. Chyba tak, odpowiada Karina. I całują się.

Po solidnych porcjach puchero nie ma już miejsca na desery, ledwie starcza na kawę, no i rachunek. W telewizorze nad ich głowami pojawiają się obrazy związane z wiadomościami z ostatniej chwili, z paskiem z następującym napisem: Zamordowano biznesmena, 15 strzałów, możliwe porachunki. Widać wejście do biura Gandolfiniego, RG Business Developers. Ale Nurit i Jaime Brena o niczym nie wiedzą, dowiedzą się jutro, dziś nie patrzą na telewizor, zajmują się czym innym. Obrazy na wiszącym nad nimi ekranie są im całkowicie obojętne. Policja zablokowała wejście, widać wielu funkcjonariuszy przy pracy, reporter mówi do kamery, pojawia się archiwalne zdjęcie Gandolfiniego, reporter przeprowadza rozmowę z szefem policji, pasek na dole głosi: Prowadzący sprawę komisarz García Prieto. Potem zmiana napisu: Zabójstwo w amoku: biznesmen Roberto Gandolfini zamordowany w strzeżonym biurcu. I gdyby Jaime Brena i Nurit Iscar podnieśli głowy, to na ekranie, dwa kroki dalej, ledwie widocznego zza Garcíi Prieta, rozpoznaliby komisarza Venturiniego w nienagannym garniturze, całkowicie opanowanego, który dogląda działań policji kolejny raz niepodlegających jego jurysdykcji, lecz widać, że radzi sobie doskonale, a w ręku trzyma żółtą teczkę. Żółtą teczkę z czarnym paskiem w prawym górnym rogu. Teczkę trzyma w ręku, bo to nie jest przedmiot z miejsca zbrodni, tylko należący do niego. Gdyby Jaime Brena

i Nurit Iscar podnieśli głowy, przeżyliby szok, pomyśleliby, że wreszcie wszystko zrozumieli, rozmawialiby tego wieczora o piramidzie zbrodni i o zdaniu wypowiedzianym przez Gandolfiniego raptem kilka dni wcześniej: zabójcą jest ten, kto zostaje żywy. Dyskutowaliby, czy ta teczka Gandolfiniego, którą teraz, na ekranie, Venturini składa na pół i wsadza jak gazetę do kieszeni, należy do niego, czy jednak do miejsca zbrodni. Zastanawialiby się, dlaczego podsunął Brenie tyle tropów w sprawie zabójstwa Chazarrety i nawet zaprowadził ich do jego domu. Odpowiedzieliby sobie, że pewnie chciał, żeby w tym przypadku było jasne, że to rzeczywiście było zabójstwo: żeby Chazarreta zmarł tak, jak powinien, to musiało być zabójstwo. I że dlatego komisarz usunął się ze sceny przy innych ofiarach. O tym wszystkim dyskutowaliby teraz, gdyby podnieśli głowy i zobaczyli, co pokazują w wiadomościach. Ale nie robią tego, nie patrzą na telewizor, nie kusi ich, że dwie albo trzy osoby przy pobliskich stolikach patrzą nad ich głowami i komentują, jakby stało się coś ważnego. Te pytania Nurit Iscar i Jaime Brena będą zadawać i odpowiadać na nie dopiero jutro, rano, kiedy wiedząc już o śmierci Roberta Gandolfiniego od tych wszystkich kul, które w niego wpakowano, będą szukali tropów, będą przewijali sto razy tę samą scenę, tę, na którą teraz nie patrzą, bo odkryją albo ktoś im powie, że widać tam komisarza Venturiniego. To jednak będzie jutro, to wszystko będzie jutro. Dziś Jaime Brena przywołuje kelnera i płaci – Mowy nie ma, mówi do Nurit Iscar, która chce zapłacić za siebie – a potem wstają i wychodzą.

W chwili gdy wychodzą z El Preferido, Lorenzo Rinaldi wchodzi z żoną do innej restauracji w okolicy i siada przy stoliku, przy którym czeka już na niego jeden z ministrów najbliższych prezydentowi wraz z małżonką. Zmiana kierunku? zastanawiają się bywalcy lokalu, którzy ich rozpoznają, i Jaime Brena zastanawiałby się nad tym samym, gdyby ich zobaczył. Ale Jaime Brena zajęty jest czym innym, idzie z Nurit przez dzielnicę Palermo. Na ulicy jest ciepło, to resztki tego dziwnego ciepła początku jesieni. Odprowadzę cię do domu, mówi Brena i to bynajmniej nie jest pytanie. Idziemy czy bierzemy taksówkę? Zaczniemy od spaceru, proponuje Nurit Iscar, a jak się zmęczymy, złapiemy taryfę. Idą bez słowa, starając się zręcznie wymijać szczeliny w chodnikach i korzenie drzew. Chcesz wiedzieć, skąd się wziął twój pseudonim, Betibu? No pewnie, odpowiada Nurit. I Jaime Brena zaczyna opowiadać jej tę historię, co to do niedawna nie wiedział, czy jej kiedykolwiek opowie, a jednocześnie obejmuje ją w pasie. Najpierw ostrożnie, jakby rozpoznawczo; a potem mocno, stanowczo. Nurit Iscar czuje niepokój, lecz podoba jej się to. Od dawna żaden mężczyzna nie objął jej w pasie. Zresztą ostatni był właśnie on, Jaime Brena, tego dnia, kiedy zobaczyli ciało Collaza wiszące na drzewie, wtedy otoczył ręką jej ramiona. Ale ramiona i pas to nie to samo. Pas jest bliżej punktu G niż ramiona. O ile ten punkt w ogóle istnieje. W każdym razie dla niej, dla Nurit Iscar, pas ma znacznie więcej z punktu G. Jaime Brena, jakby nie zauważając, jaką reakcję wywołuje jego ręka – „jakby”, bo tak naprawdę zauważa – nie przestaje mówić. Bawi go ta opowieść, relacjonuje ją z wdziękiem, chce, żeby Nurit też się dobrze bawiła, chce ją uwieść. Żeby pomóc jej w wyminięciu spiętrzonych płytek chodnikowych, których pęknięte krawędzie stanowią zagrożenie dla pieszych, przyciąga ją mocniej do siebie. Wciąż trzymając ją w pasie, jakby prowadził ją w tangu. I Nurit daje się prowadzić, nie odsuwa się potem, przywiera do niego mocno.

Gdyby to była powieść Nurit Iscar, nie napisałaby, co działo się później. A już na pewno by nie napisała po kłapie *Tylko jeśli mnie kochasz*. Co najwyżej wspomniałaby o pocałunku, który wymienili na rogu, o tym, że pogładził ją po włosach i krótko przed dotarciem pod jej bramę znów się całowali. O ile udałoby się jej znaleźć odpowiednie słowa, o ile podobałaby się jej melodia tekstu przy czytaniu. Ale nie opisałaby jazdy windą, w której ręce czują się znacznie swobodniejsze. A tym bardziej tego, co się działo, kiedy oboje weszli do mieszkania. Nie, z całą pewnością nie dałaby tego do swojej powieści. Wie jednak, nie ma żadnych wątpliwości, że kiedy sprzeda prawda do ekranizacji, reżyser zadba o to, by na zakończenie filmu dodać scenę erotyczną. Pokaże ją obrazami, nie słowami, pokaże nagie ciała, oddechy, jęki. Zadba też o to, żeby wyglądali ładniej niż naprawdę. Ona, Nurit Iscar, Betibu, i Jaime Brena będą

w tej scenie inni. Reżyser poszuka jakichś zgrabniejszych niż jej nóg i męskiego brzucha mniej wystającego niż jego brzuch. I każe im robić to, czego oni nie robią. Bo choć robią to, na co mają ochotę, są kobietą i mężczyzną, którzy nie myślą o tych wszystkich widzach siedzących w fotelach i patrzących na nich, tylko o sobie nawzajem, a to spora różnica.

Nurit Iscar myśli właśnie o tym, o filmie, który zostanie o nich nakręcony, o tym, co jego twórcy dodadzą i co usuną, i śmieje się. Patrzy na Jaimego Brenę – on też się uśmiecha.

Z czego się śmiejesz? pyta Nurit.

Ach, z takiej tam bzdury, zastanawiałem się, czy sypiasz na brzuchu, czy na plecach. Głupie, co? A ty z czego się śmiejesz, Betibu?

Z ciebie i z siebie.

Czyli z nas, stwierdza Jaime Brena.

Tak, z nas, odpowiada Nurit Iscar.

Podziękowania

Zechcą je przyjąć:

Cristian Domingo, Laura Galarza, Débora Mundani i Karina Wroblewski za to, że byli uważnymi, bezlitosnymi i pełnymi oddania czytelnikami różnych wersji tej powieści.

Guillermo Saccomanno za to, że użyczył mi Zippa i że zawsze jest.

Juan Martini, Maximiliano Hairabedian, Facundo Pastor i Ezequiel Martínez za to, że pomogli mi rozwiązać różne sprawy związane z tą powieścią.

Nicole Witt, Jordi Roca i ich ekipa.

Julia Saltzman i Gabriela Franco.

Marcelo Moncarz.

Eva Cristaldo i Anabella Kocis.

Paloma Halac.

Moje dzieci.

Tłumacz dziękuje lek. med. Tomaszowi Gachowi za pomoc przy opisie rany ciętej.